

BOHOWITYN

WYZYSKIWANI

POWIEŚĆ

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA 1904  
WYDAWNICTWO KSIĘGARNI  
TEODORA PAPROCKIEGO I SKI  
NOWY ŚWIAT 37



*W. Br...*  
1904



WYZYSKIWANI



WYSTAWIŁ

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI  
NARODOWEJ W KRAKOWIE  
RYSUNEK OKŁADKI I INICYAŁY  
A. S. PROCAJŁOWICZA



[Miedziewskie Topia]

BOHOWITYN

# WYZYSKIWANI

POWIEŚĆ

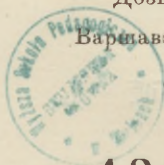
WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA 1904

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI TEODORA PAPROCKIEGO I SKI  
NOWY ŚWIAT 37

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27. Января 1903 г.



121814

## ROZDZIAŁ I.



a oknem szalała burza. Gałęzie uderzały w szyby, niby rzesza bezdomna, pukająca do miłosierdzia ludzkiego. Hulał wicher jesienny, a w nim wyła zbiorowa skarga dzieci ziemi: bieda ludzka, nędza zwierząt, jęk roślinności, obdzieranej z życia.

Jak potępieniec, gnany furją zniszczenia, opasywał wicher chłodnym pierścieniem stary, wspinały dwór wiejski, usiłując dostać się do jego wnętrza. W bezsilnym gniewie wpadał na dach, dmuchał na palące się w kominie gałęzie sośniny, wyrzucał na jasny, obszerny pokój skry żarzącego się węgla, drażniąc jakimś głuchym skowytom drzemiacą tu ciszę.

Niemłoda kobieta o siwych włosach, siedząca przy kominie, z niepokojem przysłuchiwała się tym harcom listopadowym.

— Nie nauczyłaś się jeszcze lekcji, Nelciu? — zwróciła się naraz do małej dziewczynki, siedzącej nad książką przy stoliku.



— Nie mogę, pani Michalino — odpowiedział żałośny głos dziecka. — Ta geografia taka trudna...

— Niema tam nic trudnego. Tyle razy przeczytałam ci zadany kawałek... już go prawie umiałas.

— Bo mi z panią łatwiej...

— Ależ nie mogę, moja Nelciu, uczyć cię każdej lekcji; nie przyniosłoby ci to żadnej korzyści.

— Ten raz tylko...

— Dobrze, ale pamiętaj, że ostatni raz ułatwiam ci pracę w ten sposób. Trzeba, żebyś się nauczyła sama myśleć — rzekła pani Michalina.

Nelcia przysunęła z hałasem stołeczek do jej stóp, uklękła na nim i ręce oparła na kolanach nauczycielki.

— Przeczytam ci raz jeszcze zadaną lekcję, a ty mi ją powtórzysz, mały leniuszku. Wielki to wstyd, że się sama takiego łatwego kawałka nauczyć nie możesz. Taka duża jedenastoletnia dziewczyna!

Pani Michalina zaczęła odczytywać lekcję, dziewczynka ją powtarzała, to przymykając, to otwierając szeroko swe duże, czarne oczy, które sen kleił.

Po upływie kwadransa nauczycielka odłożyła książkę.

— Idź spać, Nelciu, dziewiąta już wybiła!

— Czy nie poczekam na mamusię?

— Nie, dziecko. Rodzice powrócą dopiero może około północy. Z Gazdowiec jest cztery mile fatalnej drogi.

Pani Michalina ogrzała przy ogniu, płonącym

na kominku, nocną koszulkę dziecka i poprawiwszy poduszki, odstąpiła kołdrę, pod którą rozebrana już Nelcia prędko się wsunęła.

— A paciorek?

— Prawda! Zaraz zmówię.

Ukłęka na łóżku, objęła za szyję siedzącą przy niej panią Michalinę, złożyła ręce na jej plecach i odmawiała pacierz, patrząc w jej oczy.

Po kilku chwilach już spała.

Pani Michalina zgasła stojącą na eleganckim stoliku świecę, żeby blask jej nie raził śpiącej i wyszła do drugiego pokoju, w którym brązowa lampa, wisząca nad długim, okrytym białą ceratą stołem, oświetlała rzeźbiony dębowy kredens i także meble.

— Franiu — zwróciła się do młodszej, ustawiającej coś w kredensie — niech Antoni zaraz pojedzie konno z latarnią naprzeciw państwa! Tak ciemno, deszcz pada... o wypadek nie trudno; wracając zawołaj mi tu kucharza!

Wydawała te rozkazy głosem pewnym i stanowczym, jak osoba, która wie, że wszystkie jej zlecenia będą natychmiast wykonane.

Po krótkiej rozmowie z kucharzem wróciła do pokoju, w którym spała Nelcia, przysunęła fotel do kominka, usiadła i splótwszy ręce na kolanach zamysliła się głęboko.

Z rysów jej i pogodnych, ciemno-szarych oczów, okolonych leciutką siecią zmarszczek, przeglądało zastygłe jakieś zadowolenie.

Podobna była do drzewa jesiennego, pozba-

wionego kwiatu i owoców, którego listki, okryte szronem, nie lękają się już burz letnich.

Otoczający ją komfort zamożnego domu obywatelskiego, ciepło idące od komina, cisza, wśród której słychać było szamotanie się za oknem gałęzi niepokojonych wichrem jesiennym, ukołysały ją do spokojnej zadumy.

Dziesięć lat już upłynęło od chwili, gdy po raz pierwszy, jako nauczycielka weszła w progi tego zamożnego gniazda.

Podobała się jej ta pańska siedziba o ogromnych sieniach i wysokich z posadzką kamienną komnatach, chłodnych latem, a zimą ogrzewanych kominami, na których ciągle żarzył się ogień. Z przyjemnością słuchała żałosnego krzyku pawi, gniezdzących się w parku i szeptu lip rozłożystych, które pod jej oknami opowiadały o wielkości dawno zapomnianych dziejów.

Lata przesuwały się ponad jej głową spokojne, niczem niezamącone; tylko czasem wichry jesienny wywlekał z przeszłości bolesne chwile, rozkopywał ukochane mogiły, przypominał tułacze lata, przegryzając jej duszę żalem i tęsknotą.

Czas jednak wyrównywał powoli głębokie bruzdy bolesnych wspomnień i dziś, gdy ćwierćwiekowa pleśń pokryła grób przeszłości, już tylko ze smutkiem myślała o utraconem szczęściu i drogich cieniach.

Wszystko przeszło, minęło, jak sen. Życie jej było jedną chwilą, krótką i bezbarwną, gdy prze-



leciała je myślą, a długą, bolesną, gdy policzyła lata tęsknoty, pracy i dokuczliwej myśli o jutrze niepewnem.

Za oknem przycichło. Węgłe dogasały na kominie. Niekiedy zaskwierczała żywica na szyszce sosnowej napół zwęglonej, niekiedy wybuchnęła nagłym blaskiem leżąca z boku, zdala od ognia gałązka i znów był mrok i cisza, w której zdawał się szemrać wiecznie pracowity ruch niszczącej ręki czasu.

Pani Michalina siedziała pogrążona w półśnie, wyczuwając z rozkoszą ciepło i spokój, nie wstrząsana żadnem pragnieniem młodości, nie wybiegająca myślą po za próg tej siedziby.

Turkot podjeżdżającego powozu i głosy na ganku wyrwały ją ze spokojnego półbytu.

Powstała z fotelu i wyszła do ogromnego, oświetlonego lampą przedsionku, w którym rozbięrali się z wierzchniego odzienia państwo Widzcy i córka ich Terenia.

— Okropną mieliśmy drogę — mówiła do pani Michaliny, zdejmując z siebie ciepłe okrycie Widzka, otyła blondynka, dość jeszcze młoda, wesoła, o ryśach pospolitych, ale sympatycznych. — Wiatr pogasił nam latarnie przy karecie i gdyby nie Antoni, wpadlibyśmy z pewnością w jaki rów. Dobrze pani zrobiła, wysyłając go nam na spotkanie.

— Alboż pani Michalina może co kiedy źle zrobić? — wtrącił Widzki, witając nauczycielkę.

Oboje małżonkowie byli do siebie podobni: blondyni, otyli, weseli, zadowoleni z życia.

Na dobrodusznej, ładnej twarzy Widzkiego, ozdobionej jasnymi, dużymi wąsami gościł szczery, poczciwy uśmiech.

Weszli do pokoju jadalnego, gdzie wnet zabrali się do herbaty, którą im pani Michalina nalewała.

Arcy-przyjemną jest jednak rzeczą, siedzieć w rodzinnym kącie i pić doskonałą herbatę, po czterogodzinnych *balance* i *tours de mains* w powozie — rzekł Widzki.

— Biedaczysko! Całą drogę ja i Terenia chwytaliśmy go za ręce za każdym przechyleniem się powozu. Poczciwy mój Stasiek! — mówiła, śmiejąc się i całując męża Widzka.

— Cóż słychać u Rolińskich i jakże się zabawa udała? — spytała pani Michalina.

— Jak zwykle w Gazdowcach. Ładna mama, brzydkie córki, zabawa nudna, kolacya zapóźno i wieczne westchnienia Klarci do pana Mieczysława, który wciąż woli mamę, niż jej konsolację.

— Gwałtu! To niby nic nie powiedziała — wtrącił Widzki.

— Alboż to sekret? Wiedzą o tem i wróble na dachu.

— Ale od kogo?

— No... od wszystkich. Idę spać, bo ledwie żyję. Jutro opowiem pani o szczegółach wieczoru, dziś nie jestem w stanie. Nelcia śpi?

— Oddawna.

— Idźże zaraz i ty, Tereniu, spać. Jesteś pewnie ogromnie znużoną.

— Tak, mam — odrzekła jasno ubrana panna, wysokiego wzrostu, blondynka dość zgrabna, szykowna, o twarzy podłużnej, nic nie mówiącej, jasnych niewielkich oczach i zanadto wysokiem czole. Młodzieńcza świeżość policzków i ust broniła ją od miana brzydkiej.

Była doskonałym typem poczwarki, z której w przyszłości miała się wylęgnąć kobieta przeciętna, nosząca, jak ślimak skorupę, swą pospolitą naturę, niezdolna wykrzesać z niej bodaj przelotnego przejawu ducha.

Twarz jej, znudzona w tej chwili i obojętna, ożywiła się złośliwym uśmiechem, gdy matka krytykowała sąsiadów, uśmiechem mówiącym, że umysł jej zdrobniały szukał dla siebie pożywienia na śmietniku życiowym, skwapliwie chwytając wszystko to, co było zaprawione miernotą codziennych targów ludzkich.

Powiedziała rodzicom dobranoc i poszła do swego pokoju, znajdującego się tuż obok salonu.

Pani Michalina, pomogła jej rozebrać się, powymnowała szpilki z jej włosów, splotła na noc warkocze, przyglądając je dłonią pieśczołliwie.

Później długo jeszcze, gdy wszyscy już spali, przesuwiała się po pokojach, gasząc lampy, ustawiając krzesła, szepcząc pacierze, łagodna spokojna, błogosławiąca modlitwą, niby dobry duch domu.



## ROZDZIAŁ II.



idzka należała do rzadkich wybranek losu. Nie posiadając ani posagu, ani piękności, wyszła za człowieka uczciwego, sympatycznego i zamożnego, który nie tylko pozwolił jej urządzić sobie życie podług swego upodobania, ale był zupełnie zadowolony z jego trybu.

W domu była najpierwszą osobą; wszyscy chodzili na palcach, gdy spała, spieszyli do jej łóżka, skoro się obudziła. Nie wypływało to wcale z despotycznego, lub kapryśnego jej usposobienia, lubiono ją pro prostu. Choć w domu niczem się nie zajmowała i cały dzień spędzała na ożywionej gawędce i paleniu papierosów, wszystkim jej brakło, gdy wyjeżdżała na dłuższy czas z domu.

Spała zwykle do południa. Po przebudzeniu się miała zawsze świetny humor. Kazała zaraz do siebie wołać męża, dzieci, panią Michalinę. Sypialnia jej była punktem zbornym domowych od południa do czwartej, to jest do obiadu. Przy jej łó-

zku odbywano narady, dzielono się wszelkimi wrażeniami, tworzone projekty, a panie, przyjeżdżające z ranną wizytą, szły odrazu do jej sypialnego pokoju.

Ponieważ lubiła, zarówno jak i jej mąż, gości, ciągle ktoś z sąsiadów przyjeżdżał w odwiedziny.

Podawano śniadania, obiady, o których gospodyni nic nie wiedziała; wszystko, co się smażyło lub gotowało w kuchni, było dla niej niespodzianką; to należało do pani Michaliny.

Gdy Widzki zwrócił uwagę żony na to, że nauczycielka jest nazbyt przeciążona pracą, zgodziła się zaraz z jego zdaniem i gdy podwyższył pensję pani Michalinie, która zamiast trzystu zaczęła pobierać czterysta rubli rocznie, podziękowała mu serdecznie.

Była szczęśliwą i lubiła widzieć dokoła siebie zadowolone twarze.

Dziś, obudzwszy się, jak zwykle w południe, spytała zaraz młodszej, gdzie jest pani Michalina.

— Ma lekcję z Nelcią — odrzekła służąca, niosąc kawę, którą postawiła na stoliku przy łóżku Widzkiej.

— Poproś ją do mnie.

Służąca odeszła, żeby wypełnić polecenie.

Widzka przeciągnęła się leniwie, wypila trochę kawy, zapaliła papierosa i zaczęła się niecierpliwie, że nikt dotąd nie nadchodzi.

Pani Michalina weszła.

— Siadajcie no, paniusiu i pogawędźcie ze

mną — mówiła wesoło Widzka, wskazując jej miejsce na swem łóżku.

— Nie bardzo ja mam czas na gawędy — odrzekła na pół żartem nauczycielka.

— Zaczekajcie chwilę, mam coś ciekawego do powiedzenia.

Pani Michalina usiadła, nadeszła Terenia.

Zaczęła się znów rozmowa o wczorajszym wieczorze u Rolińskich. W opowiadaniu matki brzmiały: humor i dowcip, słowa córki podszyte były żółcią z wyraźnym odcieniem zazdrości.

— W niedzielę mają tu wszyscy zjechać. Nowy kłopot dla paniusi! Na święta zapowiadają się wspaniałe zabawy. A wie pani, że przyjechał brat Zurakowskiej, ten co ma objąć posadę chemika w cukrowni; kawaler, przystojny, zadłużony, cierpiący na newralgię, jednym słowem *comme il faut*. Panny się szykują do konkursu. Co ty na to, Tereniu?

— Chyba niema tu komu o pierwszeństwo walczyć; wszystkie takie brzydkie.

— Co prawda, to w tej okolicy panny są okropnie brzydkie. Meżatki za to tegie, zaczynając odemnie — zaśmiała się Widzka.

— Siostra dyrektorowej bardzo ładniutka — rzekła pani Michalina.

— A tak. Ta jest milutka.

— Zawsze ma włosy, jakby je wicher potargał — wtrąciła Terenia.

— To jej wcale nie szpeci. A wie pani —



mówiła Widzka — że w Zukówce jest nowa nauczycielka?

— Młoda?

— Ma, podobno, dwadzieścia parę lat.

— Widziałyście ją panie?

— Nie. Została z dziećmi w domu. Pani zna dzieci Zurakowskiej. Czyż można je same zostawić? Pewnieby dom spaliły.

— Trudne będzie miała, biedaczka, zadanie, w Zukówce. Dzieci tam ogromnie są rozpieszczone — rzekła pani Michalina, która, słuchając sprawozdań i biorąc udział w rozmowie, myślała jednocześnie o tem, że Nelcia oczekuje końca przerwanej lekcji, że dziecko czas traci i denerwuje się bezczynnem siedzeniem.

Do pokoju wszedł Widzki.

— Jeszcze w łóżku! Co ty sobie myślisz, kobieto? Już obiad podają. Niechby kto tak kazał mężczyźnie leżeć tyle czasu; toby łóżko przeklął, a kobieta śpi szesnaście godzin i, wstając, jeszcze łakomie na poduszki spogląda. A wszystko to ofiary, niewolnice! — mówił Widzki, całując w rękę żonę, która go objęła za szyję i uściskała serdecznie.

— Cóżecie panie uradziły na dzisiejszym kongresie?

— Jeszcze nic, Stasieczku, ale musimy coś uradzić. Stroje nasze potrzebują koniecznie odświeżenia na święta. Trzeba, żeby kto pojechał do Warszawy po sprawunki. Chyba pani Michalina robi

z siebie ofiarę, bo nikt lepiej od niej nie potrafi obmyśleć wszystkiego.

— Zlituj się, chcesz pozbawić dom jedyne go pracowitego człowieka — mówił Widzki.

— To prawda — zgodziła się wesoło żona. — Nie wiem, jakby wyglądała Hornica bez pani Michaliny. Ale co począć ze strojami? Ja jechać w taką pogodę ze swoim reumatyzmem nie mogę, Tereni samej nie wypada.

— Nie wiem czy dobrzeby było, gdybym teraz odjechała? Nelcia nie miałyby lekcyi, a przytem gospodarstwo domowe... — odrzekła pani Michalina.

Projekt jechania do Warszawy uśmiechnął się był jej w pierwszej chwili; miała tam ukochanego brata, którego od dwóch lat nie widziała.

Nelcia wsunęła przez drzwi swoją ciemną główkę.

— Chodź-no tu, pieścizoto, chodź prędzej! — zawołała Widzka.

Dzieweczka przebiegła jak strzała przez pokój i rzuciła się w objęcia matki, która ją całowała w oczka, w buzię. Napieściwszy się z matką, skoczyła do ojca i, wyściskawszy go, usiadła na kolanach u pani Michaliny.

Była bardzo szczupła, drobna na swoje jedenaście lat i prześliczna.

— Wstawaj już, wstawaj, Basiu. To obraza Boska spędzać pół życia w łóżku — zwrócił się Widzki do żony, wychodząc z pokoju.

— Zaraz, Staśku, zaraz. Więc jakże będzie z Warszawą? Pojedzie paniusia?

— Jeżeli trzeba, to pojedę. Ale znów Nelcia straci dużo czasu.

— Terenia będzie z nią odrabiała lekcye.

— Sądzę, że to wszystko dałoby się w domu zrobić, skoro znajdziemy w miasteczku dobre materiały.

Widzka zaczęła z pomocą młodszej ubierać się. Pani Michalina poszła z Nelcią do biblioteki, gdzie zwykle odbywały się lekcye.

Nelcia była zasepiona i spoglądała od czasu do czasu z minką chmurną na nauczycielkę.

— Jesteś czemś zmartwiona, Nelciu?

— Nie... A pani bardzo się chce tej Warszawy?

— Dlaczego mię o to pytasz?

— Bo widziałam, jak pani była zadowolona, gdy mamusia wspomniała o wyjeździe. Pani była kontenta, że zobaczy swoich siostrzeńców i tę... Jadwinię, którą pani tak kocha — mówiła zazdrośnie dziewczynka.

Pani Michalina uśmiechnęła się.

— Będę zadowolona, gdy się z nimi zobaczę, ale tęskno mi będzie bez ciebie.

Nelcia pokręciła główką z niedowierzaniem.

— Ja nie będę uczyła się z Terenią! — wybuchnęła nagle. — Ona się tylko złości przy lekcyi. Gdy pani była latem chora i ja przy niej czytałam po francusku, to mi dała trzy klapsy, a nawet za włosy targała. Nie powiedziałam o tem ani ta-



tusiowi, ani mamusi, ale teraz kiedy pani musijechać po stroje dla niej, wszystko opowiem.

— Nie trzeba nigdy nikogo oskarżać, moja dziecino. Jeśli pojedę, to wrócę prędko; będzie mi tęskno za wszystkimi, a najwięcej za tobą, bo cię bardzo kocham.

— Tak samo jak... Jadwinie?

— Może... może... troszeczkę...

Dziewczynka zawisła na jej ustach...

...więcej — odpowiedziała, śmiejąc się i przyciągając do siebie Nelcię.

W niedzielę zjechali się goście do Hornicy.

Pierwszy powóz przywiózł dziedziców z Gadowiec, państwa Rolińskich. Sama pani była to jeszcze bardzo ładna kobieta, przybierająca poważnie skromną minkę wobec trzech brzydkich córek i męża w podeszłym wieku, mówiąca ciągle o swej starości z młodzieńczym błyskiem w prześlicznych oczach.

Zaledwie goście zasiedli w salonie, gdy na dziedzińcu ukazała się karetą poprzedzana przez wolant, w którym siedzieli dwaj malcy i młody człowiek o eleganckim wyglądzie.

Była to rodzina Zurakowskich z Zukówki.

Widzki witał gości w przedsiönku.

Zurakowska, wdowa w średnim wieku, przystojna i dystyngowana, chociaż trochę wymuszona i sztywna, ładnie ubrana, weszła do salonu z dwunastoletnią córką, za nią szła młoda panna wysokiego wzrostu o ciemnych oczach i takichże włosach, upiętych wysoko na kształtnej głowie.

Była przystojna i prześlicznie zbudowana. Czarna suknia eleganckiego kroju przystrajała jej zgrabną postać.

— Nauczycielka moich dzieci, panna Ewa Starkiewiczówna — zaprezentowała ją Zurakowska Widzkiem. — A to mój brat, Czesław Włókowski.

Państwo Widzcy witali gości z wielką uprzejmością.

— Niech mi państwo wybaczą, że przywiozłam z sobą dzieci — mówiła Zurakowska — ale tak przyrzekały wzorową grzeczność, żem je zabrała.

— Bardzo jestem pani wdzięczną; moja Nelcia będzie miała przyjemność — odrzekła Widzka.

Pani Michalina zabrała zaraz dzieci Zurakowskiej: dwóch malców, Fredzia i Kocia i dziewczynkę, Wicię, a także Bronię Rolińską, której towarzyszyła francuzka, i zaprowadziła je wraz z Nelcią do biblioteki, gdzie mogły swobodnie się bawić.

Ewa wahała się przez chwilę, nie wiedząc co ma z sobą zrobić.

Kwestyę tę rozstrzygnęła Zurakowska z uprzejmym, pańsko-grzecznym uśmiechem.

— Panno Ewo! Niech pani będzie tak dobra i dopilnuje, żeby dzieci były grzeczne.

Nauczycielka lekko pobladła, ale natychmiast opuściła salon i poszła za dziećmi do biblioteki.

Przybyli jeszcze Kośmicze, z bogaceni dorobkiewiczze z synem Julianem, brzydkim, z ogromnymi zębami i dużymi czerwonymi rękami, z którymi

nie wiedział nigdy co ma robić, i córką Aniela, jasną blondyną o zielonkawej cerze, która ją czyniła podobną do jakiejś anemicznej trawy. Następnie przyjechał dyrektor z żoną, oboje młodzi i sympatyczni. Towarzyszył im doktor.

W salonie zrobiło się gwarno. Panienci otoczyły fortepian, przy którym doktor, niemłody już wdowiec, bardzo wesołego usposobienia, wyśpiewywał z komicznym patosem: „Ujrzałem raz i kocham już“...

Czesław usiadł zdala od towarzystwa i przeczucując album, spoglądał krytycznym okiem na obecnych, wśród których sądzono mu było spędzić szmat życia.

Oczy jego przysłonięte binoklami, przesuwały się po postaciach kobiecych z obojętnością i ironią: wszystkie były brzydkie i nosiły cechę prowincjonalizmu.

Po chwili spochmurniał.

Z tego koła prowincyonałek musiał jednak wybrać sobie żonę, której posag zapewniłby mu niezależną przyszłość. W Warszawie, gdzie grosze w ustach błagi pęcznieją do rozmiaru dukatów, niebezpiecznie było załatwiać podobną sprawę. Powierzył więc ją siostrze i ta wyszukawszy mu posadę, sprowadziła go na grunt, gdzie owe owieczki pól i lasów hodowały się i gdzie ich wartość łatwo było otaksować.

— Jak one chętnie idą do ręki — pomyślał,



patrząc z za binokli na panny zerkające w jego stronę.

Uśmiech szyderczy przemknął mu po ustach i znikł na widok zbliżającej się Widzkiej.

Powstał z krzesła.

— Pan się tak odosobnił od młodego towarzystwa. Nowe okolice i nowe stosunki nie zawsze są zajmujące, szczególnie, gdy kto, jak pan, przybywa z szerszej widowni — mówiła uprzejmie gospodyni.

Zapewnił, że się czuje zupełnie szczęśliwym i zadowolonym w nowym otoczeniu i przyłączył się do młodego towarzystwa.

Podano herbatę.

Pani Michalina zmęczona, czerwona, biegła od samowaru do kuchni, wydając rozporządzenia, zastawiając stół, to znów, znosząc do biblioteki różne łakocie dla dzieci, bawiących się w gry pod przewodnictwem gadatliwej francuzki.

Ewa usiadła przy okrągłym stole, stojącym na środku pokoju i przeglądała dzienniki.

Oczy jej spoczywały na literach, nie widząc ich wcale. Upokorzenie, którego doznała przed godziną, gdy jej kazano opuścić towarzystwo i pilnować dzieci, wstrząsnęły nią do głębi.

Od lat kilku była już nauczycielką, ale dotychczas prawie zawsze miewała dorastające uczennice, a przytem przebywała w domach średnio zamożnych, gdzie imponowała wykształceniem i znajomością form towarzyskich. Lubiąc komfort

i wystawne życie, pragnęła zawsze dostać się do jakiego bogatego domu, któryby lepiej licował z jej usposobieniem.

Dziś śród tego upragnionego otoczenia spotkało ją pierwsze upokorzenie.

Z niecierpliwością czekała końca wieczoru, usiłując nie słuchać hałaśliwych wykrzykników dzieci i piskliwej paplaniny francuzki.

Dla nauczycielek i dzieci podano herbatę w bibliotece. Widzka usiadłszy obok Ewy, rozmawiała z nią przez chwilę.

Żal jej było tej przystojnej panny, która się nudziła śród dzieci, ale nie wiedziała jak na to poradzić.

W salonie tańczono.

— Niech pani idzie do salonu — rzekła do niej z życzliwą nutą w głosie — ja trochę popilnuję dzieci. Jest tu wreszcie panna Martin i za chwilę nadejdzie pani Michalina. Pani potańczy trochę.

— Dziękuję pani, nie lubię tańców.

— Więc pani przejdzie się, zapozna z młodem towarzystwem — nalegała Widzka.

— Nie chciałabym opuszczać dzieci. Pani Zurakowskiej byłoby to przykro. Dziękuję pani serdecznie za troskliwość o mnie, ale wolę pozostać na swem stanowisku.

Po odejściu Widzkiej rozdrażnienie Ewy spotęgowało się. Zrozumiała, że jest przedmiotem li-

tości, że jest służką, która nie ma prawa opuścić pokoju z obawy, żeby jej nie skarcono publicznie.

W drzwiach ukazał się Czesław.

Ewa nie podniosła nawet oczu na wchodzącego.

— Czy dobrze się sprawują tu moi siostrzeńcy? — zapytał francuzki, która wnet zaszczebiotała, jak gadatliwa sroka.

Rozmawiał z nią przez chwilę, patrząc na twarz Ewy i czytając jej myśli, maskowane wyrazem chłodnej obojętności.

Była blada i drobniutkie krople potu, wywołane gorącem i podrażnieniem, perliły się nad jej ustami.

Czesław zbliżył się do niej.

— Jak też pani wytrzymuje hałas tych dzieci?

Uderzyła go oczyma pełnemi ironii.

— Zupełnie tak samo, jak pan zgrzyt kół maszynowych. Są rzeczy, które stają się tak koniecznym złem, jak samo życie, skoro się raz istnieje.

— Złe przestaje być koniecznością wobec woli ludzkiej.

— Wola ludzka jest niewolnicą warunków życia.

— Tylko nie dla jednostek, które potrafią ujarzmić najbardziej wrogie sobie warunki.

— Nie należę do nadkobiet.

— Robi jednak pani wrażenie istoty silnej, zdolnej pochwycić cugle losu i kierować nim po długi upodobania.



W tej chwili rozległ się okropny wrzask. Ewa powstała z miejsca przerażona.

W kącie pokoju bili się Fredzio z Kociem, targając się za włosy, uszy, wymyślając sobie wzajemnie.

Francuzka piszczała, rozbrajając ich.

Do biblioteki wbiegła Zurakowska, a za nią kilka osób, zwabionych hałasem.

— Co tu się stało? — zwróciła się do Ewy — O co im poszło?

— Mamo! On mi wyrwał pajaca, którego mi Nelcia darowała...

— Kłamie, mamó, kłamie! Wyprosiłem go u niej wprzód. On mój! — przerwał mu Fredzio, gotując się do nowej walki.

— Będziesz go widział jak swoje uszy! Lepiej go podreż w kawałki! — krzyczał Kocio.

— Cicho mi zaraz! Nigdy już więcej nie wezmę was z sobą. Trzeba było ciągle uważać na nich — zwróciła się Zurakowska octowo-grzecznie do Ewy — to są chłopcy: nie mogą się bawić spokojnie.

Kocio miał uszy burakowe, Fredzio rozdrapano czoło.

— Proszę mu zimnej wody przyłożyć do czoła.

Ewa wzięła z rąk francuzki ręcznik, umoczony w wodzie i przyłożyła go do ranki Fredzia, czując w tej chwili niepohamowaną nienawiść do tego krępego, piegowatego chłopca, któremu męska

brutalność, niepohamowana jeszcze kulturą, wyzierała z oczu o rozhukanym wyrazie.

Nienawiść, którą uczuwała, musiała suggestywnym prądem przelecieć przez jej rękę do czoła Fredzia, gdyż chłopak nagle odtrącił ją od siebie ze złością.

— Pani mnie drapie tym ręcznikiem i jeszcze więcej mię boli.

— Proszę dać ręcznik, zrobię to sama — rzekła Zurakowska, odbierając Ewie ręcznik.

— Z dziećmi trzeba umieć się obchodzić — dodała. — No, dość... już dość!... Nic się nie stało! — uspokajała Fredzia. — Sądzę, że będziecie cicho, gdyż inaczej otrzymacie w domu surową karę.

Terenia, która weszła razem z Zurakowską do biblioteki, nie spuszczała oczu z Ewy. Młodziutkie jej rysy, przy tem spojrzeniu pełnem niechęci, nagle jakby postarzały od dotknięcia starych, jak świat, skrzydeł zawiści.

Spojrzała na Czesława.

— Czy to pan był sprawcą zamieszania?

— Sądzi więc pani, żem stawał także do konkursu o pajaca? — odrzekł z uśmiechem Czesław, idąc za nią do salonu.

Kolacyę jadły nauczycielki wraz z dziećmi przy wspólnym stole. Ewa siedziała pomiędzy Wicią a Fredziem, który dławił się żarłocznie pasztem i chrupał przeraźliwie kości z drobiu.

Głos Zurakowskiej skierowany do niej rozlegał się co chwila, uderzając ją po nerwach.

— Panno Ewo! Proszę obetrzeć palce Fredziowi. Panno Ewo! Proszę nalać wody Wici. Niech pani spyta, czego chce Kocio.

Za każdym odezwaniem się Zurakowskiej, uwaga całego towarzystwa przenosiła się na Ewę i na chwilę ucichała wesoła rozmowa, zaprawiona wybuchami śmiechu.

Ewie zdawało się, że ten fatalny wieczór nie skończy się już chyba nigdy.

Odetchnęła z ulgą, gdy karetą wyjechała z oświetlonego latarniami dziedzińca w ciemną głąb, broniącą jej rysów powleczonej goryczą, od ciekawych spojrzeń.

Po wyjeździe gości Widzki zabrał się do herbaty, którą zwykle pijał przed snem.

— Żał mi było — rzekł do żony — tej biednej nauczycielki. Nie wesoła to rzecz przesiedzieć cały wieczór z takimi podłemi dziećmi.

— Ależ to dzieci! No, wiesz Stasieczku, żem nic podobnego nie widziała dotąd. I mnie też żal jej było, ale co począć? Ma się nauczycielkę do dzieci, ale nie do wprowadzania jej w świat. Zurakowską też trudno winić. Gdyby nauczycielka była w salonie, ona musiałaby być z dziećmi. Nieszczęsny to fach, to nauczycielstwo! Patrząc na nią, dziękowałam Bogu, że moje córki nie są biedne.

— Tem większy powód, żeby były dobre. Niepodobało mi się dziś, że Terenia wcale się do tej panienki nie zbliżała — mówił Widzki.

Terenia zaczerwieniła się.



— Taką miała minę nasepioną i złą — odrzekła.

— Miałabyś i ty, moje dziecko, nie lepszą minę, gdybyś musiała cały wieczór przesiedzieć na jednym miejscu, kiedy inni się bawią.

— Ma tatuś rację — podtrzymywała męża Widzka — Trzeba być grzeczniejszą w swoim domu.

Terenia nic nie odpowiedziała, ale niechęć jej do Ewy podwoiła się jeszcze.

### ROZDZIAŁ III.



akże się czujesz, Czešku, na nowem stanowisku?

— Tak, jak się może czuć na zależnem stanowisku człowiek, który był panem swojego czasu, swoich fantazyi, no i... kawałka grosza.

Zurakowska spojrzała na brata. Na twarzy jego malowało się znudzenie i zniechęcenie.

— Powiedz mi, ile ci zostało po sprzedaniu majątku i spłaceniu długów? — spytała po chwili.

— Parę tysięcy — bąknął Czesław.

— Pytam o to dlatego, że mam pewien projekt. Ja ci dopomogę. Mała fabryczka, chociażby wzniesiona z pomocą kredytu, zapewniłaby ci byt samodzielny.

— Zapewniłaby mi tylko długi na przyszłość, a może i ławę oskarżonych. Przemysł potrzebuje ogromnych środków i pewnego sprytu w gorszym gatunku, którego ja nie posiadam wcale. Nie umiałbym też opędzać potrzeb życia marnym zarobkiem, a taki tylko może dać przemysł na małą skalę.

— Jakże jesteś z dyrektorem?

— Dyrektor dość przyzwoity człowiek.

— A ten inżynier?

— Z Nałęczem nie zgadzamy się wcale. Jestto niezdolnie pedantyczna kreatura.

— Trzeba jednak pomyśleć o przyszłości, Czesku. Cóż to znaczy te tysiąc dwieście rubli, które pobierasz w cukrowni?

— Pensya doskonała dla początkującego.

— Bardzo być może, ale dla ciebie, coś się przyzwyczaił do innych warunków, nie może wystarczyć na życie.

— Wystarczy na wegetację.

Zurakowska milczała przez chwilę, namyślając się, w jaki sposób przystąpić do sprawy, która jej bardzo leżała na sercu.

Myśl o polepszeniu losu brata nie opuszczała jej od chwili, gdy ten przybywszy do cukrowni Plińskiego, objął w niej posadę chemika. Dawniej roiła dla niego najświetniejsze plany. Przystojny, wykształcony i zamożny miał prawo do zupełnego powodzenia w życiu. Dziś przyszłość jego przedstawiała się w mniej świetnych barwach. W ciągu ostatnich pięciu lat zaszła w nim ogromna zmiana. Świeżość młodzieńcza uleciała, zastąpiona żółtawą bladeścią, oczy przymglone przesytem patrzyły apatycznie, nerwy dokuczały, a z ojcowizny pozostało zaledwie parę tysięcy.

— Jakże ci się podobają nasze panny — spytała wreszcie.



Czesław skrzywił się ironicznie.

— Brzydkie i niesmaczne, jak pokuta za grzechy.

— Otóż to właśnie: jak pokuta — zaśmiała się Zurakowska, spostrzegłszy, że brat zrozumiał intencję jej zapytania. — A ponieważ każdy grzech wymaga pokuty, więc, mój braciszku, pora o niej pomyśleć. Widzka nie brzydka...

— Ogromnem czołem przypomina cieleń.

— Jest jedną z najposażniejszych panien w okolicy.

— Czyżby Widzki był tak bogaty?

— Hornica jest pięknym majątkiem i Widzki doskonale w nim gospodaruje. Można więc liczyć, że każda z córek dostanie po 30 tysięcy. Oprócz tego Terenia ma w banku, zapisane przez babkę, pięćdziesiąt ośm tysięcy, które tylko oczekują na szczęśliwego posiadacza panny.

Czesław nic nie odpowiedział. Patrzył przez okno na Ewę. Ubrana do spaceru, stała na ganku, czekając na dzieci.

Zapinała rękawiczki, krzywiąc lekko usta za każdym naciśnięciem sprężynki. Jasny żakiet, okrywał jej doskonale rozwinięte kształty, a czarne futerko zarzucone na szyję i takąż czapeczka nizko nasunięta na czoło, przysłaniały prawie jej twarz.

Schowała ręce do muflki i patrzyła przed siebie ponuro.

W duszy jej było chmurno.

Po chwili, poprzedzana przez dzieci, szła po

ścieżce wijącej się wśród dwóch szeregów sosen ośniezonych, wzdrygając się od czasu do czasu na odgłos wrzasków Fredzia i Kocia, których krępe i silne postacie tarzały się po śniegu z towarzyszącymi im psami dworskimi. Duże ich rude głowy, z których zlatywały co chwila czapki, mieniły się w słońcu, jak miedziane rondle, złośliwe oczka, osadzone w płaskich piegowatych twarzach, błyszcząły uciechą, gdy z dzikim okrzykiem ciskali kawałkami drzewa w ptaszki, siedzące na gałęziach.

W wyobraźni Ewy stanęła postać nieboszczyka Zurakowskiego. Wizerunek jego zawieszony w jadalnym pokoju, napełniał ją zawsze obrzydzeniem: z krwiożerczym wzrokiem, niski, rudy, krępy, celował z fuzyi wprost w oczy patrzącemu.

— Mieć takiego męża i być zmuszoną prawem dziedziczości do przelania całości tej dzikiej natury na swych potomków, to niemałe nieszczęście — pomyślała Ewa, patrząc ze wstrętem na rozhlukane dzieci.

Od Zajączkowskiej, aptekarzowej z miasteczka, Ewa wiedziała, że Zurakowska była panną bez posagu. Pochodziła z okolic, w których córka przedstawia czternastą część wartości syna, musiała się więc kontentować małą schedą, gdy brat jej odziedziczył piękny majątek. Schedę ową opiekun roztrwonił, pokrywając samobójstwem, deficyt moralny.

Deficytem zaś życiowym Zurakowskiej był mąż: despota, grubych obyczajów, mściwy, zły, i tych dzieci troje o płaskich rysach i złych naturach.

— Nie miała wiele do wyboru — powiedziała złośliwie aptekarzowa — i rada była, że się znalazł mąż, który ją uratował od wysługiwania się po cudzych domach. Panny bez posagu nie mogą być wybredne.

Powiedzenie to ubodło wówczas Ewę, teraz na wspomnienie tych słów ogarnął ją jakiś lęk.

Widmo przyszłości, grożące tułactwem do końca życia przerażało ją nieraz. Nie lubiła swego zawodu i miała zawsze uczucie istoty zamkniętej w wygodnym, obszernym więzieniu, skąd jednak wyjścia nie było.

Jako biedną sierotę wychowano ją na nauczycielkę i skoro tylko ukończyła naukę, popchnięto ją zwykłą koleją ubogich kobiet, nie pytając, czy zawód ten odpowiada jej usposobieniu.

Szła tą koleją od kilku lat bez wyraźnego celu, bez jutra, bez zamiłowania do swych obowiązków, popychając z tłumioną niecierpliwością codzienną taczkę.

Na innem polu jej inteligentna, o szlachetnych pierwiastkach natura wybujałaby może, jak silna, pożyteczna roślina; przeniesiona na grunt nieodpowiedni, czuła w sobie niechęć, rozgoryczenie istoty pokrzywdzonej siłą zbiorową, wobec której była bezsilną.

Od wieczoru u Widzkich, gdzie tak zraniono jej dumę, gdzie po raz pierwszy cielec złoty zakreślił wyraźnie granicę między nią, a światem, w którym musiała przebywać, Ewa zaczęła coraz



niespokojniej spoglądać w przyszłość, usiłując przyniknąć zakrytą kartę swego jutra.

Co ta karta zawiera? Wieczną bezdomność... a może los Zurakowskiej?

Z daleka ujrzała zbliżającego się Czesława i wyraz niezadowolenia osiadł na jej rysach.

Zauważyła kilka razy spojrzenie Zurakowskiej, śledzącej niespokojnie brata, gdy z nią rozmawiał i postanowiła unikać Czesława; był jej zresztą zupełnie obojętny, a nawet niesympatyczny.

Nie rozumiała jego niezadowolenia z losu, skoro miał przed sobą otwarte bramy różnych dróg; wstrętne jej też były zabiegi Zurakowskiej w celu pozyskania najposażniejszej panny dla niego, co zdawał się tolerować, ofiarowując wspaniałomyślnie swą osobę za wór złota.

— Myślałam, że pan już odjechał do fabryki — rzekła — gdy ją witał ukłonem.

— I z przykrością pani widzi, że jeszcze jestem.

— Z przykrością? Każde słowo określające jakieś uczucie, mające barwę, jest w danym wypadku niewłaściwe — odrzekła Ewa spokojnie.

— A uczuciem bezbarwnem jest?...

— Obojętność.

Czesław spojrział na nią z uśmiechem.

— Posiada pani dwie właściwości ogromnie dla mnie sympatyczne przy obecnem mojem usposobieniu: niezmiernie rzadko pani się śmieje, i mówi bezwarunkową prawdę.

— To ostatnie może mieć wartość dla każdego; nie rozumiem tylko, komu może sprawiać przyjemność posępny wyraz twarzy?

— Tylem widział uśmiechów, maskujących rzeczywiste uczucia i tylem razy śmiał się nie-szczerze, że z prawdziwą przyjemnością witam na każdej twarzy odbicie rzeczywistego stanu duszy.

— Jestto uczucie nazbyt egoistyczne. Zapomina pan, że nie każdy odpoczywa po zbytym śmiechu, i że są jednostki, których życie nie nauczyło śmiać się — odrzekła Ewa z goryczą.

— Jestem egoistą w każdym calu.

— Zachwycę pana nową szczerością i przyznam się, że ta właściwość pana jest dla mnie nie-sympatyczną.

— A więc... odpłacę takąż szczerością i powiem, że wszelkie sądy o mnie moich bliźnich wywołują w mej duszy tylko to uczucie, które pani nazywa: bezbarwnem.

Ewa obróciła głowę i spojrzała po za siebie, słysząc jakiś krzyk.

Fredzio i Kocio tarzali się w śniegu, zadając sobie razy z wściekłością, Wicia usiłowała ich rozbroić; otrzymawszy jednak, energiczne upomnienie od braci, zaczęła ich bić niewielkim kijkiem, pomagając sobie przeraźliwym krzykiem.

Ewa spieszyła na miejsce katastrofy.

— Dokąd pani idzie? — wstrzymał ją za rękę Czesław. — Proszę ich zostawić. Niech... użyją świeżego powietrza...



— Pokaleczą się jeszcze...

— Nic im się nie stanie, a pani może ponieść szwank w ogólnym zapale.

Chłopcy, poczuwszy razy hojnie udzielane przez rozłoszczoną Wicię, przestali się bić i zwrócili wspólne siły przeciw siostrze.

Wicia jednak po kilku bohaterskich wysiłkach wywinęła się im z rąk i pomknęła pędem do Ewy, czując pogoń za sobą. Fredzio nie zważając na surowy głos nauczycielki, zabraniającej mu dalszej bójki, usiłował dosięgnąć Wici, ukrywającej się za Ewą, długim kijem. Dosięgał jej niekiedy, przyczem jeden z razów padł na rękę Ewy.

Kocio śpieszył bratu na pomoc. Obaj znów natarli na nieprzyjaciela, gdy wreszcie zniecierpliwiony Czesław ujął każdego z nich za kołnierz i podniósłszy w górę, cisnął obydwóch w śnieg.

Powstali, otrzepując odzienie i patrząc na rozgniewanego wuja bojaźliwie, jak skarcone zwierzęta.

Rozpocząć dalszej bitwy nie śmieli.

Wicia szła teraz między nauczycielką i wujem, zadowolona, uśmiechając się złośliwie i pokazując język braciom, którzy szli w pewnym oddaleniu, patrząc na nią z bezsilną złością.

— Czekaj, czekaj! — mruczał Fredzio — złapiemy cię gdziekolwiek w kącie.

Puścili się znów przed siebie z dzikim wrzaskiem.

Ewa szła prędko z powrotem do domu, nie mówiąc nic do Czesława.



Zurakowska już czekała na nich w jadalnym pokoju, gdzie podawano śniadanie.

— Ledwie się państwa doczekała, taka byłam głodna — mówiła do Ewy, siadającej w milczeniu na swoim miejscu u stołu, między dwoma malcami.

— Wyszliśmy z domu cokolwiek zapóźno — odrzekła Ewa.

— Proszę o wodę — zwrócił się do niej Kocio.

— Ja także — rzekł Fredzio.

Sięgnęła po karafkę z wodą.

— Ależ panno Ewo! Niechże pani na nich spojrzysz, jacy są spoceni! Czyż można im teraz dawać wody? — zwróciła się do niej z wymówką Zurakowska.

Ewa jadła niewiele i usiłowała nie patrzeć wcale na siedzących z obu stron chłopców. Spocione, ich rude głowy i lśniące, nabiegłe krwią, piegowate twarze odbierały jej apetyt. Chrapliwe, donośne głosy, wydobywające się im z silnie rozwiniętych piersi, mówiących o całym szeregu przodków, których fizyczne przymioty rozrastały się kosztem duchowych, drażniły jej nerwy.

Mimowoli przysłuchiwała się, jak mlaskali ustami, połykając chęciwie kawałki mięsa, jak wciągali do ust z hałasem ze szklanki piwo, które im z głośnym gulgotaniem przechodziło przez gardło.

Gdyby chociaż na chwilę puściła wodze swemu rozdrażnieniu, byłaby się zerwała i uciekła z pokoju. Siedziała jednak z oczyma utkwionymi w ta-

lerz, nie podnosząc ich wcale z obawy, żeby się nie spotkać ze wzrokiem nieboszczyka Zurakowskiego, który z olbrzymiego, wiszącego naprzeciw niej portretu zdawał się przyglądać swemi srogimi oczyma siedzącym przy stole.

— Co to stało się z ręką pani? — spytała Zurakowska Ewę, gdy ta wyciągnęła po chleb rękę nabrzmiałą i siną.

— To Fredzio tak poczęstował kijem pannę Ewę, gdy mię zaczęła bronić przed ich razami. A przedtem sami się bili i włosy sobie wrywali — ozwała się Wicia rada, że może oskarżyć braci.

— Wiecznie jakieś awantury! — rzekła kwaśno Zurakowska. — Jeżeli się to powtórzy drugi raz, Fredzio będzie ukarany.

Po śniadaniu Czesław przeszedł do małego pokoiku, łączącego się z salonem, w którym Wicia miała lekcję muzyki z Ewą.

Zapalił papierosa, wziął jakąś książkę i zagłębił się w czytaniu.

Zurakowska usiadła obok brata.

W salonie panowało milczenie, fortepian nie odzywał się wcale.

— Graj, Wiciu! — rozległ się głos Ewy.

Milczenie.

— Proszę ciebie, graj! Tracimy tylko czas napróżno. Uderz tę nutę! Jak się ona nazywa?

Milczenie.

— Może nie chcesz grać etiud, w takim razie

zaczniemy od sonatinki, od tej, którą lubisz? Zagraj mi ją!

Milczenie.

— Wiciu! Cóż to znaczy? Proszę cię, graj!... Uderz tę nutę! Gdzie ona jest? Pokaż mi ją na klawiaturze!... Uderz mi ją zaraz!... — powtórzyła surowo.

Rozległo się silne uderzenie dwóch dźwięków, tworzących dysonans.

— To nie są te nuty, które ci wskazuję. Spojrz, proszę, gdzie jest ta mała czarna nutka!... Pokaż mi ją na klawiaturze!

Rozległo się silniejsze jeszcze uderzenie kilku niezgodnych dźwięków.

Czesław syknął.

Zurakowskiej rumieńce wystąpiły na policzki.

— Ta Ewa jest dość dystyngowana i dobrze posiada języki, ale nie umie sobie dać rady z dziećmi. Nie ma wrodzonych pedagogicznych zdolności. Nie ma taktu w postępowaniu z uczniami. Do dzieci trzeba trafiać rozmaitymi sposobami. Czasem swawolą, zniżaniem się do ich poziomu, czasem jakąś niedorzecznością nawet... A ona zawsze zimna i sztywna. No, niech tam z chłopcami wieczne historye, ale z Wicią chyba każda potrafiłaby sobie poradzić.

— Radzę ci wziąć do chłopców guwernera: oni potrzebują męskiej ręki.

— Toż przecie jeszcze dzieciaki, Czesiu.

— Ale mają krew i naturę swego ojca, którą trzeba wczesnie okiełzać.



— Z natury nie są podobni do ojca — zaprotestowała żywo Zurakowska, dotknięta w swej miłości macierzyńskiej. — Wreszcie Zbigniew nie był znowu tak zły.

— Tak... Tylko strzelał do ludzi, których bydlęta weszły mu w szkodę — odrzekł Czesław z ironią, podając siostrze rękę na pożegnanie.

— Odjeżdżasz już?

— Muszę dziś jeszcze wstąpić do fabryki.

W salonie tymczasem panowało milczenie. Ewa siedziała koło fortepianu, czekając kiedy uczennica zechce grać.

Wicia opuściła ręce na kolana i patrzyła bezmyślnie przed siebie. Od czasu do czasu jednak rzucała z ukosa szybkie spojrzenie na pobladałą z gniewu nauczycielkę. Usta jej drgały szyderstwem.

— Nie chcesz grać, Wiciu? Więc może będziemy co innego robiły, a później zajmiemy się muzyką? — spytała znów głosem spokojnym Ewa, opanowując zniecierpliwienie.

Nie odbierając odpowiedzi wstała, zbliżyła się do stołu, na którym były rozrzucone książki i gazety i wzięwszy jakiś dziennik, wróciła do fortepianu.

Czytała przez chwilę.

— Graj, Wiciu! — rzekła ostro, tracąc panowanie nad sobą.

Oczy Wici błysnęły zadowoleniem. Dopóki nauczycielka udawała spokój, przewaga była po jej

stronie, skoro jednak okazała zniecierpliwienie, Wicia tryumfowała.

— Graj w tej chwili, bo będziesz miała karę! — zaczęła znów Ewa i podniósłszy szorstkim ruchem ręce dziewczynki, spoczywające na kolanach, położyła je na klawiszach.

Wicia spojrzała z lekceważeniem na nauczycielkę; rąk z klawiatury nie zdjęła i znów wpatrzyła się przed siebie.

Czekała wybuchu.

Ewa tymczasem uspokajała sama siebie. Ostatecznie czego się ma gniewać?... Co ją może obchodzić, czy ta wstrętna dziewczyna gra, lub nie?... Posiedzi... przejrzy dzienniki!... Czy nie wszystko jedno, czy będzie siedziała tu, czy w swoim pokoju?

Rozdrażnienie jej jednak pomimo tych refleksyj potęgowało się; wiedziała, że ta mała czuje swoją przewagę nad nią, płatną nauczycielką-sługą, która musi wiele znosić w obawie utraty posady.

Parę razy, gdy Wicia zaczynała wyrabiać awantury, odchodziła od lekcji. Wówczas dziewczynka szła sobie najspokojniej do zabawy. Ponieważ to się powtarzało często, Zurakowska zwróciła uwagę Ewy na to, że się Wicia wcale nie egzer cytuje.

Postanowiła więc siedzieć chociażby do wieczora w salonie, dopóki Wicia nie odbędzie lekcji

i drżącą ręką przerzucała nuty, leżące na fortepianie.

Zurakowska ukazała się w drzwiach.

— Cóż to za lekcya milczenia? — spytała.

— Wicia dla nieznanego mi powodu nie chce grać — odrzekła Ewa.

— Dla czego nie grasz, Wiciu?

— Bo mię panna Ewa szarpie za rękę.

Ewa zarumieniła się, ale milczała nie mogąc się zdobyć na polemikę z uczennicą.

— No, no, graj dziecinko... — mówiła Zurakowska pojednawczo, całując Wicię — graj, ja posłucham!

Usiadła i słuchała lekcji, odbywającej się zupełnie dobrze.

— Może mi pani poszuka dwudziestego numeru „Tygodnika Polskiego“? Nie mogę go znaleźć — rzekła Zurakowska do nauczycielki, gdy Wicia odchodziła po skończonej lekcji.

Ewa zrozumiała, że to jest manewr w celu zatrzymania jej w salonie.

— Kochana panno Ewo, chciałam panią prosić, żeby pani była więcej pobłażliwa dla Wici, ona jest ogromnie nerwowa... Z nią tak ostro nie można. Chłopcy są też nerwowi, ale ona szczególnie. Pani nie umie się stosować do usposobień dziecinnych. Dzieci są wrażliwe, odczuwają, kto je kocha... Nauczycielstwo jest takie święte, takie wielkie powołanie i zupełnie zgodne z naturą ko-



biecą, której właściwością jest cierpliwość i poświęcenie — prawila Zurakowska, siadając w fotelu około stolika, na którym Ewa szukała numeru „Tygodnika“. — Nauczycielstwo jest najszczytniejszym posłannictwem...

— Od którego się uwolniłaś aż za cenę pozycia z dzikim mężem — pomyślała Ewa.

...i szczęśliwa ta kobieta, która ma w sercu poczucie tego świętego obowiązku — prawila dalej Zurakowska — tych świętych praw, wskazanych jej przez samą naturę. Bo i cóż może być szczytniejszego nad wychowanie ludzi dla społeczeństwa? Ale trzeba mieć do tego powołanie, bo dziecinne duszyczki są wrażliwe, jak mimoza i lada szorstkie dotknięcie je mrozi...

Brzęczące dzwonki na dziedzińcu, zwiastujące gości, przerwały Zurakowskiej wylew wzniosłych pojęć o obowiązkach... bliźniego.

Przybyła dyrektorowa cukrowni z siostrą.

Zurakowska powitała je bardzo serdecznie. Odkąd Czesław objął posadę w fabryce Plińskiego, stała się ogromnie uprzejma dla jego zwierzchników, a nawet współpracowników, starając się ich sobie zjednać.

Lisia, siostra dyrektorowej, była to młoda, ładna osóbką, z żywymi, szafirowymi oczyma, wesoła, zalotna, rozpieszczona.

Obie panie przyjechały do Zurakowskiej z projektem urzędzenia zabawy na lodzie.

Lód na rzece, wijącej się koło cukrowni, był

wyśmienity, kłopoty w zorganizowaniu zabawy brali na siebie panowie, chodziło więc tylko o to, czy panie mają być w charakterystycznych kostymach, czy w zwyczajnych.

Większość głosów miała tu decydować.

— Jedziemy zaraz do Widzkich — mówiła dyrektorowa. — Trzeba zabawę urządzić, dopóki pogoda sprzyja. W niedzielę zapraszam do siebie wszystkich znajomych na ogólną i ostateczną konferencję.

— Niech i pani też przyjedzie w niedzielę — prosiła Lisia Ewę, przechadzając się z nią po salonie, podczas gdy starsze panie rozważały rozmaite za i przeciw charakterystycznych kostymów. — Tu tak mało sympatycznych pań. Pani mi się ogromnie podobała odrazu. Pan Zawnicki mi mówił, że pani zawsze taka poważna, a nawet smutna. Nic dziwnego! Belferka nie jest chyba miłym zawodem — szczebiotała Lisia. — Przyjedzie Pani?

— Zapewne nie, ponieważ dzieci zostają w domu.

— Jako?... Więc pani nie rozstaje się nigdy z temi... dziećmi? — spytała Lisia, otwierając ze zdziwieniem ładne swe oczęta.

— Nigdy, nawet w nocy, bo Wicia sypia w moim pokoju — odrzekła Ewa, uśmiechając się z przerażonej miny Lisi.

— Teraz rozumiem, dlaczego pani nie jest wesolą.

— Z natury jestem skłonna do posepności; nie sędzę też, żeby rodzaj pracy miał na to wpływać. Znam nauczycielki o pogodnem, wesołem usposobieniu.

— W każdym razie nie wybrałabym sobie nigdy dobrowolnie fachu nauczycielskiego. Ale pani przyjedzie w niedzielę koniecznie, chociażby ta mała horda miała towarzyszyć pani — szepnęła Ewie, śmiejąc się Lisia. — Chciałabym z panią często się widywać, bo mam przecucie, że się będziemy bardzo lubiły.

— Zajedziemy jeszcze do Widzkich — mówiła żegnając Zurakowską dyrektorowa — A zatem czekam w niedzielę...

— Pani pewnie też dzieci zabierze — dodała Lisia z chytrą minką. — Mamy taką śliczną ślizgawkę i mnóstwo dzieci w cukrowni. Proszę koniecznie je zabrać — prosiła Zurakowskiej, która wahała się z odpowiedzią, pragnąc zrobić dzieciom przyjemność i obawiając się kłopotu.

Dyrektorowa przeraziła się, usłyszawszy zaprosiny Lisi, ale wnet dyplomatycznie poparła jej prośbę.

— Cóżes zrobiła, Lisiu? Zaprosiłaś te dzieciśka... Dopieroż to będę miała kłopot! Muszę teraz chować wszystko, co może być stłuczone. Biedny mój Muniek dostanie od nich ciągi — rzekła dyrektorowa w drodze.

— Musiałam to zrobić — odpowiedziała, śmie-



jąc się Lisia — bobym nie miała ich nauczycielki,  
która mi się ogromnie podoba. Do Hornicy! —  
dała zlecenie furmanowi.

Konie uniosły żwawo lekkie saneczki po kry-  
ształowo-śnieżnej drodze.

## ROZDZIAŁ IV.



idzka, leżąc w łóżku gawędziła z Terenią.

— Dlaczego to ani pani Michalina, ani Nelcia nie przychodzi dotąd?

— Pani Michalina już od siódmej godziny w kuchni, bo to dziś wieprza zabito; Nelcia przy niej.

— A niechby zajmowała się tą gospodarką później, teraz chciałabym, żeby tu przyszła. Mam humor lepszy, gdy z nią zrana pogawędzę.

— Jakieś sanie wjeżdżają w bramę — rzekła Terenia, patrząc w okno — Dyrektorowa z siostrą przyjechała.

— Franiu! Daj mi prędko kaftanik biały... ten z koronkowym kołnierzem! — zwróciła się Widzka do młodszej. — Biegnij zaraz do kuchni i poproś panią Michalinę o śniadanie i kawę! Czy tu sprzątnięte?

— Już, proszę pani.

Terenia wyszła na spotkanie pań i wprowadziła je do sypialni matki.

Widzka w rannym, eleganckim negliżyku, uśmiechnięta, z zadowoleniem witała gości.

— Przepraszam... przepraszam, że tak przyjmuję, ale nigdy nie mogę się zdobyć na ranne wstawanie.

Panie, ucałowawszy ją i usiadłszy przy łóżku, zaraz zakomunikowały, z czem przybyły.

— Świetny projekt! — mówiła Widzka — Będzie to przynajmniej coś niezwykłego, coś oryginalnego. Co do kostyumów, to byłabym tego zdania, żeby każdy ubrał się, jak może i bawił się najlepiej.

— Ja też tak myślę — odrzekła dyrektorowa. Poco to każdą przyjemność okupywać zaraz dużym wydatkiem!

— Bez wydatków nie obejdzie się. Nikt niema odpowiedniego kostyumu do ślizgawki. Na wsi ten sport odbywa się w zwyczajnych żakietach, ale skoro ma być większe towarzystwo...

— Mnóstwo osób wybiera się na tę zabawę, nawet z dalszych okolic, — wtrąciła Lisia. — Nie wiem, co poczniemy z kostyumami? W naszym miasteczku nie można nic dostać.

— Trzeba się umizgnąć do pani Michaliny. Niech pojedzie do Warszawy po sprawunki. Gust ma świetny, a przytem wydrepce, pocziwina, wszystkie sklepy, żeby kupić tanio i dobrze — rzekła Widzka.

Frania tymczasem, popędziła do oficyny, gdzie w alkierzu, przylegającym do kuchni, pani Micha-



lina, opięta ogromnym fartuchem, z głową zawiązaną chsteczka, zajęta była przyrządzaniem szynek.

Rozmaite części zabitego wieprza leżały na białej, szerokiej desce i stosownie do rozkazów pani Michaliny, szły kolejno na rozmaity użytek.

Dwie dziewczuchy: przyrządzały kielbasy i nadziewały kiszki przeróżnemi kaszami.

Nelcia opasana fartuszkiem, w ponsowej chsteczce, zawiązanej z tyłu głowy, z pod której wymykały się jej ciemne włoski, podobna do małej wiejskiej kobietki, dreptała wciąż koło pani Michaliny pomagając jej, cała zarumieniona z zadowolenia.

— Proszę pani — mówiła zadyszana Frania, wpadając do izby — goście z fabryki przyjechali i pani prosi o śniadanie i kawę. Byle prędko!

— Skaranie Boskie! Trzebaż to tak nie w porę! burknęła pani Michalina — weź no, Kasiu, parę kółek kielbasy i zanieś kucharzowi, niech zaraz usmarzy! Nelciu! Posól, moje dziecko, ten kawał słoniny, byle nie dużo, ja zaraz przyjdę!

Zrzuciła fartuch i chustkę z głowy i podreptała przez dziedziniec do domu po kawę i inne przysmaki, mające służyć do śniadania, a Nelcia z miną skupioną, zaczęła sypać sól na słoninę, którą wiejska baba układała w beczce.

Po chwili wniesiono śniadanie i kawę do sypialni Widzkiej. Przybył też i gospodarz domu.

— Widzi pani, jakie to u nas rauty odbywają się przy łóżku — mówił żartobliwie, witając panie.

— Sameś mnie rozpieścił, więc masz rauty —

odrzekła śmiejąc się Widzka. — Tereniu, przysuń ojcę krzesło.

Stolik ze śniadaniem ustawiono pośrodku pokoju

Widzki jadł z apetytem, panie mu pomagały ; wszyscy rozmawiali z ożywieniem.

— Ogromnie mi się podoba nauczycielka Zurakowskich — rzekła Lisia.

— Doprawdy? — skrzywiła usta Terenia. — Jakaś nadęta, sztywna.

— Trudno być inną mając ciągle do czynienia z dziećmi — powiedziała Widzka.

— Dodaj jeszcze z takimi dziećmi, — wtrącił Widzki.

— Dziwna rzecz, że Zurakowska wcale nie widzi tego i jest zachwycona swoim potomstwem. Wyobraźcie sobie, państwo, że Lisia zaprosiła je do nas na niedzielę. Biedny mój Muniek będzie miał guza.

— Niech się zawczasu sposobi do wojaczki, — śmiał się Widzki.

Zaczęto mówić o przyszłej zabawie na ślizgawce.

— Co te kobiety nie wymyślą, żeby się tylko pokazać w najlepszym świetle ! Nie dość flirtu w salonie, umyśliły go jeszcze uprawiać na lodzie, mówił Widzki.

— Nie wszystkim się ten popis uda. Czerwone noski Rolińskich wołałyby flirt na mniej lodowatym polu. — powiedziała dyrektorowa.

— Oj co brzydkie, to brzydzie !

— Kapitalne mają nosy — wtrącił znów Widzki.

— Czy mama Rolińska przypnie sobie też łyżwy?

— A czemużby nie? Ja, co prawda, wołałbym na ślizgawce być jej towarzyszem, niż jej córek, — mówił Widzki z miną seryo, patrząc z ukosa na dyrektorowę i żonę, które się śmiały.

— Pleciesz, Stasiek!

— No, kiełbasę już zjadłem, ogadałem z paniami najbliższych sąsiadów, jak się patrzy, a teraz czas do roboty — rzekł Widzki, wstając. — Chociaż mi przykro, że muszę pożegnać panie, ale jestem niewolnikiem mego czasu. A niech pani nie pozwala nigdy furmanowi tak pędzić koni. Kare były całe w mydle. Widać, że kobiety jechały — dodał, całując dyrektorowę w rękę.

Poszedł do oficyny.

Nie widział dziś jeszcze Nelci i tęskno mu było do dziecka.

Otworzył drzwi, wiodące do izby, w której odbywało się ćwiertowanie wieprza i wszedł.

— Pani tu, jak profesor w anatomicznym teatrze w obec uczniów — rzekł, witając panią Michalinę. — A ty co tu robisz, mała rzeźniczko? — mówił do Nelci, wycalowując jej rumianą buzię.

— Pomagam, zaszcebiotała wesoło. — Tylko mi żal wieprza; wczoraj go jeszcze widziałam żywego; taki był ładny!

— Cóż robić? To los wszystkich, bodaj naj-



piękniejszych wieprzów. A tam na panią spisek się knuje.

— Doprawdy? Jakiż to? — spytała pani Michalina.

— Dowie się pani sama wkrótce. Po co mam plotki robić? Już i tak mam ich dziś dość na sumieniu, — odrzekł Widzki, zabierając się do odejścia.

Pani Michalina domyśliła się, że tu chodziło o wyprawę po stroje.

Nie widziała oddawna ani brata, ani jego rodziny i rada była, że wszystko się złożyło na jej wyjazd do Warszawy. Sama na tę podróż nie zdobyłaby się. Zawsze miała tyle roboty w domu, a przytem nie lubiła rozstawać się z Nelcią.

— Będą mi radzi. Kubuś pewnie chodzi, ma już drugi rok — myślała z rozjaśnioną twarzą i spozrzała na Nelcię.

Dziewczynka straciła humor i wyglądała posępnie.

— Może ją zabrać z sobą — przemknęło przez głowę pani Michalinie, ale wnet zaniechała tej myśli; pogoda była okropna i dziecko łatwoby się mogło zaziębić.

Konieczność chwilowego rozstania z ukochaną pieścioszką, jej minka zasepiona, stłumiła w pani Michalinie chęć do podróży.

W sypialni jednak Widzkiej, ta podróż była już postanowiona.

— Nikt, nikt, tylko pani Michalina musi nam przyjść z pomocą w tym kłopotcie ślizgawkowym —

mówiła Widzka, całując pokilkakroć odjeżdżające panie.

W niedzielę najbliższe sąsiedztwo zebrało się u dyrektorostwa dla obradowania, jakie mają być kostyummy na ślizgawce i jaki ma być w ogóle program zabawy.

Zurakowska przyjechała sama. Dzieci nie wzięła, ponieważ pogoda się zmieniła. Nastąpiła odwilż, śnieg sypał pomieszany z deszczem. Ewa musiała także pozostać w domu, z czego Lisia była bardzo niezadowolona.

Czesław przyszedł już dość późno. Gdy witał się ze wszystkimi, zdawało mu się, że kogoś tu braknie. Później dopiero spostrzegł, że nie było Ewy.

Okolo stolika zastawionego łakociami, siedziały panny, z którymi doktor flirtował zawzięcie zając słodycze. Przy Lisi kręcił się wciąż Zarnicki, inżynier mechanik z cukrowni; nie zwracał uwagi na resztę towarzystwa. Gdy nie mógł rozmawiać z Lisią, to patrzył wciąż na nią; dziewczynę to widocznie bawiło.

Zrobiono zaraz miejsce Czesławowi, zapytując go o zdanie w kwestyi, która najwięcej interesowała obecnych.

Doktor doradzał pochód na ślizgawce z beczką Bachusa, Zarnicki proponował, żeby urządzić w strojach Eskimosów podobiznę wyprawy Nansena z pomocą psów fabrycznych i „ski“ naprędce sporządzonych, Czesław dowodził, że najlepiej byłoby

sprowadzić parę białych niedźwiedzi i urządzić polowanie na ślizgawce.

Panny gniewały się za podobne rady; Lisia kręciła się na krześle, drażniąc Zarnickiego flirtem z Julianem Kościczem. Wszyscy naraz mówili.

Czesława zdenerwował w końcu hałas, zmęczyły wybuchy wesołości, rozdrażnił ponsowy kolor bluzki, którą Lisia miała na sobie.

Pod pozorem palenia papierosa odszedł od stolika i usiadł swoim zwyczajem w kącie, obserwując zebrane towarzystwo.

— Jakże ona jednak jest nieznośnie hałaśliwa!

— Myślał, patrząc z poza obłoków dymu na rozbawioną Lisie. — Zarnicki, aż się wścieka z miłości do niej. Szczególniejszy gust! Postać mała, kocia, nos zadarty jak u gryzетки, a ta grzywa wiecznie rozwichrzona, te krzyczące barwy stroju!.. Jacy jednak oni wszyscy hałaśliwi!

Oparł się nieznacznie uchem o róg fotelu, na którym siedział; nerwowy grymas kurczył mu powieki za lada głośniejszym wybuchem śmiechu.

Wzrok jego przeniósł się na panny Rolińskie. Szerokie ich usta, okrągłe oczy umieszczone daleko od siebie, przypominały ryby, końce nosów miały skrofalicznie zaczerwienione. Między nimi wykwiatała Aniela Kościczówna, anemiczna, bez brwi i rzęsów, z białymi ustami i popsutymi zębami.

— Niepodobna byłoby oswoić się z żadną z tych twarzy — pomyślał Czesław, strzepując popiół z papierosa.



Myśl o bogatym ożenieniu się kiełkowała w jego głowie, pielęgnowana starannie przez Zurakowską.

Był już w wieku, w którym mężczyzna chętnie myśli o życiu spokojnem, patryarchalnem, na łonie rodziny usankcyonowanej przez kościół.

Niezadowolenie z warunków bytu nagliło go do szybkiego postanowienia.

Wiedział, że każda z tych bogatych panien da się rozkochać; czuł, że musi się na coś zdecydować i wzdrygał się z niesmaku na samą myśl o przymusowem małżeństwie. Proces starania się o rękę panny, do której czuł wstret, ciągły przymus, cały ten flirt przedślubny napełniał go odrazą.

Byłby zadowolony, gdyby pewnego rana, obudzony wczesnym gwizdkiem fabrycznym wzywającym do pracy, dowiedział się, że jest mężem bogatej żony, posiadaczem sporej fortuny, wówczas... zasnąłby przedewszystkiem nanowo i dopiero po należytem wyspaniu się, zapytałby o nazwisko tej, która miała dzielić jego losy.

Świstek fabryczny, hasło do wstawania o szóstej zimą i latem, był dla niego bodźcem do prędzej decyzji.

Nic go nie mogło tak zdenerwować, jak ten jęk pary o świcie, przeciągły, rozpaczliwy, dobywający z duszy wszelkie zapomniane, bolesne chwile życia, drażniący ucho, niby zbiorowy, jękliwy płacz wyrobników chleba.

Gdy był jeszcze w gimnazyum, nie mógł się nigdy oswoić z wstawaniem o świcie. Ranek przy

sztucznem świetle sprawiał przygnębiające wrażenie na jego nerwowej naturze.

Teraz zaś, gdy od wielu lat nie oglądał wschodu słońca, chyba w chwili powrotu z jakiejś zabawy, to przymusowe podziwianie natury przy jej budzeniu się, było dla niego nie do zniesienia.

Gdyby został współwłaścicielem cukrowni, albo wszedł do jakiego korzystnego interesu, byłby znów panem swej woli i swego czasu.

Bogate ożenienie miało mu powrócić niezależność.

Spojrzał na Terenię i spotkał jej wzrok; natychmiast odwróciła oczy.

— Ta chyba rzeczywiście będzie najodpowiedniejsza, — pomyślał — nie jest tak bogata, ale znów i nie jest tak brzydka, jak tamte. Przytem posiada spokojną dystynkcyę, która jest niezbędną dla żony i pani domu. Musi być zła i egoistka... Ale co mię może obchodzić jej złość? Będę się umiał od niej zabezpieczyć, — uśmiechnął się zimno. — Tak... chyba ta jest najznośniejsza: ma ładną figurę i młodość...

Rzucił papieros, wziął krzesło i usiadł obok Tereni.

Młode towarzystwo oglądało pocztówki, które Lisia przywiozła w wielkiej ilości. Czesław pochylony nad ramieniem Tereni robił różne spostrzeżenia nad secesyjnymi główkami kobiecemi, wyrysowanemi na kartach pocztowych.

Dziewczynie serce biło i wciąż się rumieniła.

— Wcale nie brzydka, — myślał — stosowne uczesanie przykryje to cielece czoło i ze swym urokiem młodości będzie nieźle reprezentowała dom.

Zurakowska nie ukrywała swego zadowolenia na widok brata, asystującego Tereni. Przysiadła się co chwila do Widzkiej, bawiąc ją rozmową, zachwycając się jej córkami.

Po długich naradach panie zadecydowały, że na ślizgawce mają być zwyczajne stroje, to jest : niedługie spodniczki z sukna i takżeż żakieciki. Kostyummy miały być rozmaitych kolorów, stosownie do gustu.

Widzka zapewniła dyrektorową, że pani Michalina pojedzie wkrótce do Warszawy i zakupi dla każdej z pań przedmioty niezbędne do stroju.



## ROZDZIAŁ V.



o schodach jednego z domów przy ulicy Świętokrzyskiej szła pani Michalina.

Brakło jej oddechu, odpoczywała często, przysiadła nawet na parapetach okien i chusteczką wycierała spoczone czoło.

Dotarła wreszcie do czwartego piętra, zadzwoniła i, oczekując, aż jej otworzą, uśmiechała się radośnie.

Wewnątrz mieszkania dały się słyszeć lekkie kroki i rozległ się odgłos otwieranego zatrzasku.

Serce pani Michaliny забиło mocniej.

— Mamo! Ciocia Michasia przyjechała! — krzyknęła trzynastoletnia dziewczynka, chwytając nowoprzybyłą za szyję.

Z pokoju wybiegła młoda jeszcze, przystojna kobieta.

— Michasiu droga! Nareszcie namyśliłaś się nas odwiedzić. Takeśmy się już za tobą stęsknili! Uściskały się serdecznie.

Małe niewiadomej płci stworzenie, w długiej sukience stanęło na progu przedpokoju i patrzyło szeroko otwartymi oczkami na gościa.

— To pewno Kubuś? Chodź tu do mnie, małeństwo! Chodź tu! — mówiła pani Michalina, przysiadając do dzieciaka, który zaraz zawrócił napowrót i, przewalając się z nogi na nogę, zaczął zmykać w głąb pokoju.

— Później pójdzie do ciebie. Jest śmiały i nie boi się nikogo. Jadwiniu prędej herbaty dla cioci! Władzio zaraz nadejdzie, już w pół do czwartej.

— A Janek?

— Janek zawsze z gimnazjum zachodzi po ojca i razem wracają. Ten to korzysta z każdej chwili, żeby być przy ojcu.

— Jakże się wam powodzi? — spytała pani Michalina, zdejmując kapelusz i siadając przy stole.

— Jak zwykle — odrzekła smutnie Szumska.

— Władzio zdrów?

— Nie bardzo. Mizerny, przepracowany. Nie masz pojęcia, jak się o niego niepokoję.

— Pisałaś, że mieli podwyższyć mu pensję.

— Był projekt. Mówiono dużo o tem przed wakacjami. Nauczyciele spodziewali się lepszych warunków, bo szkoła znacznie się powiększyła, ale dotychczas niema zmian i Władzio zawsze pobiera tysiąc rubli rocznie. Łatwo zrozumiesz, że taka pensya nie wystarcza na życie przy obecnej drożyznie. Mieszkanie kosztuje 25 rubli miesięcznie, opał, światło, opranie, sługa wynosi czterdzieści rubli;

reszta pozostaje na życie, na ubranie, kształcenie dzieci, a do tego częste choroby.

— Czy Władzio ma ciągle lekcye prywatne?

— A jakże! Czyżby to co pobiera w szkole wystarczyło? Mamy przecie dług, nie tak znów wielki, ale zawsze dwa tysiące prawie. Nie możemy go spłacić, bo lichwiarski procent pochłania dużo. Władzio usiłuje oddawać trochę i z kapitału, ale zapracowuje się tak, że nieraz ze znużenia jeść wcale nie może. Boję się o niego. Bo i czyż może być zdrow przy takim ciągłym niepokoju o jutro, przy ciągłych utarczkach z wierzycielami, którzy nie zadawalniając się lichwiarskimi procentami, grożą ciągle sądem i komornikiem?

Szumaska mówiła to wszystko głosem strapionym, nawykłym do powtarzania jednego i tego samego. Wyrazy szły na jej usta siłą przyzwyczajenia, układając je w pół grymas troski.

Słowa te potwierdzała zmarszczka, przecinająca jej czoło, kąty ust lekko opadłe, szara suknia, przetarta na łokciach, charakterystyczna czystość ubogiego mieszkania, w którym wszystko się ciągle okurza, obmiata w obawie prędkiego zniszczenia.

— Teraz znów przybył kłopot — mówiła, podając pani Michalinie herbatę. — Ciotka Masłowska nie ma gdzie się podziać, więc musieliśmy ją wziąć do siebie. Nie może, biedaczka, pracować, bo stara już i nikt jej nie chce na nauczycielkę. Chciałam cię prosić, żebyś poszła do przełożonej schronienia dla nauczycielek. Może uda się umieścić tam ciotkę.



Trzydzieści cztery lata pracowała w zawodzie nauczycielskim, to chyba ma prawo do wypoczynku.

— Gdzieżeś ją ulokowała? Takie małe mieszkanie?

— Postawiłam jej łóżko w pokoju Janka. Ale chłopak nie ma gdzie się uczyć. Zlituj się, tylko nie mów o tem z Władziem, bo mu przykro będzie. On nie wie o tych pieniądzech, któreś mi przysłała po urodzeniu Kubusia. Nigdy nie przed nim nie skrywam, ale nie mogłam przecie powiedzieć, że nieraz brałam od ciebie grosz ciężko zapracowany, bo zachorowałby chyba ze zmartwienia. Ciagle się tem trapi, że musisz dotychczas poniewierać się po cudzych kątach.

— Ale gdzie tam! Mnie u Widzkich jak w domu własnym — zaprotestowała gorąco pani Michalina.

— Jakże tam panna Widzka? Przystojna! Nie wychodzi zamąż? — pytała Szumska z zaciekawieniem kobiety, którą po za domowymi kłopotami interesują niekiedy sprawy znajomych jej osób.

— Przystojna. Ale to jeszcze dziecko prawie. Wątpię, żeby Widzcy śpieszyli się z wydaniem jej zamąż.

— Wiesz co? Ja swojej Jadwini za niczym wcześniej nie wydała. Niechby do lat dwudziestu pięciu nawet siedziała w domu. Niema po co się śpieszyć!

I znów wyraz troski, czyhającej w duszy, zasnuł jej rysy przypomnieniem ciągłych niepowodzeń.

W przedpokoju zadzwoniono. Jadwinia otwo-

rzyła przedko drzwi i nie mówiąc, wróciła do pokoju, kładąc palec na ustach i patrząc z uśmiechem na panią Michalinę.

— Ciocia Michasia przyjechała! — zawołał na wpół dziecięcy głos i czternastoletni wyrostek wpadłszy do pokoju, zaczął całować ciotkę.

— Poznałem zaraz po futrze, wiszącym na wieszadle.

Za nim wszedł mężczyzna średnich lat, w binoklach, z ciemnymi włosami, już srebrniejącymi, i głosem uradowanym witał przybyłą.

— Zażęskniłaś nareszcie — mówił Szumski, całując jej ręce.

— Czy mogliście wątpić o tem, że tęskniłam? Trudno mi tylko było wyrwać się z domu. A przytem ciężka jestem do podróży. Widzicie, jakem się rozpała na cudzym chlebie.

Do pokoju wtoczył się Kubuś i przypadł do kolan ojca, pokazując mu w uśmiechu parę bielutkich ząbków.

Szumski wziął go zaraz na ręce i usiadł na kanapie obok pani Michaliny, usiłującej zwabić do siebie chłopczynek. Kubuś odwracał jednak główkę, skoro wyciągała do niego rękę i przypadłszy do ramienia ojca, figlarnem oczkiem śledził jej ruchy.

Wkrótce podano obiad.

Pani Michalina ze smutkiem przypatrywała się zmianie, której dwuletni przeciąg czasu dokonał w rysach brata.

Patrząc na wesołą i inteligentną twarzyczkę

Janka, niezmiernie do ojca podobnego, myślała, że tak samo wyglądał przed laty Szumski, gdy młodym jeszcze będąc wyrostkiem, spędzał wakacje w jej domu. Wówczas miała własne gniazdo, była szczęśliwa, kochana.

Przypomniała sobie, jak kiedyś w czwartej jeszcze klasie, skorzystał z wcześniejszych wakacyj i nie czekając, aż przyślą po niego konie, sam do niej z tłómczkiem na plecach przywędrował.

Przy powitaniu płakali oboje z radości.

Czyż mogła wówczas przewidzieć, że drogi jej chłopak będzie pasierbem losu?

Wspomnienia napływały i odbierały jej apetyt.

Szumski był też zamysłony. Wzruszenie starło mu na chwilę z twarzy wyraz pogodnego spokoju, pod którym krył nieraz zmęczenie moralne. I jego myśl biegła w przeszłość.

— Mój Boże, nic nie jecie! — biadała Szumska. — Władzio pewnie znów zanadto zmęczony, a Michasi nie smakuje. Chciałam przyrządzić cokolwiek z tych przysmaków, które mi Widzka przysłała, ale nie miałam już czasu. Skosztuj Michasiu, kotletów. Nie złe.

— Teraz mi się jeść nie chcę. Może później...

— Później? To dobrze. Jadwiniu, powiedz Janowej, żeby zostawiła parę kotletów surowych, później usmaży je dla cioci. Mój Władziu, zjedz choć kawałeczek!

Przy końcu obiadu nadeszła ciotka Masłowska.



Była to bardzo stara kobieta, ocieężała, ogromnie otyła, jakby nabrzęknięta.

Przepraszała za to, że się spóźniła, mówiła, że jest bardzo głodna, ale zasiadłszy do stołu, nie prawie nie jadła.

— Gdzież to ciotka była? — spytała ją Szumska.

— Zagawędziłyśmy się z Ciechońską. Przyjechała tu do Warszawy w nadziei, że ją umieszczą w Schronieniu dla nauczycielek. Nie ma nikogo z krewnych. Najęła więc sobie pokoik w suterenie.

— Z czegoż żyć będzie?

— Ma trochę grosza. Nie wiem tylko, czy na długo starczy, bo podobno w Schronieniu nie ma miejsca.

Oczy ciotki Masłowskiej przymykały się do snu.

— Jadwiniu, zaprowadź babcię do łóżka! — zwróciła się Szumska do córki.

— Ciągłe drzemie — mówiła po jej odejściu. — Moja Michasiu, trzeba żebyś odwiedziła przełożoną Schronienia. Jesteś z nią w dobrych stosunkach. Może da się co zrobić dla ciotki i dla Ciechońskiej. Niepodobna przecie, żeby po tylu latach pracy nie miały prawa żądać od społeczeństwa kąta do wypoczynku.

Po obiedzie Szumski poszedł na lekcye prywatne, a pani Michalina zaczęła wypytywać bratową, czy nie wie, jak się nazywają ich wierzycciele.

— Wiem, że to są żydzi, ale nie wiem, gdzie mieszkają, ani jak się nazywają. Czasem który

z nich przychodzi, ale zawsze rozmawia tylko z Władziem, — odrzekła Szumska. Władzio nie mi nigdy nie mówi o swoich interesach, a ja nie pytam, bo pytaniami nic nie pomogę, a tylko mu przykrość sprawię. Zdaje mi się, że Omkiewicz o tem wie.

— Kto to taki?

— Nie pamiętasz Omkiewicza? Najmował u nas pokój, gdyśmy mieszkali na Siennej. Widziałaś go.

— Przypominam sobie teraz. Był jeszcze uczniem Władzia.

— A tak. Z nim mamy też kłopot.

— No?...

— Rzucił politechnikę i wszedł od roku na drogę literacką. Napisał powieść. Władzio mówi, że on ma talent duży. Dawał mu rady, wskazówki, opracowywał język. Nieraz to mi się serce krajało, gdy, ukończywszy swoją pracę, około godziny dziesiątej wieczorem zabierał się znów do czytania, do poprawiania tego, co Omkiewicz napisał. Otóż, nakładca dawał za rękopis tylko sto pięćdziesiąt rubli. Mówił, że to pierwsza praca, a więc ryzykuje i t. d. Władzio nie radził sprzedawać i tak chwalił powieść przed Rychłowskim, że ten dał na druk ośmset rubli z pieniędzy, które przeznaczał na dobroczynne cele. Podług ich obliczeń, książki, jeżeli się rozejdą, wróca nakład i Omkiewicz zarobi daleko więcej. Bieda tylko w tem, że książki pewnie się nie rozejdą i wszystko spadnie na Władzia.

— Jakim sposobem?

— Władzio uważa siebie za moralnie odpowiedzialnego przed Rychłowskim, ponieważ zachwalał talent Omkiewicza. Chyba rozumiesz, co to znaczy dla Władzia grosz biednych! Gotów zabić się pracą, żeby dług za Omkiewicza zwrócić. Tego mi jeszcze było potrzeba! Sam dla siebie o nic nie poprosi, prędzejby z głodu umarł, a tu...

Twarz jej wyrażała najżywszą troskę.

— We wszystkim przewidujesz niepowodzenie, moja Tosiu. Do czego to podobne? Zamęczyc się można... Dlaczegoż książka nie ma się rozejść, kiedy jest dobrą?... Dlaczegoż wszystko ma zaraz brać zły obrót?...

— Nie pamiętam, żeby dla nas co kiedy wzięło dobry obrót, — odrzekła ze zniechęceniem, dziwiąc się w duchu, że ktoś mógł jeszcze zapatrywać się optymistycznie na ich sytuację.

Szumska już nie miała złudzeń.

Życie jej było jednym, nieustannym kłopotem. Z niecierpliwością oczekiwała zawsze daty, w której mąż otrzymywał pensję. W dniu tym pożądanym odpoczywała jej myśl, przysłonięta szarym kurzem małych, codziennych żmudnych trosk i kłopotów. Zaledwie minął tydzień, Szumska rozpoczynała znów życie męczące wśród cyfr deficytu, wysilając się na ratowanie każdego grosza od zmarnowania, na to, żeby największa ilość czasu pochłonięła jaknajmniej kwotę pieniędzy.

Nieraz długo medytowała nad tem, jaki obiad



kosztuje taniej i żeby oszczędzić kopiejkę na łokciu materiału, chodziła parę wiorst za zakupem.

Połowa dnia upływała jej na usiłowaniach wydobywania z niewielkich zasobów materialnych, jaknajwiększych korzyści, druga połowa zaś na podtrzymywanie egzystencji rozpadającego się ubrania i bielizny. Książki nie brała prawie do ręki, chyba wtedy, gdy z Jadwinią przerabiała lekcye.

Mąż czytywał jej niekiedy głośno w wolnych chwilach, opowiadał, co się w świecie dzieje, ale nie jej myśli skłopotanej, zdrobiazgowanej, rwała się co chwila, wracając do swego codziennego deptaku, i więcej ją to obchodziło, czy rostbeef nie skurczy się zbyt i czy dla wszystkich wystarczy, niż to, jak sobie poradzą Afrykandrzy z zaborczą siłą Europy.

Zdawało się, że gdyby fortuna złała na nią dziś swe dary, z twarzy jej nie znikłby już wyraz troski, osiadający przez długie lata na ładnych tych rysach, jak muł na dnie rzeki.

Pani Michalina zaraz nazajutrz udała się na miasto dla robienia sprawunków, których miała sporo do załatwienia.

Kupowała trochę w większych magazynach, więcej zaś tam gdzie było taniej. Targowała się, dziesięć razy oglądała materiał, zanim go kupiła, chodziła po kilka wiorst dziennie po deszczu, pomieszany z śniegiem, potykając się na ślizkiem błocie.

Wieczorami wracała znużona, wyczerpana.

— Może choć trochę schudnę, — żartowała, zaledwie mogąc utrzymać się na nogach.

Powróciwszy z jednej z takich wędrowek zakomunikowała Szumskiej niemiłą wieść, że się nie udało wyrobić miejsca dla ciotki Masłowskiej i Ciechońskiej w Schronieniu dla nauczycielek.

— Przełożona pokazywała mi mnóstwo listów od nauczycielek wiekowych, błagających o przyjęcie do Schronienia, — mówiła pani Michalina. — Wszystkim musi odmawiać, bo ani środków, ani miejsca nie ma obecnie. Stałych nauczycielek emerytek jest około czterdziestu i te utrzymują się z ofiarności.

Piękne społeczeństwo! Młodość, życie zabiorą, a na starość choć pod kościół idź, — rzekła z rozdrażnieniem Szumska.

— Rzeczywiście jak też późno zwrócono uwagę na nędzną starość istot, które największy i najpożyteczniejszy niosą trud w ogólnej pracowni ludzkiej, — mówił Szumski. — Dawniej czepiało się to biedactwo rodzinnych domów, gdzie nie stanowiły ciężaru; przy dzisiejszych ekonomicznych warunkach utrzymanie jednej więcej osoby robi różnicę w budżecie domowym. Wprawdzie społeczeństwo usiłuje dziś zrobić cokolwiek dla tych biednych tułaczek, ale idzie to powoli; kosztem ofiarności, wówczas kiedy to państwo powinno myśleć o wynagrodzeniu długoletniego trudu.

Szumska była zrozpaczona. Pierzchła ostatnia nadzieja pozbycia się ciotki Masłowskiej.

— Co prawda, niewiele ona kosztuje przy rodzinie ... je mało... ale opranie, mieszkanie ... kłopoty z chorą, niedołączną... Janek nie ma gdzie się uczyć... — biadała sobie w duchu. — Nie wesoło też przy takich warunkach patrzeć ciągle na starą, schorowaną kobietę... Umrze, trzeba będzie wydać kilkadziesiąt rubli na pogrzeb. A z czego je urwać?...

Wieczorem przyszła Ciechońska.

Na jej kościstej postaci luźno leżała czarna, wyszarzała suknia; czarno rudy, duży kapelusz nosił ślady długiego używania.

Rysy miała duże, a na ustach przymusowy uśmiech, który przylgął do nich od lat wielu.

Za nią wsunęła się stara, na pół oslepiła pińczerka.

Ciechońska całując w ramię Szumską, dygała pretensjonalnie.

— Dawno też pani u nas nie była, — witała uprzejmie Szumska.

— Spotkałam dziś panią Michalinę, gdy szła do Schronienia. Obiecała za mną się wstawić...

— Ale niepomyślną wiadomość mamy pani do zakomunikowania.

Szumska powtórzyła rozmowę pani Michaliny z przełożoną Schronienia.

— Będziemy się starali dostać dla pani posesadę, — dodała, spostrzegłszy zmianę w twarzy przybyłej. — A może pani ma już co upatrzonego.

— O posesadę łatwo — odrzekła rozbitym głó-



sem Ciechońska — dla młodych, dla tych co życie mają do oddania, ale nie dla starych i chorych, jak ja.

Wzięła na kolana skomlaącą pinczerkę i gładziła machinalnie jej siwiejącą sierść.

— Na młodość, energię bliźnich ludzie są chciwi, ale gdy tego zabraknie, nic ich nie wzruszy. O posadzie już przestałam marzyć. Myślałam, że chyba po tylu latach pracy w tak ciężkim zawodzie mam prawo spocząć w jakim przytułku i... omyliłam się.

Robiony uśmiech znikł z twarzy Ciechońskiej, głowa jej się strzęsła i przygnębienie wyzierało z oczu.

Pierzchła ostatnia nadzieja. Pieniądze, jakie miała zaoszczędzone, poszły na życie; rzeczy, co lepsze, posprzedawała, pozostawiała. Chyba umierać pod płotem!

Może się pani kawy napije? — zaproponowała jej Szumska.

Nie wymawiała się. Od rannej herbaty nie jeszcze nie jadła i czuła się osłabioną.

Usiadła przy stole, usiłując zapanować nad sobą i przywołać na usta nieodstępny uśmiech, który gnębiąca wiadomość spędziła na chwilę. Pijąc kawę, maczała w niej kawałki sucharków, studziła je nieznacznie przy ustach i dawała zgłodniałej pinczerce.

— Mam obiecany przytułek w jednym zamożnym domu, — rzekła. Trzeba się pocieszać nadzieją.

Ciotka Masłowska przysłała z pokoju Janka, suwając obrzękłymi nogami i dźwigając z trudnością swoje otyłe ciało. Oddech miała krótki, świszczący.

Obie nauczycielki były przygnębione.

Ciechońska nadaremnie usiłowała powstrzymać drżenie głowy, które u niej potęgowało się w chwili rozdrażnienia. Myśli pełne troski nie opuszczały jej. Zazdrościła Masłowskiej, że ta ma przynajmniej kąt przy rodzinie, że nie umrze samotna w nędzy, wówczas, gdy ona musi z ostatnich groszy opłacać wilgotną suterenę, żałując sobie dziesiątki na mleko. Dziś była bez obiadu, wczoraj jadła resztki pozostałe z dni poprzednich... A co będzie za kilka miesięcy, gdy się ostatnie grosze wyczerpią?...

Głowa jej trzęsła się coraz widoczniej. Włożyła kapelusz i zaczęła się żegnać.

— Niech pani częściej nas odwiedza, a w niedzielę proszę przyjść koniecznie na obiad — zapraszała Szumska.

Dziękowała, całując w ramię gospodynię domu i dygała nisko, jak podłotek, z wiecznym uśmiechem zależności na ustach.

— Chodźmy Mjetka! — zawołała na pinczerkę.

Psina stała skulona pod piecem i nie ruszając się z miejsca, piszczała.

— Chodź tu! — powtórzyła ostrym głosem Ciechońska.

Skomlenie Mjetki, pragnącej pozostać w ciepłym kącie, dopełniło miary jej goryczy.

Wyszedłszy, skrzyła w boczną, niemal pustą ulicę i szła owinięta wyszarzaną rotundą, okryta płatami gęsto padającego śniegu, ogromna, chuda, koścista, z oczyma utkwionemi ponuro przed siebie, z trzęsącą się głową.

Tyle lat pracy w cudzych gniazdach!... Ani iskierki radości!... Ani dnia szczęśliwego!... A na starość głód... wilgotna suterena!...

Dzieckiem jeszcze była, gdy wprzęgli ją do jarzma; ale wówczas wszystko jej przedstawiało się w różowych barwach... Młodość karmiła ją nadzieją... Marzyła, uśmiechała się do życia i czekała, aż dobra dola zwróci się do niej.

W pracy nikt jej nie dorównał. Uczyła dzieci, wyręczała w zarządzie domem matki, obszywała wszystkich. Całemi nocami uczyła się francuszczyzny, dla nabycia wprawy czytała i przeczytane kawałki z francuskiej książki opowiadała sobie, robiąc nadzwyczajne wysiłki, żeby naśladować akcent paryżanki, co się jej nigdy nie udawało.

Francuszczyzna ta była zmorą jej życia. Wiecznie zarzucano jej zły akcent i wiecznie z tego powodu omijały ją korzystniejsze posady.

Czekała wciąż lepszej doli.

Lata zawodów zwyciężyły jej optymizm. Każdy rok przynosił jej wciąż nowe gorycze, nowe rozczarowania, aż zrozumiała, że życie nic jej nie da, oprócz twardych obowiązków i nędznej starości. Wówczas zrobiła się chciwa, zaczęła zbierać pieniądze. Gryzła się każdym groszem wydanym,



przymawiała się do podarunków, przyjmowała każdy datek od swoich chlebobawczyń. Donaszała po nich bluzki, suknie, starając się wywdzięczyć usłużnością, wiecznie zadowolonym uśmiechem. Uśmiech ten służalczy przylgnął do jej ust. Spała z nim, a nawet wtenczas, gdy rozpacz wyciskała jej łzy, usta krzywiły się uśmiechem zadowolenia. Ten uśmiech był jej jedyną bronią.

— Ciechońska ma nieznośny akcent francuski — mówiła jedna z jej chlebobawczyń do swej przyjaciółki — ale trzymam ją, bo ma zawsze zadowoloną minę.

O jakże ona nienawidziła tych tłustych, leniwych chlebobawczyń swoich, za które niosła ciężar życia, a które, wiecznie wypoczywając, narzekały na trudne obowiązki matek i gospodyń. Nienawidziła je za tysiączne upokorzenia, za stare ubrania, które po nich donaszała, za to, że musiała pilnować ich ogniska domowego, pożerana zazdrością, pragnieniem własnego kąta.

Ani iskierki radości w ciągu lat tylu i taka nędzna starość!

Starość samotna! Nikt o nią nie dbał, nikomu nie była teraz potrzebna! I w niej serce ostygło... Dawniej przywiązywała się do rodzin, wśród których dłużej przebywała... Opuszczając dom Trzcieńskich, gdzie spędziła cztery lata, myślała, że jej serce z żalu pęknie, gdy się z dziećmi żegnała... i one rozpaczliwie płakały. Długo, długo noce spę-

dzała we łzach z tęsknoty za niemi... Teraz w niej serce ostygło...

Żałośnie skomlenie przerwało myśli Ciechońskiej.

Piszcząca Mjetka, nie mogąc nadażyć za panią, obłocona, oślepiona śniegiem.

Ciechońska pochyliła się, podniosła pinczerekę i schowała ją pod rotundę, przyciskając do siebie namiętym ruchem.

I znów szła prędkim krokiem w ciemniejącą głąb pustej ulicy, ogromna, ośnieżona, z opuszczoną na piersi trzęsącą się głową.

Pani Michalina nie rozmawiała nigdy z bratem sam na sam. Wracał zwykle późno z lekcji, wówczas spędzali wszyscy razem jaką godzinę, następnie udawali się na spoczynek.

Raz gdy w niedzielę Szumska poszła z dziećmi do kościoła, pani Michalina, która miała odjechać nocnym pociągiem, pozostała w domu pod pozorem pakowania rzeczy.

Szumski siedział przy biurku i zabierał się do poprawiania wypracowań swych uczniów; zobaczywszy, że pani Michalina siada obok niego, odłożył na bok kajeta.

Niepodobni byli do siebie. Okrągła, rumiana, dobra twarz pani Michaliny, nie przypominała wcale rysów Szumskiego, ściągłych, niby rzeźbionych ręką artysty-myśliciela, który w każdą ich linię, w każdy zarys tchnął życie ducha.

Oczy ich szafirowe u obojga były podobne do

siebie, ale tylko na pozór. Spojrzenie Szumskiego miało dno głębokie, przeźroczyste, w oczach pani Michaliny było tylko źródło gotowej do ofiar miłości.

Rozmawiali długo, serdecznie.

Pani Michalina opowiadała o swoim życiu u Widzkich, o tem, że była szczęśliwą; przesadzała w opowiadaniu, pragnąc uspokoić troskę brata o swój byt.

On nic o sobie nie mówił. Z widoczną przyjemnością słuchał głosu siostry, pewny, że w nim nie zdradza żadna nuta goryczy.

— Nic mi nie mówisz, Władziu, o sobie — zagadnęła wreszcie brata pani Michalina — Nie powodzi się wam?

Szumski poruszył się niespokojnie, jakby nagle dotknięto jego tajemnej, a dokuczliwej rany, o której zapomniał na chwilę.

— Życie płynie nam zwykłym korytem wyrobników chleba, ma więc jego kłopoty i jego radości, zwykłe, znane — odrzekł.

— Podejrzewam, że masz kłopoty pieniężne. Czemuż nie chcesz się z nimi zwierzyć przedemną? Jesteś mi bratem i synem — przystąpiła odważnie pani Michalina.

— Jak widzę, Tosia już cię nastraszyła. Mam dług nie wielki i nie tak znów trudny do spłacenia, bo ratami. Nie ma więc dotąd, jak widzisz, nic tragicznego. Dług ten urósł z powodu ciężkiej



choroby Janka przed paru laty; powiększył go coroczny, zupełny brak lekcyj podczas wakacyj.

— Mój Władziu, czy nie lepiejby było, żebym ja została twoją wierzycielką i żebym ja, zamiast lichwiarzy, korzystała z procentów?...

— Nie lepiej. Zabierając twój mały, a ostatni grosz, nie miałbym jednej spokojnej chwili. Teraz zupełnie nie myślę o długi, który mam, gdyż wygórowanym procentem dawno go spłaciłem, więc, gdybym, dla jakichbądź powodów, nie uiścił się z kapitału, nie miałbym wcale tego na sumieniu. Nie wznawiajmy już tej kwestyi, Michasiu.

— Życie takie, jak nasze — mówił po chwili milczenia — jest udziałem milionów ludzi; nie czują się jednak oni nieszczęśliwymi. Tosi zdaje się, że jesteśmy wybrańcami niedoli. Nie można jej się dziwić. Od młodości osaczona codziennymi kłopotami, nie umiała wyławiać jasnych chwil życia i zachowywać ich w duszy, jako środka do pokonania chwilowego zniechęcenia. Nie winię jej. W nieświetnych warunkach bytu, życie kobiety o wiele jest smutniejsze od życia mężczyzny, nieobarczonego żmudnemi, ogłupiającemi, że tak powiem, drobiazgami codziennymi. Ja z początku nie miałem czasu wpływać na jej usposobienie; gdym się spostrzegł, już było zapóźno. Myśl jej odzwyczaiła się od pracy i cała skoncentrowała na małostkowych celach.

— Nie chcesz więc, Władziu, nic przyjąć odemnie?

— Nie chcę, Michasiu. Dług mój sam spłace. Za dwa lata Janek zacznie już na siebie pracować, później i mnie będzie pomagał. Ja i on podźwigniemy słabszych.

Te ostatnie słowa zadźwięczały rozrzewnieniem.

Pomyślał o szczupłym, o wązkich ramionach wyrostku, który miał mu pomagać w niełatwym zadaniu i serce mu wezbrało miłością.

Pani Michalina zrozumiała, że nie należy już więcej narzucać się z pomocą bratu, skoro mu to sprawia przykrość i zaczęła opowiadać o mieszkańcach cukrowni, których Szumski znał dobrze.

Obiecałam dyrektorowi, że użyję wszelkich środków, żeby cię sprowadzić w nasze strony, chociażby na parę tygodni. Tosia musi koniecznie pojechać z dziećmi latem do Ciechocinka, ty zaś możesz ten czas spędzić w cukrowni. Tam ci będą radzi.

— Może... może to da się zrobić — odrzekł Szumski, któremu zapachniały nagle sosny, skoszona trawa, świeży powiew rzeki.

— Przyjedź koniecznie! Doktor też prosił ciebie o przysłanie mu na lato korepetytora. Chce swego synka oddać do gimnazjum po wakacjach.

— Chciałbym, żeby Omkiewicz pojechał. Pi-sze biedak nową powieść, ale w takich warunkach, że, doprawdy, nie wiem, jak mu fantazyja dopisuje. W waszych okolicach tak pięknie, że i w filistrze nawet zadrgałaby żyłka poetyczna.

Po obiedzie Szumski wyszedł z domu.

Zszedłszy ze schodów, skierował się do suten-  
ren i zapukał do jednego ze znajdujących się tam  
mieszkań.

U progu biednego, o czystym wyglądzie po-  
koju spotkała go niemłoda kobieta, wymuszenie-  
grzecznym ukłonem.

— Gdzie Prosperek? — spytał.

— A oto, proszę pana, babrze się jeszcze w łó-  
żku. Nie mogłam go zmusić do wstania. Krzyczy,  
jak opętany, gdy się do niego zbliżę.

— Pewnie biliście go znowu, Wilkowa. Ale  
uprzedzam was, że gdy się to jeszcze powtórzy,  
poproszę pana Rychłowskiego, żeby wam nie dawał  
owych siedmiu rubli miesięcznie, które dostajecie  
na życie Prosperka i żeby go umieścił w zakła-  
dzie — rzekł Szumski surowo.

Wilkowa spuściła oczy i mruknęła coś o tem,  
że już jej cierpliwości braknie.

Zbliżył się do łóżka stojącego za parawanem.

— Prosperku, wstawaj! — powiedział głosem  
łagodnym, ale stanowczym.

W łóżku pod kołdrą coś się zruszało i znów  
ucichło.

Uchylił kołdrę i położył rękę na dużej, nie-  
kształtnej głowie, zagrzebanej w poduszce.

Przesunął po niej kilka razy dłonią.

— Wstawaj, chłopcze! Ubierzcie go Wilkowa!  
— zwrócił się do kobiety i sam usiadł przy stole.

Wilkowa z miednicą napełnioną wodą znikła  
za parawanem, z po za którego zaczęło się doby-



wać jakieś niezrozumiałe mruczenie, czasem cichy kwik, albo żałosny skowyt.

— Chodź do mnie! — powiedział Szumski tym samym tonem, co przedtem.

Po upływie paru minut z za parawanu ukazał się niewielki chłopak o dużej głowie, z błędni oczyma. Cerę miał szarą i szerokie, bezmyślne usta, zaciśnięte jakimś zwierzęcym uporem. Ubrany był czysto, biały wywinięty kołnierz od koszuli odkrywał cienką, niekształtną szyję kretyna.

Stanął i patrzył bezmyślnie na Szumskiego.

— Chodź do mnie! — powtórzył Szumski.

Wilkowa przyprowadziła syna do stołu i posadziła go na krześle, poczem przyniosła mleko, bułkę i postawiła przed Szumskim.

Oczy Prosperka spoczęły chciwie na jedzeniu.

— Powiedz: „Daj mleka!“ — rzekł Szumski.

— Daj... mleka... — wybełkotał chłopak po dłuższej chwili, wyciągając rękę do kubka.

Szumski zatrzymał jego rękę.

— Powiedz: „Daj bułki!“ — rzekł znów.

Oczy idyoty zabłysły dzikim gniewem, usta mu się wykrzywiły, wydobyło się z nich mruczenie, później zwierzęcy skowyt.

Szumski pochylił się i pochwycił wzrok chłopaka. Patrzył mu w oczy długo, mocując się całą potęgą swego myślącego spojrzenia z dzikim, niepokornym duchem, który pojawiał się w oczach Prosperka w postaci błyskawicznych, myślowych iskierek, pierzchliwych i gniewnych... Aż, wreszcie,

jakby zmuszone potęgą wyższej siły duchowej iskierki te zaczęły się skupiać, promienić i w źrenicach chłopaka drgnął cień świadomości.

Szumski pochwycił go oczyma, przytrzymał, pieścił, przyzywał despotycznie, gdy chciał umknąć i wciąż mówił: — Powtórz chłopaku „Daj bułki!“

— Daj... bułki... — wybełkotał idyota głosem czystszy i zrozumialszy, niż pierwej.

Wzroku nie zdejmował z oczów Szumskiego i tak trwali chwilę... Spojrzenie chłopaka złągodniało i zaszklilo się, niby łąką powleczone.

— Daj... bułki... — szepnął pokornie.

Wilkowa zbliżyła się do stołu i zaczęła karmić chłopaka.

Jadł, jak zwierzę. Cień świadomości pierzchnął mu z oczu, ciało tylko wykonywało ruchy.

Po podwieczorku Szumski wydobył z paczki, którą z sobą przyniósł, piernik i lekcyja trwała dalej.

Prosperek chciwie wyciągał rękę po łakocie, Szumski znów jego myśl przyzywał i więził ją w oczach idyoty coraz dłużej.

Po upływie godziny wrócił do domu. Czuł się znużonym. Męczyło go tresowanie głodem. Widok chłopaka patrzącego chciwie na jadło, które miał dostać tylko za cenę wysiłków mózgowych, wywierał na niego gnębiące wrażenie.

W domu zastał rejwach i pakowanie. Pani Michalina, załatwiwszy sprawunki i obdarzywszy

bratową różnemi potrzebnemi rzeczami, odjeżdżała nocnym pociągiem.

Wszyscy mieli nasepione i zmartwione miny.

— Bądź dobrej myśli, — mówiła, żegnając Szumską pani Michalina. — Staraj się dowiedzieć o nazwiskach waszych wierzycieli. Do Ciechocinka też szykuj się. Tylko moja Tosieczko, patrz na życie z większym optymizmem. Na świecie nikomu nie jest dobrze, a bogatym, kto wie, czy nie najgorzej. Nie należy okazywać tego Władziowi, że się czujesz nieszczęśliwą, bo to dla niego podwójne udręczenie, — dodała, chcąc zwrócić jakimkolwiek sposobem myśli bratowej na weselsze tory.

— Alboż ja mu to okazuję? — zdziwiła się Szumska. — Nigdy mu o tem nie mówię. Przed tobą tylko nie skrywam się z mojem udręceniem.

Pani Michalina chciała powiedzieć, że cała jej postać wyrażała jedno udręczenie, ale zawahała się, bo i jak tu się przyczepić do miny człowieka, któremu nie wesoło na sercu.

— Mój Boże! — mówiła dalej Szumska i kzy nabiegły do jej oczu — Jabym dla Władzia życia nie żałowała.... Ja go tak kocham!... Nikt lepiej odemnie nie potrafi ocenić jego wzniosłego charakteru. Nieraz myślę, że gdyby nie dzieci, zarazbym się usunęła z jego drogi. Jeżeli się martwię, to tylko tem, że on się dręczy. Nie dorównam mu rozumem, ale nikt nie może więcej kochać człowieka niż ja go kocham... On mi jest droższym od dzieci — dodała ciszej.



Po twarzy Szumskiej rozlał się wyraz serdecznego smutku.

— Ja wiem, że nie jestem dla niego odpowiednią towarzyszką.

On zamyka przedemną swą duszę ze strachu, żebym jej nie uwędziła w dymie kuchennym, — dodała z gorzkim uśmiechem. — Czasem chciałabym mu powiedzieć wiele, zbliżyć go do siebie..., przecie mnie kochał, ale bieda nas dzieli. On przyjdzie wieczorem na pół żywy ze zmęczenia, mnie głowa pęka od domowych kłopotów... mówimy tylko o braku... o drużyźnie... i troska wyrasta między nami, jak krzak cierniowy...

— Wiem, wiem o wszystkim, moja ty biedna kobietko, — uścisnęła ją pani Michalina. — Cała bieda w tem, że praca Władzia źle się opłaca.

No... jeszcze raz mówię: bądź dobrej myśli! Przyjadę znów, wtenczas wyciągnę was z rąk lichwiarzy, niech tam Władzio mówi sobie, co chce. Teraz nie mogę. Trochę pieniędzy jakie mam, umieściłam w fabryce i bez terminu nie odbiorę ich.

— Nie dobrali się — myślała pani Michalina, siedząc w wagonie trzeciej klasy. — Jej trzeba było wyjść za człowieka przeciętnego. On łowiłby w lot każdy grosz... Nie zaznałyby biedy...

Życie jej upłynęłoby bez udręczeń. Władziowi do szczęścia potrzebna była nie dziecko, a kobieta, któraby mu duszę zabrała, której nie byłoby tak czuć obowiązkami, jak tę biedną Tosię.

— Dobraś! strofowała sama siebie. — Cie-

kawa jestem, jak tu stworzyć Eden w takich trzech pokoikach na czwartem piętrze, z dymiącymi kominami, z niezdatną służącą, z taką ciotką Maślowska, z trojgiem dzieci i mając dziennie na wydatki rubla i kopiejek trzydzieści. Jak tu wyglądać strojnie w tej szarej sukni z łatanami łokciami?...

— A jednak żal mi Władzia! — westchnęła. — Może i ona ta biedaczka, byłaby inna, gdyby los ich nie skazał na wieczne borykanie się z biedą, nie zrobił ofiarami wyzysku chciwości ludzkiej?

Leżąc na twardej ławce, projektowała pani Michalina, że skoro odbierze w czerwcu swoje parę tysięcy, umieszczone w cukrowni, zaraz spłaci długi brata, chociażby się temu opierał.

— Nie wszystko mi jedno, czy u niego będą leżały, czy w cukrowni? Zanim Nelcia dorosnie, złożę sobie drugie tyle — myślała, drzemiąc.

## ROZDZIAŁ VI.



a Mokotowską rogatką, o jakie pół wiorsty od ostatnich zabudowań, stał dom otoczony niezwykle wysokim płotem, najeżonym gęsto gwoździami, nad którymi unosił się pręt żelazny, opancerzony ostremi igłami.

Po nad płotem chwiały się drzewa, ogołoczone teraz z liści, czarne, smutne. Z daleka wyglądało to jak cmentarzysko; nawet furtka wiodąca do wnętrza siedziby, miała wygląd bramy wiecznego spoczynku.

Szumski otworzył furtkę i wszedł do ogrodu. Kilka olbrzymich psów rzuciło się na jego spotkanie z radośnem skomleniem.

W dużym jasnym pokoju nie było nikogo. Skierował się więc ku boczny mdrzwiom, wiodącym do cieplarni.

Olśniło go światło, padające z oszklonych ścian, w uszach rozdzwonił świegot ptactwa, ciepła, pachnąca atmosfera otuliła miękko, pieszczotliwie.



Na ławkach, ustawionych w półkole, wystrzelała zielona kaskada przeróżnych roślin. Był tam blado-seledynowy kolor niebios, smutna barwa cyprysu, nikła zieloność mchu północy, grynszpan murawy wiosennej. U stóp tego ołtarza zieloności stały doniczki z konwalia, nad którymi pochylał się Rychłowski. Na szmer kroków podniósł głowę i pozdrowił wchodzącego uprzejmym uśmiechem.

— Za chwilę służę panu.

— Spocznę tu trochę — odrzekł Szumski, siadając na pniu brzozowym.

Upalne tchnienie cieplarni odurzyło go. Chłodno było w tramwaju i teraz z przyjemnością odczuwał przenikające ciepło. Rozgwar latających ptasząt głośzył rozmowę gospodarza z posługaczem.

Wysmukła postać Rychłowskiego pochylała się co chwila nad doniczkami konwalij, które z rąk jego przechodziły do rąk służącego i znikwały w głębi cieplarni.

Duży saint-bernard, biały w żółte łaty, położył na kolanach Szumskiego swój łeb szeroki, przymykając mądre oczy, zmęczone jasnością cieplarnianą.

— Co, Góralu, co piesku, gorąco ci?

Pies ogonem machał i mrucał pieszczotliwie. W przeciwległym kącie cieplarni młody buldog, bawiący się z jeżem, którego usiłował wyciągnąć ostrożnie za igły z pod ławki, zaszczekał wesoło. Góral podniósłszy uszy do góry, opuścił gościa i zaczął wraz z towarzyszem napastować jeża.

Szumski wszedł do obserwatorium.

Był to pokój umyślnie zbudowany na ten cel. Na podwyższeniu mieścił się wspaniały teleskop, do którego prowadziły schodki, zakończone ławeczką, umieszczoną wprost teleskopu.

Na stole leżały éwiartki papieru, na których były zapisane różne astronomiczne spostrzeżenia.

Szumski zaczął je przeglądać.

Po chwili nadszedł Rychłowski. Obaj przeszli do pierwszego pokoju, gdzie na stole stał przygotowany podwieczorek.

Za Rychłowskim wbiegł saint-bernard, następnie ostro postukując kolcami, popędzany przyjacielsko przez buldoga, wsunął się jeż; wpłynął odurzający zapach konwalij; w ciągu paru chwil poszum drobnych skrzydeł oznajmił przybycie ptaków, fruujących dotąd w cieplarni.

Jeden z nich usiadł gospodarzowi na ramieniu, jeż napierał się na kolana, psy biegały zadowolone wokoło stołu. Zwierzętom i ptakom wyglądał rozum z oczu. Młody chłopak przyniósł gościowi kawę, przed gospodarzem postawił dzbanuszek, ozdobiony portretem Mickiewicza, napełniony mlekiem.

Rychłowski, rozmawiając z Szumskim pił mleko, karmił okruchami ptaki i spoglądał od czasu do czasu na stolik, przy którym służący przygotowywał jadło dla psów, jeża i sarny.

Pomimo swoich czterdziestu kilku lat wyglądał zupełnie młodo. Na podłużnej, jednostajno-ma-

towej twarzy, nie miał wcale zmarszczek. Wysokie czoło było gładkie; dość długie, prawie lniane włosy i takiegoż koloru niewielkie wąsy nadawały mu wyraz młodzieńczy; piwne, czasem zupełnie ciemne oczy, o dziwnej treści, zmieniały często swój wyraz.

Oczy te niekiedy sięgały do głębi człowieka, to znów patrzyły myślą codzienną, jak gdyby duch, co je wypotężniał, oddalał się do laboratorium mózgu dla dokonania jakiejś skomplikowanej pracy, powierzając swemu materialnemu „ja“ wykonanie powszednich czynności.

Szumskiemu zawsze się zdawało, że w Rychłowskim mieszczą się dwa osobniki: mistrz i jego sekretarz. Ten ostatni dyrygował codziennymi sprawami, pytał, dawał odpowiedzi, odwołując się tylko w ważniejszych sprawach do pryncypała.

Służący nakarmił zwierzęta i oddalił się.

— Pani Daszyńska odjechała wczoraj? — spytał Szumski.

— A tak. Córka moja odjeżdżała z żalem. Nie chciałem jej egoistycznie zatrzymywać, bo i za mężem tęskniła. Dwa tygodnie przeleciały nam prędko. Obiecałem w jesieni przyjechać do nich na dłużej.

— Może się pan zdecyduje zamieszkać u państwa Daszyńskich?

— Nie nadaję się do ich życia. I córka moja i jej mąż są to ludzie młodzi, ich nęci świat. Ja bym dziś nie umiał żyć bez moich roślin, bez mo-



ich zwierząt, które mnie rozumieją lepiej, niż ludzie. Lubię samotność. Zresztą, nie jestem samotnym. Odosobniłem się od ludzi, żeby poprzestawać ze światem bogatszym, mniej znanym i... światem zaledwie przeczuwanym... Światem tajemnic i zagadek — rzekł Rychłowski i przez tarczę jego oczu przeleciał błysk, niby jasny goniec, zwiastujący przybycie mistrza — zbliżyłem się do natury i w niej utonałem. To bardziej tajemnicze, aniżeli ludzkość i bardziej zajmujące. Wobec wszechnatury... sam tylko z nią... zatopiony w niej... zapatrzony, czuję się bliżej tego czegoś, co ma nastąpić... czego oczekuję i co we mnie budzi bezprzyczynową tęsknotę. Dla ludzi ja jestem za nudny, niezrozumiały... Coś nakształt obłąkanego, a oni dla mnie... za obojętni.

— A jednak robi pan tyle dla tych niby obojętnych sobie ludzi.

— Nie przeceniaj pan pobudek, które mną kierują. Hodowla kwiatów przynosi mi zysk moralny i materialny. Pierwszy urozmaica mi chwile, które mi pozostają na ziemi, drugi pozwala dopomóc biedniejszym. Na skromne wymagania moje i moich lokatorów — wskazał na ugrupowane u nóg swych zwierzęta — wystarcza, aż nadto suma, którą posiadam.

— Przykro mi jednak, że należna panu wdzięczność wspieranych, na mnie się zlewa.

Rychłowski uśmiechnął się smutnie.

— Owa wdzięczność byłaby dla mnie niemi-

łym darem. Pan tego nie rozumiesz, bo pan jesteś atomem serca ludzkości, pan odczuwasz jej niedolę, cieszysz się jej radością. Ja wspieram potrzebujących, to jest oddaję to, co mi jest obojętnem, niepotrzebnem, pan do mojej obojętnej ofiary dołącza serce swoje. Ja nawet wiem, co pan przy tem odczuwa. W chwili, kiedy pan rękę wyciąga dla udzielenia wsparcia, w chwili, kiedy pan widzi radość w oczach obdarzonego, pan czuje do niego miłość... przycisnąłbyś go chętnie do swej piersi... łyż wzruszenia dławia ci gardło... Ja znam to uczucie, chociaż w obecnem mojem życiu nie doświadczałem go... Może to refleks altruizmu, wypełniającego moją duszę w jednym z jej nieskończonych odrodzeń... Chodź pan do cieplarni, pokażę panu konwalie, które mnie obecnie pochłaniają!

Oczy mu pojaśniały, poweselały. Mistrz znikł, a w źrenicy stał sekretarz i dobrodusznie się uśmiechał.

Chodzili po cieplarni, Rychłowski pokazywał Szumskiemu niezwykle okazałe konwalie i opowiadał, jakimi środkami wyhodował te olśniewająco białe olbrzymki.

— Córka moja nadewszystko lubi konwalie, zwróciłem więc szczególną uwagę na hodowlę tej rośliny. Mają tu osobny kątek i każdą trawkę, każdą roślinkę, pragnącą zaczerpnąć dla siebie pożywienie z ziemi, przeznaczonej dla tych nadkwiatów, usuwam bez litości. Gatunek się doskonali kosztem słabszych gatunków.

— I pan, przyjaciel natury, popełnia taką niesprawiedliwość bez wyrzutów sumienia? — uśmiechnął się Szumski.

— Ha! wypełniam wolę tej siły, co mną kieruje, pomimo, że w głębi mózgu mego protestuję, jak niewolnik, który nie rozumie celu czynności nakazanych mu przez jego pana — odrzekł Rychłowski i oczy mu ściemniały.

— Wszechnatura — mówił — jest tylko wykonawczynią woli nieznanego wszechzarządu, nieznannej siły. Świat podlega prawu ciągłości, a wraz z nią i my. Każdy fakt wypływa z innego faktu, każda myśl jest echem innych myśli, czyn innych czynności. Świat jest pokryty cieniuchną pajęczyną przyczyn i skutków, wszystko z czegoś wypływa i daje czemuś nowemu początek, a wszystko splecione misterną, niewidzialną siecią i to co ma być, musi być. Każdy ruch ciała ziemi, czy jej duszy, jest przewidziany, określony i nie może uchylić się od swej orbity. Ot, nawet to, że my tu z panem w tej chwili rozmawiamy, że ja pana sugeruję mojem dowodzeniem, chociaż pan protestuje, że, pomimo różnicy zapatrywań, coś nas wzajemnie przyciąga, każe nam się ściierać, badać, wszystko to było przewidziane w zarządzie natury przed wiekami i wszystko to jest potrzebne na coś... wszystko jest skutkiem.

— A nasza wola? spytał Szumski.

— Wola nam jest dana, byśmy za jej pomocą



szli do wskazanego z góry celu i wypełniali to, co nam przeznaczono.

— Czemże więc jest ta nasza wola?

— Wola nasza, czyli nasza indywidualność, zarówno zresztą tajemnicza dla nas, jak wszystko w przyrodzie, jest instynktem, posuwającym nas do wykonania cudzej woli, instynktem bezwolnym, ale pełnym świadomości. Przeznaczenie, to jest ciągłość w przyrodzie, każe iść naszej jaźni, a więc woli naszej, za ogólnym porządkiem; i ona idzie, ale rozumuje, oburza się, odróżnia i tem się doskonali. Ten proces psychiczny zwie się sumieniem.

— A zatem zło, zbrodnie mają rację bytu.

— Muszą istnieć, bo dusza musi przejść wszystkie fazy doskonalenia się w szeregu odrodzeń.

— Szczęściem nie wszyscy posiadają takie gnębiące przeświadczenie, że ludzie są automatami, nakręconymi niewidzialną siłą. Życie byłoby męczarnią nie do zniesienia.

— W tem właśnie tchórzostwie ducha tkwi niemoc. Nasza zarozumiałość, mówiąca nam, że posiadamy własną wolę, popycha nas do wypełnienia obcej, wyższej woli. Jesteśmy jak dziecko za rękę wiedzione: ruch fizyczny tylko jest jego własną wolą, wolą zaś kierującą, silniejszą, jest ruch kierownika.

Dysputowali długo. Rychłowski mówił spokojnie, jak człowiek, którego przekonañ nie zachwiać nie mogło, Szumski irytował się, broniąc z zapałem indywidualizmu.

Wrócili do pokoju. Rychłowski odzyskał swój codzienny wyraz twarzy,

— Piękny byłby porządek, gdyby ludziom pozwolono było gospodarzyć na ziemi podług własnej woli. Dzieje ludzkości wykazują pewne stałe prawa, które nie mogłyby się pogodzić z wolą pojedynczych jednostek. Ilu ludzi, tyle byłoby porządków! I nareszcie, kiedyś, paru zdolnych facetów wynalazłszy ów punkt, o który nadaremnie błagał Archimedes, wyrzuciłoby świat do góry dnem — rzekł, uśmiechając się.

Mistrz mu z oczu znikł, pozostał tylko sekretarz. Rozpytywał o Kubusia, którego mu przywózono parę razy, opowiadał o córce swojej.

— Na usilne jej błaganie, obiecałem do nich przyjechać. Termin jednak z wielkim wysiłkiem odwlokłem do jesieni. Podejrzewam, że moja jedy-naczka boi się, żebym nie dostał ostatecznej melancholii, o którą mię trochę posądza i myśli, że zetknięcie z ziemią będzie na to najradykałniej-szym środkiem leczniczym — opowiadał wesoło. — Zastrzegłem sobie jednak, że spędzimy ów miesiąc na wsi i że nie będę zmuszony obcować ciągle z ludźmi..

Szumski późno wrócił do domu.

Z Rychłowskim łączył go dziwny stosunek od lat wielu. W niczem do siebie niepodobni, stojący na dwóch przeciwległych biegunach przekonauń, czuli, że ich przyciąga wzajemna sympatya.

Majaczenie chorej, nadkulturalnej duszy mi-

styka wiodła Szumskiego do dziedziny marzeń zakazanej. On był zmuszony żyć życiem realnem, na ziemi szukać celu.

Dysputował z Rychłowskim gorąco, usiłował zwrócić go z niebezpiecznej drogi ciągłych ekstaz mistycznych, nie spostrzegając, że burzliwym protestem nadaje rozwiewnym marzeniom cechę rzeczywistości. Niekiedy uważał te wszystkie rozprawy za niepotrzebne mącenie ducha. Wychodził od Rychłowskiego zniechęcony, ze stałym postanowieniem unikania wszelkich rozpraw i po kilku dniach znów przychodził stęskniony, polemizował z mistykiem, wyciągał z niego myśli i chował w głębi duszy, ażeby w rzadkich chwilach, gdy był sam tylko z sobą, wydobyć je i przetrawić.

Dla Rychłowskiego Szumski był wyrazem świata, z którego powstał i do którego bezwiednie zwracała się niekiedy jego istota, pomimo rozbratu, związana z tym światem niewidzialną siecią wspólności.

Przed kilkunastu laty Rychłowski należał do najgorliwszych poszukiwaczy duszy. Uczył się, badał, młodość strawił na rozmyślaniach i nagle zniechęcił się. Stanął u wrót, na których dojrzał napis: *Lasciata ogni speranza!*

Po latach pracy niczego się nie dowiedział, nie odpowiedział sobie na pytania, które go męczyły. Miał takie uczucie, jak gdyby ujrzał przed sobą olbrzymi stos książek, z których świat siłą zbiorową wiekami musi badać jedną kartę. O tę



jedną, pierwszą kartę klóciły się teraz wielkie umysły ziemi, usiłując znaleźć klucz do odcyfrowania jej. Na jarmarku hipotez wrzała walka ludzkich „Ja“, pełnych osobistych namietności, kłębiły się pyszne wołania: „Jam najsilniejszy! Ja trzymam w mym mózgu Początek Początku!“

W tej walce brał gorący udział długie lata, wreszcie stracony z wyżyn swych marzeń do poziomu zupełnej nieświadomości, ochłódł. Zrozumiał, że życie mu upłynie, zanim odgadnie jeden hieroglif z pierwszej księgi badań duszy, jeżeli nie zbłądzi w labiryncie hipotez. Była to praca czasu, powolnie i systematycznie dążącego do wytkniętego celu, jego zaś umysł energiczny, wrażliwy, żywo i jasno się palił, zużywając coraz to nowy materiał.

Otrząsnąwszy się ze zniechęcenia, usunął się od świata, zbudował sobie dom za miastem, założył ogród, urządził cieplarnię, obserwatorium, wszystko to otoczył wysokim parkanem i siedm lat nie wychodził za bramę swej siedziby, nie przyjmując nikogo, nie widząc ludzi, oprócz Szumskiego, jego dzieci, Omkiewicza i rodziny stróża.

Stróż nie wpuszczał pod żadnym pozorem nikogo w podwórze, żona jego pilnowała kobiecego gospodarstwa, a synowie ogrodu.

Po dziedzińcu chodziły sarny, psy, w ogrodzie było mnóstwo małych zwierzątek, które Rychłowski pielegnował, mnóstwo ptaków, oswojonych, lub zwabionych gotowym żerem. Wszystko to wyłaziło

z nor, z klatek otwartych, zlatywało z drzew na jego głos; wszystko miało pogodny wygląd mieszkańców zgodnej rzeczypospolitej.

Oddał się z zapalem studjom przyrodniczym. Ciągłe przebywanie z naturą, widok nieustannej walki w przyrodzie, uczynił go obojętnym na sprawy ludzkie. Ludzie wydawali mu się małymi, ich sprawy nędznymi i bezsensowymi wobec chwilowej egzystencji i tajemnicy bytu, czy niebytu.

Obojętnem mu było, że się wzajemnie obdzierali, aby moment jeden korzystać z łupów, że się zabijali, pnać się w górę i strącając słabszych, strącani znów przez silniejszych.

Ludzkość była dla niego atomem wszechświata i nie odróżniał jej cierpień od cierpień innych stworzeń. Widział tylko jedną wszechświatową walkę i stał przed tą tajemniczą zagadką, zmęczony, spragniony wypoczynku.

Dzień cały pracował w cieplarni, albo ogrodzie, studyując naturę przyrody, zdenerwowany ciągłą jej tajemniczością, rozgoryczony żółwimi krokami wiedzy. Noce spędzał u teleskopu, robiąc spostrzeżenia astronomiczne, lub tylko, śledząc pochod światów zaklętych w ruch prawidłowy, rzucając w tę nieobjętą myślą przestrzeń pełne rozpaczki pytania, oderwany od ziemi, dręczony tęsknotą za bytem po za życiem.

Rozegzaltowaną myślą kołatał do bram mistycyzmu, wywołując w wyobraźni pełne ekstazy

tajemnicze wizye, od których silił się pochwycić rozwiązanie zagadki istnienia wszechświata.

We śnie nawet zdenerwowany jego mózg oblegały zmyry; spał krótko, niespokojnie, albo wpaadał w sen na pół-letargiczny, wywołany auto-hypnotyzmem.

Z rodziny nie miał nikogo blisko. Jedyna jego córka, którą po stracie żony wychował za domem, wyszedłszy przed paru laty za mąż, odwiedzała często ojca; kochała go bezgranicznie i była jedynym łącznikiem, wiążącym Rychłowskiego ze światem.

Przybycie młodej kobiety przynosiło mu echo dawno zapomnianych ludzkich walk, udręczeń, radości. Na krótko odżywały w nim wspomnienia, ale z chwilą odjazdu, idealnie pięknej, ubóstwiającej go córki, ludzkość przestała dla niego istnieć, zlewając się z ogólną „wszystkością“.

Ulegając gorącym prośbom Daszyńskiej, zaniepokojonej objawami niezwykłego usposobienia ojca, obiecał przyjechać do niej na kilka tygodni. Podróż tę jednak odwlekał i myślał o niej z niechęcią.

— Widzisz pan... nie chce mi się jechać i wolebym dać, żeby tej podróży uniknąć, a jednak pojadę, bo muszę spełnić to, co mi przeznaczone — mówił, śmiejąc się do Szumskiego.



## ROZDZIAŁ VII.



Hornicy oczekiwano dziś przyjazdu pani Michaliny.

Widzka z Terenią była u Zurakowskiej, która nabrawszy więcej otuchy, co do zamiarów brata po owem zebraniu u dyrektorstwa starała się, żeby młoda para przebywała jaknajczęściej ze sobą. Dziś więc z rana przysłała liścik z prośbą, żeby panie ją odwiedziły. Widzka z początku nie chciała przyjąć zaprosin i dopiero zdecydowała się jechać, gdy spostrzegła łzy w oczach Tereni.

Widzki był cały dzień zajęty odprawą wozów z burakami do cukrowni i wrócił dopiero wieczorem. Gdy szedł przez ciemny salon do jadalnego pokoju, zdało mu się, że słyszy w rogu salonu szmer, niby cichy płacz.

— Kto tu jest? — spytał.

W kącie coś zaszeleściło, ale odpowiedzi nie otrzymał.

Zbliżył się do miejsca, w którym jakaś żyjąca

istota zdradziła swoją obecność i przy świetle, wpadającym z dziedzińcowej latarni, ujrzał Nelcię z główką opartą o parapet okna.

— Co ty tu robisz, dziecko? Czego płaczesz?

— Pani Michaliny niema, — odrzekła łkając dziewczeczka.

Widzki wziął ją na ręce i wszedł do jadalnego pokoju, w którym paliła się już lampa.

— Może dziś przyjedzie, konie poszły po nią — pocieszał Nelcię, sadowiąc na krześle.

— Pociąg przychodzi o czwartej, a teraz siódma. Dwie godziny siedziałam koło okna, a jej nie ma.

— No, to jutro napewno przyjedzie! Nie płacz, Nelusiu! No, cicho, dość! — mówił, tuląc płaczące dziecko do piersi, w której zadrgał żal do żony i córki starszej, żal niesformułowany, nieujęty w wyraźny zarzut.

— Czemużes z mamusią nie pojechała?

— Nie chciałam za nic jechać, chociaż mię mamusia namawiała. Wolałam zostać w domu z nianią, bo wiedziałam, że dziś miała wrócić pani Michalina.

Widzki przyniósł różne gry dziecinne i zaczął się bawić z Nelcią.

Dziewczynka była jednak roztargniona i ciągle zdawała się czegoś nasłuchiwać.

— Proszę tatusia, — spytała wreszcie, — czy te konie, co chodziły na kolej, wróciły już?

— Zaraz się dowiem, dziecinko.

Posłał służącego, który za chwilę powrócił z doniesieniem, że konie dawno wróciły.

Znów skryty żal targnął piersią Widzkiego, gdy ujrzał, jak usteczka Nelci zdrząły od powstrzymanego płaczu.

Bolesna mu była myśl, że to ukochane dziecko w domu rodzinnym tęskniło za obcą sobie kobietą.

Nazajutrz dopiero przyjechała pani Michalina.

Nelcia postanowiła ją ukarać obojętnością.

Gdy ujrzała podjeżdżający powóz do ganku, skoczyła do swego pokoju, rzuciła się na łóżko, zatkała palcami uszy i zacisnęła oczy, żeby nie widzieć i nie słyszeć.

Po sekundzie jednak odstłoniła uszki i gdy doleciał do niej miły głos pani Michaliny, zerwała się z radośnym krzykiem, przemknęła pędem przez salon i otaczając mocno rękami szyję nauczycielki, przypadła główką do jej ramienia.

Pani Michalina drżąc ze wzruszenia tuliła i całowała ją bez końca.

— Nelciu, daj pokój! Puść panią Michalinę, niech idzie się ogrzać! — rzekła Widzka.

— Czy pani wszystko przywiozła dla mnie? — pytała Terenia, witając przybyłą.

— Przywiozłam wszystko, co kto chciał, całą furę rozmaitości. Wyszukanie niektórych przedmiotów, zabrało mi sporo czasu i dlatego musiałam dłużej pozostać.

Panie wzięły się zaraz do rozpakowania przy-



wiezionych sprawunków. Każdy pakunek był starannie zawinięty i nosił napis dla kogo był przeznaczony.

Terenia oglądając swoje stroje, spostrzegła między innymi sprawunkami jeden z napisem: dla panny Ewy.

Pochwyciła gorączkowo, rozwinęła i z ciekawością rozpatrywała jego zawartość.

Było tam futerko popielate i jasno srebrzysty, bardzo gustowny materiał na kostyum.

— Tereniu, nie rusz tego, moje dziecko, to dla panny Ewy. Później wszystko się pomiesza i nie będę wiedziała, co dla kogo było kupione — powiedziała pani Michalina.

Na twarzy Tereni wystąpiły rumieńce.

— Pani dla niej kupiła ładniejszy materiał na suknię, niż dla mnie — rzekła z niezadowoleniem.

— Jakto? Przecież dałaś mi próbkę koloru. Miałam całą kartkę zapisaną, jaki ma być gatunek i deseń materiału — tłumaczyła się zdziwiona nauczycielka.

— Wolalabym to futerko popielate...

— Nie wypada mi je oddać tobie... Cóżbym powiedziała pannie Ewie, która mnie o nie prosiła dla przybrania czapeczki?

— Pocóż ci to futerko? Niepodobna zatrzymać cudzych rzeczy! — wmięszała się Widzka.

— Masz przecie niebieski kostyum, oszyty białym barankiem i w nim ci będzie do twarzy.

Terenia stała koło stołu, trzymając w ręku futerko i gryząc usta z gniewu.

— Że też ta pani Michalina wiecznie z tą swoją gotowością do usług... — myślała. — Pewnie w dziesięciu magazynach była, zanim znalazła taki kolor. Gdyby był ciemniejszy... naprzykład żelazny, byłby nie do twarzy Ewie przy jej śniadej cerze... ale ten srebrzysty!...

W wyobraźni jej mignęła kształtna głowa nauczycielki, której ciemne włosy przepysznie będą odbijały od tego srebrnego puchu...

Gdyby mogła go splamić, albo porwać, chętnieby się wyrzekła swego niebieskiego kostyumu!...

Wieczór, o którym z taką przyjemnością myślała, stracił dla niej urok.

Projektowana zabawa nie mogła jednak przyjść prędko do skutku. Pogoda wciąż nie dopisywała. Mokry śnieg rozbłocił drogę tak, że koła grzęzły do połowy. Niepodobna więc było myśleć o ślizgawce. Dopiero na drugi dzień po nowym roku, na nowiu, niebo otrząsnęło się z obłoków, mróz ściał błoto, śnieg je na pół łokcia przykrył, a słońce śnieg wygładziło — roziskrzyło.

Młodzież zajęła się niezwłocznie urządzeniem ślizgawki na rzece, wijącej się u podnóża cukrowni.

Zarnicki był administratorem tego zimowego pikniku, który miał się odbyć w dzień Trzech Króli. Musiał obmyśleć program, sprowadzić muzykę, oczyścić tor łyżwiarski.

Miał więc nie mało kłopotu z urządzeniem

wszystkiego; narady z Lisią zabierały mu najwięcej czasu.

Dyrektor irytował się.

— Nie wiem komu przyszedł do głowy mądry pomysł tego balu lodowatego — mówił do żony w dzień pikniku. — Żałuję, że na to pozwoliłem. Któż widział urządzić podczas kampanii zabawy, wymagające tyle czasu? Pliński mi pisze, żebym zaraz wysyłał Zarnickiego do Janowieckiej cukrowni; ten wyprasza się do jutra, a dziś zabrał mi potrzebnych ludzi i kazał im oczyszczać tor ślizgawkowy.

Lisia śmiała się, a pani Celina pocieszała męża obietnicą, że po skończonej zabawie, będą już cicho siedziały do końca kampanii.

W dzień Trzech króli Zarnicki był już od rana na ślizgawce.

Cukrownia wraz z wszelkimi zabudowaniami rozsiadła się nad brzegiem rzeki, która biegnąc tu wązkim korytem, łączyła fabrykę z miasteczkiem, poczynajacem się na przeciwległym brzegu od chat włościańskich.

Zarnicki kazał wznieść naprędce nad brzegiem rzeki niewielką zakrytą estradę z desek, gdzie umieścił muzykę. Oczyszczył chatkę przewoźnika, składającą się z dwóch izdebek, usłał je dywanami, wypożyczonymi od wszystkich mieszkańców cukrowni, poustawiał tam stoły i krzesła. Jedna z izdebek była przeznaczona dla pań, w drugiej mieścił się bufet.



Przed wieczorem zaczęli się zjeżdżać goście.

Kilkanaście pochodni smolnych rzucało snopy światła, zalewając powodzią srebra ogromne koło ślizgawki, urządzonej nad brzegiem rzeki i oszańcowanej wałami śnieżnymi, wśród których tkwiły na palach różnokolorowe latarnie.

Na przeciwnym brzegu wyrastała góra ośnieżona, pokryta mozaiką czerniejących chat włościańskich, patrzących mglistem światłem niewielkich okienek na błyszczącą taflę rozścielającą się u ich stóp.

Ludność nieledwie całego miasteczka wysypała się na ten brzeg, głośnymi wykrzyknikami objawiając zadowolenie z tak niezwykłego widowiska.

Świetliste koło ślizgawki, ujęte w czarne ramy mrocznej przestrzeni, lśniące srebrem, złotymi iskrami, krzesanemi z łyżew zebranej młodzieży, nad którym przelatywała fala dźwięków orkiestry, tłumiona niekiedy wrzeniem ula ludzkiego, okrywała aksamitna, ciemno-szafrowa noc bezgwiezdna.

Panie, strojne w rozmaite barwy, wyglądały jak różnokolorowe kwiaty, rozrzucone na lodzie. Działwa z radosnym krzykiem i wrzawą pomykała pomiędzy starszymi, przewracając się ustawicznie, a pani Michalina, drepcąc na brzegu, załamywała tylko ręce ze strachu, widząc, jak Nelcia padała na ślizgawce, popychana przez rozswawolone dzieciaki.

Zarnicki zniknął i znów się zjawiał... mknął

po szklanym terenie za różową postacią Lisi, za którą też gonił Julian, wywracając co chwila koziółki na wielką uciechę rozbawionej dziewczyny.

Zabawa już była w pełni rozwoju, gdy zjawił się Czesław.

Pary stawały do tańca.

U wejścia na ślizgawkę spostrzegł Ewę, siedzącą na ławeczce. Oddychała szybko ze zmęczenia. Oczy jej nie miały zwykłego ponurego wyrazu i błyszczały dzieciinną radością.

Nigdy jeszcze nie była na podobnej zabawie: szalony ruch, dźwięki muzyki, które spływały na wirujące różnobarwne postacie i szły umierać w mrokach pod ciemny granat nieba, łagodny, chociaż mroźny powiew nocy zimowej, entuzjastyczne okrzyki spospółstwa, rozlegające się po drugiej stronie rzeki, całe to niezwykle otoczenie podziało na nią podniecająco. Ożywienie wzięło górę nad pesymistycznym usposobieniem. Zapomniała o swych pupilach, o zależnym stanowisku i bawiła się z jakimś dobrem, dziecięcym weselem, jak gdyby była wśród koła przyjaciół, pod osłoną blizkich osób, cieszących się jej uśmiechem.

Podał jej rękę i pomknęli chyżo, wirując niby dwa świetne motyle, goniąc się wzajemnie, zataczając lekkie półkola, niknąc błyskawicznie przed siebie, jakby gnani przypływem życia, to znów, płynąc rozdzieleni, jak dwa różne światy i znów się spotykając, przyciągani ku sobie utajoną, wzajemną sympatyą.

Szał ruchu zabarwił im usta, przyspieszył uderzenie serca; światło, padające z pochodni, roz-paliło złote błyski w ich oczach.

Zmęczeni wreszcie, trzymając się za ręce pły-nęli już spokojnym, rytmicznym ruchem.

Kontredans się rozpoczął.

Terenia tańczyła z przystojnym, młodym oby-watelem z sąsiedztwa, który oddawna już jej asy-stował, odpowiadała na pytania jego zupełnie nie-przytomnie i wzrokiem pełnym nienawiści ściagała ładną postać Ewy, ubranej w jasny popielaty ko-styum, obrzeżony srebrzystym futerkiem.

Spojrzenie to nie uszło oka Zurakowskiej, która, jako miłośniczka wszelkich sportów, nale-żała też do łyżwiarek. Z niezadowoleniem spostrze-gła, że Czesław zamiast asystować panie Widz-kiej, tańczy z nauczycielką i w duchu pożałowała, że nie zostawiła Ewy w domu. Z niepokojem przy-patrywała się czerstwemu, opalonemu hreczkosie-jowi, który zdawał się być na seryo zajęty Terenią.

Tańczące grono utworzyło jedno wielkie koło i rozpierzchło się na małe kółka, następnie na od-poczywające już grupy. Wśród jednej z nich panny Rolińskie w zetknięciu z białym puchem stroją-cym ich suknie, brzydsze, niż kiedykolwiek, wraz z panną Anielą Kośmiczówną, dręczoną bólem zę-bów, dzieliły między siebie hołdy przybyłych ze stolicy łowców posagowych, robiących za pożyczane w pocie czoła pieniądze wyprawy na prowincję po złote runo w postaci posażnych żon.



Po skończonym kontredansie Lisia zbliżyła się do Ewy. Wzięły się za ręce i już zamierzały popłynąć, gdy naraz ozwał się niezadowolony głos Zurakowskiej.

— Panno Ewo! Gdzie są dzieci? Pani już o nich zupełnie zapomniała! Tak się nie godzi! Niech pani pójdzie i da im herbatę. Proszę też dopilnować, żeby już nie wychodziły więcej na ślizgawkę. Po herbacie, gdy ochłona, pani pojedzie z niemi do domu.

Ewa zarumieniła się ze wstydu wobec wszystkich, wysłuchiwała nagany i musiała, jak służąca, której przypomniano jej obowiązki, iść wypełnić rozkaz pani. Żal jej było porzucać zabawy, żal widoku rozbawionych ludzi, płonących świateł na tle nocy mroźnej, tego całego otoczenia podniecającego, niezwykłego.

Młodość zaprotestowała przeciw despotycznemu prawu obowiązków i łzy, którym nie pozwoliła wytrysnąć, zdławiły jej gardło.

— Widziałam, że pani Michalina zabrała dzieci, ona ich dopilnuje — ozwała się Lisia, za ledwie hamując swoje oburzenie.

— Nie mogę, panno Felicjo, cudzych obowiązków wkładać na panią Michalinę — odrzekła Zurakowska z kwaśno-słodkim uśmiechem.

— Ależ ona to wypełni z chęcią, ona taka dobra. Pójdę, poproszę ją zaraz o to...

— Nie, Lisiu, nie trzeba... — odrzekła Ewa, zapanowawszy nad sobą i zwróciła się ku brzegowi.

Dojechały do małej przystani i, zdjawszy łyżwy, udały się do izdebki, w której przy długim stole pani Michalina rozdawała dzieciom herbatę.

— Proszę wracać, panno Ewo! — zawołała, ujrzawszy panny. — Ja tu sama dam radę... Niech pani idzie i bawi się spokojnie!

— No, widzisz... Chodźmy napowrót! — namawiała Lisia.

— Nie wróćę już na ślizgawkę, Lisiu. Słyszałaś przecie, że mam zaraz jechać z dziećmi do domu; powracać na chwilę nie warto.

— Ależ to oburzające ze strony obrzydliwej baby! — gniewała się Lisia. — Ona widocznie chciałaby się ciebie pozbyć.

— Tembardziej nie mogę się narzucać.

Zarnicki przybiegł, gdyż walc już się zaczynał.

— Chodź, Ewciu, tylko walca przetańczysz, zanim te potwory ostygną po herbacie — prosiła Lisia.

Ewa jednak nie dała się namówić.

Lisia wreszcie odeszła, starsze towarzystwo też się wysunęło na brzeg, w izdebce pozostała tylko pani Michalina z dziećmi i Ewa, usiłująca zapanować nad dławiącymi ją łzami.

Gdy wkrótce odjeżdżała z dziećmi, nad świetlistem kołem ślizgawki falował upajający walc, wypryskiwały złote iskry, krzesane ostrzem łyżew, dzwoniły w mroźnym powietrzu głosy upojonych zabawą uczestników i tłumione odległością, pełne zachwyty okrzyki widzów.

## ROZDZIAŁ VIII.



egar fabryczny wydzwonił trzy kwadransy na szóstą i jednocześnie przeciągły sygnał rozdarł szarą mgłę zimowego poranku.

Czesław nie spał już od kwadransa. Siłą kilkumiesięcznego przyzwyczajenia budził się o jednej porze i nerwy jego z chorobliwym napięciem wyczekiwały hasła, zwołującego armię pracowników. Wyczekiwały co rana, kurcząc się spazmatycznie przy pierwszym dźwięku przeciągłego, chrapliwego wołania pary, wijąc się z podrażnienia podczas jego trwania. Nie mógł nigdy przespać tego fatalnego gwizdka; nawet w niedzielę, gdy nie płożyło odpoczynku, budził się o tej samej godzinie, co w dniu powszednie i chore jego nerwy z subtelną wrażliwością odtwarzały mu codzienne wrażenia.

Teraz leżał niewyspany, ociężały. Przez drzwi uchylone widział, jak służący przy bladym świetle niewielkiej lampki przygotowywał mu śniadanie.



Pod oknem na ciemnym tle drzemiącej jeszcze nocy, przesuwali się szybko ludzie z latarkami w rękach, rzucając sobie od czasu do czasu urywane pytania, lub odpowiedzi, głosem ochrypłym od snu. Niesione przez nich słabe światełka przemykały im niekiedy wężowo po twarzach surowych, zmęczonych, łamały się w oczach, błyszczących pośpiechem, obawą opóźnienia się.

A świstek wciąż wył, niby głos zbiorowy niedoli, znoju i krzywdy ludzkiej.

Umilkł na chwilę, jakby wyczerpany na siłach i znów wybuchnął jękiem po dwakroć.

Czesław miał ogromną ochotę obrócić się do ściany i drzemać do południa, wytłomaczywszy w fabryce swoje opóźnienie bólem głowy, ale wstyd mu otwierał opadające ociężałe na oczy powieki.

Nie mógł przecie spać tu spokojnie, gdy inni już stanęli przy wspólnej tacze.

Wejście służącego zdecydowało go wreszcie. Oderwał głowę od poduszki i wstał.

Ubierał się powoli, ociężały, dręczony szumem w głowie i rozstrojonymi nerwami. Zagłębiał się co chwila w szerokim fotelu dla spoczynku; z pilnikiem do paznokci długo nie mógł się rozstać.

Czuł się zupełnie wyczerpany kilkumiesięcznym przymusem. Codzienne jarzmo zaciężyło mu prędko.

Irytowała go konieczność stawiania się o oznaczonej godzinie na posterunku, upokarzała zależność. W ciągu całego życia dogadzał sobie we

wszystkiem. Nie krępowany obowiązkiem, ani brakiem, wstawał, kiedy chciał, jadł to, na co miał apetyt, był panem każdej chwili swego czasu, wyzyskując ją dla dogodzenia swoim instynktom; przytył, nabrał filisterskich nawyknień.

Rodzaj życia, jaki wiódł obecnie, był dla niego coraz większą męczarnią. Konieczność bogatego ożenienia się, które mu miało zapewnić niezależność sybaryty, konieczność oddalana czasowo z lenistwem człowieka, nie lubiącego zadawać sobie przymusu, stawała się coraz więcej nagłą.

Dotychczasowe jego stosunki ze zwierzchnictwem i współpracownikami były znośne. Elegancka jego powierzchowność, układ pełen dystynkcji i ta powściągliwa delikatność w obejściu, która mówi o latach niezależności, dobrobytu i obcowaniu z wyższą sferą towarzyską jednały mu pewną sympatyę w fabryce. Koledzy go lubili, zwierzchnicy patrzyli pobłaźliwie na jego brak energii i częste uchylanie się od obowiązków.

Z jednym tylko Nałęczem, starszym chemikiem, nie mógł się pogodzić.

Nałęcz, człowiek energiczny, sprężysty, pracowity pomimo podeszłego wieku, który lata całe spędził w znoonej atmosferze fabryki, nie mógł znieść widoku wyelegantowanego, dystyngowanego bladego Czesława, o rękach wypieszczonych, wiecznie opóźniającego się do fabryki.

Szorstkie słowa wrywały mu się z ust, gdy go ujrzał przesuającego się wolnym krokiem po

fabryce niewyspanego, z powiekami drgającymi, z twarzą, na której malowało się podrażnienie nerwowe, wywołane łoskotem i zgrzytem kół maszynowych.

— Nie będziesz tu chyba długo popasał — szeptał gniewnie.

Powtórne wejście służącego przerwało Czesławowi polerowanie paznokci.

— Przyszli z fabryki — rzekł do Czesława.

— Czekamy na pana od godziny, a każda strata chociażby jednej minuty czasu jest niepowetowaną, tak chce praktyczna teoria ludzi pracujących — odrzekł Nałęcz do Czesława, gdy ten nareszcie przyszedł do fabryki.

Czesław coś bąknął na swoje usprawiedliwienie, zirytowany wyrazem oczu starszego chemika, który przypatrywał się szyderczo jego długim, lśniącym paznokciom, zaostrzonym po mistrzowsku.

— I po co ta lalka tu potrzebna? — zamruczał pod siwym wąsem Nałęcz, gdy dystyngowana postać Czesława zamajaczyła już w oddali. — Wystawiłby się co prędzej na licytację i uwolniłby mię raz od swego widoku, a fabrykę od niepotrzebnego balastu.

Czesław był zły na siebie i na cały świat.

Krokiem cokolwiek przyśpieszonym zbliżył się do Zarnickiego; ten stał pochylony nad motorem parowym, z którego buchała para, i badał tego przyczynę.

— Chodź pan prędzej i podziel ze mną los



gotowanego raka — zawołał ożywionym głosem Zarnicki, ujrzawszy Czesława.

Był czerwony, jak upiór, oblany potem i kroplami pary.

— Temu bałwanowi zawsze wesoło — pomyślał Czesław. — Co się tam stało? — spytał.

Zbliżył się do motoru i przez chwilę wraz z Zarnickim badał miejsce, skąd dobywały się coraz obfitsze kłęby pary, która mu wnet uperliła czoło i zamglila oczy.

Wycofał się prędko i chustką, zlaną wodą kołońską, ocierał czoło. W uszach mu szumiało, serce biło przyspieszonym tempem.

Stanął opodal i niekiedy udzielał spostrzeżeń i rad, podczas, kiedy Zarnicki wraz z robotnikami doszukiwał się przyczyny wybuchu.

O południu poszli obaj na obiad do dyrektorstwa, u których stołowali się od pewnego czasu.

U drzwi wchodowych doszedł do ich uszu głos Lisi. Bawiła się z trzyletnim synkiem siostry, biegnąc po salonie. Zarnicki zaraz się do nich przyłączył i narobili tyle hałasu, że Czesław dostał nerwowego bólu głowy. Fartuszek Lisi, goniącej Zarnickiego, uciekającego z malcem na rękę, latał mu przed oczyma, mającąc amarantowym kolorem.

Miał uczucie drażnionego zwierzęcia w klatce i dużoby za to dał, by móżdż całe to hałaśliwe towarzystwo wyrzucić brutalnie za drzwi.

Męczarniom jego położyła koniec wchodząca dyrektorowa.

— Lisiu! Panie Michale! Dajcie pokój! Sprawiacie hałas nie do wytrzymania. Biedny pan Czesław! Idź, Muniu, przywitaj tatusia! — popychała lekko ku drzwiom synka.

Rozbawiony jednak Munio nie dał się łatwo wprowadzić i wyrwawszy się matce, skoczył z całym impetem na Czesława, któremu, aż zahuczowało w głowie od tej niespodzianki.

Przy stole Lisia i Zarnicki nie przestawali śmiać się i figłować. Czesław nic prawie nie jadł i oczekiwał z upragnieniem końca obiadu.

Każdy głośniejszy wybuch śmiechu, każdy żywszy ruch, dźwięk talerzy, szarpały jego nerwy, drażliwsze dziś więcej, niż kiedykolwiek z powodu chmurnej pogody.

Po obiedzie Lisia oddała mu kartkę.

— Pan, zdaje mi się, ma zamiar być dzisiaj u siostry? Proszę oddać ten liścik Ewie i powiedzieć, że w piątek przyjadę po nią i zabiorę do siebie na cały dzień. Pani Zurakowska musi mi z niej zrobić prezent na kilka godzin, bo to moje urodziny.

— Zmęczyliście pana Czesława swoją hałaśliwą wesołością — rzekła pani Celina. — Lisia tak piszcziała i krzyczała, że nawet do mego pokoju dolatywał jej głos.

— Ciekawa jestem, kogo może zmęczyć wesołość — odrzekła Lisia. — Do widzenia, szwagierku! — krzyknęła głośno tuż nad uchem Czesława, wychylając się przez okno.

Czesław wyszedł wreszcie od dyrektorstwa i z ulgą wciągnął powietrze w płuca.

— Tej nie wziąłbym, gdyby miliony miała, bo chyba zabiłbym ją kiedy w przystępie nerwów.

Gdy zmrok zapadł, pojechał do Zukówki.

Zurakowska, zawiadująca sama gospodarstwem, wysłuchiwała właśnie sprawozdań ekonomy w ja-dalnym pokoju.

W dużym salonie, przeznaczonym do zabawy, była Ewa z dziećmi.

Wicia wycinała lalki z papieru, chłopcy malowali wazy i brody modnym paniom z zeszłorocznych żurnalów.

Zmęczeni dalekim spacerem, byli dziś w wyjątkowo spokojnem usposobieniu.

Przed Ewą leżała dość spora deska kwadratowa, na której była glina, małe dłótka, młoteczki. Delikatnymi, chociaż silnymi palcami, ulepiła z niej jakąś figurkę ludzką. W oczach miała wyraz pogody i skupionej uwagi.

Wychowana przez babkę rzeźbiarkę, odziedziczyła po niej ogromne zamiłowanie do tego rodzaju sztuki i talent twórczy, który obecnie zużytkowywała na lepienie figurek, biustów, małych grup, noszących niekiedy cechy rzeczywistego artyzmu.

Całe jej rozgoryczenie, niezadowolnienie z losu, uciekało z chwilą, gdy uczuwała w palcach kawałek gliny, której miała nadać kształt. Traciła wówczas z oczu otaczający ją świat i myślą przenosiła się w wymarzoną przyszłość, do dużej, jasnej pra-



cowni. Dokoła alabaster... marmur, przeistaczający się w jej rękę w dzieła nieśmiertelne... w potężne popiersia, zakłnie kiedyś ideał siły, uduchowione rysy wykuje z twardej bryły!...

Czesław, przywitawszy się, usiadł w kącie na małej kanapce, na której spędzał nieraz po parę godzin, nic do nikogo nie mówiąc.

Wszyscy już się oswoili z jego zwykłym, milczącym usposobieniem, a dzieci, do których zwracał się często z surowym napomnieniem, sprawowały się przy nim grzeczniej.

Pod wpływem spokoju i ciszy, rozkołysane w ciągu dnia jego nerwy, zaczęły się uspokajać.

Wodził jakiś czas machinalnie oczyma po rozwieszanych fotografiach i zatrzymał je wreszcie na Ewie.

Siedziała w łagodnym blasku matowej lampy, lepiąc figurkę, wpatrując się w nią i usiłując kształty, które miała w myśli, przelać w ruchy palców, stwarzającą czyjąś podobiznę.

Zdawała się zapominać o obecności dzieci i Czesława. Oczy jej czasem zaświeciły ożywionym blaskiem, niekiedy w kącikach ust zadrgał cień uśmiechu wesołego.

Czesław nie odrywał od niej wzroku.

W jej postaci nic go nie drażniło. Ubierała się zwykle w barwy spokojne, nie krzyzące, włosy nosiła odrzucone z czoła, twarz miała jednostajnego, jasno-kremowego koloru, ruchy spokojne, głos dobrze modulowany. Nigdy się głośno nie

śmiała, a uśmiechała się rzadko. Była milcząca, niewywnętrzająca się, pozbawiona nawet cienia zalotności.

Obecność jej nie podniecała nerwowo: działała uspokajająco, jak niebieski kolor.

— A panna Ewa była przez dwa dni chora — zakomunikował Kocio wujowi.

— Najadła się kwaszonych ogórków i rozchorowała się — dodał Fredzio.

— Skąd o tem wiesz? — spytała Wicia.

Fredzio zaczął udzielać rodzeństwu szeptem różnych spostrzeżeń o nauczycielce, Wicia wyciągała chłopców na dowcipy, z których śmiała się zjadliwie, nie po dziecinnemu, patrząc złośliwie na Ewę.

Od czasu do czasu rzucali niespokojne wejście w stronę wuja w obawie kary.

Czesław, do którego Ewa była zwrócona profilem, widział jej blady, nieco anemiczny policzek, wzbierający falą purpurowej krwi, która rozlała się do jej ucha, rzucając różowy cień na szyję, okoloną marynarskim kołnierzem białej, flanelowej bluzki.

Nie odrywała wzroku od swej roboty i zdawała się nie słyszeć półszepotu dziecinnego, tylko cień uśmiechu pierzchnął z kącików ust, zastąpiony zwykłym posepnym wyrazem; przedostał się on wnet do oczu, wyganiając z nich niecodzienny odbłask wesołości.

Czesława ogarnął gniew na widok zmiany za-

szłej w twarzy Ewy. Lubił on ten wyraz spokojnego półbytu, który w rzadkich chwilach powlekał jej rysy i mówił, że myśl młodej dziewczyny odbiegła od męczących warunków jej życia i błądziła młoda, rozweselona, wśród sympatycznego sobie otoczenia. Wyraz ten stapał się z łagodnym, matowym światłem lampy, z ciszą, naruszaną niekiedy szeptem dzieci, obawiających się wuja i zdawał się pieścić, uspokajać jego chore nerwy, szarpane w ciągu dnia zgrzytem maszyn, zgiełkiem ula roboczego.

Spojrzał na dzieci surowo. Chłopcy wnet umilkli, a Wicia spuściła głowę, by ukryć złośliwy uśmiech.

Weszła Zurakowska.

— Panno Ewo! Proszę dać zaraz dzieciom herbaty i niech idą spać. Zadługo dziś były na podwórzu i są zupełnie senne. Jutro, wychodząc na spacer, proszę zabrać z sobą zegarek. Z dziećmi trzeba zachować we wszystkim miarę.

Ewa powstała natychmiast i zabrawszy dzieci, wyszła do jadalnego pokoju.

— Chodź, Czesku, na herbatę! Czemużeś nie był u mnie od kilku dni?

Przechodząc koło stołu, Czesław pochylił się nad deską, na której była glina i przyjrzał się biuścikowi lepionemu przed chwilą ręką Ewy.

Ożywione rysy Lisi z rozwianą grzywą wyjrzały do niego z glinianej figurki.

Rysy, wyraz zalotności, figlarnego humoru, za



który ją tak serdecznie nienawidził, oddane były z doskonałą prawdą.

Po herbacie Ewa, zabrawszy dzieci, wyszła i więcej nie wróciła.

Zurakowska opowiadała Czesławowi o warunkach kontraktu, który zawarła z cukrownią co do przyszłego zbioru buraków.

— Ale... wiesz?... Zadziwił mię ogromnie Stecki. Znasz tego starego szlachcica? Otóż on winzował mi dziś bratowej. Powiada, że słyszał, jakobyś ty się żenił z nauczycielką moich dzieci, panną Ewą. Naturalnie, zaprzeczyłam z oburzeniem. Nie wiem, kto rozgłasza takie niedorzeczne wieści. Ty, Czesławie, sam wywołujesz podobne gawędy, unikając sąsiadów.

— A niech sobie, co chcą gadają, co mnie to może obchodzić?

— Zapewne. Takie niepodobne do prawdy brednie mogą tylko wyjść z ust nieżyczliwych nam. A może ja się mylę?... Powiadają, że w każdym ludzkim gadaniu zawiera się część prawdy... Może więc i te brednie mają jakąś podstawę?

Powyższe słowa podszepnął jej niepokój. Częste przebywanie z sobą młodej pary budziło jej obawy.

— W czym jest część prawdy? — spytał zdziwiony Czesław.

— W tem, co ludzie mówią o tobie i pannie Ewie — odrzekła, siłąc się na żartobliwy uśmiech.

— A to dopiero trafiłaś! Do tego, żebym so-

bie wpakował kulę w łeb, brakuje mi dziś tylko ubogiej żony i kilkorga dzieci.

Powiedział to z taką szczerością, że Zurakowska uspokoiła się odrazu.

Po jej odejściu strofowała sama siebie za nie-taktowne pytanie.

— Skąd mi do głowy przyszło posądzać Czesława o taką niedorzeczność? On, który tyle pięknych kobiet w życiu widział, który tyle razy kochał i był kochany, miałby zwrócić uwagę na jakąś nauczycielkę i to tak dalece, by aż pojąć ją za żonę! I po co niepokoiliam się niedorzecznem przypuszczeniem? Gdyby też choć było jakie niebezpieczeństwo!... Ale Ewa ze swą posepną, zgorzkniałą twarzą, nie ożywiona, podobna do polipa, chyba nie może wyrzucić głębszego wrażenia...

W piątek Lisia, powożąc sama kucykiem, zaprzężonym w małe saneczki, wpadła, jak bomba do Zukówki.

— Niech mi pani daruje Ewę na dziś, bo to moje urodziny — prosiła Zurakowskiej.

Zurakowska zezwoliła na odjazd nauczycielki, chociaż w duszy była z tego ogromnie niezadowolona.

Nie lubiła, gdy dzieci zostawały na jej opiece, nie umiała sobie dać rady i męczyła ją potrzeba ciągłego czuwania nad niemi. Odmówić jednak nie mogła, gdyż Ewa nie miała dotąd ani jednego dnia wypoczynku.

Panny wsiadły do saneczek, Lisia gwizdnęła

na kuca, który poleciał, jak strzała, po śliskiej, utartej drodze.

— No, wyrwałam cię ze szponów Drakona! Pozbędziesz się, chociaż na kilka godzin towarzystwa tych małych potworów.

Przez całą drogę usta jej nie zamykały się.

Wjeżdżając w bramę, znów gwizdnęła podniecająco na kuca, pędzącego jak wichur i kiwnęła tryumfująco głową, wskazując na Ewę Zarnickiemu i Czesławowi, którzy stali na ganku.

— Lisiu! Nie leć tak! Jeszcze się wywrócimy — zawołała Ewa z przestrawieniem.

— Nie bój się... Nie polecimy do nieba!

Ostatnie słowo wymówiła już leżąc na śniegu. Zerwała się prędko, biegnąc z pomocą do Ewy, uszczęśliwiona, śmiejącą się na głos.

Panowie dążyli spiesźnie na miejsce katastrofy, zbierając rozpierzchłe czapeczki i mufki panien.

Weszli z hałasem i śmiechem do domu. Dyrektorowa oczekiwała ich z obiadem. Nikogo z gości nie zaproszono na dziś, bo pani Celina była od paru dni cierpiącą na newralgię i zaraz po obiedzie poszła do swego pokoju, zalecając młodzieży, żeby się cicho sprawowała.

Usiedli więc we czworo w saloniku i wiedli ożywioną gawędę półgłosem, obawiając się, by nie zbudzić śpiącej w przyległym pokoju pani Celiny.

Lisia zachowywała się cicho. Miała poważ-



niejszą minę, niż zwykle i Czesławowi było tak miło u dyrektorstwa, jak nigdy jeszcze.

Półgłówna rozmowa, ciemne suknie pańien, spokojna cisza, panująca w całym domu, nastroiły go na weselszą nutę. Jakis powiew młodości biegł od tych młodych do niego i rozpraszal mgłę rozgoryczenia w jego przeżytej, jesiennej duszy. Czując w sobie przypływ życia, rozmawiał z niezwykłym ożywieniem, zapisywał w notesiku uśmiechy Ewy, które, jak twierdził, ukazywały się rzadko, jak tęcza, podżartowywał z Lisi, że wesoły swój nastrój zgubiła w chwili niefortunnego wjazdu w bramę.

— A pan pewno z tej zguby bardzo się cieszy, bo widziałam, jak nieraz mój dobry humor pogrążał pana w spleen.

— Jeżeli mam być szczerym, to wyznam, że dzisiejsze usposobienie pani lepiej mi się podoba.

— O nie! — zaprotestował energicznie Zarnicki. — Zwykła wesołość panny Felicyi dowodzi właśnie wiosny i pogody duszy. Przedwczesna powaga mówiłaby o doznanych zawodach.

— Nie wnikam nigdy w przyczynę tego, co mi sprawia przyjemność.

— Jakto? Przecie każde cierpienie budzi odgłos w sercach naszych.

— Chyba w pańskim, bo moje wsłuchuje się tylko we własne odgłosy; głuche jest po za tem.

— Obmawiasz się pan.

— Bynajmniej. Jestem zdecydowanym egoi-

sta, a ponieważ ludzie i ich sądy są mi obojętne, więc otwarcie głoszę moje wady, które, według mego zdania, są prędeż zaletami: pomagają do spokoju.

— Więc pan nie bierze udziału zarówno w cierpieniach, jak i w świecie życia ogólnoludzkiego? Nie widzi pan dróg, po których inni kroczą, zajęty deptaniem własnej ścieżki?

— Tak i, jeżeli mam już być idealnie szczerym, to wyznam: wołałbym, żeby ludzie mi ją udeptali — odpowiedział Czesław z ironicznym uśmiechem.

— Mamy zatem krańcowe usposobienia. Odech ludzkości porusza i moją pierś, a droga, którą sam sobie wydepczę, będzie mi najlepiej dogadzała.

Lisia zatrzymała przez chwilę wzrok na energicznej twarzy mówiącego.

— To dobrze — rzekła miękim głosem i wstała, by się dowiedzieć, czy pani Celina śpi jeszcze.

Zarnickiemu aż się gorąco zrobiło od tej pochwały; odrazu stracił wymowę.

Poszedł do Lisi, która znów się ukazała na progu salonu.

— Ja i ci państwo — rzekł Czesław, wskazując oczyma na rozmawiającą parę — określiliśmy mniej więcej nasze etyczne credo; pani zaś, wysłuchawszy tej spowiedzi, ani jednym słowem nie zdradziła się, do którego bractwa należy.

— Muszę się przyznać, że określonych, stanowczych dążności nie mam wcale — odrzekła Ewa po chwili milczenia. — Powodem tego jest zape-

wne ospałość, czy też zanik mojej własnej indywidualności i osamotnione wychowanie. Nikt nie uprawiał mojej duszy, a ja sama nie umiałam nigdy skryształizować jej poruszeń; leży więc odłogiem. Od wczesnej młodości zostałam wprzagniętą do jarzma obowiązków, do których nie mam powołania, a nawet wstręt czuję. Dziś, mam takie uczucie, jak człowiek, który idzie długo i nie może o niczem innym myśleć, tylko o swem zmęczeniu i o tem, że ta droga musi się skończyć i że na jej krańcu znajdzie przystań, wypocznie, rozejrzy się we własnej duszy i dopiero stworzy sobie cel życia.

— Jest więc pani białą kartą, na której życie ma pisać swoje wyroki.

— U progu życia byłoby to może właściwem, ale w moim wieku jest tylko smutnem — odrzekła Ewa z goryczą. — Sądzę jednak, że nie lubiłabym wyzyskiwać życia tylko dla siebie. Samolubstwo i niesprawiedliwość oburzają mię zawsze i w ogóle na cierpienia ludzi czy zwierząt nie mogę patrzeć obojętnie.

Lisia i Zarnicki usiedli na swe dawne miejsca i znowu rozpoczęła się ogólna rozmowa półszepem, w półświetle umierającego zimowego dnia. Z przedmiotów poważniejszych przeskakiwali na wesołe, przekomarzali się, wybuchali śmiechem.

— Cicho! Cicho! — strofowali się wzajemnie.

Na małych karteczkach, wrywanych z notesów pisali do siebie pytania, odpowiedzi, pełne do-



wcipu, swawoli i dusili się od powstrzymanego śmiechu, który im tryskał z oczów, rozlewał się w ożywionych rysach.

Wniesiono wreszcie światło i wyszła pani Celina już trochę zdrowsza. Dyrektor wrócił z fabryki.

Gdy się zabierano do herbaty, nadjechał Widzki z Terenią.

— Mam do pana kawałek interesu — mówił witając się z dyrektorem — i zabrałem moją dziewczynę, żeby się trochę przejechała.

Terenia zdziwiła się, zobaczywszy Ewę; przykro jej też było, że nieproszona trafiła wypadkiem na małą uroczystość familijną. Dowiedziała się, że Ewa spędziła tu kilka godzin, dojrzała na twarzach młodzieży niezwykle ożywienie i serce jej ścisnęło się boleśnie. Straciła zupełnie humor, chociaż wszyscy byli dla niej bardzo uprzejmi.

Całe towarzystwo miało odwieźć Ewę. Widzki zaproponował swoje szerokie sanie, a sam powrócił do domu małemi saneczkami dyrektorstwa.

Gdy się zabierano do odjazdu, Ewa długo nie mogła znaleźć swoich rękawiczek, wreszcie spostrzegła je na konsoli pod lustrem, obok którego stał Czesław.

Podeszła, aby je wziąć.

— Jacy my dziś niepodobni do siebie — rzekła mimo woli, spojrzawszy w lustro, które odbiło ich młode, ożywione postacie.

— Właśnie dziś jesteśmy sobą, to jest tem, czem nas natura stworzyła, zanim zimna dłoń ży-

cia narzuciła maski na nasze rysy — odrzekł Czesław i spojrzał w lustro. Zdało mu się, że kilka lat życia uniósł mu z czoła ten dzień wesoly.

Oczy ich spotkały się i uśmiechnęli się oboje.

— Mam do zanotowania jeszcze jeden uśmiech pani. Wszystkich razem będzie pół-czwarta — mówił Czesław, wyjmując notes i pisząc coś w nim.

— Co pan notuje? — spytała Terenia, która ciągle ukradkiem śledziła ich ruchy.

— Uśmiechy panny Ewy.

— Czy tak rzadko się śmieje?

— Od kiedy miałem zaszczyt ją poznać pierwszy raz dziś widziałem na jej ustach ten grymas dobrego humoru.

— Ciekawam co było powodem niezwykłego zjawiska? — pytała niedyskretnie Terenia, nie wiedząc sama co mówi.

— Zapewne cieszyła się z tego, że się przed dziewiętnastu laty urodziła!...

Słowa te powiedziała Lisia żartobliwym tonem, bez żadnej myśli. Tereni jednak zdało się, że Lisia chciała uwolnić przyjaciółkę od kłopotliwej odpowiedzi i że tu coś się stało, co jest tajemnicą tych czworga, że spojrzenia, które sobie posyłają, uśmiechy, kryją jakąś tajemną radość.

Wróciwszy do domu, powiedziała zaraz wszystkim dobranoc i poszła do swego pokoje.

— Czyś się nie zaziębiła, Tereniu? Masz jakiś wygląd niezdrowy — spytała Widzka, gdy córka odchodziła.

— Jestem zmęczona i spać mi się chce — odrzekła Terenia.

Pani Michalina dojrzała jednak w twarzy młodej dziewczyny coś więcej, aniżeli zmęczenie.

Gdy wszyscy udali się na spoczynek, nałożyła pantofle i przeszedłszy cicho przez salon, weszła do pokoju Tereni. Pod drzwiami już słyszała jej łkanie.

— Co to? Co się stało, Tereniu? — zawołała, podbiegając do łóżka.

— Nic. Jestem czegoś niezdrowa — odrzekła, łkając Terenia.

— Może ci kto przykrość zrobił? Obraził?

Terenia jednak na wszystkie troskliwe pytania, odpowiadała, że ma ból głowy i prosiła pani Michaliny, żeby szła spać i była o nią spokojna, bo zaraz zaśnie.

Nie zasnęła jednak, tylko wciąż płakała. Gorzkie łzy pierwszego, serdecznego bólu lały się nieprzerwanie z jej oczu. Płakała w niej nieze-psuta, pocziwa młodość, zdolna ukochać kogoś więcej, niż siebie, młodość, która uchodząc, unosi z sobą często najpiękniejsze kwiaty duszy ludzkiej, ale dopóki trwa w danej jednostce, broni jej odważnie od mielizny życia.

Pani Michalina także nie spała tej nocy. Bolały ją łzy wychowanki i zaprzętała myśl, co mogło je wywołać? Wiedziała, że Terenia kochała po raz pierwszy, ale do głowy jej nawet nie przyszło, żeby nie miała wzajemności. Na małżeństwo



jej z Czesławem patrzyła, jak na sprawę zdecydowaną. Widzka nie miała przed nią sekretów, wszystko więc co Zurakowska mówiła, nie było jej tajemem; wreszcie, Czesław bywając u nich często, chętnie przestawał z Terenią i zdawał się nią być zajęty.

— Co więc mogło tam stać się wczoraj? Jakies małe nieporozumienie chyba!

Jeszcze raz poszła do Tereni, ale drzwi do jej pokoju były zamknięte, a za niemi panowała zupełna cisza.

— Zmęczyło się łzami i zapewne zasnęło biedactwo moje — pomyślała uspokojona, wracając do swego pokoju.

## ROZDZIAŁ IX.



araz po śniadaniu Szumski wyszedł z domu. Od rana był mizerniejszym i oczy miał więcej pogłębione, niż zwykle.

Szumaska wiedziała, że Rychłowski przysłał wczoraj tysiąc rubli, to jest połowę tego, co dawał rocznie dla biednych i że mąż, korzystając ze święta, idzie wyszukiwać najuboższych, że będzie zaglądał do najciemniejszych nor, gdzie gnieździ się nędza, że zajrzy w oczy nieszczęściu, nekającemu ludzkość w postaci najstraszniejszych chorób i że wróci z tej wycieczki upadający na duchu, na siłach. I ogarnął ją gniew.

Po co im to? Alboż mało mają swojej biedy? Rychłowski chyba sumienia nie ma?... Sam się odgradził od ludzi murem chińskim, a inni muszą za niego cierpieć!...

Ona zna serce swego męża... wie, czym jest dla niego zetknięcie się z ludzką niedolą... Onby z każdego zdjął krzyż i niósłby bez skargi.

Po co więc go narażać?

Była ogromnie podrażniona. Wszystkie codzienne czynności wypełniała machinalnie; myślą wciąż biegła za mężem. Nędzarze, których on szedł wspomagać, nie obchodzili jej wcale w danej chwili, przeciwnie, bezwiedna niechęć przepępiała ją całą.

Im to zawdzięcza, że dziś ten najlepszy z ludzi dozna tyle przykrych, a nawet bolesnych chwil, przez nich ona spędzi cały dzień w najwyższym niepokoju.

Szumski skierował swe kroki ku Wiśle, na Zajęcą ulicę.

Miał zajrzeć do siedzib nędzy ludzkiej, otaksować ją i wielu żebrzącym rzucić jakby na urągowisko: „Nie jesteście jeszcze dość biedni, abym mógł was wesprzeć.“

Za chwilę opadną go prośby, błagania, wymówki, przekleństwa, będzie zmuszony patrzeć na gorące łzy niedoli; wchłonie w siebie te łzy, będą mu one smagać serce żalem, litością, a pomimo tego odmówi wsparcia wielu, bo to, co miał do rozdania, przeznaczone było tylko dla „najuboższych“.

Od kiedy wziął na siebie obowiązek rozporządzania zasiłkiem, przeznaczonym przez Rychłowskiego dla biednych, nie miał chwili spokoju. Widok nędzy, z którą był w ciągłym zetknięciu, napawał go goryczą i żalem; znosił podejrzliwe spojrzenia, przymówki, że dla siebie zachowuje lwią część, że w udzielaniu wsparć kieruje się osobistą sympatją, i tu subtelne jego sumienie było naj-



bardziej zaniepokojone; ciągle mu się zdawało, że są jeszcze biedniejsi od tych, których wspomógł.

Nędza coraz wzrastała i nie mógł jej zaradzić. W wędrówkach szukał upadających pod ciężarem krzyża.

Była to jego Golgota, na którą szedł dobrowolnie od lat kilku.

Dotarłszy do Zajęcej ulicy, Szumski przejrzał zaznaczone w notatniku numera domów, gdzie gospodarowała wyjątkowa nędza, i wszedł do jednego podwórka.

W rozwalonej furtce stał młody jeszcze chłopak w ubraniu, zawałanem gliną, z oczyma krwią nabiegłymi i spuchniętymi ustami.

Szumski spytał go, gdzie mieszka rodzina Tkacza.

— A... pan pewnie będzie z dobroczynności?... To tam... niżej... po schodach... Mieszkanie zrobione z piwnicy... Może pan do Antośki?...

Szumski zaczął schodzić ze schodów w głąb suterenu.

— Kawalierom bieliznę pierze — rzucił za nim robotnik z cynicznym zaklęciem. — Niech się pan tylko targuje, bo zedrze bestja!...

Szumski wszedł do zupełnie prawie ciemnego mieszkania. Wilgoć i chłód uderzyły go na wstępie. Oswoiwszy się z ciemnością, ujrzał na nędznem posłaniu leżącą starą kobietę, okrytą różnemi łachmanami. Około pieca siedział bardzo wiekowy starsuszek i wpatrywał się bezmyślnie w mały ogień,

płonący w piecyku. Ogień ten ogrzewał go za pomocą wyobraźni i starzec instynktownie nie spuszczał z niego oka.

Stojąca przy piecu młoda dziewczyna mieszała łyżką w garnku jakąś szarego koloru strawę.

Obejrzała się na wchodzącego Szumskiego i w oczach jej błysnął niedobry ogień; usta zacięła ponuro.

Była silna, dobrze rozwinięta, bardzo ładna, chociaż twarz jej miała niezdrowy wygląd i oczy były mocno podsiniałe.

Szumski zbliżył się do staruszki i zaczął ją pytać, na co jest chora.

Oczy jego, oswojone już z ciemnością, dojrzały pod ścianą pęk ogromnie brudnej męskiej bielizny, przygotowanej widocznie do prania, na której spała prześliczna dziewczynka od dwunastu do trzynastu lat.

Staruszka była zupełnie głucha, uniosła się trochę na posłaniu i wyschłą ręką wskazała na dziewczynę.

— A ta... jak ona chce... Nie wiem...

Oczyrna zaropionemi patrzyła na ręce Szumskiego.

Dziewczyna rozśmiała się szyderczo.

— Niech pan mówi odrazu, czego chce... Po co pan jej — wskazała na babkę — głowę zawraca?

Podeszła do dziecka i zbudziła je łagodnie.

— Chodź jeść!...

Rozlała w miseczki jadło, cuchnące łojem i podała każdemu z rodziny.

Ruchy jej były ociężałe i apatyczne, w twarzy pewne znieruchomienie łagodne. Przechodząc obok Szumskiego, wyprostowała się, popchnęła go lekko i w oczach jej błysnął cynizm i robiona wesołość.

— Co?... Ma pan bieliznę do prania?... No?... Niechże pan nie stoi, jak malowany!... Proszę dać adres... to przyjdę... A może pan z dobroczynności? — spytała, zmieniając nagle swój wygląd.

Ramiona jej opadły ociężałe, twarz znieruchomiła apatycznie.

— Tak, — odrzekł Szumski. — I jeżeli chcesz, mogę cię zarekomendować do jednej pralni. Właścicielką jej jest dobra kobieta.

— O, dziękuję panu! — błysnęła z gniewem oczyma. — Znam już te wasze dobrodziejstwa... Cały dzień przy balji, psie jadło i pięć rubli miesięcznie... Brałabym jeszcze w dodatku codziennie po pysku... A to wszystko — rzuciła ręką w stronę rodziny — pozdychałoby z głodu... Schowajcie dla siebie te dobroczynności i nie zwracajcie mi głowy!

Podeszła znowu do pieca.

— Czy to twoja siostra... ta mała?...

— No, więc i cóż, że siostra?...

— Możebyś ją gdzie umieściła z moją pomocą?

Odrzuciła się od pieca szybko, pobladła, ze wściekłością w oczach, podobna do zwierzęcia, brojącego swego dziecka.



— Co!?!...

— Powinnaś ją umieścić przy jakiejś porządnej rzemieślniczej rodzinie, żeby się czegoś nauczyła. Jesteś odpowiedzialną za jej przyszłość — rzekł Szumski surowym głosem.

Dziewczyna obrzuciła go długim spojrzeniem i złagodniała.

— Gdzież umieszczę?... Dobrze to mówić!...

— Czem był twój ojciec?

— Pracował przy kanalizacji. Dziadek także — wskazała na starca. — Ojciec przeziębił się... Ciągle w wilgotnej ziemi... Umarł... a dziadek dostał takiego reumatyzmu, że mu nogi zupełnie odjęło. Nie mogłam go wypędzić, bo zarabiać nie może i zdechłby, jak stary koń... Babka stara... ta mała... Na wszystkich musiałam pracować... Zostałam praczką w jednej pralni... Ale też nie mogłam wystarczyć dla wszystkich... Poszłam po rozum do głowy i... ot żyjemy!

Zaśmiała się cynicznie, ale wnet umilkła i oczy jej zapalały wściekłością.

Szumski zapisał adres domu.

— Może mi się uda zrobić cokolwiek dla twojej siostry, — rzekł, żegnając dziewczynę skinieniem głowy.

Na podwórku ten sam robotnik zaczepił go.

— Co?... Dał pan adres?... Trzeba się było targować...

Szumski szedł pogrążony w myślach.

Gdzie miał umieścić tę małą? Czy była to

ostateczna nędza, na którą miał prawo wydać z pieniędzy Rychłowskiego? Jakichże sum trzeba było, żeby wszystkie dzieci pozostałe po nieszczęsnych pracownikach, wychować znów na pracowników!

Z zamyślenia tego wyrwał go jakiś pisk, śmiech na pół dziki, gwizd...

Podniósł głowę.

Z okna pierwszego piętra, zwieszały się postacie kobiece, z pomalowanymi twarzami, przystrojone w suknie jaskrawej barwy.

Wabiły Szumskiego cynicznymi ruchami.

— Takie instytucje wzrastają. — Pełno ich... Przedsiębiorcy robią miliony... Tu, życie ludzkie za nic się waży... Tam dzieci umierają z głodu... — pomyślał ze smutkiem.

W mieszkaniu podobnem do mieszkania Tkaczów, niestara jeszcze wynędzniała kobieta siedziała z sześciorgiem drobnych dzieci około misy, z której sterczały kości.

Zmieszała się na widok Szumskiego i spojrzała niespokojnie na pływające czarne kawałki mięsa w misie.

Domyśliła się, że to „pan z Dobroczyńności“.

— Czem się trudni mąż pani? — spytał Szumski.

— Jest, proszę pana, robotnikiem, ale często bez roboty, a jak ma robotę, to zarabia, wszystko odliczywszy nie więcej, jak piętnaście rubli mie-

sięcznie... A nas jest tyle... Ja pracować nie mogę...  
Mam rękę złamaną.

Potrząsała wiszącą dłonią.

Dzieci obstąpiły Szumskiego i zaczęły go po rękach całować, widocznie przyuczone do żebrania.

— Niech pan nam co da... My głodni... Nicśmy dotąd nie jedli, — powtarzały żalnym głosem.

Ci mali komedyanci byli to może przyszli nożownicy, złodzieje, ulicznice, ale Szumski nie mógł na to poradzić. Nie była to wyjątkowa nędza. W misie pływały czarne ochłapy. Dwoje męskich ramion mogło pomódz tym siedmiorgu do vegetacji.

— Precz! — odpędziła ze złością kobieta dzieciaki od Szumskiego.

Zrozumiała, że nic nie dostanie.

— Może pan myśli, że opływamy w dostatek, bo mamy śmierdzące kości w jadle. To użebране!

Szumski zabierał się do odejścia.

— Rozporządzam cudzą własnością i nic nie mogę zrobić dla was. Mąż pani jest rzemieślnikiem, może więc zapracować.

— To dajcie tej pracy!... Dajcie codziennie pracy!... Niech zarobi tyle, żeby nas wszystkich nakarmić! — krzyknęła z wściekłością. — Umiecie mówić o pracy, ale nie spytacie, czy może jeden człowiek zarobić tyle, żeby wykarmić ośmioro przy tej drożyznie... Zadużo dzieci!... To zabierajcie je, jak u suki i topcie!... Wam nic do naszej biedy!... Ja wiem!... Z tej dobroczynności kucharki wam



kurczęta codziennie gotują... Bodajbyście popuchli z głodu!...

Wybiegła za Szumskim na ulicę, otoczona kilku kobietami, wywabionemi ze swoich mieszkań krzykiem i wyrzucała przekleństwa ze swej rozbitej, przepelnionej wściekłością piersi.

Parę kamyków świsnęło około głowy Szumskiego.

Poszedł dalej, szukając nędzy wyjątkowej.

Otworzywszy wreszcie drzwi od jednej z su teren, cofnął się, uderzony straszliwym odorem rozkładającego się trupa.

Mieszkanie było czyste, okno wychodziło na jasne podwórze.

Na tapczanie leżała chora kobieta. Czysta, biała szmata przykrywała słomę, sterczącą dokoła, także czysta gruba powłoczka, czemś wypchana, podtrzymywała głowę chorej, której żółta skóra pokrywała kości.

Twarz miała wykrzywioną straszmem cierpieniem, a usta zwięzione tak, że zęby obnażone sterczały, oczy zagasłe.

Dziewczynka lat piętnastu, z dużemi czarnemi oczyma, straszliwie blada, z wpadniętą piersią, leżała obok chorej kobiety.

Druga, cokolwiek młodsza, prała w niewielkiem korytku, cuchnące, pokryte zgnilizną łachmany.

Na stole leżały kawałki rozmaitego chleba, niedojadki mięsa gotowanego, pieczonego, parę kartofli, kawałek ogórka, szare mydło.

Dwa zydelki, stolik, białe szmaty pokrywające tapczan, były czyste.

Szumski obejrzał się dokoła, szukając przyczyny tego zabijającego odoru.

Dziewczynka zostawiła pranie i zaczęła mu opowiadać, że ojca, robotnika przy stacji towarowej, zabiło na kolei, a matka dwa lata już, jak chora na raka w żołądku.

— Zarząd kolei nie wydał wam zapomogi? — spytał.

— Nie, bo powiedzieli, że to z własnej nieostrożności. Tatuś miewał zawrót głowy. W ten dzień kiedy się to stało, był ogromnie zmęczony... Nie spał całą noc, później cały dzień, wyładowywał wagony... Szedł już wieczorem do domu i dostał widocznie zawrotu głowy, bo upadł pod przejeżdżający właśnie pociąg. Jeden adwokat z litości wziął na siebie obronę naszej sprawy, ale już dwa lata mija i nic nie ma.

— Z czegoż żyjecie?

— Wychodzimy po kolei i żebrzemy, to ja, to siostra. Ona też chora; we środku coś ją boli. Sąsiadka powiada, że to też rak. Siostrze więcej dają, gdy wychodzi po żebranie, bo bardzo błada. Ja w domu wszystko robię. Piorę ciągle, bo matka wciąż woła o świeże szmaty... Mydło dają w mydlarni darmo, bo znają nas.

— Czemu lufciku nie otworzycie? Tu okropne powietrze.

— Stróż nie pozwala. Powiada, że inni lokatorowie skarżą się, że stąd idzie taki smród, że wytrzymać nie mogą w swoich mieszkaniach. Każe, żeby lufcik był zamknięty... Musimy słuchać, bo oddawna nie płacimy komornego.

Szumski zaznaczał numer mieszkania. Nęcza tu dosięgła najwyższych rozmiarów. Przedewszystkiem musiał umieścić w szpitalu tę nieszczęśliwą i usunąć dziewczynki z atmosfery gnijącej.

Chora śledziła ruch ręki Szumskiego i przywołała go do siebie skinieniem.

Mogła mówić tylko bardzo cicho. Nachylił się więc prawie do samych jej ust.

Straszliwy odór, wydostający się z jej ciała i otwartych ust, sprawiał mu mdłości; nie zmienił jednak pozycyi i słuchał tego co mówiła.

— Co pan chce z nami zrobić? — pytała ledwie dosłyszalnym głosem.

— Chcę przedewszystkiem umieścić panią w szpitalu.

— Mnie nie ruszać... bo w drodze umrę... Nic mi nie pomoże... Do pół od nóg jestem, jak z lodu... Nie o mnie chodzi... Ją ratować... Niech — do szpitala... Obie odemnie zabrać... Na wieś... Niech w polu pracują... Daleko od miasta... odesłać w głusz... Oddać na zawsze w najgłuchszą miejscowość, gdzie najmniej ludzi... Błagam pana... niech je pan zaraz zabierze odemnie... Niech więcej do mnie nie przychodzą... Niech nie wciągają w siebie zatrute go powietrza... Chcę umrzeć sama... Będę umierać spo-



kojnie, gdy ich obok mnie nie będzie... W pole... niech pracują...

Świeże powietrze pól wiejskich było teraz dla nieszczęśliwej ideałem największego szczęścia na ziemi.

— W pole... w pole... — powtarzała, zanieczyszczając oddechem powietrze.

Szumski dał trochę pieniędzy dziewczynkom i obiecał je zabrać jutro, a przy matce zostawić starszą kobietę.

— Zrobię, jak pani chce, — mówił do chorej. — Jedną umieszczę na wsi, drugą w szpitalu, a gdy wyzdrowieje, odeślę też na wieś.

W na pół rozwalonym domku, w jednym pokoju mieszkało kilka rodzin.

Ciemno i duszno było tu od mrowia ludzkiego, od dymu prostego tytoniu, wyziewów ciał ludzkich i swędu z pieca.

Mężczyźni i kobiety leżeli, siedzieli po kątach, na plugawych barłogach, dzieci kłębiły się pośrodku pokoju.

Gwar... hałas... cyniczne wykrzykniki!...

— Czy tu mieszka Kulesza? — spytał Szumski, stając na progu tego piekła ziemskiego.

— A tu... tam w kącie, — odrzekł jakiś starszy mężczyzna i rzucił kartoflem, który jadł, w siedzącego pod ścianą starca.

Ten zawarczał chrapliwie.

Odpowiedział mu śmiech brutalny.

Posypały się w biedaka kawałki węgla, pęki słomy, łupiny z kartofli.

Starzec miał włosy żółte od starości, takąż długą brudną brodę. Chudy był, szczęki mu obwisły. Z pod brudnej, pokrytej robactwem koszuli, wychylały się fałdy pomarszczonej szyi.

W napół oślepych oczach, w opadłych ustach, widniał gniew bezsilny.

Po chwili uspokoił się, podniósł kawałek rzuconego w niego kartofla i zaczął żuć z trudnością.

Ile miał lat, nikt nie wiedział. Od niepamiętnych czasów siedział w tym domu. Za młodu doskonałym był robotnikiem. Miał rodzinę, ta wymarła, rozpierzchła się. Zestarzawszy się, zaczął żebrać. Płacił za kąt, za jadło. Od paru lat zniechęcił się i siedzi beczynnienie. Próbowano go wypędzić, ale nie chciał się ruszyć wcale i tylko skomlił, jak pies, więc go zostawili w spokoju. „Towarzystwo“ składające się z kilku rodzin, mieszkające w tym pokoju, opłaca tu każdy kąt. On siedzi pod ścianą, między kątami, więc nie płaci. Karmią go resztkami. Czasem wypędzają na żebraninę. Wychodzi, gdy jest ciepło i tem co użebrze „towarzystwo dzieli się sumiennie... Ale gdy niepogoda, nie chce iść na ulicę i, choć go wyrzuca, przywlecze się do progu i póty skomli i płacze, póki go nie wpuszczą.

Tego wszystkiego dowiedział się Szumski od „Towarzystwa“.

Mężczyźni i kobiety chętnie opowiadali o starcu.

Sypały się cyniczne dowcipy. Wszyscy byli podpi-  
ci. Parę butelek stało próżnych.

Zdziwili się też, dowiedziawszy się, że Szumski  
ma zabrać Kuleszę i oddać go do jakiego zakładu  
dla biednych.

Byli niezadowoleni.

Dlaczego? Po co? Alboż mu tu źle? Ma wszy-  
stko darmo i jeszcze mu źle!...

— Dobroczynność przypomniła sobie o nim,  
gdy i drugą nogą zstępuje do grobu, — ozwał się  
czyjś głos z kąta, wyróżniający się z całego bru-  
talnego żargonu, kulturalnym dźwiękiem. Nie będzie  
jej za dużo kosztować, a zapisze się na karcie do-  
brodziejstw.

Szumski usiłował rozpoznać rysy mówiącego,  
ale ten palił zawzięcie machorkę, okrywając się  
obłokami dymu.

— On się tam z łańcucha urwie i do nas  
ucieknie... Tu jemu wesoło, — mówił duży wyro-  
stek, o chytrym wyrazie twarzy. — Albo mu tu  
źle? Niech pan zobaczy, jak on wódkę pije!

Wylał z butelki resztkę do małego nadszczer-  
bionego kieliszka, zbliżył się do starca, odchylił  
mu brutalnie głowę i wlał w usta wódkę.

Ten się zachłysnął, kilka sekund chrapliwie  
chwycił powietrze piersią, z jakimś skowytem, uka-  
zując konwulsyjnie szczęki огоłocone z zębów i za-  
niósł się straszliwym kaszlem.

Chuda jego zgarbiona postać wiała się w spa-



zmatycznym ataku, a ze starych oczu leciały łzy po sfałdowanych policzkach.

— O widzi pan, jak mu smakuje, teraz pójdzie w zaloty do Franciszkowej, która na to tylko czeka, — rzekł, śmiejąc się chłopak.

„Towarzystwo“ zawtórowało mu wybuchem wesołości.

Młoda kobieta, na którą wskazywał wyrostek, chichocząc, uderzyła go z całej siły pięścią, potem podeszła do starca i napiła go wodą.

Wydostawszy się na świeże powietrze, Szumski odetchnął całą piersią.

Na poddaszu w mieszkaniu przerobionem ze strychu, mieściła się rodzina suchotników: dziewczyna lat dwudziestu pięciu, żółta, jak woskowa świeca, kaszląca, podobna do cienia, mężczyzna z zapadłą piersią, oczyma przepalonymi gorączką i wypiekami na twarzy i ośmioletni chłopak, leżący na ławie na starym paltocie.

Zdrowi byli: trzyletnia dziewczynka i starszek.

Nie było nędzy. Dwoje pracowało; śmierć tylko się tu rozsiadła i czekała niecierpliwie na ofiary.

— Czy nie możecie umieścić tych małych na wsi? — pytał Szumski podniesionym głosem, gdyż hałas maszyny, na której dziewczyna szyła gorączkowo, ruchem nagłym, zagłuszał słowa.

— Skądże wziąć na to, proszę pana? — zaszeplecił starszek. — Mnie roboty nie dadzą, bo ledwie nogami włączę... Ja tylko w domu... Ugo-

tuje... dzieci nakarmię... Syn i córka pracują... ale gąb tyle... Córka szwaczka, szyje do sklepów... płacą mało. Niech pan patrzy, taka bluzka po czterdzieście groszy... pół dnia córka ją szyje. Proszę patrzeć jakie...

Wziął ze stolika kobiece bluzki, pracowicie wykończone i pokazywał Szumskiemu.

— Niech ojciec nie rusza, — krzyknęła dziewczyna nerwowo, — jeszcze ojciec popłami i będę musiała zwracać pieniądze za materyał, jak zeszłego miesiąca.

Staruszek położył ostrożnie bluzkę i znów zaczął mówić.

— Tyle gąb trzeba nakarmić... Odzienie też trzeba sprawić dla wszystkich... Mieszkanie zapłacić... wegiel... Nafta... tyle tego... Dwoje starszych pomarło na suchoty, a tych dwoje też niedługo-wieczni... Matka była szwaczką... zapracowała się... Dzień i noc pracowała... wszystkie dzieci rodziły się już z gotową chorobą we środku... Ten — wskazał na młodego mężczyznę — to mój najmłodszy. Ożenił się jeszcze młodym chłopakiem... a to jego dzieci Ignas co leży na ławie i ledwie, że ducha nie wyzionie i ta trzyletnia dziewczucha... Synowa zaraziła się tu suchotami i umarła... Drugiej żony syn nie może dostać... boją się do nas oddawać... Taki mór, Boże wielki! — westchnął głęboko. — Gdyby choć małą tę kto wziął... zdrowa jeszcze. O Ignasiu już nie ma mowy... zatracony...

Szumski usiadł przy chłopczyku.

— Pojedziesz, Ignasiu, ze mną na wieś, — spytał.

Chłopak spojrział na niego obojętnym wzrokiem i ręką przycisnął pęk suchych ziół do zapadłej piersi.

— Nie zabierze mię pan stąd, — odrzekł cicho.

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo byli już tu... każdy obiecywał... Dawali dziadkowi trochę pieniędzy... ale mnie nie wzięli.

— Ja cię wezmę.

— Nie weźmie pan, bo dziadzio mówi, że już umrę. Umarłbym dawno, ale stara Teofilowa przyniosła mi te zioła, żebym wachał i lepiej mi się zrobiło. Teofilowa mówi, że może wyzdrowieję od tych ziół.

Szumski wziął jego małą rączynę i pieścił w swych dłoniach.

Wpatrzył się w oczy dziecka, w głąb jego biednej duszyczki; tu gospodarowała już śmierć chłodna, obojętna, zadająca kłam tym, co obiecywali życie.

We wzroku Szumskiego było tyle litości i żalu i taka ogromna chęć przyniesienia ulgi małemu męczennikowi, że ten, jakby pod promieniami ciepła ożywił się nagle.

Pan mię zawiezie do Skolimowa? Ja tam byłem już raz z ciotką Franią i Filusiem. Przyszliśmy pieszo i nocowaliśmy w lasku, pod willą, bo było ciepło... Chciałbym znów pójść!

— Cóż ci się tam tak podobało?

— Tam zielono i... cicho, — rzekł i spojrzął zmęczonemi oczyma w stronę szyjącej ciotki.



Dziewczyna poruszyła gorączkowo nogą koło maszyny. Woskowe jej ręce, przesuwały się szybko po białej wełnie bluzki, rozpostartej pod igłą maszynową.

Błyszczące jej oczy nagliły te woskowe ręce do pośpiechu.

Dziś musi zanieść bluzki, otrzyma za nie po czterdzieści groszy. Jutro sklep na tych bluzkach dobrze zarobi.

— Tam tak... cicho, — powtórzył Ignas.

Widocznie osłabione jego nerwy nie wytrzymały hałasu rozklekotanej maszyny.

— Tu mię tak boli i tak coś huczy... — skarzył się cichym głosem, pokazując na skronie.

— Pan mię zawiezie do Skolimowa?.. — spytał znów, patrząc badawczo w oczy Szumskiemu. Szumski przez chwilę milczał.

Do wiosny było daleko, a na rysach dziecka kładły się już cienie wiecznej nocy, czy wiecznego życia.

Chłopak odwrócił się i obojętnym wzrokiem zaczął patrzeć po ścianie.

Czuciem wysubtelnionem bliskością śmierci, odgadł w chwilowem wahaniu Szumskiego, że i ten, jak inni, pójdzie i więcej nie wróci.

Szumski usiłował znów ożywić chłopaka. Mówił mu o Skolimowie, pytał, jak się nazywają te ziola, które mu Teofilowa dała, wziął parę badyłków leżących na piersiach chorego, wśród których przeważał zapach mięty, obiecywał przysłać śwież-

szych, ale chłopak już nie odpowiadał. Wzrok wbił w ścianę i tylko kiedy, niekiedy podnosił nagle głowę i patrzył na szyjącą ciotkę z bolesnem, nerwowem drganiem lewej powieki skurczonej nagłym bólem i wnet opuszczał biedną głowinę bezsilnie.

Szumski obiecał zabrać jutro dziewczynkę. Wychodząc spojrzął jeszcze raz na Ignasia i spotkał się z jego wzrokiem uduchowionym cierpieniem, świecącym niedzielnym rozumem.

Wzrok ten mu mówił:

— Wiedziałem, że i pan nie zabierze mnie stąd. Niezmierny żal ścisnął serce Szumskiemu.

— Jaką missyę mają do spełnienia ci męczennicy życia, których natura, jak morze muszle, wyrzuca milionami na świat?... Zjawiają się niepożądani, palą się bladym, chorym płomykiem i gasną, zdmuchnięci nędzą!...

I jeszcze stary paralytyk i jeszcze dziecko, któremu ojciec w chwili napadu alkoholicznego szaleństwa wybił oko, dziecko katowane przez wiecznie pijaną matkę.

O zmroku wrócił Szumski do domu. Ledwie się trzymał na nogach ze zmęczenia, twarz miał szarą, a wygląd tak zgnębiony, jakby cała odpowiedzialność za nędzę, gniotącą ludzkość, zaciężyła na nim.

W przyszłe święto miał iść tam znowu. Pieśniadze przeznaczone dla „najuboższych“ nie były jeszcze wyczerpane.

## ROZDZIAŁ X.



ierwsze tygodnie wiosny zmienne i burzliwe przeleciały szybko, roztapiając się w pachnącym, eleganckim maju.

Z głębokiego snu zbudził panią Michalinę jakiś dziwny odgłos, niby łoskot walącego się drzewa w parku otaczającym dom.

Podniosła głowę i przysłuchiwała się.

Do jej uszu najwyraźniej dolatywały zgodne uderzenia kilku siekier, oddalone dźwięki głosów ludzkich.

Spojrzała na zegar, było jeszcze rano.

Zwykle wstawała o świcie, ubierała się i szła doglądać gospodarstwa, które w lecie zabierało jej o wiele więcej czasu, niż zimą. Dziś była zmęczona i sen kleił powieki, ale ruch w parku o tak niezwykłej godzinie nie pozwalał jej zasnąć.

Wstała więc i narzuciwszy na siebie ranne ubranie, zamierzała wysunąć się z pokoju, gdy Nelia otworzyła oczy.

— I ja pójdę z panią. Proszę poczekać!...



— Spij, dzieciątko! Jeszcze bardzo wcześnie.

— Pójdę. Nie chcę już spać!

Zerwała się z łóżeczka i po chwili schodziły ze schodów werandy.

Powitał je wspaniały poranek. Natura rozbiła swój namiot rozrzucając chełpliwie towar wiosenny.

Rozkwitające śnieżne akacje, stanowiące przednią straż parku, otrząsały się z nocnej kąpieli, oddychając balsamicznie. Słońce ukryte jeszcze za wysokimi drzewami, słało już swe hufce promienne, które złotemi płachtami obwijały gałęzie i liście, osuszając je z chłodnych kropel rosy. Przelatywał zapach kwiatów, trawy, świeżo poruszanej ziemi na klombach. Szczebotały ptaki, swawoliły w paśmie słonecznym muszki tęczobarwne, osiadając na młodziutkich pączkach, tonąc w powodzi tęczyowych kwiatów. Na schyłku widnokregu uciekały zapóźnione mgiełki. Oswojona sarna wychyliła z za drzew swój pyszczek i wnet się cofnęła, spłoszona widokiem olbrzymiego kota, węszącego zdobycz.

Odgłos siekier uderzających w drzewo dał się słyszeć wyraźnie.

— Co to? — spytała zdziwiona Nelcia.

— Nie wiem. Idę właśnie, żeby się dowiedzieć co znaczy ten niezwykły ruch w parku.

Przeszedłszy przez małą boczną aleję, wydo stały się na polankę i ujrzały kilku ludzi, usiłujących zwalić olbrzymi kasztan.

— Co to jest? Dlaczego? Kto kazał?... — py-

tała prędko pani Michalina ekonoma, który stał obok i przypatrywał się robocie.

— To, proszę pani, pan dziedzic kazał zwalić te trzy kasztany, bo na nich gnieździ się mnóstwo wiewiórek, które niszczą owoce i drzewa w ogrodzie, a przytem kasztany te zasłaniają widok na okolicę i nie pozwalają rozrastać się innym drzewom. O! jednemu już daliśmy radę, leży zwalony, teraz drugi pójdzie za nim. Niewarto żałować! Niech starsze ustępują z drogi młodym! — rozśmiał się rubasznie ekonom. — Zasadzone w tym roku, co dom się budował. Ale niech pani i panienka usuną się, bo tu niebezpiecznie stać, zaraz runie.

Pani Michalina odprowadziła Nelcię na bok i niemogąc przemówić słowa, patrzyła na robotników, którzy dokonywali dzieła zniszczenia, zachęcając się wzajemnie zgodnem, rytmicznym hasłem.

Kasztan stał jeszcze chwil parę, wstrząsając się pod uderzeniem siekier; nagle zadrzał silniej pod zdwojonymi ciosami i słaniając się, oparł się śmiertelnie raniony na towarzyszu niedoli, który stał obok, oczekując swojej kolei; poczem zsunął się powoli i legł ciemną plamą na złoconej przetrzeni.

Na odgłos upadającego drzewa rozległ się jękliwy krzyk pawia, ucichł szczebiot ptaków, uczujących na jarmarku wiosennym i w parku zrobiła się taka cisza, jaka zapanowywa wśród tłumu w chwili, gdy mu oznajmią wieść przerażającą.

— To nasz kasztan! — zawołała bliska płaczu Nelcia, która stała dotąd osłupiała z otwartą buzią. — Nie może być, ażeby tatuś kazał go zabić!

Pani Michalina zwróciła prędko swe kroki ku domowi, wiodąc Nelcię za rękę.

Te kasztany były splecione z najmiłszymi wspomnieniami, łączącemi ją z Hornicą.

Gdy tu przybyła po raz pierwszy, piękne te drzewa osypane były blado-różowem kwieciem i osłaniały od skwaru i burzy kilka maleńkich drzewek. W ich cieniu za nadejściem ciepłych dni codziennie spędzała z Nelcią kilka godzin; tam dziewczynka uczyła się pierwszych liter.

Zniszczyli je, tak jakby to nie było coś żyjącego... jakby nie oddychało jednym powietrzem z mieszkańcami starego dworu... Zabili... bo im zasłaniały piękny widok, bo dawały schronienie bezbronnym zwierzątkom. Oh! gdyby to było jej własnością, broniłaby każdej cegiełki ze ścian tego drogiego domu, każdego listka z otaczających go drzew....

Dla niej wszystko tu żyło.

— Niech starzy ustępują młodym z drogi, — szepnęła jej coś złowrogo do ucha.

— Gdzież się moje wiewiórki podziały?! Nie widziałam ani jednej! — wykrzyknęła z rozpaczą Nelcia, przypomniawszy sobie zwierzątka, które, się na kasztanach gnieździły i tak były oswojone, że niektóre brały nawet z rąk jedzenie.

— Pewnie je pozabijali! Niedobry tatuś!



— Tatusz nie pozwolił ich zabijać i skoro obierzemy sobie inne miejsce do przesiadywania, wiewiórki przyjdą tam zaraz, — pocieszała pani Michalina dziecko.

O czwartej przyjechał Widzki na obiad i przywiózł z sobą Szumskiego.

— A widzi pani Michalina co za niespodzianka! — rzekł. Wiedziałem dobrze, że mi grozi porachunek za kasztany i pomimo, że fabryczne towarzystwo pokazywało mi zęby, zabrałem gwałtem pana Szumskiego, a zostawiłem im na pociechę literata — Piotrowina, którego z sobą przywiózł.

— Na długo, Władziu? — pytała uradowana pani Michalina.

— Niestety, nie! Na parę dni tylko. Podczas wakacyj mam zapewnione stałe lekcye. Tosia wyjechała z dziećmi do Ciechocinka, a ja skorzystałem ze zbliżających się Zielonych świąt i zabrawszy Omkiewicza, który ma podczas lata przygotować do gimnazjum synka doktora, przyjechałem.

Twarz miał bledszą i wyglądał gorzej, niż w jesieni, kiedy pani Michalina widziała go ostatni raz.

— Wyczerpany jesteś?

— Trochę zmęczony. Tu zaczerpnę świeżego powietrza.

Nazajutrz Nałęcz przyjechał do Hornicy po Szumskiego. Znał go jeszcze młodym chłopakiem, wówczas, gdy ten spędzał wakacje w domu pani Michaliny, której mąż trzymał dzierżawę nieopodal cukrowni.

— Zmarnował się nam Władek — mówił. — A szkoda! Co to był za lotny umysł, co za wrażliwa dusza! Belferka go zmarnowała. Nie darmo istnieje przekleństwo: „bodajbyś uczył cudze dzieci“!

— Pracuje za wiele i martwi się, bo praca źle się opłaca. W Warszawie życie drogie. Warto było się uczyć w ciągu lat trzynastu, żeby później cierpieć wraz z rodziną całe życie niedostatek. Bo i cóż to znaczy dziewięćdziesiąt rubli miesięcznie przy dzisiejszych warunkach życia? Alboż to nauczyciel wyższego naukowego zakładu powinien biegać i szukać lekcyj po mieście, żeby tylko zaspokoić najkonieczniejsze potrzeby rodziny. Ciągłe jeszcze dają się słyszeć narzekania na brak zdolnych i sumiennych profesorów.

— Bo też na tem stanowisku potrzebni są ludzie dzielni i z sercem.

— To niechże społeczeństwo dba o nich! — wybuchnęła pani Michalina. — Ja powiadam, że ta belferka, to pułapka na idealistów. Oni marzą o wielkiem posłannictwie, o wpływie na przyszłych działaczy, o zasiewie ziarn postępu, a tymczasem wpływ ich na młodzież jest zupełnie ograniczony różnymi warunkami. Po upływie pewnego czasu stają się tylko automatycznymi tłómaczami treści książek i w dodatku całe życie borykają się z niedostatkiem.

Z przybyciem Szumskiego zawiązały się serdeczniejsze stosunki między Hornicą i mieszkańcami cukrowni. Niemal codziennie przyjeżdżał Szumski

do Hornicy i prawie zawsze towarzyszył mu Czesław, któremu rodzina Widzkich coraz więcej się podobała. Nawet Terenia, wypiękniona miłością i ożywieniem, wywierała na niego dość sympatyczne wrażenie i myśl o małżeństwie z nią nie była mu już wstrętna. Pragnął tylko, żeby czas konkurrów, ślub, a nawet miodowe miesiące jak najprędzej minęły, żeby, zrzuciwszy z swych bark ciężki przymus, mógł siedzieć spokojnie w wygodnym fotelu, paść dobre cygaro, nie myśląc o kłopotliwej wyprawie po złote runo.

Młodzież, korzystając z pięknej pogody, bawiła się świetnie.

Zarnicki niewyczerpany w pomysłach, gdy szło o przypodobanie się Lisi, wymyślał coraz to nowe zabawy. Wiedząc, że bardzo lubiła jeździć łódką, powziął myśl urządzenia majówki pośród rzeki na tratwie z powiązanych czółen.

Szukał właśnie młodej dziewczyny w ogrodzie, gdzie mu przed chwilą mignął niebieski fartuszek. Domyślił się, że udała się w kierunku rzeki i, prze-darłszy się przez krzaki, bliższą drogą szedł na jej spotkanie. Zdaleka już spostrzegł Lisę biegnącą w stronę rzeki. Obie ręce trzymała wyciągnięte przed siebie. Dotarłszy do brzegu, ukłękła, zanurzyła je w wodzie i wymyła starannie.

Zarnicki zbliżył się.

Lisia miała minkę wyrażającą wstręt, wycierała palce fartuszkiem do czerwoności.

— Pani jest czegoś niezadowolona.



— Ach... to ten... wstretny Julian! Żegnając się zatrzymał moją rękę dłużej; wyrwałam mu ją, ale miałam takie uczucie, jak gdybym rękę z mydła wyciągnęła. Co za obrzydłe łapy! Mokre i zimne!... Dotychczas czuję dreszcz obrzydzenia...

Zarnickiemu naraz się zdało, że kawał słońca osunął się na ziemię i rozpromienił wszystko dookoła, że gałęzie mrugają do niego figlarnie, a rzeka marszczy się uprzejmym uśmiechem.

Przed paru godzinami widział Juliana, wchodzącego do domu dyrektorstwa z prześlicznym bukietem, i dręczył się myślą, że ten już się oświadczył i został przyjęty.

— Panno Lisiu!... Czy to prawda? Czy pani ma rzeczywiście taki wstret do tego zarozumiiałego dorobkiewicza? Więc to prawda panno Lisiu?... A ja myślałam co innego... i jestem taki szczęśliwy z tego co pani powiedziała, że... doprawdy nie wiem już, jak jestem szczęśliwy... Aż mi się myśli płaczą... Myślałam, że podoba się pani ten... głupiec...

A teraz jestem taki szczęśliwy!

— Co oznacza ta piękna przemowa pana? Coś w rodzaju oświadczyn — spytała Lisia z poważną miną.

— Ale to żaden rodzaj... to najgorętsze wyznanie, panno Lisiu... bo ja panią szalenie kocham pierwszym i ostatniem uczuciem miłości — mówił Zarnicki uszczęśliwionym głosem.

— Pierwszem i ostatniem? To bardzo pięknie z pana strony. Żałuję tylko, że nie mogę się panu

wy wzajemnić, bo ja... nie kocham pana ani pierwszym, ani ostatniem... ani wogóle żadnem uczuciem.

Zarnicki pobladł.

— Tak?... Byłem prawie pewny, że tak jest... że pani bawi się mną tylko.

— Poczóż się było oświadczać?

— Myślałem... myślałem... Zresztą co myślałem, to pani nie obchodzi zapewne, a zatem najlepiej zrobię, gdy odejdę. Moje uszanowanie pani.

— Żegnam pana.

Zarnicki skłoniwszy się, pobiegł, jak waryat przez łączkę do fabryki.

Lisia patrzyła za nim przez chwilę, następnie zdjawszy pantofelki i pończochy, powędrowała boso po mokrym brzegu do siostry, która na nią czekała około łazienki.

— Co to Zarnicki tak nagle popędził do domu? — spytała pani Celina.

— Oświadczył mi się i dostał kosza.

— Nie podoba się tobie? — spytała dyrektorka z zadowoleniem, wołała bowiem, dla siostry na męża człowieka, któryby przedstawiał większą rękojmię dobrobytu, aniżeli rozpoczynający zawód technolog.

— Przeciwnie. Zakochana w nim jestem po uszy i za niego tylko wyjdę — odrzekła Lisia, wkładając na siebie strój kąpielowy.

— Dlaczegoż więc odmówiłaś mu?

— Poczóż mam się spieszyć? Oświadczy się jeszcze parę razy. Będę miała aż nadto czasu na

łezki, rumieńce i inne panieńskie komedye, niezbędne przy prawidłowych oświadczeniach.

— A jeżeli się obrazi i nie oświadczy się po raz drugi?

— Nie znasz zupełnie mężczyzn, Celinko. Oświadczy się tyle razy, ile zechcę — odrzekła Lisia. — Chwila obecna jest bardzo przyjemna i chciałabym ją przedłużyć o ile się da. Wiesz, mężczyzna zakochany podobny jest do dzwonka elektrycznego. Spraktykowałam to na sobie. Gdy chcę podrażnić Zarnickiego, wzbudzić w nim zazdrość, przyciskam guzik, to jest chwałę Juliana; dzwonek daje sygnał i zaalarmuje tak biedaka, że aż mi go żal. To znów, kiedy zatęsknię za jego rozkochanym wzrokiem, cichnę, milknę, rozmarzam się. Dzwonek dzwoni, a Zarnicki mało nie płacze z miłości... I tak wciąż. Wszystko to zależy od umiejętnego obejścia się z dzwonkiem — zakończyła Lisia swoje poglądy, rzucając się do wody.

Zarnicki tymczasem szedł, jak nieprzytomny.

Miłość jego dosięgła olbrzymich rozmiarów; po za tą roztrzępaną dziewczyną nic dla niego nie istniało.

Wiedzieli o tem wszyscy w fabryce. Lisia wprost pastwiła się nad nim. Mijały nieraz całe dnie, w których go unikała, traktując przy koniecznem spotkaniu chłodno, pogardliwie, flirtując z Julianem, to znów stawała się łagodną i taką miłutką, że Zarnicki wskoczyłby w ogień za nią.

Dyrektor bardzo mu sprzyjał, ale pani Celina



niechętnem okiem patrzyła na jego zabiegi w celu pozyskania miłości jej siostry i zawsze nader uprzemie przyjmowała Juliana, który pod różnymi pozorami zjawiał się w cukrowni i wyraźnie był zakochany w Lisi.

Zarnickiemu czasem się zdawało, że czyta wstępną twarz Lisi, gdy patrzyła na Juliana, ciągle szukającego jej towarzystwa, to znów był przekonany, że nie odrzuci tak dobrej partyi.

Ta ciągła niepewność doprowadzała go do rozpaczy.

Spotkawszy Omkiewicza, z którym go łączyły dobre stosunki jeszcze w szkołach, zaraz mu opowiedział o swoich troskach.

— Ależ to jasne, jak dzień, że panna Felicya nie kocha twego rywala — pocieszał go kolega.

— Ale i mnie nie kocha. To natura zimna, egoistyczna! Takie natury igrają tylko ludźmi, bawią się ich cierpieniem.

— Jej postępowanie nie dowodzi jeszcze wcale, żeby cię nie kochała. Młoda jest, swawolna, drażni cię, tylko, bo też, co prawda, ogromnie dokuć czas jej swoją miłością. Gdy jesteście razem, ani na krok jej nie odstępujesz, a tego, kto się do niej zbliży, pożerasz oczyma, płonąćmi wściekłą zadróżnością.

— O, teraz już będzie co innego! Dość już tego znęcania się nademną. O, niema głupich! Nie dowie się już więcej, co się w mojej duszy dzieje. Będę twardy i obojętny, jak skała.

— Uhm... — mruknął sceptycznie Omkiewicz.  
— Widziałem wczoraj długo światło w twoim pokoju, może zaczęłeś co pisać? — spytał Zarnicki po chwili milczenia.

— Próbowałem — odrzekł niechętnie Omkiewicz.

— I cóż?

— Pustka. Przekonałem się, że do niczego, nie mam nawet cienia talentu.

— Jako? Dlaczego?

— Od kilku tygodni ani jednej myśli, ani jednej kreacyi, żadnego typu. W czaszce głupio; jakies stężenie mózgu. Wezmę pióro do ręki, chcę pisać, myśl nie słucha, odlatuje do przedmiotów, nie mających żadnego związku z tem, co pisać zamierzam. Dziś widzę, że napróżno zmarnowałem tyle czasu, bo w duszy nic mi nie śpiewa. Jak głupiec obrażałem się, że dzienniki mileżą, nie winszują mi geniuszu — szydził z goryczą sam z siebie.

— No, przecie napisałeś dużą powieść. Szumski mówi, że masz talent prawdziwy.

— Szumski mówi to dlatego, że bym nie zdechł z rozpacz. Napisałem marną bajkę i już się wyczerpałem, twórczość się ulotniła.

— Daj odpoczynek mózgowi! Nikt nie pisze bez wytchnienia w ciągu kilku miesięcy.

— Alboż nie dałem sobie odpoczynku? Tyle tygodni! Czuję sam, że to wszystko mrzonka. Talentu nie mam i najlepiej zrobię, gdy się postaram

o jaką bodaj marną posadę na kolei. Porzuciłem politechnikę i innej drogi nie mam — biczował się Omkiewicz.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś, ale już o Lisi, na którą Zarnicki znów się użalał.

Po jego odejściu Omkiewicz zaczął chodzić gorączkowo po pokoju.

Był wysoki i tak szczupły, że aż pochyły. Rysy miał ładne, chociaż nadmiernie wychudzone. W niebieskich oczach leżała smutna zaduma, rzucająca cień na całą twarz. Nawet w chwilach pustej wesołości, podczas gdy usta jego śmiały się, oczy zdawały się mówić: Jakże mi smutno!

Po chwili usiadł i wpatrzył się bezmyślnie w rozkoszną zieloność, zaglądającą w okno.

Opanowała go rozpacz. Nie miał przyszłości.

Rzucił politechnikę za podszeptem żyłki piarskiej, która jednak okazała się mrzonką.

Napróżno zmarnował dwa lata pracy, kształcąc swój umysł w kierunku literackim, poświęcając zaledwie okruchy czasu na zarobek, chroniący go od śmierci głodowej, talentu nie odgrzebał w sobie, bo go widocznie nie miał.

Napisał powieść i posyłał ją do kilku dzienników z propozycją wydrukowania. Zewsząd jednak spotykała go odmowa. Jeden z wydawców dawał za jego powieść sto pięćdziesiąt rubli.

Był już zdecydowany oddać ją niemal za darmo, gdy Szumski w imieniu Rychłowskiego zapro-



ponował mu pożyczkę na druk, która miała być uiszczoną z pierwszych sprzedanych książek.

Publiczność powieść rozchwytywała, ale obozy krytyków milczały. Lewica była niezadowoloną z tego, że rozgoryczony złą wolą, zmęczony pasowaniem się własnego ducha z zagadką życia, nie znajdując nigdzie pewnika, autor czynił wiedzę winowajczynią wszystkich cierpień ludzkich; prawica gorszyła się, że w powieści złe uczynki nie były ukarane, a dobre wynagrodzone.

Przytem subtelna natura autora, przeczulona wskutek rzeczywistych cierpień duszy, dźwięczała w opowiadaniu nadmiernie wyegzaltowaną nutą, wpadającą niekiedy w lekki sentymentalizm, co kazało podejrzywać w autorze kobietę i z góry pogarszało sprawę. Budowa zaś całości była wadliwa, bo autor nie znał jeszcze architektury literackiej i swe dzieje budował tylko kielnią i młotem talentu.

Po wydrukowaniu książki w ciągu paru miesięcy, był jak w gorączce, teraz zaczynały go trapić czarne myśli. Przewidywał zupełny upadek swoich nadziei. Co mu nadal pozostaje? Nie posiadał rodziny, przyjaciół, sam był na świecie i za całe wspomnienie miał walkę z biedą, która mu towarzyszyła od kolebki.

Nadaremnie tło nowej powieści rozwijało mu się w mózgu, jak barwna, jednolita wstęga. Omkiewicz nie wierzył już w swe zdolności autorskie.

— Znowu będzie coś niedowarzonego. Nie

będę pisał. Szkoda rubla na papier — powstrzymał siebie, gdy ręka mu się wyciągała do pióra.

Wszystkie jednak wysiłki stłumienia w sobie twórczości nie odnosiły skutku.

Gdy tylko sam pozostał, natychmiast w jego wyobraźni zjawiały się nieznanne mu miejscowości, nieznanne postacie, które mu opowiadały swe dzieje, odkrywały serca. On czytał w ich myślach i jakby zaklęty jakąś mieszkającą w nim potęgą, musiał cierpieć i radować się z nimi. Niekiedy dzień cały czuł, że mu łyzy podstępują do gardła, niekiedy znów bezwiednie uśmiechał się do wesołych obrazów, przemykających mu przez myśl. Często baśń twórcza budziła go w nocy i kusiła, by jej treść przelał na papier. Zapalał więc świecę i z błyszczącymi gorączkowo oczyma rzucał na świstki papieru szkice, sylwetki, sceny całe, nie śmiejąc ich skleić w całość, drąc rano, to co napisał wieczorem, bo wszystko zdawało mu się za mało żyjącem.

Piękna okolica otaczająca cukrownię i przyjemne towarzystwo podziało na niego ożywczo. Brał udział we wszystkich rozrywkach, godzinami błędził samotnie nad wodą, lub po lesie, nie mógł jednak odpędzić od siebie dokuczliwego pytania, co z nim będzie, gdy letnie miesiące przelecą.

Dziś gnębiące myśli męczyły go od rana. Doktor przy śniadaniu wspomniał mimochodem, że w cukrowni wakuje miejsce pomocnika buchaltera i że Omkiewicz mógłby je łatwo otrzymać, gdyby zechciał.

Wszyscy więc myślą, że nie ma talentu, że zmarnował na próżno lat kilka i starają się podać mu zbawczą dłoń, żeby nie umarł z głodu, bo gdyby wierzyli w jego autorskie zdolności, nie proponowaliby mu mechanicznego obowiązku sumowania cyfr.

Wprawdzie doktor w końcu rozmowy dodał: „będziesz pan miał dość czasu na uprawianie swojej literatury“, ale Omkiewiczowi zdawało się, że ironia brzmiała w tych słowach.

Kolumny martwych cyfr i ocean fantazy!

— Panie Bolesławie! Pan śpi, czy marzy? — ozwał się pod oknem wesoly głos Lisi.

Poje się żółcią — odrzekł, wychylając się przez okno.

— Takie brzydkie uczucie, w taki piękny dzień! Chodźmy lepiej na spacer!

Omkiewicz wyszedł zaraz i w kilku susach dopędził Lisie.

Byli w ogromnej przyjaźni. Dziewczyna, obdarzona niezmiernie dobrem sercem, widząc go takim znękanym, usiłowała wlać w niego otuchę.

Zachwycała się jego książką tak szczerze, niekłamane, z takim zajęciem rozpytywała o treść nowej powieści, którą miał ujarzmioną w wyobraźni, że Omkiewicz po każdej z nią rozmowie czuł się wzmocnionym na duchu.

Podążyli w stronę placyku, na którym urządzony był lawn-tenis. Niewiadomo jakim sposobem Zarnicki znalazł się na ich drodze. Lisia, jak gdyby



między nimi nic nie zaszło, zaproponowała mu, żeby też szedł grać w piłkę.

Odmówił z miną poważną pod pozorem zajęcia w fabryce.

Zaledwie rozpoczęli grę, gdy z cukrowni doleciały do nich głosy pełne trwogi.

— Co się tam stało? — spytał Omkiewicz biegnącego robotnika.

— Józef chciał nalać oleju w maszynę i pokaleczyło go. Biegnę po doktora — odpowiedział robotnik.

Lisia i Omkiewicz puścili się pędem do fabryki.

Panował tam niezwykle ruch. Jednemu z robotników koło od maszyny urwało wszystkie pięć palców u prawej ręki.

Był to młodytrzydziesto letni mężczyzna. Rysy jego skurczone były spazmem bólu. Stał, ścisnąc mokrą płachtą rękę, z której krew spływała na podłogę, i z gorączkowym niepokojem w oczach pilnie przysłuchiwał się rozmowie zebranych zwierzchników, obradujących nad przyczyną wypadku.

Niepokój ten, żarzący się w jego wzroku, zapalał także płomyki w oczach jego matki i żony, które na wieść o wypadku przybiegły i stały obok ranionego, przerażone, stroskane o przyszły byt. Przysłuchiwały się półszepotem zebranych panów, oczami zawisły na twarzy dyrektora, który miał decydować o ich przyszłości.

Felczera nie było, gdyż właśnie wezwano go do poblizkiego miasteczka. Doktor, który tylko co przyszedł, zwrócił się do otaczających robotników z poleceniem, żeby mu przynieśli wody i oczyma szukał między obecnymi kogoś, ktoby mógł mu pomóc w mającym nastąpić opatrunku.

Dwie małe ręce już zanurzały w zimnej wodzie okłady i obwijały niemi dłoń pokaleczzonego robotnika.

Doktor rzucił przelotne spojrzenie na poblądłą twarz Lisi i, nic nie mówiąc, przyjmował jej usługi.

Po skończeniu opatrunku, Lisia, pochwyciwszy niespokojne spojrzenie ranionego, zwrócone na obradujących, podeszła do szwagra i przysłuchiwała się jego rozmowie z otaczającymi go panami.

Po chwili pociągnęła go za rękaw. Dyrektor obrócił się zdziwiony.

— Co ty tu robisz, Lisiu? Idź do domu!

— Powiedz mi, co będzie z Józefem? Z czego będzie żyła jego rodzina? — pytała prędko.

— Na co ci to wiedzieć?

— Muszę go uspokoić! Jacy oni przerażeni.

— Zapewne otrzyma zapomogę, dopóki nie wyzdrowieje.

— A potem?

— Może mu dadzą w fabryce odpowiednie zajęcie. Ale ty idź stąd zaraz!

Lisia wróciła do grupy, która się uformowała obok pokaleczzonego.

— Bądźcie spokojni! Dopóki będziecie chorzy, ani wam, ani waszej rodzinie na niczem zbywać nie będzie, a później dostaniecie dobrą posadę przy fabryce — mówiła prędko, głosem urywanym ze wzruszenia.

— Gotowa przyobiegać, że mu palce odrosną — rzekł Czesław do Omkiewicza.

Zarnicki wreszcie wprowadził ją z fabryki.

Szli pod rękę, rozmawiając o tem co się stało, zapominając, ona o figlach i zalotności, on o obrazie. Mimowoli przyciskał jej rękę do siebie, pragnąc, żeby się uspokoiła.

Oboje doznawali uczucia ludzi połączonych serdecznem przywiązaniem, którzy w chwili moralnych wstrząśnień działają wzajemnie na siebie uspokajająco.

— Pójdę do Celinki. Jest pewno bardzo niepokojną — rzekła, gdy dochodzili do mieszkania dyrektorstwa.

Zarnicki pocałował ją kilka razy w rękę i, gdy znikła w drzwiach, powrócił do fabryki.

W drodze spotkał Szumskiego i Czesława.

— Odwieźli już Józefa? — spytał. — Ciągłe wypadki. Nieszczęśliwy człowiek!

— Będzie pewnie wynagrodzony, chociaż poniekąd sam sobie winien — odrzekł Czesław, wyjmując cygaro z ust.

— Czemże można wynagrodzić utratę samodzielnego bytu — podjął Zarnicki gorąco. — Gdyby mu nawet zapewniono stałą pensję do końca ży-



cia, to nikt mu nie wynagrodzi przymusowej bezczynności, tej moralnej krzywdy, która go może rzucić na drogę pijaństwa, jak mamy dowód na Zawale; z najlepszego robotnika, gdy go koło pomieło, stał się pijakiem, a następnie podpalaczem.

— Daj pan pokój! Kto może mieć pretensję o to, że go uwolniono od przymusowego przebywania w piekielnym ogniu — rzekł Czesław.

— Więc pan w prostym robotniku nie uznaje żadnych instynktów, poza tymi, które mu podyktowała natura?

— W prostym robotniku... żadnych. Jeść, pić, kochać — to prawo, które on odczuwa. Reszta to są wety po obiedzie, a o tych prosta klasa nie ma pojęcia.

— Filisterskie dowodzenie!

— Nazwałbym moje zdanie prawdą... bez sukienek.

— Ja też nie podzielam pańskiego poglądu — wmieszał się Szumski. — W pierwotnym nawet człowieku tkwił zarodek etyczny, a cóż dopiero mówić o dzisiejszej ludzkości, dojrzewającej w promieniach ogniska kultury, popychających świat do udoskonalenia się. Potrącona boleśnie taka struna etyczna może wywołać bunt bezwiedny w danej jednostce, bunt ducha upokorzonego, energii niezużytkowanej. Jedną z głównych przyczyn występku wpływa z bezczynności i z bezwiednego czasem nawet poczucia krzywdy, pochodzącej bądź od ludzi, bądź od losu.

— Ten jednak instynkt etyczny nie przeszkadza ludziom zrzucać chętnie z siebie wszelkiego ciężaru na barki bliźniego i z życia wyławiać najmniejszy procent przymusu i fatygi, — odrzekł szyderczo Czesław.

— Zabardzo gorzko zapatrujesz się pan na świat. Sumę pesymistycznych wrażeń czerpiemy najczęściej z własnego rozgoryczenia, a tego powodem bywa zwykle wygórowana miłość własna.

— Pan więc jest tego zdania, że ludzkość się doskonali. Zaprzecza chyba temu wzmagająca się nędza. Dieje niewolnictwa idą w zapomnienie, a ludzkość nie stała się szczęśliwszą, ani pozbyła się pierwotnych instynktów, chociaż utopiści chcą w jutrze upatrywać Eden.

— Każdy ruch ludzkości dojrzewa przez wieki. Świat idzie popychany nie dzisiejszym motorem i ci, co chcą urzeczywistnić cele, zrodzone zaledwie w marzeniach, są tylko dzisiejszymi utopistami, snującymi jednak przedzę jutrzejszego plonu, odrzekł Szumski.

Doktor przeszedł obok nich, spiesząc do domu.

— Dyrektor prosi jeszcze na chwilę panów do fabryki — rzekł.

Szumski poszedł sam drogą, wiodącą w górę.

Cierpienie ludzkie oddziaływało zawsze na niego gnębiąco.

Spojrzenie pokaleczonego robotnika, który śledził narady zwierzchników z niepokojem, przemagającym straszny ból fizyczny, uderzyło go grozą.

W spojrzeniu tem widział strach przed grożącym rodzinie widmem głodu.

Szumski znał ten strach przed jutrem niezapewnionem. Z widmem niedostatku tyle już walczył. Lata całe odpędzał je od swego progu i wciąż wracało, natrętne, a grożące jeszcze biedniejszym jutrem.

Cóżby się stało z jego rodziną, gdyby nie-szczęśliwy wypadek wytrącił mu z rąk pracę?

Wydostawszy się na szczyt drogi, wiodącej w górę, przystanął z trudem, oddychając.

Będąc młodzieńcem, przebiegał niemal jednym tchem ten stromy gościniec, dziś, doścignawszy najwyższego jego punktu, czuł, że go siły opuszczają, a serce bije silnie i nierówno.

Odpocząwszy, zaczął szukać drzewek, które, jako dzieciak jeszcze, pomagał sadzić robotnikom fabrycznym.

Znalazł je prędko.

Sześć brzóz.

Wysokie, białe brzozy!

Spojrzeni na siebie. Znali się od dzieciństwa. Brzozy były rozrośnięte, w niebo niosły głowy; człowiek miał przedwczesną siwiznę, z oczu mu wyzierała umęczona dusza.

Wieczór już opadał z łagodnego nieba. Powietrze pachniało ziemią. Wszystko pulsowało życiem. Wszystko żyło, jak dawniej. Rosły drzewa, krzaki, drgała życiem szmaragdowa trawa, mieniły się odbłaski zachodzącego słońca, dziś, jak wczoro-



raj, jak przed wiekami. Nieustanne zmiany w zarządzie natury odbywały się cicho, niepochwytne dla oka ludzkiego, nowe życie wzrastało na popiołach zgasłego życia, a zawsze cicho, niepostrzeżenie.

Szumski zdjął kapelusz i położył się na trawie.

Przez chwilę wpatrywał się w płynące chmury i zdawało mu się, że wraz z nimi płynie w nieskończoność.

Do mózgu jego przypełzły hipotezy, tak niedawno słyszane od Rychłowskiego, które usiłował zwalczać.

Czyż każdy najmniejszy ruch w wszechświecie jest tylko wypełnieniem przeznaczenia?... Czy przeznaczeniem duszy ludzkości jest wiecznie biedz po drodze nędzy, występku... Czy też odrodzić się, zmartwychwstać dla sprawiedliwości i prawdy?...

I w biednej głowie idealisty, zmęczonego codziennymi zapasami z niedolą, zaczęła majaczyć, piękna, wyzwolona przyszłość świata.

Szumski zapadł w półsen. Leżąc na trawie, czuł, jak serce jego bije zgodnie z sercem ziemi. Zdało mu się, że wrasta w tę ziemię... rozsypuje się w niej... niknie cały... Tylko myśl, dusza jego żyje, przybiera na siebie różne kształty... wciąż piękniejsza, doskonalsza i przeżywa tysiące lat mozolnego wzrostu ludzkości...

Okiem ducha uwolnionego z oków ziemi widział rozpęd wieków, pozostawiających daleko za sobą ferment, i mknących kryształową falą wszechsprawiedliwości. Widział jedno wielkie ognisko,

którego promyki sięgały najodleglejszych granic świata. Nie było w niem dzieci, zrodzonych w poniżeniu, dojrzewających w ciemności, wykolejonych... Nie było matek doprowadzonych prześladowaniem do dzieciobójstwa... Nie było występku zrodzonego z krzywdy. Jeden wielki motor wiedzy dźwigał i oświecał świat, jedna wielka, ogólna szkoła wychowywała go!... Nic nie było do podziału, nic do zdobycia! Wieki sprawiedliwości stepiły zrodzone wiekami: bezprawie... ciemnotę... egoizm... i żądzę władzy...

Słońce już się skryło i schyłek umierającego dnia pławił wszystko w mleczno-szarej barwie. Wszystko zaczęło szarzeć i cichnąć, a Szumski wciąż śnił i w tytanicznem marzeniu przesypiał bieg wieków, błędząc wyzwoloną wyobraźnią w świecie braterstwa i sprawiedliwości...

---

## ROZDZIAŁ XI.



— Jakże się dziś ma siostra?

— Spi teraz. Doktor powiedział, że niepodobna odrazu określić jej choroby.

— W poniedziałek, gdym tu był, czuła się zupełnie zdrową. Kiedyż zachorowała?

— pytał Czesław z niepokojem.

— Pani Zurakowska miała od paru dni silny ból głowy, ale nie chciała wzywać doktora, sądząc, że to zwykły katar. Dopiero dziś zrana zrobiło się jej gorzej, — odrzekła Ewa.

— Chciałbym się z nią widzieć.

Weszli do pokoju chorej. Osłonięta lampa rzuciła mdłe światło na rozgorączkowaną twarz Zurakowskiej.

Czesław zbliżył się do łóżka, ujął ręką siostry i pocałował ją.

Chora oczu nie otworzyła, pogrążona w jakimś ciężkim śnie.

— Obawiam się, że gorączka się zwiększa. Pośląca z lekarstwem dotąd nie ma.



— Zdaje mi się, że słyszę tentent konia.

Wyszli oboje na ganek i patrzyli w stronę gościńca, na którym widniała sylwetka galopującego konia z jeźdźcem.

— Tak, to Franek wraca, — mówiła Ewa. — Może pan zechce spocząć. Kazałam przygotować pański pokój w pawilonie.

— Dziękuję. Zwykle zasypiam późno, a dziś prawdopodobnie nie będę spał wcale.

— W jakimże stanie będą nerwy pana po bezsennej nocy? — rzekła Ewa, uśmiechając się z lekką ironią.

— Towarzystwo pani ma własność uspokajania moich nerwów.

Słowa te powiedział bezwiednie i na myśl mu nawet nie przyszło, żeby Ewa mogła je przyjąć, jako komplement.

— Tak mało w życiu słyszałam grzecznych słówek od mężczyzn, że nawet nie wiem, co się na nie odpowiada.

— Wypowiedziałem szczerze to, co czuję, — odrzekł Czesław. — Wiem, że pani nie nadaje się wcale do słuchania grzeczności, których wypowiedzenie sprawia niekiedy przyjemność mężczyźnie. Powiedziałem, że towarzystwo pani działa kojąco na moje wieczne rozdrażnienie i tak jest rzeczywiście. Pani nie kłamie, nie pozuje i nie pragnie się podobać. Przymioty te są balsamem na moje obecne usposobienie.

— Ale dzielą mię nieprzebytą przepaścią od

ideału kobiety. Prawdziwa kobiecość nigdy nie jest sobą, a najważniejszym jej zadaniem jest wywieranie dodatniego wrażenia. Takie zaś usposobienie, jak moje, służy tylko do kojenia nerwów duchowych staruszków, — dodała szydyczko.

— Czyż wyjątkowa indywidualność nie jest czemś lepszym od szablonowego modelu?

— Mimo wszystko taka indywidualność, jak moja, nie przynosi szczęścia.

— Chce pani powiedzieć — złudzeń, bo szczęście nie egzystuje.

— Dobrze mieć i złudzenie bodaj chwilę,

Nadjechał posłaniec z lekarstwem. Ewa udała się do pokoju Zurakowskiej, wyprawiła spać drzemiacą młodszą i sama pozostała przy chorej, gdyż doktor zalecił dawać jej co godzina lekarstwo, mające uśmierzyć gorączkę.

Czesław nie kładł się też wcale na spoczynek. Całą noc przesiedział na werandzie. Od czasu do czasu wchodził do pokoju siostry i pomagał Ewie kłaść zimne okłady na głowę chorej. Niekiedy Ewa wychodziła na werandę, wciągała w siebie balsamiczne powietrze cudnej nocy majowej i zamieniwszy kilka obojętnych zdań z Czesławem, wracała do pokoju chorej, która wciąż spała oddychając ciężko.

U Zurakowskiej objawiły się początki tyfusu.

Ewa przeniosła się natychmiast z dziećmi do pawilonu, ażeby je odosobnić od zaraźliwej gorączki. Czesław sprowadził siostrę miłosierdzia do

pielegnowania chorej, a także kuzynkę swą, pannę Salomeę, która dotychczas mieszkała w klasztorze.

Panna Salomea miała sporo lat i niewyczerpany humor, za który strofowała ją nieraz matka przełożona. Dobry humor patrzył z jej bladoniebieskich oczu, ze zmarszczek, które się potworzyły około ust wskutek wiecznie wesołego uśmiechu. Umiała doskonale doglądać chorych i znała się na gospodarstwie.

Po przybyciu do Zukówki objęła zaraz rządy domem.

Godziny dnia dzieliła między domowe kłopoty, a pielegnowaniem wraz z siostrą miłosierdzia Zurakowskiej, wieczorem przebierała się w świeżą perkalową suknię i szła do pawilonu.

Pod ogromnym dębem, którego pień otaczał okrągły stół dębowy, piła na pół senna herbatę, spoglądając z dobrym uśmiechem na otaczających, i szepcząc różaniec, odchodziła wcześniej spać wraz z dziećmi.

— Posiedź sobie, kochanie, na świeżem powietrzu, — mówiła do Ewy, którą ogromnie polubiła. — Dam sobie radę z tymi bębnami. W szkółce przy klasztorze jest tego sporo, a wszystko pod moją opieką.

Czesław przeniósł się też do Zukówki.

W pawilonie miał swój pokój, w którym mieszkał wówczas jeszcze, gdy przyjeżdżał do siostry na wypoczynek po burzliwym życiu.

Wróciwszy z fabryki o zmierzchu, wstępował



naprzód do pokoju Zurakowskiej, żeby się dowiedzieć o postępie choroby. Z niepokojem wpatrywał się w zmienione rysy siostry, rozpytywał dozorczynię o to, co mówił doktor, następnie wychodził do ogrodu i szedł w kierunku światelka, migającego pod dębem.

Zdaleka już widział Ewę, siedzącą samotnie, zagłębioną w czytaniu.

Witali się życzliwym uściśnieniem ręki. Ewa nalewała mu herbaty, następnie przynosiła swoją deskę z gliny, stojącą nieopodal na stoliku, i zabierała się do roboty.

Rozmawiali mało.

Czesław zagłębiony w ogrodowym fotelu, ustawionym w cieniu, zapadał w stan półbytu. Patrząc na ciemną przędzę drzew, rzeźbiących się po błękitnem tle nieba, to na długie, białe palce dziewczyny, poruszające się miękko, rytmicznie, niby hipnotyzująca napół senna muzyka. Chwilami myśl jego drzemała, wraz z drzemającą naturą, wyczuwając rozkosz tego półistnienia, rozkoszując się stężeniem władz duszy.

Nie czuć i tylko bytować w tej ciszy aromatycznej nocy letniej!

Spędzali wieczory sami, wśród zupełnej ciszy, gdyż pawilon wznosił się zdala od domu i służby w nim było mało, a i ta układała się wcześniej do spoczynku. Nikt zaś nie odwiedzał Zukówki, gdyż oprócz Zurakowskiej, we dworze było jeszcze parę oficyalistów, chorych na tyfus, ludzie więc starali

się mieć jak najmniej styczności z zarażoną miejscowością.

Chłodniejszy powiew, zwiastujący poranek, był hasłem do rozejścia się.

Dni biegły jednostajne, słoneczne, upalne. Po nich następowały noce jasne, ciche, nieco parne.

Lisia tęskniła za towarzystwem Ewy. Ona jedyna z całego sąsiedztwa nie lękała się zarazy i gdyby nie wzgląd na domowe otoczenie, byłaby już dawno odwiedziła przyjaciółkę.

— Żadnej obcej kobiety nie kochałam tak, jak kocham Ewę. A wie pan dlaczego, — mówiła do Czesława, dając mu list dla Ewy, — oto dlatego, że jest uosobioną prawdą, nic w niej nie kłamie. Ona taka niepodobna do reszty kobiet.

Gdy szedł przez ścieżkę wśród ciemności, przerwanej świetlanym punkciem wiszącej pod dębem lampy, przyszły mu na myśl te słowa Lisi, tak trafnie określające cały urok Ewy.

— Każdy jej ruch, każde jej słowo jest prawdą, — pomyślał i bezwiednie przyspieszył kroku.

Gdyby przed laty dziesięciu spotkał taką kobietę, wydałaby mu się nudną. Nie uderzała pięknością, była małowówna, poważna.

On wówczas jeszcze szukał w kobiecie wesela, zalotności, podniecenia zmysłów, tej komedii zgniełego społeczeństwa, w której kobieta jest aktorem, a mężczyzna widzem, doświadczającym mniej lub więcej sensacyjnych złudzeń, stosownie do artyzmu gry.

Dziś jednak, ciche wieczory z tą prawdomówną, chociaż zamkniętą w sobie dziewczyną, stały się ukojeniem dla jego chorej, przeanalizowanej duszy.

Przyspieszał wciąż kroku, wpatrując się w błyszczące światelko, majaczące na końcu alei.

Ewa się przechadzała wokoło trawnika.

— Pani dziś nie pracuje? — Zdziwił się, spostrzegłszy brak deski na stole.

— Skaleczyłam się w palec, — pokazała mu rękę owiniętą chustką.

— Przywożę od panny Felicji list i zapewnienie, że kocha panią dlatego, że pani jest niepodobna do reszty kobiet.

Ewa uśmiechnęła się.

— Z całego sąsiedztwa ją jedną pragnęłabym widzieć.

— Herbatę już piłem, dziękuję, — rzekł, widząc, że Ewa zmierza ku stołowi. — Jeżeli pani pozwoli, będę jej towarzyszył w wędrowce po ogrodzie; nie używałem wcale ruchu w ciągu dnia.

Zaczęli przechadzać się po alei, wiodącej do pawilonu.

Niekiedy ginęli w ciemnościach, to znów wyrzali się na światło lampy, błyszczącej wśród liści dębowych.

Młode ich głosy, ożywione dziś więcej, niż zwykle, rozbrzmiewały dźwięczną nutą w nocnej ciszy.

— Usiedli wreszcie na stopniach werendy,



na które padało przyćmione światło z pokoju Czesława.

— Dlaczego pani jest niepodobna do reszty kobiet? — spytał ją żartobliwie.

— Prawdopodobnie dlatego, że się wychowała samotnie i skutkiem tego nie mogłam przyjąć cech ogólnych.

— Niech mi pani opowie cokolwiek o swej przeszłości. Rodzice pani dawno umarli?

— Tak, wychowywałam się u mojej babki francuzki, żony emigranta, wiecznie milczącej, zamkniętej w sobie, aż do śmierci tęskniącej za jasnym niebem swojej ojczyzny. Prawdopodobnie w życiu jej był jakiś dramat ukryty, o którym, ja, jako dziecko, nic wiedzieć nie mogłam. Była rzeźbiarką. Dawniej, w Paryżu miała własną pracownię, później poprzestała na lepieniu figurek, prawdziwych arcydzieł, o które ubiegali się bogaci amatorowie, nieraz drogo płacąc, szczególnie za pomysły. Był to prawie jedyny nasz środek do życia. Od mojej babki nauczyłam się trochę rzeźbiarstwa; mówiła, że mam olbrzymie zdolności w tym kierunku, i marzyła o tem, żeby wrócić ze mną do swej ojczyzny, kształcić mię w rzeźbiarstwie, odrodzić we mnie swą minioną sławę. Ale umarła, gdy ja zaledwie dosięgłam ośmnastu lat. Ja zaś, nie mając środków do ziszczenia tego i dla mnie także najdroższego marzenia, zostałam nauczycielką. Widzę moją babkę teraz przed sobą, jakby żywą: wysoka, mocna brunetka, z pięknymi rysami pra-

wie nietkniętami przez lata, ponura, małomówna i wiecznie drżąca od zimna. Od niej także nauczyłam się mówić po francusku, gdyż w rozmowie używała tylko rodowitego języka. Usiłowała mnie kształcić, o ile była w możności, nie kochała mnie jednak, jak nie kochała nic i nikogo. Dzieciństwo moje upływało w surowych warunkach. Kłamstwa nie mogłam się nauczyć, bo nie było dlaczego kłamać. Życie moje składało się z nauki, zamiany zdań co do powszednich czynności, przeplatanych niekiedy surowymi uwagami, dotyczącymi moich małych przewinień.

— Musiała pani mieć przecie koleżanki, rówieśniczki?

— Nie miałam, bo babka nie lubiła, gdy dzieci przychodziły do nas i mnie nie pozwalała nikogo odwiedzać. Nie miałam żadnych rozrywek, żadnych przyjemności, nic, coby mogło rozwinąć we mnie zalotność, chęć błyszczenia, a co za tem idzie, komedję i kłamstwo.

— A po śmierci babki?

— Po śmierci mojej babki dostałam się naprzód do domu jednych zamożnych obywateli, w którym przyjął obowiązek towarzyszkę ich córki, chorej na suchoty. Życie w tym domu było higieniczną wegetacją. Nikt u nas nie bywał, myśmy nigdzie nie wyjeżdżali. Zmęczona bezbarwnem życiem, po dwóch latach opuściłam ten dom i zostałam nauczycielką u bogatych izraelitów. Tu, nic mnie nie łączyło z mymi chlebobawcami, zarówno jak z ca-

łem ich otoczeuiem; znów więc czułam się samotną duchowo i to moralne odosobnienie wyrobiło we mnie pewne rozgoryczenie. Spędziłam jeszcze rok w domu przemysłowców średniej zamożności; uczelnice moje były już dorosłemi pannami, ale tam miałam dużo przykrości. Obmawiano mię, robiono mi ciągle przymówki, nawet listy moje odpieczutowywano. Widocznie nie umiałam się przywiązać do otaczających mię ludzi, ani wzbudzić ich sympaty. Wogóle nikt mnie nigdy nie kochał, nikt nie lgnął do mnie; wydaję się zimną, nieprzystępną, — dodała ze smutnym uśmiechem.

Zmrok coraz gęstszy opadał na ziemię; wszystko zasypiało w mgłę ciemnej. Czesław już prawie nie rozróżniał rysów siedzącej obok niego Ewy, widział tylko jej białą rękę, na którą padał od czasu do czasu płomyk migocącej lampy i część kształtnej jej głowy, opierającej się na rękę.

Cisza tej łagodnej nocy, przyémionej chmurami, lekko kołyszające się cienie drzemiących drzew, ukołysały chore nerwy Czesława.

Czuł rozlewające się w sobie uspokojenie, jakąś rozkoszną ocieężałość. Nie chciało mu się samemu mówić, zadawał tylko od czasu do czasu pytanie Ewie, słuchał jej białej spowiedzi, patrzył w gęstniejącą mgłę przedświtu, pił oddech nocy letniej i mięki, harmonijny głos dziewczyny, który mu pieścił słuch, nie znoszący ostrzejszych dźwięków.

Chmury już białeły, sylwetki drzew wyłaniały



się coraz raźniej z ciemności i odbrzask idącego dnia zaróżowił wschód.

Ewa podniosła się z miejsca.

— Dnieje już, — rzekła ze zdziwieniem. — Takie krótkie noce!

Czesław wstrząsnął się nerwowo.

Dzień — to znaczy zgrzyt maszyn, rozdrażniający gwar ludzkich głosów, przymus, pęta niewolnika obowiązków!

— Dzień dla wybranych tylko jest wesołym zwiastunem, — rzekła Ewa, wpatrując się w wynurzającą się jasność na blado-seledynowym tle niebios.

Mieli więc jedną myśl!

— I dla niej dzień niesie obowiązki z jej usposobieniem niezgodne, niemal wstętne i dla niej los nie da nigdy nawet złudzeń szczęścia, — pomyślał Czesław.

Rozumieli się, bo jedno tchnienie goryczy tlało w nich obojgu; ale duch jej był młody, twórczy, rwący się do życia, podczas gdy jego przeżyta dusza pragnęła tylko spokoju.

— Nie jedna droga wiedzie do zbornego punktu rozczarowania, na którym spotykają się niemal wszystkie jednostki ludzkie, — rzekł Czesław po chwili milczenia, określając swą myśl.

— Alboż nie wszystko jedno, jaką iść drogą, skoro jeden cel czeka? — sytała Ewa.

— Sądzę, że szczęśliwszym jest ten, dla kogo życie pozostało niewypłacalnym dłużnikiem, niż

ten, kto wyczerpał z zawartości tego życia tylko zgniliznę. Pierwszy ogląda się za czymś z żalem, drugi znużony, apatyczny poi się własną goryczą.

Chwilę jeszcze chodzili wokoło pawilonu, jakby im żal było się rozstać, jakby ich dusze zamieszkujące dwa odrębne światy, społa magnetyczna fala, łącząca dwie krańcowości. Na jego spopieloną duszę padł odbłask tej żywej, białej karty. Pierwsze uczucie namiętności zaczęło osnuwać ich przedzą przeczuwaną już przez nią, niedostrzeganą przez niego.

Choroba Zurakowskiej miała przebieg ciężki. W ciągu trzech tygodni nie odzyskiwała wcale przytomności, teraz, kiedy nastąpił kryzys, była tak wyczerpana, że z trudnością mówiła.

Czesława wzruszyła wiadomość, że niebezpieczeństwo już minęło. Po oczach chorej i po słabym uśmiechu, jakim go przywitała, gdy się dziś rano zbliżył do jej łóżka, widział, że odzyskała przytomność.

Jadąc do cukrowni z ulgą myślał o tem, że życiu siostry, do której był rzeczywiście przywiązany, nic już nie grozi, i że raz wreszcie pozbył się niepokoju, który dla jego samolubnej natury, nie lubiącej się troszczyć o nikogo, był męczącym brzemieniem.

Podczas obiadu Lisia powiedziała mu, że zaraz wszyscy pojedą do Hornicy.

— Liczą tam też na pana, — dodała.

Z początku miał ochotę się wymówić, po namyśle jednak pojechał razem ze wszystkimi.

Serdeczne przyjęcie Widzkich, miły nastrój ich domu, doskonale podziałał na humor gości.

Zapanowało ogólne ożywienie.

Terenia ogromnie uradowana z przybycia Czesława, starała się ze wszystkich sił ukryć tę swą radość. Mówiła dużo, z ożywieniem, nie wiedząc często co mówi, śmiała się nienaturalnie, oczy jej biegły co sekunda do Czesława, a spotkawszy się niekiedy z jego wzrokiem, trwożliwie uciekały.

Jakże to wszystko było mu znane i jak go śmiertelnie nużyło!

Ta biało-różowa dziewczyna z zanadto dużem, białem czołem, z bladoniebieskimi oczyma jasnej blondynki, z nierozwiniętymi jeszcze kształtami, nienaturalna wskutek nadaremnych usiłowań, by ukryć swą miłość, wydawała mu się dziecinną i śmieszna.

Gwar zaczynał go nużyć.

Terenia, spostrzegłszy, że sięgnął po kapelusz, pobladła, zamilkła, łzy zakreśliły się w jej oczach.

Gdy się żegnał, podała mu rękę z nienaturalnym chłodem.

Upłynęło jeszcze dni kilka jasnych, upalnych, bez chmurki.

Czesław z całą biernością swego rozleniwionego ducha, poddawał się wrażeniom chwili. Myśl miał ciągle mdlejącą wśród chaosu ula roboczego i upalnej atmosfery. Przesuwał się po fabryce



blady, z nerwowym grymasem na ustach, z oczyma napół przymkniętymi, czując się wytraconym z równowagi, z męką przeżywając długi dzień czerwcowy.

— Morfinista, czy co u dyabła? — mówił ze złością Nałęcz do dyrektora, wskazując oczyma na Czesława. — Czy my się go nigdy nie pozbędziemy?

— O ile rozumiem ze słów Zurakowskiej, ma wkrótce zostać zięciem Widzkiego.

— Nie zazdroszczę Widzkiemu tej przyjemności i dziękuję Bogu, że nie mam córki. Wypieść ją, wychowaj i zapłać jeszcze takiemu manekinowi, żeby ją unieszczęśliwił, — odrzekł Nałęcz.

Po zachodzie słońca Czesław wracał do Zulkówki. Idąc do pawilonu, z daleka już zmęczonemu oczyma szukał Ewy, wciągając ożywcze powietrze w płuca.

Przechadzali się zwykle w oczekiwaniu panny Salomei, która po kolacyi układała do snu dzieci.

Wysmukłe ich postacie wynurzały się niekiedy z cienia na światło lampy, migocącej wśród liści dębowych, to znów ginęły w alei, nad którą splatały się gałęzie, zaledwie pozwalając przecisnąć się blademu światłu ciekawych gwiazd. Dźwięczne ich głosy budziły drzemiącą aleję i wówczas od drzew szedł jakiś szept namiętny, który się wokoło ich ciał okręcał i ginął w nich, wchłonięty rozbudzonymi nerwami. Mimowoli mówili ciszej, krócej.

Ewa wspierała się na rękę Czesława. Od jej

młodej, zdrowej, spragnionej miłości, dziewiczej piersi prądem suggestyjnym szło życie, orgia młodych pragnień, przelatująca po jego duszy, jak ogień po uschłej trawie, obejmując płomieniem żdźbła nietknięte posuchą.

Z nadejściem panny Salomei Czesław zabierał się do głośnego czytania.

Pewnego wieczora, gdy przybywszy do Zulkówki, chciał zobaczyć się z siostrą, dozorczyńi mu powiedziała, że Zurakowska już śpi i, że doktor nie pozwolił jej niepokoić.

Powoli więc, jak zwykle, przeszedł ścieżką wiodącą do pawilonu i przyspieszył dopiero kroku, gdy ujrzał wśród ciemności błyszczące światelko pod dębem.

Światelko to zdawało się go wabić, nęcić ku sobie. Tam czeka go cisza, odpoczynek dla jego chorej duszy. Przyspieszając wciąż kroku, wydostał się z ciemności i szedł prosto do stołu pod dębem, ożywiony, z bijącym sercem od przyspieszonego ruchu, mrużąc swe oczy krótkowidza.

Ewy nie było, a przy stole stała panna Salomea.

W pierwszej chwili Czesławowi zdało się, że nie trafił do miejsca, w którym od czterech tygodni spędzał wieczory tylko w towarzystwie Ewy.

— Kuzynka nie śpi jeszcze? — rzekł wreszcie, oprzytomniawszy.

— Ewunia nie bardzo zdrowa. Śpi od paru godzin. Czekałam na ciebie, żeby ci dać wiecze-

rzę. Siadaj-że, Czešku, zaraz naleję herbaty. Lubisz gorące mleko? A może kurcząt na zimno?

— Dziękuję, nie będę nic jadł, — odrzekł niemal szorstko, siadając na ogrodowej kanapce, usuniętej cokolwiek w cień.

— Może tu, Czešku, koło stołu... Będzie ci wygodniej.

Nie odpowiedział nic, ale panna Salomea nie obraziła się.

Fałdki okalające jej oczy pogłębiły się tylko, na usta wybiegł figlarny, domyślny uśmiezek.

Robiła porządki na stole, brzęczała talerzami, chodziła do pawilonu i znów wracała, kręciła się przed oczyma Czesława długa, cienka, szara, z różańcem, wiszącym na ręku, pomarszczona od dobrodusznego uśmiechu.

Mówiła nieustannie; słowa jej brzęczały koło uszu Czesława, niby szmer dokuczliwych owadów, a różaniec w ciągłym ruchu, wydawał głuchy odgłos klekoczących kości szkieletu.

— Chodźże, Czešku, przekaś! — wskazywała na stół pokryty jedzeniem, które pozносиła z pawilonu.

— Powiedziałem już, że jeść nie będę, pocóż się więc kuzynka fatyguje? — odrzekł z hamowaną niecierpliwością.

Zbliżyła się do niego, położyła mu rękę na ramieniu i zajrzała w oczy.

— No, no, nie obawiaj się! Nic tam nie jest



z Ewunią straszego. Zwyczajny ból głowy. Wyzdrowieje do wesela, — dodała żartobliwie.

— Do jakiego wesela? — spytał machinalnie.

— A cóż ty sobie myślisz, że ja oczu nie mam, że nie widzę, jak się kochacie? Może się zaprzesz, że nie kochasz Ewuni? Alboż można jej nie kochać? W dobry czas, w dobry czas! — mówiła, rozpromieniając się. — Toż się dopiero wytańczę na waszem weselu, choćby mi za to matka przełożona miała zadać pokutę.

— Nie rozumiem o czym kuzynka mówi.

— Oj rozumiesz, rozumiesz, figlarzu! Tylko myślisz, że kuzynka nie zna się na miłości, bo stara i w klasztorze mieszka, a ja tymczasem od razu zgadłam, na co się zanosi.

Pogroziła mu palcem figlarnie i poszła prędko, drepczącym krokiem do pawilonu.

Przez kilka chwil Czesław nie mógł zebrać myśli.

— Co się tej waryatce przywidziało? O jakim weselu bredzi? Mojem z Ewą? Oszalała chyba! Ja i małżeństwo z miłości! Tylko w głowie takiego nienormalnego okazu, jak stara panna, mogła się wylęgnać podobna myśl.

Ożenić się z miłości!

On to, on właśnie nadaje się do roli ojca kilkorga dzieci wiecznie głodnych z braku pożywienia, do roli bezinteresownego małżonka, dobrowolnie narzucającego na siebie pęta!

— Może się zaprzecz, że nie kochasz Ewy, — zabrzączały mu w uszach słowa panny Salomei.

Kochać! Alboż nie zgłębił do dna uczucia, które ludzie zwą miłością? Alboż nie spowszedniał mu wiecznie ten sam krótkotrwały, a tyle razy przeżywany przezeń proces miłosny?!

Cóżby mu przyniósł nowego ten gość tak mu znany, tak spowszedniały, jak pieczeniarsz, wobec którego ziewa się nieraz bez ceremonii?

Wynurzenia gorące, uściski namiętne, porywy szalu, cichy szept wśród samotności, przeplatany naśladownictwem dziecinnego szczebiotu, jak gdyby namiętność, to uczucie natury, znajdowało swój wyraz w pierwotnej mowie... A potem?... powolne oswajanie się, codzienne zdzieranie osłonek z ułudy... tej prądniczki iluzji, codzienne gaszenie płomyków, aż zgaśnie ognisko miłości, a na jej popiołach wylęgnie się zobojętnienie...

Z szyderskim uśmiechem przeżywał teraz w swych wspomnieniach różowy świt budzącej się miłości, żar jej południa i chłodny zmierzch przesyty — spowszednienia...

I dla tej ułudnej, krótkotrwałej, a tak dobrze znanej chwili, miały się skazywać na lata marnej wegetacji!...

Jeżeli narzuci na siebie pęta to tylko złote! Małżeństwo musi mu wrócić to, co utracił: dobrobyt i niezależność!

Uczuł przypływ rozdrażnienia. Wstał z swego miejsca i zaczął się przechadzać po alei.

Zdawało mu się, że słyszy obok siebie lekkie kroki Ewy, że głos jej melodyjny do ucha mu wpada. Białe jej palce migały przed nim na ciemnym tle drzew, hypnotyzując, wabiąc.

Długo się błakał po najciemniejszych ścieżkach i rano zdenerwowany, niewyspany, z bólem głowy pojechał do fabryki.

Nazajutrz nie przyjechał do Zukówki, tylko przysłał z zapytaniem o zdrowie siostry.

Następnego wieczora pod dębem spotkała go znów Salomea.

— Panna Ewa chora? — zapytał, przywitawszy kuzynkę.

— A nie spotkałeś jej? Toście się rozminęli. Przyjechała po nią siostra dyrektorowej i zabrała ją na spacer. Miała zaraz odwiedzić, ale coś dotąd ich niema. Kontenta jestem, że Ewunia się rozerwie. Niewesołe ma tu życie.

Czesław zaczął rozpakowywać w milczeniu książki, które z sobą przywiózł do czytania z Ewą.

— Jeżeli kuzynka nie chce, żebym się wyniósł do mego pokoju, to proszę nie ustawiać nic na stole, bo ja kolacyi nie jadam, a herbatę już piłem.

Panna Salomea odwróciła się prędko, żeby ukryć domyślny uśmieszek.

— A więc, dobranoc ci Cześku. Nie będę czekała na Ewunię, bom mocno znużona, a przytem pewna jestem, że ją siostra dyrektorowej na noc u siebie zatrzyma. To jakaś wesoła i dobra panienka.



Po jej odejściu Czesław pograżył się w zadumie.

Zdziwiło go bolesne niemal uczucie zawodu, którego dziś doznał, gdy nie zastał Ewy pod dębem.

Z przykrością analizował stan swojej duszy. Nie pragnął już żadnych wstrząśnień, nie pragnął powrotu wrażliwości. Żył dotąd przyspieszonym tempem i pił tyle rozkoszy życia, że dziś w każdym nowym puharze miłości, czułby już tylko przedsmak przesyty; dziś od życia nic nie chciał, prócz łatwo zdobytego dobrobytu, któryby mu dał możliwość przeżuwania tego życia do końca.

Fortuna mu się wymykała, patrzył na to obojętnie. Gdy ostatnie grosze utoną w wirze życia, czeka go w postaci żony posażnej łódź ratunkowa, która go wyniesie na fale bytu spokojnego i da należyty odpoczynek nadwreżonym nerwom.

W ostatnich czasach coraz częściej myślał o tem przyszłym swoim dziedzictwie ze spokojnem sumieniem wnuka, oczekującego na spadek po dobrym dziadku, który miał mu być wypłaconym w przełomowej chwili jego życia. Postać przyszłej żony majaczyła mu niekiedy w wyobraźni. Musiała być przedewszystkiem powściągliwą, taktowną, nie zwracającą na siebie uwagi; nie rażącą popolitością, nie wymagającą, umyślnie stworzoną na to, żeby na drodze jego życia wygładzić wszelkie nierówności. O tem, że znajdzie taką istotę nie wątpił — mógł wybierać. Tyle jest panien spragnionych małżeństwa, a tak mało amatorów na ślubne

więzy! Z tych spragnionych wybrać musi owieczkę o złotem runie.

Dotychczas znośił z wysiłkiem wszelkie przykrości, wynikłe z obecnego swego zależnego stanowiska i coraz częściej wzdychał do chwili, w której ujrzy się wreszcie posiadaczem dochodu, zapewniającego mu jutro. Dotąd wszystko zapowiadało się dobrze. Rolińskie były za brzydkie, ale Terenia doskonale się nadawała do typu jego przyszłej żony; oswoił się już był z myślą o tem małżeństwie, gdy oto złośliwy przypadek postawił na jego drodze Ewę. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby ciągłe przebywanie z tą dziewczyną groziło niebezpieczeństwem. Towarzystwo jej miało dla niego urok, szukał go więc z uporem samolubnej natury, nie zwykłej pozbawiać siebie bodaj przelotnej przyjemności.

Zdrowa młodość Ewy, jej estetyczna natura upoiły go, wiosenne jej porywy wróciły mu młodość, pod świeżą powłoką jej ciała instynktownie czuł silnego ducha i ten mu imponował, uwydatniając jego własną bezwolę.

Postać dziewczyny, rozmarzonej artyzmem, o spokojnych barwach i białych palcach przesuwających się po desce muzykalnym ruchem, stała się dla niego czarą haszyszu, wracającą mu młodość duszy.

Zapóźno to zrozumiał!

Niebaczne słowa starej panny zmusiły jego ospałego ducha do analizy.

Godziny mijały, Ewa nie wracała. Pragnął jej obecności choćby na krótko, choćby na chwilę.

Czyżby ją kochał naprawdę? Czyżby ta tęsknota za nią była rzeczywistą miłością?

Usiadł na swem zwykłym miejscu w cieniu lampy i chciał pograć się w stan półbytu, lecz nerwy rozbudzone zaczęły go męczyć. Huczały mu w uszach motory, rozlegał się świst transmisyj, tętnił krzyk ludzki, cały prześladowający go w dzień hałas zbiorowej pracy człowieczej, którego dziś nie mogła spłoszyć cisza nocna. Wyteżonym słuchem chwycił każdy szmer około furtki ogrodowej i zdawało mu się, że noc letnia też nasłuchuje z nim razem i czeka jej przyjścia, że wszystko dokoła zastygło w niemem oczekiwaniu... Lampa nie migocze... Drzewa stoją wyprostowane, stężełe nie drżą liście... Wszystko przycichło i nasłuchuje, tylko serce jego bije niespokojnie, a nerwy huczają...

Furtka ogrodowa otworzyła się i napowrót zamknęła. Po zwirze rozległy się lekkie kroki.

Nareszcie!

Czesław poszedł w stronę pawilonu, usiłując zapanować nad nerwami.

Ewa stała na werandzie i odmykała drzwi do swego pokoju.

— Panno Ewo! Pani już wróciła?... Czy nie zejdzie pani do ogrodu?...

— O nie, jestem zanadto zmęczona.

— Nie widziałem pani trzy dni; wobec wie-



czności to iskra czasu, ale wobec nędzy ludzkiego życia, to długa chwila.

Głowski swemu usiłował nadać żartobliwy dźwięk, ale Ewa dosłyszała w nim jakąś dziwną zmianę. Przechyliła się przez baryerę i rozbłyśniętymi oczyma poszukała jego oczu.

Wziął jej rękę i przylgnął do niej gorącymi ustami.

Drgnęła i chciała rękę wysunąć z jego dłoni, ale on tej ręki nie puszczał i wciąż przyciskał do ust.

Pod wpływem dotknięcia jego ust gorących, serce Ewy przycichło na chwilę, a potem szarpnęło się gwałtownie. Jakiś nieznany jej dotąd dreszcz przebiegł wzdłuż jej ciała, wstrząsnął nerwami, coś ją popchnęło do Czesława. Przechyliła się do połowy przez baryerę, przymknęła oczy i znieruchomiła z dłonią w jego dłoni.

I stali tak przez chwilę, zaskoczeni nagle przypiływem namiętności, bezsilni wobec woli natury, upojeni czarującą chwilą pierwszego wyznania.

Cofnęła wreszcie rękę i odeszła, nic nie mówiąc.

Doznawała uczucia, jakby po nagłym przebudzeniu...

Jeszcze sny, wizye nocy oblatują jej mózg, a już światło dzienne niesie rzeczywistość. Żal jej snów... pragnie je przypomnieć sobie... zatrzymuje w myśli, ale one bledną, bezbarwnieją... a natomiast zalewa ją świadomość życia, morze nowego życia, wszechwładne, burzliwe, ogromne w swej

sile... Z jego falami pójdzie w dal nęcącą... mglistą... niepewną...

Rozmawiali teraz mało, jakby w obawie, żeby nie powiedzieć za wiele. Czesław zaraz po powrocie z fabryki zabierał się do głośnego czytania.

Ewa często nie rozumiała treści słów, upajając się samym głosem Czesława, podczas gdy jej palce ulepiały z gliny rozmodlone postacie, natchnione rysy w ekstazie, symbole.

Artystyczna jej natura zdawała się pogłębiać w chwilach tego rozkwitu miłości.

O przyszłości nie myślała; kochała, jak ptak, jak natura. Pierwszy raz w życiu czuła się szczęśliwą, a gdy niekiedy przecucie jej mówiło, że po za tą godziną czeka ją niedola, odsuwała myśl groźną, upojona namiętnym szeptem budzącej się swej natury. Wzrokiem przelewała to upojenie w Czesława, który sam siebie nie poznawał, odmłodzony, oczarowany bijącą w nim powrotną falą młodości.

Żadna zła chwila nie mąciła ich szczęścia. Dokoła cisza, spokój... nad nimi noc cudna, patrząca błyszczącemi oczyma.

Panna Salomea słuchała czytania, usiłując zapanować nad ogarniającą ją sennością; czasem zasypiała na chwilę i budząc się, spoglądała na młodych, uśmiechając się filuternie.

— Niech pani posiedzi jeszcze z nami — prosiła ją raz Ewa, gdy chciała odejść wcześniej, niż zwykle, na spoczynek.

Dobre i kochające oblicze starej panny było dla Ewy dopełnieniem tego otoczenia, w którym wszystko oddychało miłością.

— Zmęczona jestem, kochaneczko. Od czasu, gdy Julcia, dzięki Najwyższemu, zaczęła przychodzić do zdrowia, mam więcej roboty. Stała się kapryśną. A tak biedaczka jest osłabiona, że myśli zebrać nie może i tylko czasem o dzieci zapyta. Pójdę, bo niezadługo będę musiała już wstawać. Julcia budzi się rano i zaraz chce jeść.

Uścisnęła Ewę i Czesława i odeszła. Koło trawnika zatrzymała się jeszcze i przesłała młodej parze dobrotliwy uśmiech.

— A zapierał się figlarz, że nie kocha Ewuni — szepnęła sama do siebie. — Oni tam cali utonęli w miłości. Dzięki Bogu, że Ewunia będzie miała własny kąć i opiekę. Czesław dobry jest i będzie z pewnością dobrym mężem.

Po jej odejściu Czesław czytał dalej.

Ewa patrzyła na jego równy profil, wysokie czoło, piękne, lekko zmrużone oczy krótkowidza i bladła, gdy oczy te, nawpół przysłonięte powieką, zwracały się do niej z gorącym, namiętym błyskiem.

Przestał wreszcie czytać i pochylił głowę nad deską, żeby się przyjrzeć postaci z gliny, urastającej w palcach dziewczyny.

Płyta nagrobka, przygniatająca skrzydło ulatującego anioła.

— Czy to symbol?



— Tak. Dusza, dar nieba, uwięziona w pętach ziemskich — odrzekła Ewa.

— Albo miłość, wytwór ideału, skalany namiętnością — dorzucił półgłosem Czesław, pochylając się nad rękami Ewy, żeby lepiej przyjrzeć się nagrobkowi. — W rysach anioła, miotającego się bezsilnie w więzach, ujarzmiła pani cały poemat bólu, cierpienia... i zachwytu. Musi pani chyba nosić takiego walczącego anioła w duszy, jakiego dar twój twórczy odtworzył w tym przepięknym symbolu?

Lekki rumieniec zabarwił kremowy policzek Ewy i zaróżowił jej usta; wybiegł na nie jasny uśmiech, niby cień migocącej lampy.

— Czy pani już kiedy kochała?... — pytał, wpatrując się w nią wzrokiem rozmarzonym.

— Nigdy... dotąd...

— A teraz?...

Podniosła na niego oczy, które umiały mówić tylko prawdę.

— A teraz, Ewo?... — powtórzył upojony.

## ROZDZIAŁ XII.



ły Zurakowskiej powracały, a wraz z nimi nawiedziły ją niepokojące myśli.

Figlarny uśmiezek, który panna Salomea miała na ustach, gdy mówiła o Czesławie i Ewie rozniecił w niej podejrzenie. Zręcznie badając starą pannę, dowiedziała się od niej o ciągłym przebywaniu sam na sam młodej pary i o tem, że: „oni cali utonęli w miłości.

Zurakowska przeraziła się ogromnie.

W ciągu paru dni przemyśliwała nad tem, co robić i jak postąpić najdyplomatyczniej, żeby nie dopuścić Czesława do stanowczego kroku. Liczyła na jego leniwa, samolubna, nieznosząca niepokoju naturę, a także na wpływ, który na nim wywierała, wreszcie na swoją pomysłowość.

Chodziło tylko o to, żeby się dowiedzieć, jak daleko zaszła ta miłość.

— Julcia chce się z tobą widzieć, kochaneczko.

Ewa drgnęła, usłyszawszy te słowa, i serce w niej zatrzepotało z niepokoju.

— Kiedy? — spytała panny Salomei.

— Zaraz.

Zurakowska oczekiwała z niecierpliwością przybycia Ewy. Gdy drzwi się otworzyły i weszła młoda dziewczyna, wpatrzyła się w nią chłodnymi, powiększonymi wskutek choroby oczyma.

Ewa była zaróżowiona, promienna. Zdawała się być wysmuklejszą, niż dawniej, tak się cała uniosła w górę. W oczach i na ustach miała szczęście.

Zurakowska, przywitawszy ją, milczała przez chwilę, wreszcie zapytała o dzieci.

Po kilku obojętnych zdaniach pożegnała ją słowami:

— Niech się pani jutro przeniesie tu z dziećmi. Chciałabym już je zobaczyć.

W ciągu tygodnia wszystko powróciło do zwykłego porządku.

Czesław nic dotąd nie wspominał siostrze o swojej miłości i Zurakowska, zadowolona z tego, już tylko wyczekiwała sposobności, żeby się nauczycielki pozbyć z domu.

Zdziwiła ją zmiana, zaszła w Ewie. Nic w niej nie przypominało dawnej, małomównej, zasepionej, jednostajnie bezbarwnej dziewczyny. Teraz była to istota pełna życia i nerwów. Promieniała przepyszną młodością. Niekiedy, jakby pod wpływem



suggestyi, którą na nią wywierał Czesław, stawała się nerwowa, wzdrygała się za lada głośniejszym szmerem, pogrążona w półsennem zamyśleniu; oczy jej nabierały wówczas wyrazu rozmarzenia, twarz stawała się bledszą, a usta purpurowiały, jakby od świeżych pocałunków.

Polip stawał się istotą żywą, uroczą.

Zurakowska okiem znawcy śledziła każdy ruch duszy Ewy i coraz większy niepokój ją ogarniał.

Pewnego popołudnia Lisia wpadła do Zukówki i zabrała Ewę do siebie, obiecując odwiedzić ją wkrótce.

Parę godzin spędziły w pokoju Lisi, gdyż dyrektorowej nie było w domu.

— Patrz, Ewuniu, to fotografia mego brata. Jak ci się podoba?

— Jeżeli mam być szczerą, to powiem, że... brzydki.

— Co? Brzydki? No, to nie masz najmniejszego gustu. Spojrz tylko w te oczy! Tam mieszka dusza najpiękniejsza i najrozumniejsza w świecie.

Ewa uśmiechnęła się, patrząc na rozentuzymowaną Lisie i wzięła znów fotografię do ręki.

Oczy ciemno-szafirowe spojrzały na nią pochciwie z fotografii.

— Rzeczywiście, oczy ma piękne.

— Ach, Ewuniu! Żebyś wiedziała, co to za człowiek! Nie masz pojęcia, jak ja go kocham. Gdyśmy osierociały, będąc jeszcze małemi dziewczynkami, on, niewiele starszy, zastępował nam

matkę. Jak mogłaś użyć nawet wyrazu „brzydki“ do tych oczu najdroższych, — mówiła, całując fotografię.

— Gdzież jest obecnie twój brat ?

— Na Syberyi, w kopalniach. Jest górnikiem. Nie widziałam go już od dwóch lat. Miał właśnie przyjechać. Sprowadzałam go na gwałt, bo miałam na niego projekty — rozśmiała się. — Chciałam ci go dać na męża. Tymczasem ofiarowali mu lepszą posadę, gdzieś aż pod biegunem chyba, odpisał mi więc, że nie może przyjechać teraz. Przyśłał mi bardzo piękne futro i pisał do Celinki, żeby się nie troszczyła o wyprawę dla mnie, gdy będę zamąż wychodziła, bo to do niego należy. A jabym wszystko oddała, bylebym go mogła prędko zobaczyć. Obiecuje niedługo wrócić do kraju, a wtenczas, Ewo, musisz zostać moją bratową.

Ewa chciała powiedzieć Lisi o swej miłości do Czesława, ale skryta jej natura zaprotestowała.

— Dowie się, gdy wszyscy będą o niej wiedzieli, — pomyślała.

O ósmej Ewa wybrała się z powrotem. Towarzyszyli jej: Lisia, która chciała się jeszcze przejechać, i Czesław, mieszkający dotąd w Zukówce.

Gdy powóz ruszył, Lisia zawołała do furmana:

— A prędzej, Józiek, żwawo!

— Dobrze, proszę pani — odezwał się Zarnicki z kozła, uchylając furmańskiej czapki.

— A to pan? Skąd panu przysłała do głowy taka maskarada? — pytała Lisia.

— Myślałem, że mię pani nie weźmie na spacer i zdecydowałam się na ten koncept.

Pogwizdując, popędził konie, które mknęły rażno po równej drodze, wiodącej między łąkami.

Dotarli do lasu i jechali wolno wśród przejrzystej przedzy półświatła, półcienia. Powóz kołysał się to w tę, to w ową stronę. Lisia śpiewała półgłosem, Zarnicki wtórował jej świeżym barytonem.

Konie znów pomknęły po szerokiem polu. Noc jasna rozpostarła widnokrąg i jadącym zdawało się, że tuż, tuż dotrą... aż do błękitów.

Czesław drgał, gdy powóz zatrzymał się przed gankiem w Zukówce. Pomimo, że nie było jeszcze dziesiątej, we dworze wszystko spało.

Lisia i Zarnicki zaraz odjechali.

— Czy nie chciałabyś, Ewo, przejść się po ogrodzie. Taki piękny czas! Nie spędziłem od tak dawna z tobą ani chwilki sam na sam. A tak pragnę twego głosu, twoich oczu, całej ciebie wyłącznie dla siebie samego, jak pierwszy chrześcianin pragnął raj, — rzekł Czesław, całując ręce Ewy.

Zawahała się.

Błagał znów oczyma.

— Dobrze. Przyjđę, tylko złożę tę paczkę książek w moim pokoju.

Gdy zdejmowała kapelusz, przyszło jej na myśl, że postąpiła wbrew przyzwoitości, przystając na spacer po ogrodzie o tak późnej godzinie, ale Cze-



sław tak prosił... A przytem sama spragniona była widzenia się z nim sam na sam.

Wreszcie co ją obchodzą plotki, które mogą wyniknąć, gdy ich kto podpatrzy. Świat niedługo dowie się o tem, że ona i Czesław kochają się bez granic, na wieki.

Gdy już miała wychodzić, doszedł do niej głos Kocia.

— Czego chcesz, Kociu? — spytała, wchodząc do sąsiedniego pokoju, w którym spali malcy.

Chłopak napół rozbudzony skarżył się na Fredzia, który spał najspokojniej na drugim łóżku.

— Połamał... chciał bić... — bełkotał niewyraźnie.

Ewa pochyliła się nad nim. Ten rudy malec, skarżący się przez sen, nie był już teraz dokuczliwym dzieciakiem, znieawidzonym uczniem; to był siostrzeniec Czesława — jej siostrzeniec.

Uśmiechnęła się łagodnie, uspakajając i otulając chłopaka.

Otworzyła drzwi od korytarza i wyszła na mały ganeczek, tonący w splotach zieloności.

W sercu jej było wiosennie.

Na ostatnim stopniu przystanąła.

Z gęstwiny wyzierała ponura ciemność. Wydłużone gałęzie drzew zdawały się ją odpychać, czarny powój czepiał się jej sukni, jakby chciał ją zatrzymać, a surowy głos nocy mówił: „wróć się“.

Ewę ogarnął lęk, powróciła i rękę już oparła na klamce.

Chwilę tak stała niezdecydowana.

Piętrząc się, niby ogromne cielska potworów, przewalały się czarne chmury po niebie. Rozciął je księżyc, zabłysła srebrem ścieżka wiodąca do pawilonu.

Jakby z rozmachu skrzydeł ptasich wpadł jej do ucha namiętny szept: „przyjdź“!

Zbiegła szybko ze schodów i znikła w gęstwinie.

Czesław, stojąc u drzwi pawilonu, nasłuchiwał z niecierpliwością kroków Ewy. Wyobrażał sobie, jak idzie cichutko po alei, kryjąc się przed światłem księżyca, który ją uparcie odszukuje wśród liści i gałęzi. Minuty tego oczekiwania wydawały mu się nieskończonemi. Z niepokojem zauważył, że powstał wiatr parny i trząśł gałęzmi drzew; pomyślał, że Ewa złąknie się grożącej burzy i nie przyjdzie wcale; starał się siebie uspokoić, zdziwiony zmartwychwstaniem swojej młodości, czując że zaczyna kochać Ewę miłością, nie znającą rywalki — ostatnią miłością.

Przyszła wreszcie różowa, uśmiechnięta, z rozrzuconemi warkoczami, które zwiększający się burzliwy wiatr czepiał o gałęzie i krzewy, gdy się przekradała ścieżką wijącą się wśród drzew.

Od jej włosów, od całej postaci biła świeżość zdrojowej wody.

Umierałem z niepokoju... Myślałem, że już nie przyjdiesz, że cię wiatr porwie... rozwieje, — mówił Czesław, całując namiętnie jej ręce.

— Taką dużą?... Chyba cyklon? — odrzekła Ewa i rozśmiała się głośno.

Urwała jednak zaraz, zdziwiona brzmieniem własnego głosu, który jej zadrział w uchu, jak dźwięk dawno znany, a zapomniany.

Śmiała się na głos, gdy była jeszcze dzieckiem; śmiech ten dziecinny przyczał się w jej krtani i rozbrzmiał teraz nie wymuszoną kulturalną gamą śmiechu ludzkiego, ale radośną, wesołą nutą ptaka, cieszącego się słońcem.

— Śmieję się jeszcze, Ewo! Śmieję się ukochana! — prosił zachwycony Czesław. — Z twego śmiechu płynie do mnie powrotną falą moja młodość. Taka wiosna w twoim głosie!

I ona znów się śmiała, upajając się miłością i dźwiękami własnego głosu.

Zbliżyli się do otwartego okna, za którym wicher, zwiastun burzy, budził liście i szeptał do siebie, pomimo, że nikt nie mógł ich słyszeć.

Byli zupełnie sami, wśród zupełnej ciszy, w której drżała namiętna miłość.

— Pocałuj mię goręcej, Ewo... Zaledwie dotykasz ustami moich ust, — mówił Czesław głosem słumionym.

— Nie umiem całować. Nie całowałam nigdy mężczyzny — szeptała. — Nie miałam braci, ani krewnych. Nawet w rękę nie całowano mnie nigdy i dotąd czuję na mem ręku dotknięcie twych ust gorących. Pamiętasz... w ten wieczór...

Za oknem zaszumiały silniej zbudzone gałęzie



i jasny księżyc, wydarłszy się na chwilę coraz to ciemniejszym obłokom, zajrzał w okno pawilonu, w oczy przepojone miłością i znikł w chmurnych czeluściach,

— Moja nocy letnia!... — szepnął Czesław, przyciskając Ewę do siebie.

W myślach jego zwały się w cudny chaos i szum liści, buntowniczo wstrząsanych, i ta noc letnia, burzliwa, przesycona elektrycznością, i te blado-różowe usta, których nikt dotąd nie całował...

### ROZDZIAŁ XIII.



ajstraszniejsze myśli trapiły Omkiewicza. Ukryty w trzcinnie, rosnącej bujnie nad rzeką, siedział na kępie mchu, objąwszy rękami kolana, i patrzył nieruchomym wzrokiem na senne fale.

Słyszał, jak go wołała młodzież, zajęta łowieniem ryb nad brzegiem, ale nie odpowiadał. Ludzie płoszyli mu nastrój. W ciszy łatwiej odzykiwał smutek, indywidualny nastrój swej duszy, który, niby cień włóczył się za nim, a usunięty chwilowem jakim wrażeniem, czaił się w jego głębi, jak w mogile, żeby zmartwychwstać w samotności.

Omkiewicz wyławiał go z zadumy natury, z wesołości tłumu i cały nim przepojony, szedł w pola, marząc o niedostępnych puszczech, o stepach bezkresnych. Nieraz zasypiał z tem marzeniem i śniły mu się jakieś niezbrane drogi, wiodące na olbrzymie szczyty, przestrzenie, pokryte

żywiolową roślinnością, obrzeżone obłokami; wszystko nieznanne, a niezwykle. We śnie błędził po tych drogach, a zbudziwszy się, tęsknił za niemi, zatrzymywał wizye senne na źrenicach i, nie otwierając oczu, usiłował przypomnieć sobie, gdzie już widział kiedyś te miejscowości.

Przebywając często z Rychłowskim, zaczął rozumieć ten smutek, te wysiłki jaźni w celu poznania wiecznych zagadnień. Mistyczne majaczenie Rychłowskiego zakiełkowało teraz w Omkiewiczu, jako nieuleczalna choroba duszy.

Pisząc powieść, nie budował na niej przyszłości, czuł tylko nieprzeparty pociąg do wygraniczenia z bezkształtu swoich twórczych majaczeń, drgających życiem postaci; teraz, wyrzucony na arenę sądu ludzkiego, przeżywał najstraszniejszą chwilę w życiu autora: żarła go nieufność we własny talent.

Powieść jego wyszła już z druku przed kilku miesiącami. Rozsprzedawano ją, ale krytyka milczała. Żaden głos nie podniósł się, żeby mu rzucić bodaj jałmużnę zachęty, wdowi grosz uznania.

Za miesiąc, gdy doktor odda synka do szkół, musi i on opuścić fabrykę. Dokąd pójdzie? Co będzie robił? Z czego żyć będzie?... Pisać dalej... Marnować czas i zdrowie? A jeżeli jego książek nie będzie kupowała publiczność, zrażona milczeniem krytyki?... Niema reklamy, niema nabywców! Największe talenty giną, jeżeli nie znajdą poparcia, a cóż dopiero taki, jak jego... Pisać chyba dla-



tęgo, żeby wzbogacać nakładców, którzy kupują za bezcen niereklamowane książki... A z czegoż żyć?... Wreszcie po co ma tracić czas na bazgranie, jeżeli nie ma talentu, o czem sam się przekonał.

Dawniej narzekał, że ma pokój wilgotny, ciasny, że myśl mu trzępie się wśród murów, niby ptak więziony, że często ma ból głowy z głodu i to mu odbiera twórczą fantazyę i nie daje rozwinąć się talentowi. A teraz?... Warunki życia świetne, ocean zieloności, srebrna wstęga rzeki... I cóż zrobił? Nie stworzył nawet jednej głupiej nowelki.

Chaos tylko w głowie i zniechęcenie.

Dyrektor mu proponuje posadę pomocnika buchaltera. Grób dla duszy! Chyba przyjmie, bo coś mu huczy w mózgu: Nie masz talentu, nie masz chleba... Idź do jarzma wołowego i utop ducha w kolumnach bezmyślnych cyfr, żebyś próżnem szamotaniem się nie budził szyderczego śmiechu!...

— Podłe życie! Filistrowi źle, bo go wiecznie żre pragnienie zdobycia najlepszego miejsca przy korycie, myślicielowi jeszcze gorzej, bo duch jego pnie się w przestworza, a ciało ciągnie przemocą ku ziemi!

Parno.

Od słońca idą przesiane przez chmury, skośne, brudno-złote promienie.

Powiał wiatr skwarny, zaniepokoił senne fale rzeczne, rzucił jakąś wieść trzcinom, czołgając się,

szeptał coś niwie... A trzciny westchnęły, aż się pochyliły ku ziemi... biadała niwa...

Omkiewicz już nie słyszy własnych myśli, a słucha tego, co mu wiatr opowiada. On rozumie język natury. Skwarny wiatr niesie mu echo jęku, skargi. Westchnienie trzciny, biadanie niwy mówią mu o wielkiej czyjejs krzywdzie...

Głowę pochylił i słucha, a wyobraźnia już zaczyna tkać cienie nowej powieści. Od jednych do drugich biegnie wiążąca myśl, niby przędza misterna, coraz bardziej wyzwalając się z bezkształtu pojęć zrodzonych w otchłani jego istoty, aż wyłoniła się, jak jednolita wstęga.

Miga mu w wyobraźni obraz, niby olbrzymi motyl o żalobnych skrzydłach: niebotyczne góry Afryki, doliny zasłane męczennikami namiętności ludzkich, arena potwornej tragedyi, utkanej z przemocy i ciemnoty. Patrzy na tę arenę i w zbiorowych skargach szuka jęku jednej duszy, żeby ją przejąć i przelać na papier.

Siedzi długo z pochyloną głową wciąż wpatrzony w wizję swej wyobraźni, usiłując zatrzymać tę wizję, uwięzić w mózgu, wciąż wsłuchany w skargi tej jednej duszy.

Pochyla się nad rannym i słucha jego szeptu i patrzy mu w gasnące oczy i suggestyonuje umierającego, żeby mu się szczerzej spowiadał: Co czuje? Jak czuje? Z zajadłym, chłodnym uporem chce przejąć odeń wymykającą się myśl, duszę...

Ma więc nowelę! Tragedya pól Afrykańskich  
mu ją dostarczyła!

Omkiewicz idzie do domu, jak pijany; nie  
przed sobą nie widzi... Byle prędzej mieć papier  
i pióro! Byle wizya nie uciekła z wyobraźni!

I oto siedzi przy stoliku od godziny i nie wie,  
jak zacząć. Wizya coraz mglistsza... wciąż roz-  
wiewa się... blednie...

Ogarnia go rozpaczliwe zniechęcenie.

Do pokoju wpadł Zarnicki.

— Bolek! Patrzo... piszą o tobie! — wołał  
machając tygodnikiem. — Patrz!

— Pewnie mi skórę garbują — odpowiedział  
Omkiewicz, a serce mu zabiło, jak młotem.

— Ale gdzie tam! Pysznie! Czytaj! Wyraźnie  
napisano: „duży talent obserwacyjny!“

Na twarz Omkiewicza wystąpiły różowe plamy.

— Pokaż!

— Na, masz, czytaj sam! A widzisz, trutniu  
ty jeden, mówiłeś, że nie masz talentu. Masz go,  
masz! — mówił uradowany Zarnicki, patrząc w błyszczące oczy Omkiewicza.

— No... cóż tam wielkiego! Trochę pochwalili  
przez grzeczność.

— A tyż co chciałeś? Żeby cię zaraz w po-  
czet mistrzów zaliczyli?

— Posadzają mię, że jestem kobietą.

— Może i mają rację. Niepotrzebnie znów  
wszystko egzaltujesz w swojej książce, a to za-



krawa na sentymentalizm, a więc i myślą, że baba pisze. Trzeba pisać po męsku.

— Jakże to?

— Albo ja wiem? To tyś powinien wiedzieć o tem. No, bywaj zdrów! Lecę do fabryki.

— Panna Lisia przysłała ci recenzję — rzucił przez okno.

Po jego odejściu Omkiewicz przeczytał parę razy krótką, ale zachęcającą wzmiankę o swojej książce.

Dziwnie mu było.

O nim mówią! Jego nazwisko wydrukowano na szpaltach tygodnika! Dotychczas nieznany, z cienia wpadł na jasną widownię i stał się jednym z niewielu, w porównaniu z masą.

Po nad tłumem!

Zdawało mu się, że on już nie ten, co był wczoraj, nie ten, co przed godziną.

Radość przepełniała go. Cały dzień był nie-normalny. Żartował sam z siebie, nie chcąc, żeby ktoś z obcych przeniknął do jego duszy, w której wszystko teraz fermentowało, przetwarzało się. Czasem odpowiadał nieprzytomnie, czasem uśmiechał się bez żadnej przyczyny, lub zaczynał dysputować o czemś gorączkowo.

Nazajutrz wstał ożywiony, z jasnym umysłem, do którego zaczęły napływać obrazy, sceny, zgrupowane postacie, jasno zarysowujące się na zaledwie podmalowanym tle.

Niezmierna wdzięczność obudziła się w nim

dla nieznanego mu osobiście krytyka, sprawcy wyzwolenia jego umysłu z oków zniechęcenia i niewiary w siebie.

On teraz sam czuje, że ma talent, duży talent obserwacyjny. Napisze tylko tę nowelkę, którą mu podszeptał skwarny wiatr, a potem stworzy jaką wielką powieść psychologiczną. Niech będzie nudna, niech czytelnicy poziewają, mniejsza z tem, ale każdy powie, że autorowi nie obce jest duszoznawstwo. Zaniecha też tego sentymentalizmu, który przypomina pióro kobiece, i będzie pisał po męsku. Z kobiety zrobi studyum anatomiczne, a miłość tak opisze, że zarumieniły się Afrykander, gdyby przeczytał. Dość już tych osłonek, tej śmiesznej czułości! Naga dusza, oto grunt! Nagą duszę odrysuje bez sukienki, którą przędły dla niej wieki... Ale czy potrafi?... Spróbuje. Musi przecie płynąć z nowym prądem.

Po skończeniu codziennych zajęć, poszedł do swego pokoju i jeszcze raz przejrzał recenzję, którą nosił w kieszeni od surduta; następnie usiadł przy stole, porozcinał papier na ćwiartki i zaczął pisać.

Myśl jego leciała, pisał. Aż w końcu uczuł, że mu ręka drętwieje. Zapalił więc papierosa, przeszedł się po pokoju i stanął w oknie, wychodzącym na ogród.

Nieopodal Zarnicki trząsał jabłka, które Lisia zbierała do koszyka.

Rozmowa ich dolatywała wyraźnie do uszu Omkiewicza.

— Tak?... Piękna mi miłość! Wszystko tylko dla siebie... Kocham panią — to znaczy: pragnę panią zagarnąć wyłącznie dla mojej osoby!... Fe, egoizm! — mówiła Lisia.

— A dla kogóż więc miałbym panią zagarnąć? — pytał zdziwiony Zarnicki. — Nie słyszałem jeszcze nigdy tego, żeby kto ukochaną kobietę chciał zagarnąć dla kogo innego, a nie dla siebie.

— Prawdziwa miłość nie kocha dla siebie. Gdyby pan miał dla mnie rzeczywiste uczucie miłości, to pan starałby się mię pozyskać... naprzykład... dla pana Juliana, który mógłby mię otoczyć zbytkiem, wszystkimi przyjemnościami życia.

Lisia z pod oka spojrzała na Zarnickiego: sposepniała i złość mu zamigotała w oczach.

Odwróciła się, żeby ukryć uśmiezek. Dzwonek elektryczny działał.

— Niech go piorun trzaśnie tego... idyotę, żebym miał myśleć o jego szczęściu — odrzekł oburzony.

— Otóż to! Otóż to! Wszędzie i zawsze egoizm! Cała to bieda rodzaju ludzkiego. Nie, mój panie! Kochać, to znaczy poświęcać się, żyć szczęściem ukochanej osoby, — prawiała Lisia, odrzucając grzywkę ze spoconego czoła.

— Więc dla pani byłoby szczęściem posiadać za męża tego głupca? — spytał z rosnącym rozdrażnieniem.



— Kto wie — westchnęła Lisia — gdzie szukać szczęścia...

Zarnicki postawił koszyk z jabłkami i zabierał się do odejścia.

Dzwonek elektryczny zaalarmował w nim niepokój na całej linii.

Omkiewicz wylał oknem i zbliżył się do młodej pary.

— Państwo gniewacie się na siebie? — pytał, zjadając jabłko

— Ja nie — odrzekła Lisia z niewinną miną.

— A ty, Michałek? — pytał dalej.

Zarnicki milczał nadęty.

— Wielki psycholog Dostojewski — mówił Omkiewicz — dowodzi, że każdy człowiek ma swoją *idée fixe*, co w przekładzie polskim znaczy...

— Że ma bzika. Twój bzik zasada się na tem, że chcesz gwiazdy nosem zmiatać — odciął się zirytowany Zarnicki.

— A twój na wiecznych kłótniach z panną Felicją.

— To ja jestem pańskim bzikiem, panie Michale? — zachichotała Lisia.

Rozmowa psuła nastrój Omkiewiczowi, więc wrócił znowu do pokoju i zamknąwszy okno, zabrał się do swojej nowelki.

Przeczytał ją sobie głośno; wydała mu się ckliwą i wyegzaltowaną.

Jakaś nieszczęsna dusza romantyka ubiegłego stulecia kołatała w nim chyba, dopominając się

o prawo bytu w dzisiejszym chaotycznym kulcie nagiej duszy. Chciał malować psychologię ohydnych namiętności, orgię obnażonych ciał i dzikich uniesień, chciał opiewać bachanalie zmysłów, przerazić świat potwornym zgrzytem rozpasanych nerwów, ohydą określeń, a z pod pióra mu wypływały: miłosny szept dusz, odnajdujących się po wiekowej rozłące, drżenie trawy, szum liści przeglądających się w stalowym puharze jeziora.

— Hola, mój panie! — szemrał mu do ucha prąd współczesny. — Dość tego sentymentalnego jęku. Z naszego błota ziemskiego lep swoje ideały, w śmietniku naszych dusz szukaj bohaterów!

— Trzeba więcej czytać... Studyować nowe prądy literatury, a nie zasklepiac się w samym sobie — myślał zgnębiony Omkiewicz. — Tę nowelkę najlepiej zniszczyć, zamknąć sobie nazawsze wrota do kliwej twórczości... Trzeba tylko mieć wytrwałość. Talent może przecież zmieniać kierunki.

Przeszedł się kilka razy po pokoju, wypalił parę papierosów, cisnął w kąt z pasyą niedojedzone jabłko, leżące na oknie i, zły na siebie i na cały świat, usiadł znowu przy stole.

Przysunął do siebie odtrąconą pogardliwie nowelkę, przerzucił ją znów, myślą odczytał parę z niej ustępów... Coś mu w duszy dośpiewało dalszy jej ciąg...

Oczy mu błysły gorączkowo; wziął pióro i zaczął pisać.

---

## ROZDZIAŁ XIV.



arnicki wracał o drugiej po północy od Nałęczu, u którego byli goście. Mijając mieszkanie doktora, spostrzegł w pokoju Omkiewicza światło, przedzierające się przez szpary w okienicach. Zapukał do drzwi i wszedł.

Lampa paliła się jakimś posepnym blaskiem, zatapiając cały pokój w półmroku, oświetlając tylko stół, przy którym siedział napół ubrany Omkiewicz i pisał.

Na odgłos otwierających się drzwi, spojrział na wchodzącego i pisał dalej. Pióro latało mu po papierze.

Po chwili przestał pisać i zwrócił ku przyjacielowi twarz spoconą, mizerną, z oczyma rozgorączkowanymi, noszącymi widoczne ślady łez.

— Cóż to?... Bczałeś? — spytał go zdziwiony Zarnicki.

— Ja?... Nie... Skądże...

— Ano widzę po oczach. Spotkało cię jakie zmartwienie, nieszczęście?



— Nie... bo widzisz... Ja jestem taki zdenerwowany... Od kilku nocy już nie śpię... i piszę, — jękał stłumionym głosem Omkiewicz. — Ale nie płakałem wcale.

— Piszesz nową powieść?

— Piszę nowelę z pola wojny.

— A widziałeś kiedy wojnę?

— Gdzież miałem ją widzieć?

— Więc ciekaw jestem jak ją możesz opisać?

— A Dante widział piekło? — obruszył się Omkiewicz. — Ja to, co piszę, widzę jasno, jak na dłoni. Widzę w wyobraźni miejscowości z opisu znane, chociaż nie oglądałem ich wzrokiem i myślą obcuje z ludźmi, których nigdy nie widziałem, a których znam lepiej, niż siebie.

— O czym że pisałeś?

— Rzuciłem na papier zrodzony w mym mózgu moment, — opowiadał podniecony Omkiewicz. — Pole, usiane trupami po krwawej rozprawie... Wzłotem duszy ogarnąłem cały ogrom ludzkiej rozpacz... Wszedłem do siedzib, gdzie serca wiją się z bólu i tęsknoty za tymi, których blade, martwe twarze wpatrują się w palące słońce obcej ziemi... Oglądałem tę nędzę ludzką i tak mi się ciężko na sercu zrobiło...

Zarnicki spojrział ze współczuciem na zmienne bezsennością rysy Omkiewicza.

— Niedobry wpływ wywierają na ciebie te widzenia duszy Bolku. Nie rozumiem tylko, po co

się przejmujesz tak temi bajkami, które sam wymyślasz.

A ty wiesz, że nie wzruszy czytelnika do łez żadne opowiadanie, nad którym wpierw nie zapłaczę sam autor.

A więc to ty dlatego beczaleś sam przed chwilą, żeby później czytelnicy łzy wylewali.

— Co ci mam tłumaczyć? — rozłościł się Omkiewicz. — Alboż twoja filisterska głowa zrozumie co się we mnie dzieje?! Ja jestem od dni kilku na tem polu zasianem trupami... Ja widziałem te skały, na których leżeli umarli... słyszałem jęki... wołania o ratunek. — Ja nie wymyślam odtwarzanych postaci, ja je znam... widzę je... Zaglądam do ich dusz, do ich domów... Jabym ci nietylko namalował ich twarze, ale każdą właściwość ich rysów, każdy kąt ich mieszkańia. Niektórych tak kocham, że gdy o nich myślę, to mi się serce rozpływa, innych, gdybym mógł ucieleśnić, grzmociłbym kijem. Gdy, naprzykład, opisuję stary wiejski dom, to nie tylko widzę każdą jego niekunsztowną belkę, ale nawet nie rozłączną z nim jaskółkę czarną... Lewe skrzydełko ma rozwichrzone... Trochę błotka na nóżce... Domek pochylony na jeden bok... Przed nim szara wstęga drogi... Ciemny las zamyka widnokrag... Powietrze ma smak świeżopieczonego chleba... Z nad łąk, z pobliskich moczarów, z bezdenne jeziora, idą mary w noc błękitną, srebrną... topielice... strachy... upiory... Suną o zmroku te widma mgławce na cmentarz... pukają

do nowych mogił, z których wyblyskują małe ogniki... znak, że świeżo-pogrzebane dusze dosłyszały umówione hasło... A nad tem wszystkim płynie fala smutku... tajemniczej tęsknoty... przekleństwo tajemnicy...

— Bolek, opamiętaj się! Wyglądasz jak wariat, — przerwał Zarnicki opowiadanie Omkiewicza, który patrzył rozszerzoną żrenicą przed siebie, jakby w przestrzeni widział niknące obrazy. — Daj pokój temu autorstwu! Możesz zbzikować. Lepiej wyucz się buchalteryi, dostaniesz posadę i będziesz miał spokojny kawałek chleba; autorstwo da ci tylko podarte buty, poszarpie nerwy i w końcu wyprawi tobie taki pogrzeb, jak ty swoim tym bohaterom „z pod palącego słońca“. Dlaczego nie opisujesz dziejów zwyczajnych, zamiast dręczyć swoją wyobraźnię?

— Dlatego, że dusza potrzebuje kąpieli. To co widzisz codziennie, to śmiecie na śmietniku. Ideały nie mieszkają na tym zlepku błota, co się ziemią zowie. One są w wyobraźni. Wreszcie... kto wie... może każda myśl co się lęgnie w mózgu, jest tylko odbiciem tego, co było... co się widziało kiedyś... przed wiekami?... Powiadają mędrcy, że życie, to sen duszy. Albo my wiemy ile takich snów przespaliśmy, i z jakich snów czerpiemy samych siebie! Widujemy nieraz we śnie nieznanych ludzi, nieznanne miejscowości... A może to rodzinne nasze miejscowości?... A może to blizcy nam ludzie z dawnych snów?...



— To są podobno mistyczne brednie Rychłowskiego.

— No tak... to jego teorie. Jestem jego uczniem i wyznawcą. Hypotezy Rychłowskiego są bredniami tylko w pojęciu tych, co nie widzą dalej swego nosa i swego koryta i chcą ukryć swą tępą duszę po za pogardliwym ruszeniem ramionami. To nic nie kosztuje, a w oczach gminu daje patent na wyższy sąd. — Uniósł się gniewem Omkiewicz. W majaczeniu rasowej duszy Rychłowskiego, czuje się przedświt nowego credo, błady przedświt, w którym tylko majaczą cienie... w tych cieniach on szuka duszy.

— Te cienie mogą ci tak zasnuć głowę, że się do Tworek dostaniesz.

— A tyś myślał, że rzucać myśli na papier to tak łatwo? Siadł, zapalił papierosa i powieść napisał. Nie, bratku! Tu trzeba pisać sercem, nerwami — sobą. Człowiek tak się wciela w opisywaną jednostkę, że przez jakiś czas żyje jej życiem, cierpi jej cierpieniem.

Odpiął kołnierza od bluzy, jakby go dławilo i mówił dalej.

— Nie dość, że się wcielasz w duszę opisywanej jednostki, musisz analizować tę duszę, skalpelem duszoznawstwa umiejętnie dotykać źródła cierpień, delikatnym, artystycznym pędzelkiem zaznaczyć arterye duchowe, kwiecistym wierszem wygłaszać syntezę ich tworzenia się, powstania, działalności i wmawiać w siebie samego, że owa

synteza jest zgodna z prawdą. Tak... trzeba wma-  
wiać w drugich, a co trudniej w siebie. Dusza  
ludzka jest niepochwytna! Podpatrujesz jeden jej  
ruch, dążący w prostym kierunku i ani się spo-  
strzeżesz, jak ten ruch zwiany okolicznościami,  
zatonczy półkole. Czy sądzisz, że autor opisał kiedy  
rzeczywistą, żywą duszę? Brednie! Podpatrzył tylko  
jeden jej moment i na tem podmurowaniu cegiełki  
swojej fantazyi ułożył.

Psychologia! Duszoznawstwo! Na imię tobie  
kłamstwo! mówił z ironią, biegając po pokoju. —  
Czy policzyliście, wy grzebacz w duszy ludzkiej,  
różnorodne jej drżenia. W swojej kolekcji trzy-  
macie uwieszone kilka psychicznych momentów,  
będących udziałem dusz codziennych, niewolniczych,  
a gdzież ta reszta, która nie ma liczby?! I tym  
kilku złapanym okazom nie jesteście w stanie  
wytknąć kierunku, bo jak niema dwu liści jednakich,  
tak niema dwóch dusz podobnych zupełnie do sie-  
bie. Każda w swoim pochodzie życiowym jest pod  
naciskiem wielorakich i różnorodnych wpływów,  
podległa nieustannym, najsprzecznieszym wiewom.  
Jej nie można wziąć pod mikroskop, jak karalucha.  
Jej jutro, to prąd co ją poniesie. Żeby opisać je-  
den tylko ruch swojej duszy i przyczynę tego ru-  
chu, przyczynę rzeczywiście prawdziwą, nie tę  
która nam się zdaje być prawdziwą, to trzeba  
sięgnąć do początku... Czy mógłbyś zapamiętać  
myśli, które ci się przesuną w przeciągu dziesięciu  
minut i opisać je szczegółowo? Nie wytrzeszczaj

ocznu, bratku powiadam ci, że nie. Zmuszasz myśl, żeby ci szła w jednym kierunku, ale puszczasz jej cugle i gdy mówisz o czymś niezmiernie mądrzem, ona ci plądruje, między jednym zdaniem, a drugim wśród kapitalnych głupstw. W chwilach badań dróg niebieskich szepnie ci o pieczonym kartoflu; ascecie w chwili ekstazy pokaże nagą pierś kobiety. Czy myślisz, że znasz siebie, albo kogo z otoczenia? Że ja was znam, chociaż was obserwuję?... Że poznałby was, albo samego siebie ten, co się mieni być głębokim psychologiem? Powiadam ci znów: brednie! Brednie, za pomocą których mądrzejsi tłum wyzyskują. Najmniej skomplikowana dusza, to dno oceanu! Taki Szumski! Zawsze pogodny, cierpliwy, małomówny a głęboki, niby swojska, dobrze znana rzeka, co płynie niezmaczona, przesącza się wytrwale przez tamy, stopy kamieni... A kto wie? Może pod swą normalną czaszką chrześcianina nosi myśl o samobójstwie?

Omkiewicz mówił to wszystko z gorączkową niemal gadatliwością, właściwą ludziom, obcującym ciągle tylko z własnymi myślami, a wytraconym z równowagi niezwykle podnieceniem.

— Albo i ty? — Znamy się od pieluch niemal, kolegowaliśmy, przestudyowałem ciebie prędko, boś nie zawile skomplikowana natura, wywróciłem cię do góry dnem. I jakaż twoja droga przy normalnym rozwoju twego życia? Ożenisz się z ubóstwianą Lisią, będziesz miał dzieci, dobijesz się lepszego stanowiska, nigdy nie popełnisz nic zdro-



żnego. Ochłoniesz tylko z czasem ze zbytich zapalów i będziesz mniej mówił o wygodach bliźnich a więcej o swoich, nie wyciągniesz ręki do ratowania przyjaciół z własną szkodą, bo będziesz bardzo dbałym o przyszłość twych potomków, jednym słowem staniesz się wzorowym ludzkim samcem. Taką przyszłość przepowiedziałyby tobie psycholog, zważywszy twą lekką skłonność do filisterstwa i pewien pociąg do entuzjastycznych porywów. A kto wie jakiego koziołka wyróci twój mózg? Może podpalisz fabrykę albo powieszisz tę swoją Lisię?

Zarnicki zerwał się oburzony.

— Idź już spać, bo zaczynasz bredzić, jak w gorączce!

Przyniosę ci bromu. Spojrz na swą twarz, na oczy! Jesteś podrażniony bezsennemi nocami; brom uspokoi ci nerwy i sprowadzi sen.

— Ba! Gdybym mógł teraz zasnąć! Odprowadzę cię i przejdę się po świeżem powietrzu.

Szli nad rzeką, a podniecony głos Omkiewicza wciąż rozbrzmiewał, tłumiony oddaleniem, głuszony szumem koła młyńskiego.

— Znawcy duszy kobiecej! Śmiać mi się chce, gdy pomyślę o płytkich zarozumiałcach, co sobie podobne znanstwo przypisują. Znają duszę kobiety! Istoty, co, kłamię naturze, kłamię samej sobie, kłamię z musu, z przyzwyczajenia!... Istoty, która potrafi ukryć cały świat uczuć i wrażeń między wierzchem a podszewką swej duszy...

## ROZDZIAŁ XV.



Przez otwarte okno wpływał dzień pochmurny, łagodny; pachniało deszczem.

Ewa odrabiała, jak zwykle przedpołudniem, lekcye z Wicią. Przed nią leżała książka, z której dyktowała dziewczynce.

Włosy, rozdzielone nad białem, szerokim czołem, spinała z tyłu głowy złotą igłą. Biała pikowa suknia uwydatniała doskonale rozwinięte kształty. Od całej jej postaci promieniała cicha, wewnętrzna radość.

Dyktowała machinalnie, pochylona nad haftem, pochłonięta myślami.

Niekiedy, uśmiechała się do siebie, to znów z udanym gniewem ściągała ciemne brwi, nisko zakreślone nad szeroko wykrojonemi oczyma.

Podobna była do młodej mężatki, której myśl nie wybiega poza próg jej szczęścia. W sercu miała mnóstwo nowych, radosnych uczuć i wrażeń. Napróżno usiłowała je stłumić, opanować; we-

sołemi iskierkami wybiegały jej co chwila na twarz, zaróżowiając ją, rozjaśniając, świecąc w oczach, drgając na ustach.

W duszy jej dniało.

Miłość zbudziła w niej myśl drzemiącą, indywidualność. Umysł stał się jasnym, przepelnionym pojęciami, dotąd dla niej obcemi; nowa siła zaczęła kształtować jej stronę duchową.

A wszystko, o czemkolwiek teraz myślała było jasne, dobre, przepelnione miłością.

W twarzach otaczających ją ludzi czytała przyjaźń, życzliwość; letnie słoneczne, a niekiedy chmurne, ciepłe poranki napełniały ją radością życia, ciche, świetlane wieczory upajały.

Zmiana w jej usposobieniu uwidoczniła się nawet w stosunkach domowych. Z łagodną pobłażliwością patrzyła na złość i kaprysy dzieci, które znów stały się krnąbrnymi, a rozmawiając niekiedy z Zurakowską, ledwie zdołała się powstrzymać, żeby jej nie objąć za szyję i nie przycisnąć głowy do jej piersi.

Z Czesławem, który przyjeżdżał po skończonej pracy w fabryce, spędzała codziennie parę godzin sam na sam.

Zurakowska, nie czując się jeszcze zupełnie zdrową, nie wychodziła z domu po zachodzie słońca, a o dziewiątej już spała; reszta domowych korzystała z pięknej pogody.

Gdy panna Salomea odchodziła z dziećmi na



spoczynek, Ewa pozostawała jeszcze z Czesławem w ogrodzie.

Spleceni uściskiem pod wytwornym płaszczem nocy błękitnej, haftowanym girlandami gwiazd, pili czar życia, ona — po raz pierwszy, on — sam nie wiedział, po raz który.

I wszystko wówczas im szeptało o miłości: młode topole, szumiące pieśń nocną, zalotne fale jeziora, swawolące z powiewem wiatru. Wszędzie, dokąd się zwrócili, miłość szła przed nimi, zalewając różową barwą szare cienie powszedniości.

Ewa, cała drżąca od napływu nowych uczuć, świeża i pachnąca wiosną, galwanizowała przeżyta duszę Czesława.

— Nie miałam pojęcia o tem, — mówiła, że życie jest tak rozkoszne. Powinnam być wdzięczna losowi, że jestem wybranką szczęścia, bo ileż to kobiet, tak, jak panna Salomea, w szarej sukni wlecze przez całe życie tylko szary wór obowiązków, nie zaznawszy nigdy jaśniejszej chwili.

Miły jej szept poruszał w duszy Czesława strunę tkliwości, nieznaną mu dotąd; jednocześnie podziemny głos sumienia coś mu wyrzucał, o coś, na co Czesław nie umiał odpowiedzieć, dopytywał natarczywie.

On żył obecną rozkoszną chwilą.

Niekiedy Ewę ogarniał niepokój; nasuwała się jej myśl, że należałoby powiedzieć o wszystkim Zurakowskiej, ale na wspomnienie scen i wymó-

wek, które musiałyby nastąpić po owem wyznaniu, drętwiała.

— Takbym chciała, żeby ludzie nie dowiedzieli się nigdy o naszej miłości, ich udział spłoszy odrazu moje świetlane chwile, — mówiła do Czesława.

A jednak muszą się dowiedzieć! — myślała teraz.

Ona i Czesław muszą wiele jeszcze znieść, zanim wywalczą sobie szczęście, najczystsze, najpiękniejsze na ziemi. Gdy się pobiorą za wstawieniem Lisi, dyrektor im wydzierżawi niedrogo domek, który w ogrodzie tonie w zieloności... róże do okna zagładają. Jak ona go upiększy! Meble ukoronuje wyrobami z gliny białej i szarej, poświęci dużo na to czasu, żeby były artystyczne. Sama będzie zawsze ładnie ubrana. Sukienki w domu uszyje, eleganckie fartuszki dopełnią stroju. Pod dębem, który około domku wyrasta, ustawi taki stół, jak w Zukówce. A może Zurakowska daruje im ten sam stół. Pewno daruje... Czesław bierze sto rubli miesięcznie, później będzie miał może więcej, a i ona będzie zarabiała. Nietylko zajmie się gospodarstwem domowym, ale zużytkuje także swoją znajomość języków. Tyle jest mieszkańców w fabryce. Świąciccy pierwsi zechcą, żeby uczyła ich dzieci. Nie lubi belferki, ale dla swego domku, dla swej rodziny każda praca będzie dla niej rozkoszą. A może krowy będą trzymali? Z nabiału byłby duży dochód w fabryce.

Nie zaznają biedy. Będą mieli dwie córeczki. Radość, zmartwienie zbliżą ją z Czesławem... lata zjednoczą ich myśli, utrwalą przywiązanie...

Zmrok... cichy... ciepły... Lampa migoce wśród dębowych liści... Czesław starszy o lat piętnaście, wraca do domu po pracy... Rysy ma zmęczone latami, ale wyszlachetnione miłością do rodziny, idea społeczną... Dwie smukłe dziewczynki w białych fartuszkach witają go radośnie... — Gdzie mateczka? — pyta ich. — Mateczko! Matusiu! Chodź! Nam smutno bez ciebie! — rozlegają się świeże głosiki. — Odrywają ją od pracy i wiodą pod ręce, całe bieluchne, jasne blondyneczki... jedna ma włoski cokolwiek ciemniejsze... Śliczne są, a jakie dobre! Jeszcze były malutkie, gdy wtykała im w rączki grosze: „Idźcie — mówiła — dajcie tej biednej staruszce,“ albo: „Patrzcie, jaki biedak chory, niedołężny, usłużcie mu“, wychowały się i były ich pociechą w nieszczęściu. O, bo mieli dość zmartwień w życiu! Mieli nawet pożar w domu. Dziewczynki im chorowały ciężko, ale wychowały się przecie... I oto wiodą teraz swą mateczkę, nie zestarzałą wcale, bo szczęście jej nie pozwala zestarzeć się, więc pomimo, że nici srebrne błyszczą na skroni, wygląda strojnie i młodość ma w oczach. Wiodą ją pod ręce i śmieją się i szczebioczą, jak skowronki w słońcu... wiodą słońce domku... jego duszę!... Siadają między matką i ojcem, jak jasny, promienny łącznik, i to ją całują, to ojca pieszczą...

Ewa przymknęła powieki, żeby ten obraz za-



trzymać w pamięci, uśmiechała się do niego, a łzy rozrzewnienia napływały jej do oczu...

— Już od pół godziny napisałam ostatnie słowo i czekam na dalsze dyktando, — przerwała ironicznym tonem marzenia Ewy Wicia, która patrzyła oddawna na mieniącą się pod napływem różnorodnych myśli twarz nauczycielki.

— Ach! przepraszam cię, moje dziecko! Takem się zamysliła. To chyba wina tych chmurków, co tam płyną po niebie i nasuwają przeróżne marzenia, — rzekła Ewa i rozśmiała się dźwięcznym, dziecięcym śmiechem, który tak czarował Czesława.

Wicia zdziwiła się.

Ewa już była prawie od roku w Zukówce i nikt nie słyszał, żeby się tak śmiała.

Śmiech ten wydał się Wici dziwnie pięknym.

W jej małej, złej duszyczce, drgnęła nagle zazdrość, pra-wieczna komórka, kryjąca się w duszy każdej kobiety, wyrobiona wiekową koniecznością zdobywania sobie jutra urokiem swego ciała.

Samozachowawczy instynkt, wrogi wszelkiej konkurencyjnej sile, utrudniającej ową walkę o jutro, instynkt, który kiełkuje od kolebki w kobiecie, zbudził w Wici bezwiedną nienawiść do uroczego śmiechu nauczycielki i zaczęła szukać w myśli czegoś, coby spłoszyło ten czar.

— A tak... Prześliczny dzień dziś mamy, — Chciałabym, żeby piękna pogoda trwała długo aż... do ślubu wujaszka Czesława z Terenią.

Radość pierzchła z serca Ewy.

Na usta jej biegły już wyrazy: „wujaszek nie ożeni się nigdy z Terenią.“ Ale opamiętała się.

— Więc jakież było ostatnie słowo, któreś napisała? — spytała spokojnie.

Wicia mogła tryumfować: nauczycielka była teraz chmurna i nie uśmiechała się już.

Ewa, dyktując, myślała, że lepiejby było odrazu wyznać wszystko Zurakowskiej. Tajemnica nie mogła być długo zachowana. Teraz sobie przypomniała, że młodsza, usługując jej, miała minę lekceważącą, że w oczach starego ogrodnika, który się wiecznie włóczył po ogrodzie, czytała nagane, że w wyrazie twarzy Zurakowskiej zapowiadała się burza, że wreszcie dobre i przyjazne oblicze panny Salomei wyrażało niecierpliwe oczekiwanie.

Myśli te spłoszyły świąteczny nastrój Ewy, który w jej duszy gościł stale od dwóch miesięcy.

Wieczorem, żartując, opowiedziała Czesławowi o życzeniu Wici. Rozgniewał się ogromnie.

— Ta mała jest niezdolna. Tem swoim szpiegostwem i chytryością wstręt we mnie budzi, — mówił zirytowany.

Ewa go uspakajała, trochę zdziwiona tym gniewem.

— Cóż chcesz, mój drogi? To przecie dziecko, coś posłyszała, więc powtarza.

Ale Czesław stracił humor na cały wieczór. Podziemny głos znów się w nim odzywał, pytał ale teraz już jasno, natarczywie.

Co zamysła robić? Przecie z Ewą ożenić się nie może. Obecność jego w fabryce jest zaledwie cierpiana. Nałęcz go nie lubi i niechybnie wpłynie na administrację, żeby go usunęła. Wreszcie sam się usunie, gdyż czuje, że jest niezdolnym do wiecznego jarzma. Rok męki dowiódł mu, że do pracy trzeba się wdroyć od dzieciństwa. Nie mógł wspomnieć bez dreszczu wstretu dusznej, zabijającej atmosfery fabrycznej.

To, co zarabiał, zaledwie wystarczało dla niego, skądżeby wziął na wyżywienie rodziny.

Więc jakież jest wyjście z tego fatalnego położenia? ożenie się z Terenią?

A Ewa?

— Ludzie nas zmuszają do wyjawienia naszej drogiej tajemnicy, — mówiła, żegnając się z Czesławem. — A szkoda, tak nam z nią we troje było dobrze.

Nazajutrz przypadało święto i Czesław spędził cały dzień w Zukówce.

Po obiedzie długo rozmawiał z Zurakowską w zamkniętym saloniku.

Ewie przyszło na myśl, że wczorajsze jej słowa wyrzeczone przy pożegnaniu do Czesława, są powodem tej rozmowy.

Więc mówią o niej!... Czesław wyznaje, że ją kocha... że żyć bez niej nie może... Za chwilę nastąpi straszliwa burza, wyrzuty, groźby.

Czy potrafi to wszystko znieść?... Czy nie ugnie się pod naciskiem obrażonej dumy?



Była wzburzona. Drżała, pulsa jej biły gorączkowym tempem. Piła zimną wodę, przechadzała się po ogrodzie, żeby się cokolwiek uspokoić.

Gdy wróciła ze spaceru, z zamkniętego saloniku dolatywały jeszcze głosy Zurakowskiej i Czesława.

— Nie trzeba przeszkadzać... Niech mówią... Im prędzej, tem lepiej... Nie pozwalam dzieciom tam wchodzić, — szepnęła jej panna Salomea.

Do herbaty Ewa przysła z mocno zarumienionemi policzkami. Usiadła na swem miejscu i piła machinalnie herbatę, nie śmiejąc podnieść oczu z obawy, żeby nie wyczytać w twarzy Zurakowskiej piorunującego gniewu. Ręce jej drżały; nie mogła utrzymać łyżeczki.

— Cóż to panna Ewa dziś taka zaróżowiona? — usłyszała zapytanie pani domu.

Głos Zurakowskiej brzmiał spokojnie i życzliwie, tylko na chwilę oczy jej, spotkawszy się ze wzrokiem Ewy, zabłyszczały kołącym szyderstwem.

Znając z doświadczenia moralny proces duszy kobiecej, odgadła co było powodem niezwykłego podniecenia nauczycielki i w duchu uśmiechnęła się ironicznie.

W ciągu całej poobiedniej gawędy, jaką miała z bratem, mówiła tylko o rychłym jego małżeństwie z Terenią, skłaniała go do zdecydowania się, przedstawiała możliwe złe kombinacye z powodu zwłoki, dowodząc, że po stracie posady upokarzającym byłoby dla niego sięgać po rękę bogatej panny.

Argument ten zdawał się działać na Czesława. Imię Ewy nie było nawet wymówione w czasie ich rozmowy.

— Odbyłam tylko co długą przechadzkę, — odrzekła Ewa i spojrzała na otaczających.

Na wszystkich twarzach malował się zwykły wyraz. Czesław miał minę znudzoną.

Wszystko było, jak zwykle, żadna nowina nie zmąciła harmonii domu.

Ewa zrozumiała, że oni „o tem“ nie mówili. Na chwilę ogarnęło ją zdziwienie, później wstyd.

Jakże też ona musiała się im wydawać śmieszna, z tem niezwykłym zarumienieniem, z tem wzruszeniem, którego ukryć nie umiała? Czyż i Czesław odgadł, co było powodem tego wzruszenia?

Wypiła spiesznie herbatę, pragnąc jaknajprędzej skryć się przed wzrokiem ludzkim, i zaraz poszła do swego pokoju. Nie wróciła już, pomimo zapytania Czesława: „Czy pani nie przejdzie się z nami jeszcze po ogrodzie?“ — zapytania, w którym brzmiała prośba.

Zamknęła drzwi, opuściła store, zapaliła lampę i zaczęła chodzić po pokoju, cała wzburzona.

— Co oni o niej pomyśla? Jak się pewnie Zurakowska śmieje w duchu z jej zawiedzionych nadziei!... A Czesław?... Dlaczego nie wyznał siostrze?... Przecie od niego musi wyjść to wyznanie... Ale skąd jej przyszła myśl, że oni „o tem“ mówią? I pannie Salomei także... Dlaczegoż koniecznie dziś miało to nastąpić?... Przecie nic nie nagli... Czesław

musi oszczędzać siostrę, która zaledwie przyszła do zdrowia i dla której wiadomość o ich miłości byłaby niemal ciosem... A jednak musi jej o tem powiedzieć, bo sytuacja ich staje się coraz drażliwszą wobec ludzi... Zurakowska wreszcie może mieć do nich żal za tajemnicę... Czemuż nie zdobył się raz na odwagę?!

Wstyd, połączony z jakimś bezwiednym niepokojem dręczył ją cały wieczór, długo nie dawał zasnąć, a nazajutrz w chwili obudzenia się, przyniósł znów upokorzeniem.



## ROZDZIAŁ XVI.



anno Ewo! Niech dzieci nie wychodzą na spacer; ogromny dziś wicher, a Wicia kaszle. Proszę też dopilnować, żeby nie piły wody, gdy są spocone, a Kociowi trzeba przestrzyknąć rumiankiem uszy, bo mu znów coś się tam robi. Czy pani tego nie zauważyła?

Zurakowska, ubrana w okrycie i kapelusz, naciągając rękawiczki, dawała powyższe zlecenie Ewie, która słuchała ich w milczeniu.

— Z obiadem proszę na mnie nie czekać. Dzieci niech idą wcześniej spać, — dodała, wychodząc na ganek, przed którym oczekiwał powóz.

Ewa wzięła książkę i udawała, że czyta.

Wicia skakała po pokoju przez sznur, uderzając z całych sił obcasami po podłodze, zawadzając o krzesła i stoły.

Zatrzymała się wreszcie przed Ewą.

— Czy pani będzie u nas na Boże Narodzenie?

— Dlaczego o to pytasz?

— Bo mama z panią Widzką postanowiły odwiedzić mnie i Nelcię do Jazłowca. Mama chce też do chłopców wziąć guwernera.

Patrzyła na nauczycielkę złośliwie.

— W takim razie nie będę, — odrzekła spokojnie Ewa.

Pewnie się nigdy nie zobaczymy. Ja wyjadę do Jazłowca; pani zapewne także gdzieś daleko wyjedzie?

Ewa milczała i udawała, że czyta.

Weszła panna Salomea.

— Idź, kochaneczko, przejdź się trochę! — zwróciła się do Ewy.

— Dzieci nie mają dziś wcale wychodzić, gdyż jest wiatr.

Przejdź się więc sama, jeżeli się wiatru nie boisz. Ja nie odstąpię dzieci.

Ewa pocałowała rękę starej panny i, podniósłszy głowę, chwilę patrzyła jej w oczy z wdzięcznością.

Z uczuciem ulgi wyszła na świeże powietrze.

Od dawna już nie miała chwili samotności, upragnionej. Zbudziła się w niej czujność duszy, krytycyzm, zrozumiała Czesława. Zrozumiała, że egoistyczne jego usposobienie jest silniejsze, aniżeli miłość do niej. Analizowała charakter, pobudki, które go skłaniały do milczenia, do unikania jej wobec siostry i mama jego natura wypełzała przed nią w całej swej nagości.

Szła teraz drogą, obrzeżoną sosnami, wiodącą

do lasu, a za nią goniły dokuczliwe myśli. Dlaczego ona stąd nie ucieka? Czego właściwie czeka? Między nimi nie było nigdy mowy o przyszłości... Nie robili żadnych projektów na dalsze życie... Nie zobowiązywali się do niczego. Cóż więc teraz powinno nastąpić i dlaczego. Przecie na nic nie liczyła i gdyby zasłona przyszłości ukazała jej bodaj najczarniejszą dolę, poszłaby na jej spotkanie, bo pocałunek przylgnięty do jej ręki, rozlał w niej siłę pragnień, których zwalczyć nie była w stanie.

Ludzie nie wiedzieli o ich miłości. Pocóż ich wtajemniczać? Kochali się, jak ptaki i jak one rozlecą się w różne strony.

Wszystko, jak w naturze!

Wzdrygnęła się.

Dziką i straszną wydała się jej myśl, że on pokocha inną, a ona znów do innego należeć będzie.

Nie!... To niemożliwe!... Ona, pomimo wszystko kocha go!... kobieca etyka, przekazana atawizmem, stanęła w jej obronie.

Przejrzała. Widzi jego wady, ale musi go bronić przed sobą nawet. Ona nie ma już prawa wyboru. Zły los wyciągnęła na loteryi życia, ale po drugi jej sięgnąć niewolno. Czesław był teraz nietylko jedynym mężczyzną, którego jej wolno było posiadać, ale był także jej rodzinnem ogniskiem, jej kątem własnym. Ona nie może rozstać się z Czesławem, bo wówczas będzie sługą cudzej woli, tułaczką do końca życia, wyzyskiwaną, poniewieraną. Musi zatrzymać to, co jej się wy-



mykało, choćby za cenę najstraszliwszych upokorzeń.

Duszo było w lesie, przedarła się więc przez krzaki i szła w pole, między ścierniskami. Przed nią roztaczał się, ujęty w ciemną ramę lasów, obszar zielony, po którym teraz gospodarował świeży powiew wiatru. Na zachodzie wiał się po niebie ognisty pas, czerwonym odbłyskiem znacząc drzewa pole. Szary kurz powstał z ziemi i chwilę bujał w powietrzu purpurowy, przeźroczysty. Pożółkłe drzewa, rude ścierniska — wszystko przybrało barwy królewskie.

Ewę ogarnęła moc, wypromieniowana z otaczającej ją zdrowej, potężnej natury. Siła ta zdawała się wchodzić w jej mięśnie, wypełniać płuca.

Szła, nie mrużąc oczu przed falą wiatru, przed krwawym odbłaskiem, wysoka, silna, z bujnym warkoczem, rzuconym na mocne ramiona, z blaskiem młodości w oczach, zalana słoneczną purpurą, niby władczyni, biorąca całą naturę w swe posiadanie.

Czesław ją doganiał.

Przystanąła i patrzyła na zbliżającego się.

W tym jasnym obszarze, wśród powodzi barw, wobec wspaniałej w swym normalnym rozwoju przyrody, ten król stworzenia z mrugającymi nerwowo powiekami, blady, szczupły, zwiędły, jak owoc w zaraniu słońcem przepalony, wydał się jej nędznym, budzącym politowanie.

Na jedno mgnienie oka Ewie błysnęła myśl — objawienie: taki marny posiadł jednak jej miłość,

którą mu oddała, nieświadoma życia i cofnąć się jej nie było już wolno!

Przyspieszył kroku i obejmował zachwyconym wzrokiem jej postać, przepyszną w swej niezniszczonej młodości.

— Jakaś ty wspaniała, Ewo, w tem królewskim oświeteniu, — zawołał.

Spojrzeni na siebie i Czesław drgnął.

Z oczu Ewy wyczierała nie codzienna jej dusza, ale jakaś inna i wdzierająca się do jego głębi, krytyczna, dumna niez użytą młodością, urągająca jego nerwom.

Ale to trwało jedno mgnienie oka.

Wziął jej ręce i przylgnął do jej marmurowego ramienia, szepcząc słowa miłości, które w siebie wchłaniał, chwytając je w powietrzu, wilgotnymi, nieco zmysłowemi ustami.

— Szukałem cię, — mówił, — stęskniony za twoim widokiem. Zdaje mi się, żeśmy się od wieków rozstali.

Weszli napowrót do lasu.

Ewa poddawała się jego pieścizotom z upojeniem, tłumiąc podszepty niewiary.

Był bez woli, ale ją kochał. Jej obowiązkiem, obowiązkiem kobiety, która już wybrała, było natężyć go silną wolą. Musi podtrzymać w nim wciąż gorącą miłość, żeby miał wytrwałość do podjęcia wraz z nią ciężaru życia. Czy tylko potrafi zbudzić w nim tę wytrwałość? — myślała z niepokojem, wracając do domu.

Życie już nie miało dla niej tajemnic. Teraz znała samą siebie i zrozumiała, że ją niosą dwa wrogie sobie prądy: prawo natury i społeczne prawo kobiety.

Do Czesława przykuwała ją namiętność, a zarazem dręczyła myśl, że postępuje niezgodnie z prawami etyki, nakazywanej kobiecie. Analizując wady Czesława, widziała w nim jednak wcielenie czaru życia i, wstydząc się porywów swojej młodej natury, które w pojęciu ogółu były hańbą i wstydem, upajała się rozkoszą nowego uczucia.

Coś jej wciąż szeptało, że powinna natychmiast opuścić dom Zurakowskiej i znów konieczność rozstania się z Czesławem wydawała się jej rozpaczliwą; odpędzała od siebie nawet myśl o tem i wciąż czekała zawstydzona, do głębi upokorzona.

Zurakowska wróciwszy późno wieczorem z sąsiedztwa, powiadomiła Ewę, że jutro ma być majówka u Rolińskich, na którą zamierza wziąć dzieci

— Niech je pani każe ubrać po letniemu, jeżeli będzie gorąco i nie zapomni zabrać dla nich cieplejszych okryć. Tylko panno Ewo, na miłość Boską, proszę ich pilnować, żeby nie dokazywały, bo dużo będzie osób zupełnie nieznajomych.

Nazajutrz był dzień straszliwie upalny. Na majówkę zjechało się liczne towarzystwo. Dla starszych był urządzony przepyszny namiot, drugi skromny, oddalony od pierwszego, przeznaczony był dla dzieci, które się na łące bawiły pod opieką nauczycielek.



Lisia przyjechała już późno w towarzystwie siostry i Zarnickiego.

— Gdzie Ewa? — spytała Czesława.

— Panna Ewa jest w drugim namiocie razem z dziećmi.

— Pan się z nią nie widział?

— Nie jeszcze, — odrzekł Czesław zmieszany.

— Chodźmy do niej!

W namiocie dziecinnym był hałas nie do opisanego. Dwa tuziny dzieciaków odświeżało sobie płuca krzykiem i chichotem.

Siedm nauczycielek, pomiędzy którymi, były młode i ładne, usiłowało je zabawić. Ściśnięte gorsetami, zaledwie oddychając wśród upału, z wypiekami na twarzy, z sztucznym uśmiechem, maskującym straszliwe znużenie i przymus, kręciły się między dziećmi, obmyślając dla nich zabawy, zbierając rozproszone, rozbajając sprzeczące się, uspakajając grymasne.

— Ewciu! Czy ty tu zostaniesz do końca? Chodź z nami! — prosiła Lisia.

— Nie mogę zostawić dzieci.

— Przecie jest tu tyle nauczycielek! Wy-  
ręczą cię

— Nie mogę stąd odejść. Każda z tych nauczycielek ma dość do pilnowania, — odrzekła Ewa.

Nie patrzyła wcale na Czesława, chociaż ten usiłował spotkać jej spojrzenie.

— Chodź tylko na chwilkę, popływamy po je-

ziorze. Tam są małe łódeczki. Patrz, Ewciu, zupełnie blisko!

— Nie odejdę stąd Lisiu. Niech państwo idą. Może później przyjdę; teraz nie mogę, — odrzekła Ewa. Żegnając się podała rękę Czesławowi i spojrzała na niego łagodnie, spokojnie.

On nie wiedział co mówić.

— Więc pani do nas przyjdzie? spytał.

— Może przyjdę. A teraz muszę spieszyć na posterunek, — dodała wesoło.

Spojrzał na nią błagalnie, pokornie.

— Nie mogę nigdy dobrze się bawić przez tę Ewę — mówiła Lisia, zмирzając ku jezioru, na którym kołysały się łódki, uwięzione na łańcuchach. — Żal mi jej. Jaka ona dziś prześliczna! W ogóle od niejakiegoś czasu ma coś w całej swej postaci tak uroczego, że wprost, gdy jestem z nią, oczu od niej oderwać nie mogę. Ona nie stworzona na taką mękę.

Ewa zdaleka widziała, jak Lisia z Zarnickim siedli do malutkiej łódeczki, jak Czesław pożegnawszy ich, wrócił do towarzystwa.

Nie zostawiła ani na chwilę dzieci, chociaż niektóre nauczycielki, szukając odpoczynku, szły do wspaniałego namiotu, gdzie się rozsiadły matki przy stołach zastawionych chłodnikami, i gdzie młode ulubienice fortuny, wystrojone, z wyrafinowaną kokieterią, śmiejąc się rozkosznie i chłodząc lodami, flirtowały z młodzieżą.

Matki podwoływały do siebie nauczycielki,

wchodzące na chwilę do tego przybytku wybranych.

— „Czy Jancia grzeczna?“. „Niech pani pilnuje, żeby Jurek nie pił zimnej wody; lodów mu proszę dawać po odrobinie; łyżeczką kłaść do buzi“. Proszę lepiej pilnować i zabawiać Dola, ciągle do mnie przybiega i naprzykrza się“. — Niech pani śledzi za Józkiem i Wacim: mogą się pobić.

Nauczycielki, otrzymawszy zlecenia, chwilę pozostawały w namiocie. Rozmawiały trochę z pannami; czasem która z nich odpierała oburzonym wzrokiem zuchwałe spojrzenie, lub dwuznaczny komplement mężczyzn. Oddalały się prędko, czując na sobie wypychające je stąd spojrzenia matek, bezwiednie skrepowane w duszy świetnymi barwami i pewnością siebie tego towarzystwa, które się tu zgromadziło dla zabawy, które miało nad niemi przewagę stanowiska i fortuny i w obec którego, one niosący największy ciężar społeczny, wychowywania nowych pokoleń, czuły się podrzędnymi, szaremi.

Powiał chłód wieczorny, majówka się ożywiła.

Lisia i Zarnicki płynąc łódeczką, trzymali się pod rękę, gdyż ławeczka w łódce była tak mała, że zaledwie zmieścić się mogli. Każde nieostrożne poruszenie groziło katastrofą. Łódź, nie kierowana, płynęła z biegiem fal. Zarnicki nie wiosłował wcale, tylko pochylał się co chwila i gorąco przyciskał do ust rękę Lisi, opartą na jego ramieniu.

Lisia wciąż widziała przed oczyma jego bujne,



miękkie włosy, spotykała spojrzenie, pełne miłości i naraz stała się łagodną, milczącą.

Po jej oczach przesunął się cień rozmarzenia; na ustach osiadł zagadkowy uśmiech młodej dziewczyny, zdziwionej i onieśmielonej przecuciem raczej, niż świadomością, nieznanego jej dotąd uczucia namiętności.

— Panno Lisiu... moja serdeczna dziewczyno... Czy chce pani zostać moją żoną?

— Dobrze — odrzekła, odwracając głowę.

Zarnicki jej rękę ścisnął do bólu i zmusił, żeby na niego spojrzała.

— Jeżeli pani znowu żartuje, to źle pani robi... Bardzo źle i bardzo niegodziwie... bo ja nie taki... jak inni... Ja dotychczas nie kochałem... Nie dotknąłem nawet ręki kobiety inaczej, jak tylko z szacunkiem, lub obojętnością... Ja jestem godnym pani — usiłował wytłómaczyć dziewczynie znaczenie swoich słów. — Jabym sobie życie odebrał, gdyby pani ze mnie zażartowała.

Patrzyła na niego rozmarzona, uśmiechnięta i nagle położyła mu obie ręce na ramionach i przysunęła blisko swą twarzyczkę z rozwianą grzywą.

— Ja nie żartuję... Ja bardzo kocham pana, dlatego.. że pan jest takim... jakim jest...

Oczu od niej długo nie mógł oderwać, pozerając ją wzrokiem, nie śmiejąc dotknąć ustami tej ukochanej buzi, która była tak blisko jego ust.

Łódka wciąż płynęła z biegiem fal, ale Zarnicki już nie całował ręki Lisi, nawet nic nie mówił.

Szczęście odjęło mu mowę.

Mała dziewczynka, siedząca obok niego, była jego przyszłą rodziną. Z nią brał na swe barki ciężar życia. Odtąd jak wytrwały szermierz, musi stanąć w szeregach walczących o byt, jak czujny stróż musi ochraniać swoją zagrodę i jako prawy chrześcjanin być w tej zagrodzie przykładem.

Nie uląkł się tego ciężaru.

Miał w sobie siłę szermierza, czujność stróża, w niezepsutem sercu ogromny zapas miłości.

Lisia odczuła w nim tę moc ducha.

— I jabym umarła, gdyby mi pana zabrano, — szepnęła.

Ewa spędziła ośm upalnych godzin wśród wrzasku rozbawionych dzieci, upadając ze zmęczenia, zarówno jak i inne nauczycielki.

Zdaleka tylko widziała Czesława i Terenię, której matkowała Zurakowska. Wszyscy troje byli ciągle razem.

Czesław nie zbliżył się już więcej do niej. Niczego nie oczekiwała, a jednak wróciła do domu z sercem ściśniętem bólem i upokorzeniem.

Z radością powitała niepogodę, gdyż Zurakowska nie zabierała z sobą dzieci, chociaż sama jeździła codziennie z wizytami.

Ewa spędzała samotne wieczory.

Niekiedy próbowała lepić, ale twórczość jej uleciała i palce wyrabiały tylko bezmyślne figurki.

Z Czesławem widywała się teraz rzadko. Z powodu rozpoczęcia kampanii przeniósł się już do cu-

krowni. Gdy przyjeżdżał do Zukówki, Zurakowska była przy nim nieodstępnie, a najczęściej zabierała go i jechała do Widzkich, zostawiając nauczycielkę w domu z dziećmi.

Czesław często się opierał, protestował dość ostro przeciw despotyzmowi siostry, ale w końcu zawsze ulegał. Wobec ludzi unikał Ewy.

Wszystko to coraz więcej ją zastanawiało. Myśl Ewy stawała się coraz jaśniejszą, coraz szersze obejmowała koło. To, co dla niej było dotąd niepojętem, odcyfrowała teraz z łatwością.

Różowa przepaska spadała powoli z jej oczu.



## ROZDZIAŁ XVII.



wszem, książki pana mają pokup. Sprzedaliśmy przeszło ośmset egzemplarzy w przeciągu dziesięciu miesięcy. To świetnie, jak na początek! Można panu rokować szczęśliwą przyszłość. Posiada pan sympatyę publiczności.

Omkiewicz poczerwieniał z zadowolenia.

Przyszedł dziś do księgarni, która miała na składzie jego książki, żeby dostać jakąś zaliczkę i ze strachem myślał o tem, że może sprzedaż nie pokryła dotąd kosztów druku.

Pomyślna odpowiedź uradowała go niezmiernie.

Doszedł już był do wielkiej biedy, z którą starannie się ukrywał.

— Proszę... Niech pan będzie łaskaw spocząć przez chwilę. Zaraz zrobimy obrachunek — mówił dalej Molski, właściciel księgarni, i wskazawszy Omkiewiczowi krzesło, oddalił się.

Omkiewicz usiadł i starał się opanować myśli, które mu się rozpierzchły z radości.

Ośmset egzemplarzy!... To znaczy tysiąc sześćset rubli... Spłaci dług, a resztę schowa... Rzuci te przeklęte lekcye, które mu wprost podcinają skrzydła!... Wraca zmęczony, zdenerwowany... Teraz dopiero spróbuje sił!... Podniesie się zwolna... Skrzydła ma ciężkie, ale tem silniejszy będzie ich rozmach!...

W wyobraźni mignął mu ładny, jasny pokój... Widok na spokojne fale Wisły, po których płynie do niego nastrój... Nastrój, ten haszysz literacki, wobec którego pierzchają małe myśli... miara czasu!

Tę powieść, którą ma teraz prawie już napisaną, opracuje starannie, wycieniuje... pogłębi... Sprzeda ją dobrze... Tatry... Włochy... później południowa Ameryka.. Sława, ta kapryśna odaliska, zwróci się do niego z uśmiechem... Znany autor... chluba narodowa... A przecie!... Tyle się wydręczył przez ostatnie miesiące!... Tyle zniechęcenia... zwątpień!... Teraz potrzebuje tylko roku spokojnej pracy... Byle lekcji nie dawać!... Pokój wesoły... Ranki... noce... dnie na własność!...

Omkiewicz starał się ukryć zadowolenie. Było mu wesoło, a zarazem niepojęte dla niego samego skrępowanie ogarniało go coraz więcej.

Miał w sobie uczucie, którego doświadcza tchórzliwy urzędnik, zjawiający się po raz pierwszy do biura, dokąd go przyjęli za wielką protekcją.

Wszystko mu tu imponowało, zaczawszy od właściciela księgarni.

Rozglądał się ciekawie dokoła.

Na półkach aż do sufitu, poukładane szczer-  
nie, leżały dusze ludzkie.

Na każdej były etykiety. Wyglądały wszyst-  
kie jednak, ale nie dla oka subtelnego.

Omkiewicz patrzy na nie i uśmiecha się po-  
rozumiewawczo. On wzrósł w otoczeniu tych dusz,  
umie je na pamięć i co spojrzy na etykietę, to  
już wie, co ona kryje.

Na najniższych półkach, na kontuarach, po-  
rozwalały się dusze grubych ryb literackich.

Tytuł utworu, nazwisko autora i nic więcej!...  
Wieje od nich przygnębiającą jowiszowską pewno-  
ścią siebie, wobec której najmądrzejsi półszepem  
wypowiadają swoje zdania.

Rozpięta na szkielecie nowa dusza, pokryta  
hieroglifami, starannie pielęgnowana, imponująca  
niecodziennymi potwornymi pieluszkami, dusza,  
otwierana tylko przez kapłanów sztuki.

Obok niej nieudolni jej naśladowcy — zgrzy-  
towe nastroje.

Dusza Nemezys, ważąca na szali literackie  
dusze.

Omkiewicz patrzy na nią z naganą. On dobrze  
wie, że płocha ta niewiasta ma dużo przyjaciół,  
powinowatych, sympatyj, antypatyj i, że nieraz,  
flirtując, dorzuconym na ważkę kamykiem uczyni  
cięższą lekką i, naodwrot, okpi na wadze niesym-  
patyczną sobie duszę.

Wzrok jego padł na najwyższą, decydującą



instancję autorów i uczuł niepokój. Smutnym korowodem przesunęły mu się przez mózg braki i niedokładności jego powieści, niedokładności, które zamkną mu furkę do tej Mekki literackiej.

Pogoda pierzchła na chwilę z jego duszy. Pragnął sławy namiętnie. Z zazdrością śledził każdą pochlebną wzmiankę o jakim autorze, nabywał zaraz wzmiankowaną książkę, wczytywał się w nią chciwie, porównywał z swoim utworem, mierzył się siłami z szczęśliwym współzawodnikiem i często upadał na duchu.

Dziś jednak był w wyjątkowo dobrym nastroju, odepchnął więc prędko pesymistyczne myśli i dalej zaczął studyować charakterystykę nagromadzonych dusz literackich.

Na półkach szczelnie poprzciskane do siebie, leżą przeróżne dusze, duszyczki: marzycielskie, całe fiołkowe, mgławce, w siebie zasłuchane, albo sprytne, czujne, węszące w lot nowe wiewy. Inne głębokie, pełne przeczuć, bezdennej tęsknoty, chore, przesubtelnione dusze i te dusze, których królestwo trwa zaledwie sto dni.

Tu i owdzie dusze kobiece — jedne płytkie, gadatliwe, kaznodziejskie, inne mroczne, pełne tajemnic, owinięte narzuconą, przymusową maską, którą uchylają niekiedy, ukazując uśmiech szyderczy, gorzki, pełen protestu.

Z wyższych półek dusze czeladzi literackiej, zbite w jedną masę poglądy chciwem okiem na

nabywców. Na półkach najwyższych spoczywają dusze w letargu, albo umarłe.

Omkiewicz o wszystkim zapomniał i świetnie się bawi, odnawiając dawne znajomości.

Na kontuarach ciąg codziennych plotkarskich dusz, kłótliwych, często głodnych, nie lubiących się wzajemnie, ale z budującą solidarnością obrzucających ironią leżące tuż obok tygodniowe dusze, które pod udanym spokojem, dystynkcyą, kryją za-zdrość, wzajemny antagonizm.

— Przepraszam pana... Proszę jeszcze o chwileczkę cierpliwości... Mamy obecnie dużo zajęcia — mówił do Omkiewicza właściciel księgarni, przechodząc koło niego.

Omkiewicz wyrwany ze swoich rozmyślań nad duszami, odpowiedział coś niezupełnie przytomnie i zezem spojrział na swe obuwie, po którym przepełził wzrok Molskiego.

— Łata na łacie... Trzeba koniecznie kupić jakie takie ubranie, a przede wszystkim buty... Swoją drogą muszę mieć podły wygląd... Twarz jak u Piotrowina... hm... Naga dusza! — dowcipkował sobie — przynajmniej mam buty stylowe — autorskie... Co prawda, mógłbym je trochę oczyścić... Szuwaksu zabrakło... Szczotkę też ktoś ukradł... Ciekaw jestem kto ją ukradł?... Pewnie stróż... Od tygodnia już się z nią nie spotkałem... Rozstanę się wreszcie z tem mieszkaniem... Zupełny brak nastroju... Ani rusz nie mogę pogłębić mego „mistyka“... Ani powietrza... ani światła... Ludzi, jak

mrowia, pod oknem... Dziś czuję, że mój „mystyk“ musi się urodzić... Czuję nastrój...

Omkiewicz zamyślił się.

Dlaczego nie może dotąd pochwycić duszy swego „mystyka“... Przecie sam jest mistykiem... Czuć... a opowiedzieć... Jak tu ująć w ramy opisu to majaczenie duszy niezaspokojonej, rozbratanej ze światem? Jak zmusić filistrów gruboskórych do wczuwania się w to niepokonane pragnienie ujrzenia widomego znaku bytu pozaświatowego...

— Oto rachunek i pieniądze... Zechce szanowny pan dać nam pokwitowanie, — mówił sympatyczny młody człowiek, kładąc przed Omkiewiczem pieniądze i kwit. — Ośmset trzydzieści dziewięć rubli złożyliśmy stosownie do życzenia szanownego pana, do banku na imię pana Rychłowskiego, a tu jest reszta... Sto czterdzieści jeden rubel... Nazwisko swoje zechce szanowny pan podpisać tu...

Omkiewicz wziął machinalnie pióro do ręki i usiłował zebrać myśli.

— Co ma właściwie zrobić?... Aha... pokwitować odebrane pieniądze...

Radość go wytrzeźwiła.

Pieniądze!... Sto czterdzieści jeden rubel... Dlaczego tylko tyle?...

— Tu... pod cyfrą... Szanowny pan nakreśli swoje nazwisko...

— Gdzież reszta? — chciał spytać Omkiewicz.

Machinalnie podpisał się na kwicie.



— Po obliczeniu tyle się panu należy. Pozostałe książki przyniosą panu znacznie więcej... o ile się będą rozchodziły. Cała bieda w tem, że dzienniki mówią dość sucho o pańskiej powieści, napisanej rzeczywiście z talentem. Mam jednak nadzieję, że będziemy potrosze sprzedawali „Pessimistów“, — pocieszał go z przyjacielskim uśmiechem Molski.

Omkiewiczowi cisnęło się na usta pytanie: gdzież reszta pieniędzy, otrzymanych za sprzedaż ośmuset egzemplarzy... Ale Molski już go żegnał wyczekującą postawą. Zgarnął więc tylko złoto do kieszeni i kłaniał się, dziękując, chociaż sam nie wiedział, za co. Pięciorubłówka wypadła mu z rąk, podniósł ją cały czerwony i znów ukłonił się niezgrabnie, mając takie uczucie w duszy, jakby przed chwilą zaciągnął dług wdzięczności, jakby mu kto wyświadczył łaskę, jakby pieniądze, które tylko co otrzymał, były mu pożyczone lub darowane.

Wyelegantowana, dobrze odżywiana postać Molskiego, imponowała mu straszliwie.

Wydostał się wreszcie na ulicę i siadł do tramwaju.

W pokoju o jednym oknie, tak wązkim, że trzeba było bardzo ostrożnie wchodzić, żeby nie zawadzić o żelazny piecyk, połączony blaszaną rurą z kuchennym piecem, ziejącym czarną paszczą, było już prawie ciemno.

Omkiewicz zrzucił palto na łóżko i zrobiwszy

jeden krok, usiadł przy stoliku, dobył pieniądze i rachunek. Rozwinął ten ostatni i czytał:

„Ze sprzedaży ośmiuset egzemplarzy książek „Pesymistów“ po 2 ruble egzemplarz, otrzymaliśmy 1600 rubli.

Z tych:

„Na imię pana Rychłowskiego wnie- śliśmy do banku . . . . .	839 rubli
„Za komis zatrzymaliśmy . . . . .	533 „
„Ogłoszenia . . . . .	87 „
Razem . . . . .	<u>1459 rubli.</u>

„Pozostaje 141 rubel.

Odczytywał parę razy rachunek, nie mogąc go zrozumieć.

— Rychłowskiemu zwrócono ośmset trzydzieści dziewięć rubli, to jest kosztą druku, broszurowania, korekty, okładek, frachtu z Krakowa itd. To jasne!... Ale jakim sposobem może być komi-sowe 533 rubli, wówczas kiedy autorowi pozostaje tylko 141 rubel?... To chyba pomyłka!...

Słyszał wprawdzie od Szumskiego o jakichś 33<sup>3</sup>/<sub>10</sub> z rubla, który księgarnia, mająca książki na składzie, zatrzymuje dla siebie, jako wynagrodzenie za sprzedaż tych książek, ale w prostocie ducha myślał, że po odtrąceniu wszelkich kosztów, z pozostałej sumy będzie musiał oddać sprzedawcy trzecią część, żeby zaś sam miał otrzymać prawie cztery razy mniej niż księgarz, nie przyszło mu nawet do głowy.

— Przecie sprzedać to nie to, co stworzyć!...

— powtarzał bezmyślnie. — Byle buda sprzeda!..  
A talent, to dar niezmiernie rzadki!..

— Może to jemu się należy 533 rubli, a sprzedawcy 141 — błysła mu myśl — może nie zrozumiał!..

Przejrzał znów rachunek. Był jasny, wątpliwości nie mogło być.

Ogarnęła go wściekłość.

— Piękny podział! — Psia krew!..

Rok pisał, przerabiał, opracowywał, wpadł w rozpacz, w zwątpienie, kładł się na godzinę spoczynku wieczorem, aby w nocy z gorączką w móżgu, z oczyma przepalonymi światłem lampy, przeżywać dziesięć żyć!.. Męczył się znów później niemal cały rok myślą, czy książka będzie miała pokup... Dwa lata był głodny, zdenerwowany, w chłodnym, pełnym swędu pokoju... Zużywał talent i nie zarobił sobie nawet na ubranie i buty!..

Zerwał się, zrobił dwa kroki po pokoju, potknął się o stółek, na którym stała gliniana miska do mycia się, wracając zawadził o stół i usiadł. Własna bezbronność doprowadzała go do wściekłości.

No... niech ma talent ladajaki... niech głupstwa pisze, ale przecie książka się rozchodzi!.. Dlaczegoż on, który tę książkę stworzył, który dał zarobek tylu pracownikom, ma chodzić w podartych butach?..

Siedział długo oszołomiony, bijąc się z własnymi myślami.



Co robić? Długu ma przeszło sto rubli, winien Szumskiemu, krawcowi, praczce, za mieszkanie... Zapłaci długi i co dalej?... A gdzie buty?... Gdzie odzienie?... Nowa powieść potrzebuje na gwałt opracowania... Wydrukować ją i znów czekać rok, a po roku dostać 141 rubli z zapewnieniem, że się może odtąd będzie potrochu rozchodziła!... Może tę powieść zbyć wydawcy za byle co?... Ten ją dopiero zacznie zachwalać!... Rozsprzeda wszystkie egzemplarze i grubo zarobi!...

Wydawca zarobi, ale on jemu, — jak dyabłu duszę zapisze, bo co utworzy to zmuszony nędza, za bezcen sprzeda!...

Czuł się straszliwie pokrzywdzony. Spadł z niego poeta, idealista... broniło się w nim zwierzę ludzkie, pokrzywdzone, odpędzone przez silniejszych od jada.

Egoizm, ten motor wszechświatowy, wstrząsał brutalnie całą jego istotą.

Nie widział ratunku. Żyłki literackiej już nie mógł z siebie wypruć. Wrosła mu w serce.

A więc nędza na całe życie!... Oddać się na ofiarę wyzysku!... Stać się rzemieślnikiem!... Stwarzać codzienne bajki, żeby móżdżek żyć!...

Jak sobie poradzić? Co robić z nową powieścią? W jaki sposób zdobyć sobie chociaż kilka miesięcy wolnych od ogłupiającej belferki?...

Sto i czterdzieści jeden rubel!... Sto rubli długu!.. odzienie z niego spada... A buty?!

Przypomniało mu się eleganckie, świecące obu-

wie właściciela księgarni.

— Z naszych lat uszyte!... — zaklął znów.

Wziął wreszcie z otrzymanych pieniędzy trzy ruble, rzucił resztę do szuflady od stolika, włożył czapkę i wychodząc, zawadził o rurę blaszaną łączącą piecyk żelazny z piecem kuchennym; kopnął ją tak, że aż się oderwała.

Głodny był i nie mógł usiedzieć na miejscu. W barze kazał sobie dać jeść.

Po chwili zjawił się Bendkowski, dziennikarz. Zobaczywszy Omkiewicza, usiadł przy jego stoliku.

Podano mu piwo.

Omkiewicz opowiedział zaraz Bendkowskiemu o rachunku, który dziś otrzymał od Molskiego.

— Wszyscy zarobili na moim mózgu, na moim talencie oprócz mnie. Dla mnie pozostało przeświadczenie, że i nadal będę kawałkiem szczebla do cudzej fortuny.

— Pan drukowałeś własnym kosztem.

— Rychłowski pożyczył mi na druk, nie chcąc, żebym dwutomową powieść sprzedawał za 150 rubli, bo tyle tylko dawał wydawca. Ponieważ druk itd. wynosiły 839 rubli, więc pieniądze te były zwrócone Rychłowskiemu. Reklamy dużo zabrały, a pozostałą sumą podzielił się ze mną pan Molski tak: za sprzedaż mojej powieści wziął sobie 533 rubli, a mnie za jej napisanie dał 141 rubel.

Bendkowski się rozśmiał.

— Wziąłem pieniądze i jeszcze miałem taką minę jak gdyby wyświadczone mi łaskę.

— To zwykły podział w danym wypadku. Molski jest w porządku. Z tej sumy musi dać procent innym księgarzom.

— Nie wiem jakie tam będą kombinacye, ale chyba pan nie zaprzeczysz, że księgarnie i drukarnie wzbogacają się, a autorów ze składek grzebia, — mówił z gniewem Omkiewicz. — I nie może być inaczej. Weźmy dany wypadek. Gdyby Molski kupił moich „Pesymistów“ za 150 rubli... Wreszcie gdyby zechciał być wspaniałomyślnym i dał mi 200... 300 rubli, to, policzmy ile by on sam zarobił: Druk itd. kosztuje przeszło 800 rubli. Ja i reklamy 387 razem to wynosi około 1200 rubli. Molski za sprzedaż półtora tysiąca egzemplarzy otrzymałby 3.000, a więc zarobiłby około 1800 rubli albo i więcej, bo jego druk kosztowałby taniej. Gdyby nawet trzecią część oddał innym sprzedawcom, to zawsze za komis miałyby cztery razy więcej niż ja za napisanie. Książki wydane moim nakładem na pewno się nie rozejdą, ale gdyby należały do pana Molskiego, edycja byłaby już wyczerpana, nawet gdyby powieść była jeszcze mniej warta, niż moi „Pesymiści“.

— Pozostaje jednak panu jeszcze prawie połowa książek, z tych pan otrzyma dwie części, a sprzedawcy tylko jedną.

— Niech pan z sumy która będzie mi się należała, odtrąci na reklamy, znów jakie 80 rubli. A reklamować trzeba, bo książka starzeje się prędzej, aniżeli zbutwiały lowelas. Przytem wątpię,



żeby się rozchodziła. Sprzedawcy będą kupującym podsuwać nowe książki, a przedewszystkiem te, które kupili od autora za bezcen.

Milczał przez chwilę i znów mówił, przepelniony żólcia.

— I pomyśl pan, że znikąd ratunku... Nie uratuje cię ani talent, ani praca. Życie nie ma z czego!..

Kazał sobie dać piwa, wypił parę kieliszków wódki.

— Powiedz mi pan dlaczego nad tem niema kontroli państwowej?

— Nad czem? — spytał zdziwiony Bendkowski.

— Nad wyzyskiem! Przecie każdy funt wołu jest otaksowany... Każda kwarta mąki... Dlaczego na myślach autora... na jego duszy można robić fortuny, za cenę głodu tegoż autora?

Bendkowski śmiał się ubawiony oburzoną miną na pół pijanego Omkiewicza.

— Państwo powinno taksować myśli autora no... i opiekować się jego apetytem.

— To leży w przyszłości, — odrzekł Bendkowski. Pocieszajmy się chociaż tem, że kiedyś dla innych będzie lepiej.

Rozmawiał jeszcze chwil kilka z Omkiewiczem, pokpiwał z niego trochę, trochę go pocieszał, miotygował, ale widząc, że ten wciąż pije, jest ogromnie podrażniony i zaczyna zwracać na siebie uwagę, usiłował namówić go do wyjścia, a gdy mu się to nie udało, wymknął się sam cichaczem.

Omkiewicz wyszedł z baru około dziesiątej

wieczorem. Był pijany, ale ani wódka, ani piwo, nie rozweseliły go. Znadto był zgnębiony, żeby stracić poczucie swojej krzywdy. Smutno mu było i złość jego wzmogła się.

Na rogu ulicy zaczepiła go jakaś dziewczyna. Poszedł z nią, ale po chwili opamiętał się, dał jej parę srebrnych monet i zawrócił ku domowi, a gdy go napastowała, odepchnął ją brutalnie.

W drzwiach znowu się potknął o piecyk żelazny i znów go kopnął z passyą.

Usiadł w paltocie przed stołem.

Płomyk w latarni, wpadając przez okno oświetlał długi, wązki pokój, nędzne umeblowanie i czarną paszczę kuchennego pieca.

I nadal tu mieszkać, znów uczyć żydowskie dzieci i być grochem przy drodze, z którego każdy coś uszczknie. Z pracy jego będą ciągnąć korzyść drukarze, papiernicy, sprzedawcy, krytycy — dziesiątki ludzi, a on nadal będzie drzeć z zimna... będzie nadal głodny, przeżywał męki niepokoju, zwątpień i zniechęcenia!

Niczego tak nie żałował, jak tego ładnego pokoju, o którym marzył i nastroju płynącego z falami Wisły.

Czuł się pijany. Głowa mu się kręciła, straszliwie go mdliło, cały pokój zdawał się chwilami wirować, ale myśl ani na moment nie przestała krążyć wokół krzywdy, która mu się stała.

— Bendkowski mówił, że każdy musi za pracę dostać zaraz wynagrodzenie — przesuwały się w za-

mroczonym jego mózgu bezładne myśli — księgarz... drukarz... korektor... krytyk... wszyscy!... bo każdy żyć musi... bo każdy chce jeść... Tylko autorowie nie powinni chcieć jeść... Dają utrzymanie setkom, a sami kurczą się z głodu... Niechby wreszcie obdarli!... ale później... Niechby mu dali trochę czasu na to, żeby mu skrzydła urosły... Przecie to nawet leży w ich interesie... Ale nie... Zaraz na wstępie zdusili... Świecące miał, szelma, buty... jak lustro!.. A ja nawet szczotki do butów nie mam!.. I tę mi ukradli!.. Podli ludzie!.. wszystko ukradną... Szczotkę.. duszę... Szczotki też szkoda... Dobra była... żółta... czarne obwódki... Znikąd ratunku!.. Nad funtem mięsa jest kontrola... Nad wszystkim... Pogrzebał wszelkie porywy i walczyć co krok o kość!..

On musi walczyć o kość!.. On, który silił się rozwiązać zagadkę bytu!..

Zapłakał chrapliwie po pijanemu.

Omkiewicz upadł na duchu.

Z lekcyi, na której uczył trzech chłopców za piętnaście rubli miesięcznie, wracał wyczerpany, senny, jadł tani obiad i rzucał się na łóżko. Spał dużo, a później leżał długo ocieężały, smutny, dręcząc się, że nie przychodzi nastrój, że go nie ciągnie do pióra. Gdy zabierał się do pisania, obrazował ciężko; fantazyja go odbiegła.

Teraz już nie myślał ani o Tatrach, ani Włochach.

Wieczory spędzał beczynnie, wpatrując się w mdławę światło niewielkiej lampy. Do ludzi nie



było mu tęskno, a wyobraźnię miał tak przeciążoną, że nie pragnął nowych wrażeń.

Szumski wstąpiwszy raz do Omkiewicza zdziwił się, widząc go tak zmienionym i mizernym.

— Pracujesz pan za wiele?

— Nie, panie, nic nie robię... Nastroju mi braknie... ufności w siebie...

— To źle, a dzienniki niektóre mówią o panu dość pochlebnie, — odrzekł Szumski, siadając na jedynem krześle, znajdującym się w pokoju.

— Traktują mnie, nie wiem tylko dlaczego, jak kobietę, — protekcyjonalnie i bez ceremonii... Wolałbym nie zaczynać... i bezemnie jest dużo tych bazgraczy-nędzarzy.

— Ale ma pan niezaprzeczony talent, — pocieszał go Szumski.

— Albo ja wiem?... Kocham namiętnie naturę i umiem wczytywać się w każdy jej ruch... Ale... nie mam tej... tej... Jak to określić?! Tej śmiałości w pomysłach, w stwarzaniu tego, co nie egzystuje... Nie umiem stwarzać chorobliwej miłości... bydlęcego szalu, przefiltrowanego przez alembik ludzkiej pomysłowości... Nie umiem oddać mojem piórem chaosu jakichś wymyślanych dzikich cierpień, których nikt nie odczuwał... To mi się nawet nie podoba... Ale to nowe!...

— Stare to, stare. Wydobyte z rupieci wiekowych, odświeżone, inaczej zatytułowane. Zachowaj pan przede wszystkim swoją indywidualność, bo naśladownictwo to marna broń literata. Indy-

widualność jest barwnym, charakterystycznym tonem na mozażce społecznej, a barwy muszą być rozmaite. Przynies pan swoją nową powieść, zobaczymy, co zawiera.

— Mnie się wydaje nazbyt ekliwa... Chyba pan mi doda ufności, bo sąd pański bardzo wysoko cenię, — odrzekł ożywiony Omkiewicz, kontent, że ma z kim mówić o swojej powieści, że ma przed kim się wywnętrzyć.

— Przedewszystkiem posiadał pan sympatyę publiczności, a to już wiele. Za tem pójdą środki, a więc rozrost talentu, — mówił Szumski. — Spostrzegłem, że pan jesteś dotkniętym najstraszliwszą chorobą literacką — żądzą sławy i to może istotnie podciąć panu skrzydła. Młody, drażliwy talent łatwo zgnieść w zaraniu niesprawiedliwą oceną. Przejrzyj pan raz jeszcze swą powieść i przynieś mi ją koniecznie.

Po odejściu Szumskiego, Omkiewicz zasiadł do roboty. Opracowywał słabsze strony swojej powieści, podmalowywał, cieniował, odczytywał na głos te rozdziały, które mu się piękniejszymi wydały i gdy wreszcie po kiku godzinach pracy zabierał się do spoczynku, miał takie uczucie, jak gdyby spędził wieczór w niezmiernie miłym, ożywionem towarzystwie, wśród przyjaciół, których znał nawskróś.

## ROZDZIAŁ XVIII.



szumska miała dziś dzień niezwykle przyjemny. Zrana jedna z jej kuzynek mieszkających na wsi zabrała do siebie na miesiąc ciotkę Masłowską. W południe otrzymała serdeczny list od pani Michaliny, a w nim sporą smukę.

Głowę jej oblegały różne kopiejkowe rachunki. Ile ma wydać na kamasze dla Jadwisi?... Z jakiej skórki są trwalsze trzewiki?... Czy zmienić mieszkanie na tańsze... czy jeszcze pozostać na rok w tem samem?...

W domu nie było nikogo. Szumski wyszedł w jakimś interesie na miasto, Janek z Kubusiem bawili się na podwórzu, Jadwinę zaprosiła jedna z koleżanek, a służąca była na nieszporach.

Wszędzie było czysto, słońce uśmiechało się pogodnie, w spiżarni leżały produkty zakupione na dłuższy czas, w kuchni, w kącie stał duży kosz, napełniony węglami.

Obfitość węgla działała zawsze uspakajająco



na Szumską. Zarysowujące się dno kosza do węgli, przypominało jej potrzebę nowego wydatku, a więc nową troskę.

Dziś zaś, wyjątkowo wszystko się na to składało, żeby wypogodziły się, choć na krótko, rysy Szumskiej.

Ręce jej, przyzwyczajone do ruchu, nie mogły pozostawać bezczynnie, a roboty nie brała, gdyż było święto. Zdmuchnęła więc tylko ze stołu parę okruczków i długo, starannie tarła mokrą ściereczką zupełnie czystą ceratę.

Wzięła wreszcie jakąś książkę, ale po chwili czytania opuściła ją na kolana.

— Ten Ciehocinek mało pomógł Jadwini.. Władziowi posłużył pobyt w cukrowni... Wrócił ożywiony... Tyle lat nie był w tych tak mu drogich okolicach... Alboż można było?... Wiecznie, jak w jarzmie!... Gdyby też chociaż o rodzinie tylko myślał... ale dla niego rodzina to świat biednych... Ile się namęczy, namartwi cudzą biedą... cudzem strapieniem... Jak gdyby mało miał swoich!...

I znów zmarszczka troski pofałdowała czoło Szumskiej.

— Mizerny, aż straszno na niego patrzeć... Długo go męczą... Myślała, że w ciągu lata spłacą cokolwiek tych żydów przeklętych. Ale, gdzie tam!... Jesień nadchodzi... futerko Janka takie krótkie i dla Kubusia trzeba sprawić płaszczyk, bo w zimie już będzie wychodził na spacer... Niema sposobu wydobyc się z biedy!...

Westchnęła.

Rychłowski przyszedłby im najchętniej z pomocą... ale gdy raz o tem nadmienila mężowi: „Chcesz, żebym zabierał chleb umierającym z nędzy?“... powiedział i spojrzal na nią ze zdziwieniem... Uciekla do drugiego pokoju i chciało się jej płakać... W jego wzroku było rozczarowanie... Ona umie czytać w jego oczach... ona czyta jasno w jego duszy... nie umie tylko tego wypowiedzieć i wydaje mu się banalną, drobiazgową... On nie wie, że się taką stała z wielkiej, ogromnej miłości dla niego, że łamała sobie skrzydła i ból w milczeniu znosiła, aż zaczęła pełzać po ziemi tak wprawnie, jakby to było jej naturą... Czasem tylko... bardzo rzadko... gdy sama pozostała w taki cudny słoneczny dzień, w głębi jej duszy zaszemrał smutek, żal... może nieśmiały protest, że w życiu człowieka, którego z takim uwielbieniem kochała, pozostanie na zawsze tylko Marta, że on dla niej zawsze będzie miał tylko pobłażliwie dobry uśmiech, tylko przyjacielsko wierne spojrzenie...

Wyobrażnia Szumskiej praktyczna i trzeźwa wrywała się jej dziś i uciekała w przeszłość.

Widziała siebie wiotką, śliczną, tulącą w różowych, wypieszczonych dłoniach tę ukochaną, idealną głowę... wsłuchaną w dźwięki jego duszy... pijącą z jego wzroku namietny zachwyt... młodość... wiosnę...

Czy ona kiedy widziała ten wzrok?... Czy była znaną jej ta chwila?...

Machinalnie patrzyła na swe ręce spracowane, popękane od nafty, którą palce zasmolone zmywała, na swą suknię szarą, zrudziałą i połataną buciki.

Za oknem świeciło słońce, rozlegały się młode głosy, świętujące wiosnę życia, wesoło, nieopatrzenie...

Ale od tych głosów, od tego słońca płynął do Szumskiej żal... smutek...

Zapukano. Poszła drzwi otworzyć.

— Dlaczego masło po 32 kopiejki? Onegdaj płaciłaś po 30 — pytała służącą swoim, zawsze cokolwiek zdenerwowanym głosem, przeglądając sprawunki.

Nadszedł Szumski.

Za nim wsunęła się do pokoju kobieta wysoka, chuda, w chustce na głowie. Wieku jej trudno było oznaczyć. Zaostrzone rysy twarzy mówiły o złem odżywianiu się, usta miała sine, oczy o złym wyrazie.

— Niech będzie pochwalony... Słyszałam, że pan udziela wsparcia biednym.. Mam troje dzieci. Jedno z nich wcale nie chodzi z wycieńczenia, pomimo, że ma trzy lata — zaczęła pokornie.

— Sumę przeznaczoną przez pana Rychłowskiego dla biednych już rozdałem — przerwał jej Szumski. — Niech pani zostawi swój adres. Po Nowym roku będę mógł pani udzielić zasiłku.

Rysy kobiety zaostrzyły się bardziej, rzuciła na Szumskiego spojrzenie głodnej wilczycy.



— Po Nowym roku... — powtórzyła szyderczo. — Może lepiej po śmierci?... bo to będzie to samo... Mój mąż opuścił mnie przed trzema laty, zostawił z trojgiem dzieci, poszedł szukać pracy i także miał mię zabrać po Nowym roku... Ja na dziś, na jutro nie mam nic dla dzieci, a zarobić dla czworga nie mogę, choćbym zdechła nawet przy pracy!...

Szumski spiesznie szukał w portmonetce.

— Proszę pani... To wszystko co mogę dać — szepnął, wsuwając jej w rękę parę srebrnych monet.

— Co mi to pomoże? — mówiła coraz zuchwalej z jakimś rozpaczliwym akcentem w głosie. — Niech ten pan, co pomaga biednym ludziom, umieści gdziekolwiek chociaż dwoje moich dzieci... Mówią, że bogaty, że sypie złotem. Nawet Wilkowej daje na utrzymanie jej idyoty.

— Pan Rychłowski nie jest bogaty. Sam żyje więcej, aniżeli skromnie. Pracuje cały dzień i zarobiony grosz oddaje biednym.

Kobieta zaśmiała się szyderczo.

— Takich ludzi niema i niech mi pan nie opowiada podobnych bajek, bo chociaż ciemną jestem kobietą, umiem odróżnić prawdę. Proszę mi dać adres tego pana — dodała, oglądając podejrzliwie mieszkanie Szumskiego. — Do Pana Boga niewygodnie trafić przez świętych.

W tej chwili wtoczył się do pokoju Kubus. Zarumieniony był, tłusciutki, jak pączek, rozrzu-

cone, jasne włoski piętrzyły mu się na główce, a oczy śmiały się do ojca.

Kobieta wpiła się spojrzeniem w chłopaczkę.

Na jej twarzy odmalował się zachwyt, później jakaś dzika, pełna nienawiści złość.

— Piękne ma pan dziecko — szepnęła syczącym głosem i pewno nie głodne. Szkoda, że tu nie ma moich, możnaby je było porównać.

Szumski nie wiedział, co robić.

Wobec tej matki zgłodniałej, zrozpaczonej wstydził się swego ciepłego mieszkania, zdrowo wyglądających dzieci. Jego rodzina nie cierpiała nędzy, więc i na jego barki spadała odpowiedzialność za nieudolne rządy społeczeństwa, które nie umiało wyżywić swych dzieci.

— Nie mogę dla pani nic zrobić — rzekł zdenerwowany. — Oto adres pana Rychłowskiego. — Wiem, że nie przyjmuje nikogo, ale może zrobi dla pani wyjątek.

Dał jej adres, pragnąc się pozbyć jak najprędzej tego zrozpaczonego wzroku, czując zarazem, że popełnia niedelikatność względem Rychłowskiego, dla którego każde zetknięcie się z ludźmi było przykrością.

Kobieta odeszła z wolna, nie spuszczać oczu z Kubusia i coś mrucząc.

— Uwolnij się raz przecie, Władziu, od obowiązku świadczenia dobrodziejstw w imieniu Rychłowskiego — powiedziała Szumska. — Stracisz ostatecznie zdrowie. Ludzie nas ciągle posądzają,

że przynajmniej połowę z tych pieniędzy bierzemy sobie. Słyszałam co ta kobieta mówiła. Trzeba było ją odrazu wypędzić.

Rozpacz przez nią mówiła. Rychłowski tak się odosobnił od ludzi, że nie umiałby odróżnić prawdziwej biedy od wyzysku. I cóż nas mogą obchodzić posądzenia, skoro niema w nich prawdy! — odrzekł.

Szumską znów ogarnęło przygnębienie.

Wiedziała, że powiedzeniem swoim zrobiła mężowi przykrość, że pewnie posądzi ją o egoizm i brak serca.

— Niech Janek zawiezie zaraz Kubusia do Rychłowskiego, ja tam po nich przyjadę — powiedział Szumski i ucałował żonę, wyszedł.

Wstąpił do dłużników, zapłacił im miesięczny haracz — procent lichwiarski i wsiadłszy do tramwaju, pojechał za rogatkę Mokotowską.

Zastał Rychłowskiego przed domem. Siedział przy stole na ogrodowej ławeczce i opatrywał ranione skrzydło szpaka, którego Janek trzymał. Kubuś stojąc na kolanach Omkiewicza z rączką opartą na ramieniu Rychłowskiego, przypatrywał się z ciekawością tej operacji.

Nieopodal na trawniku Prosperek, wymyty i ubrany czysto, bawił się jakąś rośliną.

Rychłowski zaciekawiony opowiadaniem Szumskiego, chciał zobaczyć Prosperka. Wilkowa więc przyszła z nim dziś. Stróż wziął chłopaka u furtki i przyprowadził do ogrodu.



Na widok Szumskiego Prosperek poweselał.

— Patrz!... Tam ptak... biedny ptak!... Ma skrzydło złamane — mówił Szumski do niego gładząc jego szerokie włosy i wymawiając wyraźnie każdy wyraz — Ptak... biedny ptak!...

W oczach Prosperka zjawił się błysk świadomości, promyk myśli, niby duch pokorny, który zdawał się łasić, przypadać do stóp Szumskiego, jak wdzięczne zwierzę.

— Ptak... biedny ptak!... — mówił Szumski, wskazując na szpaka.

Chłopak powtórzył te wyrazy chętnie, chociaż niewyraźnie.

Rychłowski odniósł ptaka do gniazda i zaczął bawić się z dziećmi. Pokazywał im różne zwierzątka, które chował w ogrodzie. Podnosił w górę Kubusia i uciekał z nim od goniących za nim gołębi i sarn.

Wesoły uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Szumski znał tę dwoistość natury Rychłowskiego. Chętnie witał w jego oczach sekretarza, ale tęsknił za mistrzem.

Oczekiwał zawsze z pewnem wzruszeniem pojawienia się we wzroku Rychłowskiego jasnego błysku, zwiastującego spotęgowanie duchowych czynności jego mózgu.

Lubił mistyczne majaczenia tej przesubtelniejszej duszy, tęskniącej za poznaniem Prawdy. Dziś więcej niż kiedykolwiek, pragnął ulżyć zmęczonej myśli oderwaniem się od wszystkich małości życia.

Gdy dzieci poszły za stróżem karmić zwierzątka, Rychłowski pozostał z Szumskim i Omkiewiczem.

— Odjeżdżam z przykrością — mówił. — Chciałbym częściej widywać moją jedynaczkę i kocham ją bardzo, bo jest to moja częśćka duchowa, częśćka zaszczipiona na pniu nowym, zdolnym do życia i do dania życia, ale przykrem mi jest zetknięcie, chociaż chwilowe, ze światem.

— Tem lepiej. Wróci pan prędzej do nas. Odjazd pana zrobi ogromną pustkę w mojem „ja“ — mówił serdecznie Szumski. — Chociaż znów rad jestem, że zetknięcie z ludźmi obcymi zwróci pana do rzeczywistości.

— Rzeczywistość nie istnieje, jest tylko pojęcie. Ale mnie już nic nie wskrzesi. Dusza moja przeszła wszystkie etapy, przeżyła się duchowo i nie wcieli się już chyba nigdy w technienie ziemskie. Wszelkie przewroty w świecie, krwawe czyny, szczyt poświęcenia, wszystko co wstrząsa ludzkością, wywołuje dreszcz zgrozy, ekstazę zachwytu, dla mnie nie istnieje. Mnie nic nie zdumiewa... nic nie zniechęca... i nic nie obchodzi... Tak mi się to małem... niczem wydaje... Moja bezprzyczynowa tęsknota wobec wszechświata potęguje się do bólu... Spada ze mnie reszta człowieczeństwa... Oderwany zobojętnieniem od ludzkości... dręczony tęsknotą za czemś, co ma nastąpić po chwilowem istnieniu... czekam...

Szumski pozostał dłużej, Omkiewicz zabierał

się do odejścia. Był wzruszony, żegnając się z Rychłowskim.

Dla niego Rychłowski był wcieleniem wyższej siły, zwiastunem nowej ewolucyi ducha, idealistą, którego duch musiał odżyć w dalszym ciągu jego idei. Obecność mistyka działała na niego niemal hipnotyzująco; wszystko cokolwiek bądź on mówił, znajdowało oddźwięk w duszy Omkiewicza, jak gdyby słyszał powtarzanie tego, co mu coś wciąż szeptało w głębi jaźni. Niekiedy, gdy wzrok Rychłowskiego zatrzymywał się na nim dłużej, opanowywała go dziwna senność, bezwola, poddanie się i na usta mu biegły słowa: „Oto jestem, panie!“

— Jeżeli mój duch z nieznanego mi prawa, będzie błędził po ziemi, gdy ze mnie powłoka człowieka opadnie, tobie go przekazuję, młodzieńcze — rzekł napół żartem Rychłowski. — Szukaj, jak ja... tęsknij... i pragnij snu nieprzespanego!...

Nagle oczy mu ściemniały; ścisnął rękę Omkiewicza.

— Absolut tu... obok nas... może w nas... ale nie w poruszeniach duszy ziemskiej.. Szukaj go w przecuciowym dreszczu, którego ludzkość się lęka, z którego drwi zdjęta strachem, a który duże rasowe strąca w otchłań szaleństwa... śmiercielnej tęsknoty za widowym znakiem z zaświatu!...

\*

\*

\*



Rychłowski odprowadził Szumskiego i jego synów do furtki i w chwili, gdy chciał ją zatrzasnąć ujrzał przed sobą chudą, straszna postać kobiety, której oczy świeciły głodem i strachem.

Cofnął się o kilka kroków zdumiony.

Kobieta zbliżyła się do niego.

— Niech będzie pochwalony.., Dzieci moje głodne — zaczęła i nagle zamilkła.

Słyszała, jak opowiadano, że ten co tu mieszka za murem, jest dziwakiem, czy waryatem, że żyje w otoczeniu zwierząt, a ludzi nie chce wcale widzieć, chociaż wielu ratuje w biedzie i przyszła tu, zuchwale żądać wsparcia dla swych dzieci.

Teraz stała z przymarłemi do ust słowami i lękliwie patrzyła na Rychłowskiego.

Widziała jak sarny tuliły się do jego nóg, jak ptaki fruwały w około niego, siadając mu na głowie, na ramionach... Zachodzące słońce bryzgało krwawemi plamami w oczy dwóch potwornych buldogów, które stały około pana, posłuszne, nieruchome, z wlepionemi w nią ślepiami.

Tam, dalej, białe marmurowe posągi, idące szeregami wzdłuż alei, majacząc wśród drzew, wydawały się jej procesyą bladych duchów.

Opuściła ją odwaga.

W zwyczajnych warunkach nie ulękłaby się niczego... Dzieci jej były zagrożone śmiercią głodową i gotowa była ich bronić, jak wilczyca, zuchwale żebrać, jak zebrała przed paru godzinami u Szumskich, ale to, co tu ujrzała było tak nie-

zwykłe, że głosu ze strachu wydobyć nie mogła.

Rychłowski patrzył na nią zdziwiony i oczy mu zciemniały.

Tak dawno już nie widział nędzy ludzkiej i tak o niej zapomniał i oto teraz zjawiała się przed nim w najpotworniejszej postaci głodu.

Matka żebrząca dla głodnych swych dzieci, była w tej chwili dla niego wyrazem tajemniczej siły w naturze, niewołającej organizmy do przedłużania istnienia swego gatunku.

W jakim celu?... Dlaczego?...

Jakie fazy przechodziła ta dusza?... Ile snów przespała groźnych, czy rozkosznych, zanim przyoblekła się w widmo głodu?... Co pamięta z tych snów?... Jakie okruchy życiowego warsztatu skupiły się w całość, by dać życie jej jaźni?...

Przenikał wzrokiem do głębi kobietę, jak gdyby ona mogła mu ze swej zrozpaczonej duszy wyrzucić odpowiedź.

Ją zaczęła ogarniać coraz większa trwoga. Dziwne spojrzenie tego bladego pana, krwawe ślepia buldogów, okrągłe oczy ptaków, łagodne źrenice sarn, wszystko wpatrywało się w nią zdziwione, milczące.

To milczenie opasywało kobietę wzrastającym zabobonnym strachem.

Zaczęła się cofać tyłem do furtki, nie spuszczać oczu z niemej grupy.

Z za chmur wypłynęło teraz czerwone półkole uchodzącego słońca, niby olbrzymia krwawa źre-

nica, straszna jakimś obumarłym wyrazem. Ciemna wężowa chmurka przecięła ją w formie półkolistej brwi i wywołała w potwornem oku życie. Sroga źrenica pod krwawem czołem sunęła po mgłach, oglądając świat... Świecił w niej sąd straszliwy... nieubłagany... doraźny...

Blask padł na powieki kobiety.

Podniosła je ku niebu i wnet przerażona przykryła niemi oczy.

Włosy jej zjeżyły się, zapomniała o głodzie, o dzieciach i tylko dziki strach krzyczał w jej mózgu, żeby się ratowała ucieczką.

Sofała się wciąż powoli, czując, że duszę jej ktoś z niej wywleka, że myśl jej staje się bierna i posłuszną czyjemuś nakazowi...

Oparła się o płot senna, z naprężonym słuchem i posłuszną myślą, i patrzyła na Rychłowskiego, który stał teraz w krwawym blasku... Potem i to znikło... Widziała tylko dwie ciemne plamy, z których biegły do niej naglące pytania.

Świadomość kobiety skupiła się około myśli: „Co mam mówić“.

W tej chwili noga jej, szukając oparcia dotknęła progu furtki.

Silną wolą rozerwała myśl zwartą, która rozsypała się, niby różaniec. Przystąpić próg!... Za progiem ratunek!... Jeden tylko wysiłek!...

Otrząsnęła się z ogarniającej ją senności, silnym ruchem wydostała się za furtkę i zaczęła uciekać, jak szalona.



Pędziła przed siebie gnana bezmyślnym strachem, pragnieniem dotarcia do swego nędznego gniazda.

Rychłowski stanął na progu furtki.

W dali za szerokiem polem migotały zapalające się w siedzibach ludzkich światła, błyszczące niby oczy tysiącockiego smoka.

Z blasków tych biła teraz jasna luna na tle której zarysowywała się sylwetka pędzącej w szalonym ruchu kobiety.

Tyle lat nie przestąpił tej furtki, nie spotkał się z grozą ludzkiego bytu.

Ona przyszła do niego w postaci głodu, i przyjął ją sercem wymarłem, ostygłym...

Wzrok jego przyzwyczajony do obejmowania zaświatowych obszarów nie mógł się skupić na mrowisku ludzkim, a dusza błądząca po zaświatowych szlakach, tęskniąca za wiekuistym spokojem, nie była w stanie zniżyć się do chaotycznych spraw tego mrowiska.

Pociemniałemi oczyma patrzył w dal.

Ludzkość?!...

Powódź atomów, których jedynym celem jest podtrzymywanie swego istnienia kosztem innych istnień... wysilających iskry pojęć, by wynaleźć łatwiejszy sposób podejścia ofiar... atomów zmuszonych dla podtrzymania swego istnienia, żywić nieskończoną liczbę innych atomów, z których się składają, a które obejmują sobą nieskończoną liczbę

innych istnień, rodzących coraz to nowe życie... i tak dalej... i dalej... w nieskończoność.

Świat stworzony dla szczęścia?!...

Olbrzymi potwór o nieograniczonym mnóstwie szczęk, kłębiących się w walce wzajemno-pożerczej, potwór, w którym każde życie musi pożerać i być pożartem, życie, pragnące niebytu, a mocą nieubłaganego, tajemniczego fatalizmu, wstrząsane pragnieniem dreszczu tworzenia!

Ten straszliwy, szalony, nieustanny wir powstawania i rozpadania się istnień, na którym ciążyła, żelazna dłoń przeznaczenia, budził w nim dawniej grozę, litość... Dziś — tylko chęć dotarcia do jego przyczyny... tylko chęć spojrzenia w oczy fatalnemu motorowi.

Rychłowski długo błędził po ogrodzie. Wszedł wreszcie do obserwatorium i usiadł przed teleskopem.

Księżyc już zbiegał i płynął, wymijając chmury. Pod drzewami pełzały cienie.

Przez otwarte okno weneckie wpadało mroczne światło wieczoru... Niebo, złane z ciemną dalą tworzyło bezkresny ocean... Białe mgły światła księżycowego szły, chwiejąc się i rozwiewając, niby widma, powstałe z mogił...

Z okiem przywartem do teleskopu Rychłowski śledził ruchy wszechświata. Wśród straszliwej ciszy wirowały słońca, zespolone cudowną harmonią, zahipnotyzowane tajemniczym rozkazem... Białe opary chmur owiewały je, niby dymiące kadzielnice...

Ta cisza tajemnicza, cisza zaświatowa, pełna

zagadnień, nawiewała mu na duszę bezprzyczynową tęsknotę... pragnienie... przecucie czegoś dotąd nieznanego ..

To nieznanne musi istnieć... musi krążyć w przestworzu, skoro cień jego wpadł mu do duszy przygotowanej pragnieniem... Jest w drodze do jego duszy... Jeden wielki rozmach wyobraźni... Jedno wielkie napięcie nerwów połączy go ze stacją zaświatową!...

Myśl wypotężnił... wyolbrzymił wyobraźnię... Zsunął się w głąb samego siebie...

Z wyżyn ekstazy sięgnął ku tajemnicy i... uczuł, że mu przybywa nowy zmysł, którym widzi niedojrzane okiem ziemskim...

Dreszcz nim wstrząsnął. Wśród ciszy doleciał go szept słumiony... Szelest przeczuwany... Świat widmowy!...

Obejrzał się.

U progu postać staruszki... Sino-błada... Twarz, podwiązana pod brodą białą opaską... źrenice zbiegłe śmiercią... zagasłe... nieruchome... Sunie ku niemu krokiem nierównym, niby popychana niewidzialną siłą, a bezzębne usta coś szepcą...

Zacisnął powieki.

Zamigotały mu na źrenicach różne maski blade, z oczyma przygasłymi... wykrzywione... idealnie piękne... wszystkie nieznanne... nigdy niewidziane...

Rychłowski oparł głowę o poręcz ławeczki i otworzył zbezdenniałe oczy.



Maski nie pierchły, tylko przyłgnęły do białych widmowych postaci i wciąż napływają... Już go okrzykiły ciche... senne... rozwiewne... a wszystkie coś szepcą...

Malutkie dzieci siadają mu na ramionach i zagładają w oczy szklistemi oczyma... Czuje chłód ich rąk na swej twarzy...

Przez otwarte okno wiewają się coraz inne widma, okrażają go i szepcą... szepcą...

Wszedł w głąb samego siebie i słuch wyteżył.

— Jesteśmy czwartym wymiarem, którego nie możecie dostrzedz po za grubą, otaczającą was ziemską powłoką — szepcą — we śnie jesteście z nami... odpoczywacie i tęsknicie po przebudzeniu...

— Dlaczego tak wszystko jest, jak jest? Jaki cel istnienia? Gdzie jego kres?... Jaki był początek?... — pyta w nim głos dobrze znany, niby jego własny.

— My nie mamy klucza od zagadki... Nas otacza piąty wymiar, którego my nie możemy zbać, zarówno jak i wy nas...

— Widma mówią ciszej... patrzą na siebie... Rozwiewają się i szepcą... szepcą...

Wyteża nerwy by je posłyszeć.

— My jesteśmy stopniem udoskonalenia... nie najwyższym... wy naszą istność przeczuwacie... my przeczuwamy tę... doskonalszą... do której dążymy...

— A więc nic... nic nie możecie więcej powiedzieć? — pyta gorączkowo.

— Nic... nic — szepcą...

— Nic... nic... — powtarza...

— Nic... nic... — szmerze noc cicha... jasna...

Widma bledną... rzędną... rozwiewają się. Niby  
białe mgiełki unoszą się w przestworzu... wcielają  
się w blade światło księżycowe...

Przez chwilę krążą białe opary i te znikają...  
i tylko księżyc i gwiazdy płyną i patrzą...

Rychłowski ręką przesunął po czole.

Halucynacye pierzchły...

## ROZDZIAŁ XIX.



ie odchodź, Stasieczku, mam ci coś do powiedzenia — rzekła Widzka, gdy mąż zjadłszy śniadanie koło jej łóżka, zabierał się do odejścia.

Na jej wyświeżonem, przyjemnem obliczu gościło smutne zakłopotanie. Leżała, jak zwykle o tej porze w łóżku i paliła zawzięcie papierosy, co było u niej oznaką podrażnienia. Zaraz po śniadaniu wysłała Terenię z pokoju.

— Co zamierzasz, Stasieczku, powiedzieć Czesławowi, gdy się oświadczy Tereni, jak na to zakrawa? — spytała, gdy Widzki znów usiadł na swem miejscu.

Skrzywił się niechętnie.

— Wolałbym innego zięcia, ale Terenia tak jest w nim zakochana, że wszelkie perswazyje na nic się nie zdadzą.

— I ja tak myślę. Widocznie to już jej przeznaczenie, — westchnęła. — Ale, widzisz, mój drogi,



jabym chciała zaraz po jej ślubie, odwieźć Nelcię do Jazłowca. Żal mi tylko rozstawać się z Michaliną.

Widzki aż podskoczył na krześle.

— Rozstawać się z Michaliną? Co ci to przyszło do głowy? Skąd to?

Lubił ogromnie i cenił nauczycielkę swych dzieci, i myśl, że jej zabraknie w Hornicy, oburzyła go.

— Mój drogi! Ty jej pewnie tak nie żałujesz, jak ja. Noszę się z tą myślą oddawna i nie mogłam zdobyć się na jej wypowiedzenie, tak mię bolała konieczność rozstania się z Michaliną. Ale dziecko nam droższe.

— Dlaczegoż Nelcia nie może się kształcić przy niej, jak się kształciła Terenia?

— Michalina była młodsza, gdy została nauczycielką Tereni. W pamięci miała wszystko, czego się uczyła. A przytem teraz tak wiele wykształcenia wymagają od kobiet, a zanim Nelcia dorosnie, owe wymagania zdwoją się jeszcze. Nie możemy przecie trzymać tu kilka nauczycielek, ani znów zaniedbać dziecka. Wreszcie Terenia ma ogromny posag.

— Na swoje nieszczęście — mruknął Widzki.

— Nelcia nie będzie tak bogata, gdy jeszcze odmówimy jej wykształcenia...

— Gdybyż to było rzeczywiste wykształcenie! Ale w tych zakładach kobiecych to tylko zacieśniają umysł dziewczętom, ucząc ich mnóstwa nie-

potrzebnych rzeczy. Zabierają im czas i zdrowie, nie dając wcale gruntownej nauki. Po kilka godzin dziennie każą im wprawiać się w cudzoziemskie języki, zadają całe stosy niepotrzebnych wypracowań, a po skończeniu takiego zakładu, często dziewczyna nie umie pisać poprawnie i nie wie nawet, dlaczego siedzi spokojnie na krześle i nie kręci się razem z ziemią, albo dlaczego piorun trzask.

— Nie mamy tymczasem lepszych instytucyj i musimy na tych poprzestać. Będzie miała chociaż ogólne o wszystkim pojęcie.

— Skrzywione i niedokładne, — odrzekł Władki i zamilkł, zły i zmartwiony.

— Możesz wreszcie oddać Nelcię — rzekł po chwili — a Michalinę zatrzymać przy sobie w charakterze towarzyszki, bo kto wie czy dziecka nie odbierzesz prędko napowrót.

— Zatrzymałabym z wielką ochotą Michalinę, gdyby tylko zostać chciała. Ale znasz ją. Nie ze chce brać zapłaty, skoro nie będzie miała zajęcia, a swoich funduszów nie ma.

Milczeli znów przez chwilę.

— Cóż postanowimy, Stasieczku, jakież twoje zdanie?

— Ciekaw jestem, co znaczy moje zdanie, skoro ty już postanowiłaś wysłać z domu Nelcię i skoro się to tobie zdaje koniecznem. Nie mogę sobie tylko wyobrazić Hornicy bez Michaliny, a przytem... i sumienie dogaduje. Trzymaliśmy ją tyle lat, korzy-

staliśmy z jej pracy, z jej przywiązania, a teraz skoro jest niepotrzebna, to się jej pozbywamy.

— A myślisz, że mnie lekko na sercu? Nie możemy jednak, powtarzam zawsze, poświęcać naszego dziecka dla nauczycielki.

— Nauczycielki?... Powiedz lepiej przyjaciółki, matki... Bo czemuż ona nie była dla nas, dla Nelci?... — odrzekł Widzki. — Pomyśl jeszcze nad tem dobrze, Basiu. Oddasz dziecko, będzie nam tęskno.

Widzka rozplakała się.

— Powiadam, że te kobiety same nie wiedzą co robią, — rzekł zachmurzony, zabierając się do odejścia. — Próżniactwo mnoży w nich myśli i projekty, które normalnemu człowiekowi nigdyby na myśl nie przyszły.

— Mój ty poczciwy, najdroższy! — objęła Widzka męża, gdy ten jej rękę całował na pożegnanie.

— Pani Zurakowska przyjechała z panem Czesławem! — wpadła z wiadomością rozpromieniona Terenia.

Widzki wyniósł się co prędzej. Widzka otarła łzy, kazała Tereni poprawić poduszki, obejrzeć czy czysto w pokoju.

— Poproś, Tereniu, panią Michalinę, żeby przysłała kawę i cokolwiek przekąsić, — mówiła z twarzą już zupełnie wypogodzoną.

Zurakowska usiadła przy łóżku Widzkiej i zaczęły gawędzić. Terenia bawiła w salonie Czesława.



Miała dziś grzywkę uciętą i ufryzowaną, która przykrywała jej zanadto wysokie czoło. Ubrana była strojnie, ożywiona, rozkochana, szczebiotała; cała trzepotała się, jak wabiący ptak-samiczka, zaglądając Czesławowi w oczy, burząc nerwowo bukiecik, który w rękę trzymała.

Czesław był też dziś w ożywionym nastroju. Dziecinna swawola dziewczyny sprawiała mu przyjemność. Drażnił się z nią, przekomarzał, usiłując odebrać kwiaty, wreszcie ucałował z przyjemnością jej paluszki, chociaż się broniła.

Zabawiwszy godzinę, odjechał do fabryki.

— Mamy jutro święto, — rzekł do niego Zarnicki, gdy wychodząc z cukrowni, spotkali się na dziedzińcu. — Nigdy nie byłem tak leniwym i tak łapczywym na święta, nawet w dzieciństwie, jak dziś.

— Nic dziwnego. Pan przebywa teraz szczęśliwą fazę w życiu. Pozwól mi pan jednak zadać sobie jedno pytanie... niedyskretne — mówił Czesław, siadając obok Zarnickiego na ogromnej belce, leżącej za wrotami fabrycznymi.

— Proszę mi ich zadać nawet dziesięć. Nie mam drażliwych stron życia.

— A więc, proszę mi powiedzieć... Jak pan ma odwagę żenić się z ubogą panną, nie posiadając sam majątku?

— Ja nie mam majątku?... A ręce... a głowa?...

— rozśmiał się Zarnicki.

— Przy terażniejszych ekonomicznych warun-

kach, głowa niekiedy jest niepotrzebnym balastem, a ręce nie mogą czasem znaleźć pracy!... Brać zaś na siebie odpowiedzialność za rodzinę... brać na barki ciężkie jarzmo, któremu nie zawsze można podołać, jest... podług mego zdania... niezupełnie... wybacz pan... sumiennie..

— To sofistyka, mój panie!... Faryzeuszostwo ludzi, którzy chcą sami tylko wygrzewać się przy ognisku życia, — podjął gorąco Zarnicki. — Jeżeli nie stworzę sobie rodziny z ukochaną kobietą... to będę powiększał największe zło, egzystujące w społeczeństwie, zrzucając jednocześnie z bark swoich całą odpowiedzialność na słabszych... Rozumiesz pan o czem mówię?

— Dlaczegoż jednak czynić przyszłe swe dzieci ofiarami?

— Dzieci uczciwych, pracujących rodziców nie są ofiarami. Ja sam byłem najbiedniejszym dzieckiem, drżącym nieraz z zimna, a często głodem. A dziś błogosławię tę biedę, bo tam, gdzie szli moi bogaci koledzy po ruinę ciała i duszy, dla mnie miejsca nie było. Bieda wyrobiła we mnie poczucie dumy i współczującą litość dla pokrzywdzonych, dlatego też wstydę się korzystać z ofiar egoizmu męskiego, z upadku głodnych i nieszczęśliwych!... Mam do tego wstręt i obrzydzenie!... Stworzę więc sobie rodzinę, która na mnie tylko będzie liczyła, a kto ma takie muskuły, ten się nie lęka pracy!...

Odchylił rękaw bluzy roboczej i pokazał silne, muskularne ramię.

— Patrz pan!... Jak liny okrętowe!... Do zamarznienia wody kąpię się w rzece... a nerwy mam takie, że gdyby piorun padł o parę kroków odemnie, nie drgnąłbym nawet. Widzi pan, że nie jestem biednym.

Czesław patrzył na niego, mrużąc nerwowo oczy.

— A jeżeli panu los nie dopisze i życiu pańskiemu towarzyszyć będzie gorycz, niepowodzenie... nieszczęście rodzinne?...

— To powiem sobie, że to, co mię zwalczyło, silniejszym było odemnie... wydarło mi szczęście, ale nie potrafiło odebrać przeświadczenia, że spełniłem obowiązek człowieka i że nie zrzuciłem nigdy mego ciężaru na barki słabsze.

Czesław był bardzo blady.

Machinalnie wstał z ławki i szedł, zamieniając od czasu do czasu parę obojętnych słów z towarzyszącym mu Zarnickim.

Rozstali się przed domem dyrektorstwa.

Wieczorem Czesław pojechał do Zukówki, gdzie zamierzał nocować i spędzić jutrzejszy dzień świąteczny.

Ewa była milcząca i zaraz po kolacyi zabrała dzieci i więcej już się nie ukazała.

Czesław siedział w saloniku i czekał, aż przyjdzie i zabierze się, jak dawniej, do lepienia. Pragnął jej widokiem uspokoić swe nerwy, zahipnotyzować rozdrażnienie.



Zurakowska zajrzała do saloniku.

— Jesteś sam, Czešku! Mam mnóstwo dziś zajęcia. Różne konferencye z Salomeą. Od kilku dni nie wglądałam w gospodarstwo. Żeby też już raz wszystko się skończyło, żebym mogła znów objąć rządy domem i nie wyjeżdżać tak ciągle...

Zbliżyła się do brata i położyła mu rękę na ramieniu.

— Chciałabym już być spokojna o twą przyszłość, mój drogi. Nie rozumiem, dlaczego się ociążasz z ostatecznem postanowieniem?... Pamiętaj, że Widzki jest dumny i gdy spostrzeże, że się wahasz, za nic nie odda córki. A lepszej partyi chyba nie znajdziesz!... Czasby wreszcie pomyśleć o sobie i zdjąć z mojej głowy niepokój o twą przyszłość, Czešku!...

Pocałowała go w czoło i odeszła.

Czuł sam, że musi coś przedsięwziąć.

Rozstać się z Ewą!... Zabić własną duszę, do której ona wносиła powiew minionej młodości, a która odtąd pozostanie znów prózną mogiłą!...

Przywoływał do wyobraźni postać Ewy, jej mówiące oczy, jej świeżość zdrojową, która przyspieszała bicie jego serca.

Długo w myślach pieścił ostatnią swą miłość, a ocalone strzępki jego duszy, skupiały się koło tego uczucia i broniły je od zatracenia.

Otrząsnął się z rozmarzenia. Musiał coś przedsięwziąć!...

• Ożenić się z bogatą kobietą i wlec jarzmo ży-

ciowe, na które choroba, niedostatek dorzuca hojną dłonią swe dary?!... Czyż był zdolny wlec to jarzmo zdenerwowany, zniechęcony, przeżyty?... Czyż uczucie, które go dziś łączy z Ewą, przeżyje nieustanną walkę z powszedniością codzienną?... Czy nie zamieni się w obojętność, lub wzajemną niechęć?... Gdyby nawet miłość ich przetrwała długo w całej świeżości, on nie będzie w stanie dźwigać troski o byt rodziny.

Codzienna wstrętna taczka!... Wieczny aż do śmierci zgrzyt kół maszynowych!...

Cóż go z tamtą czeka?...

Ona posiedzie w krótkim czasie przeświadczenie, że nigdy nie była kochaną i, że człowiek, którego kupiła, był próchnem tylko... On zdobędzie spokojny, leniwy odpoczynek po burzliwym życiu, bezpieczne jutro... We wspólnem życiu, połączą ich obiady, wizyty, interesy domowe, po za którymi uciekać będą, każde w swój odrębny świat myśli i uczuć...

Lampa zgasła w saloniku, a on wciąż siedział z spopielonem cygarem w ręku, ponury, zrozpaczony, pasując się z gnębiącą koniecznością.

Przedewszystkiem musi odkryć swą duszę przed Ewą... Niech sądzi!...

Wyszedł do ogrodu. W oknie Ewy świeciło się. Zapukał. Otworzyła okno.

— Chciałbym ci coś powiedzieć... Czy nie zechcesz najdroższa moja, przyjść do ogrodu, — prosił.

Gdy za chwilę przyszała do pawilonu, upajał się jej widokiem, nie mogąc przemówić. Z ust jego nie chciały wyjść dwa słowa rozłąki.

Całował z upojeniem szalonem jej ręce, milczące dziś usta. Godziny mijały... Zapomnieli o czasie!...

Ewa miała w twarzy wyraz powagi, zamyslenia.

Nie była to już dawna apatyczna, rozgoryczona, niezadowolona z losu nauczycielka, ani roznamiętniona dziewczyna, która przekradała się przez ciemną aleję i przychodziła tu z dziecinnem wyznaniem, że nikt jej nie kochał, nikt dotąd jej ust nie całował.

Dziś miała oczy głębokie, a w nich jakiś świat nieznanymi Czesławowi.

Patrzyły na niego badawcze, nieco zdziwione, jakby miały przed sobą zagadnienie, które siły się rozwiązać.

W dalekiej głębi tych oczu widział jej rozbudzoną duszę, młodą, jasną, nieco przymgloną jeszcze, jak przedświt mroźnego orzeźwiającego dnia, pełnego blasków słonecznych, duszę nie mającą nic wspólnego z jego własną jaźnią.

Onieśmielony nagle poczuciem tej jej wyższości, oczarowany bijącą od niej nową siłą, szeptał bezładne słowa miłości...

W oczach jej czytał rzeźbiący się rys ducha i wstrząsał nim strach, że owa nieznaną siłą, patrzącą niekiedy z oczu Ewy, urośnie i wyrwie mu ją na zawsze.



— Chciałeś mi coś powiedzieć? — spytała.

Drgnął.

Odsonić przed nią teraz całą marność swej natury, mówić z nią o tem, że nie mogąc podołać życiu, musi się sprzedać.

Milczał zmieszany.

Ewa dostrzegła to zmieszanie i przez chwilę usiłowała odgadnąć, co było jego powodem.

Była dziś Lisia z pożegnaniem, — rzekła, żeby przerwać kłopotliwe milczenie. — Jutro wyjeżdża do ciotki na parę tygodni. Zarnicki też tam pojedzie, żeby dać się poznać jej rodzinie... Lisia wymogła na mnie słowo, że przyjadę tam do niej, chociażby na dni kilka. Muszę wyprosić sobie urlop u pani Zurakowskiej, chciałabym bardzo pojechać.

Czesławowi zajaśniały oczy.

— To świetna myśl!... I jabyśmy też przyjechali wraz z Zarnickim!... Nie widzieć się z tobą dłuższy czas, byłoby dla mnie nie do zniesienia — mówił, całując jej rękę.

Ciężar mu się zwałił z pleców. Na pewien chociaż czas oddalił od siebie rozpaczliwą chwilę.

Podczas nieobecności Ewy łatwiej powźmie jakieś postanowienie... Napisze do niej... wypowiedzi się z całej swej nicości, bo mówić nie ma odwagi. Niech zrozumie, że on jest zerem, które dla nikogo nie może być oparciem!... Niech będzie jego sędzią!... Po wyrok sam pojedzie!...

Ewie podobał się projekt opuszczenia Zukówki, gdzie jej było teraz wprost duszno.

Zamigotały przed nią serdeczne oczęta Lisi. W tem przyjacielskiem otoczeniu porozumie się z Czesławem co do przyszłości, a może... i ślub tam wezmą, żeby uniknąć scen od Zurakowskiej.

Do drzwi pawilonu ktoś zapukał.

Drgnęli oboje. Po chwili wahania Czesław zbliżył się do drzwi i otworzył je.

Na progu ukazała się Zurakowska.

Spojrzał na siostrę ostro, wyzywająco. W twarzy jego zarysowało się nagle postanowienie.

Ewie zabrakło tchu w piersiach, uspokoiła się jednak zaraz.

— Dobrze, że przyszła, — pomyślała, — przynajmniej raz się wszystko skończy!...

Po twarzy Zurakowskiej przemknęło ogromne zdziwienie, później zmieszanie.

Zapanowała zaraz nad sobą.

— Przechadzałam się z Salomeą... Nie chce mi się jeszcze spać... Taki cudny czas! Ale to chyba już ostatni wieczór ciepły, bo jesień u progu.

Mówiła głosem swobodnym, wesołym, jakby nie widziała nic zdrożnego w tem, że Ewa była w pawilonie.

Czesław milczał błądliwy i nachmurzony.

— Przyszły *jour fixe* u Widzkich ma być bardzo ożywiony, z tańcami... Coraz szersze koło znajomych!... Nawet Horszyńscy przyjadą... Pojedziemy wcześniej... dzieci są też zaproszone... Czy pani ma przygotowany kostyum? — zwróciła się grzecznie.

do Ewy, — bo jeżeli nie, — to poradzimy coś na to. Krawcowa przyjedzie na dni parę. Wszyscy bardzo żałują, że Lisia nie będzie na tym wieczorze... Podobno musi koniecznie jutro jechać z powodu kombinacyj rodzinnych...

Ewa odpowiedziała coś niezrozumiale. Nie mogła wyjść z podziwienia, słysząc spokojny, a nawet wesoły głos Zurakowskiej.

I znów serce jej szarpnęło się boleśnie. Milczenie Czesława na którego twarzy odbiła się męcząca walka, była nowym ciosem dla jej miłości i dumy.

— Chodźcie, państwo! Przejdźmy się trochę jeszcze przed snem. Szkoda marnować czasu w spokoju, skoro tak ładnie na świecie.

Wzięła brata pod rękę i idąc, zachwyciała się pięknnością nocy.

Ewa szła obok nich w milczeniu.

Dlaczego on nic nie powiedział?... Przecie Zurakowska odgadła wszystko i widocznie przyjęła to spokojnie... Przed chwilą mówił przecie, że rozstać się z nią przechodziłoby jego siły i taka prawda brzmiała w jego głosie!... Onaby fałsz odczuła!... Zmęczona jej dusza stała się jasnowidzącą... W jego oczach wyczytała słabą wolę i chwiejną duszę... Ale przecie ją kochał!... Tchnęła w niego miłość i czuła w nim jej istnienie... Dlaczego on milczy?!... Może chce wszystko skryć do jej wyjazdu, żeby jej oszczędzić upokorzeń, a dopiero u Lisi... To chyba najpewniejsze!...



Wysilała napróżno mózg, żeby zdobyć jakiś pewnik. Myśl jej biegła bezładnie, kręciła się w kółko; chwilami miała jakby przecucie prawdy i znów wszystko malało w obec przeświadczenia, że ją przecie kochał.

Czesław nie spał całą noc. Ciężar, który mu spadł z piersi, wytrącił go ze zwykłej równowagi. W ciągu ostatnich paru tygodni rozdrażnienie jego spotęgowało się. Co chwila oczekiwał jakiejś katastrofy. Stosunki się komplikowały, stawały się zawiłymi. On nie silił się ich uporządkować, bezradny, niezdolny wyrzec się Ewy, oczekując z przygnębieniem kryzysu, który musiał lada chwila nastąpić. Skoro Ewa odjedzie, w jego życiu nastąpi ów konieczny przełom!... Napisze do niej... wyzna wszystko. Będzie rozpaczała... Może go znienawidzi na chwilę... Ale później przebaczy!... Był jej pierwszą miłością, a kobiety łatwo przebaczą!... Od kolebki życie uczy je przebaczenia... usuwania się na drugi plan... wreszcie cóż będzie miała do wyboru?... Chyba potem, co między nimi zaszło, nie może marzyć o małżeństwie?.. On jej życie ureguluje... Nie opuści jej nigdy!.. Będzie mieszkała w mieście... odda się rzeźbiarstwu... Z czasem... ze swoim talentem, ze swoją estetyczną, silną duszą wybiję się po nad przeciętną cyganeryę artystyczną... Stanie się znaną, sławną, jego ubóstwianą kochanką, jedyną kobietą, która go umiała natchnąć miłością!.. Przy niej spędzi najmiłsze chwile, odmłodzony jej młodym

uściskiem, uduchowiony jej poczuciem artystycznym!..

Ewa jako żona byłaby jarzmem, kulą u nogi, jako kochanka, opromieniona blaskiem sławy, stawała się wymarzonym ideałem szczęścia.

Widział już ciche, z komfortem artystycznym urządzone mieszkanie Ewy, przepełnione jej duszą, której część uniesie z sobą, gdy będzie powracał do swego domu, siedliska nudów, tęsknoty i zgryźliwych utarczek z prawowitą żoną!.. Gdyby mógł przespać tych parę miesięcy, które go dzieliły od spokoju i możliwego szczęścia. Z przyjemnością myślał o święcie Bożego Narodzenia. Do tego czasu wszystko już będzie skończone i życie popłynie normalnym biegiem. Pierwsze święto spędzi w domu dla oka ludzkiego... Później ucieknie do tej ukochanej po czar... po upojenie!..

Parę następnych dni upłynęło, jak w gorączce. Czesław nie przyjeżdżał do Zukówki; natomiast Zurakowska zjawiała się codziennie w fabryce, zabierała Czesława i jechała z nim do Widzkich.

Oświadczyzny przyjął Widzki oziębłe, Terenia była nieprzytomna ze szczęścia, Widzka serdecznością nadrabiała widoczne niezadowolenie męża. O zaręczynach nie było mowy. Widzcy nie spieszyli z rozgłaszaniem o małżeństwie córki, Zurakowska też milczała. Musiała pierwiej pozbyć się Ewy.

W pierwszych chwilach narzeczeństwa Czesław doświadczał uczucia bardzo podobnego do rozpaczy. Sumienie w nim przemawiało gwałtownie.

Staroszlacheckie dziedziczne pojęcie o honorze protestowało.

Pod pozorem choroby zamknął się u siebie i nie wychodził parę dni z mieszkania. Nikogo nie przyjmował, a gdy Zurakowska przyjechała go odwiedzić, dał jej poznać dość opryskliwie, że chce sam pozostać.

W duszy czuł wstyd i niesmak. Wyjścia z tej ohydnej pozycyi nie widział. Obliczał wciąż swoje siły, wytrwałość i zdolność do pracy; wciąż rachunek sprowadzał je do zera. Ciągły przymus, zależność, nieprzerwany aż do końca życia szereg dni znojnego trudu, wieczna troska o jutro, walka z ludźmi o każdy kęs chleba, byłoby następstwem jego małżeństwa z Ewą.

Do fabryki nie chodził wcale. Pożółkły, z workami obwisłymi pod oczyma, osłabiony, siedział po całych dniach w szlafroku, pijąc mocną herbatę, paląc papierosy, wzdrygając się nerwowo za lada stuknięciem.

Nie toczył już walki z sobą, tylko się oswajał z tem, co było nieodwołalnie postanowione.

W miarę, jak się wyczerpywały moralne jego siły w polemice z sumieniem, sofizmaty przybywały mu na pomoc.

Przecie musiał też myśleć o przyszłości Ewy... Nie może pozwolić, żeby się nadal tułała po cudzych kątach, gdy o własnym nie może myśleć. Wreszcie cóżby jej dał mąż biedak, brutal, który wyrzucałby jej codziennie ubóstwo, dla którego



byłaby kobietą — samicą, upośledzoną, zdolną tylko do podrzędnej roli... Cóżby stało się z jej estetyczną naturą, zbudzoną wiewem miłości?!. Czyż nie wziął na siebie moralnego obowiązku dać odpowiednią ramę jej zdolnościom artystycznym?.. A Terenia?.. Czyż tak bardzo zawinił przeciw niej?.. Los posażnych panien nigdy nie jest godny zazdrości... Nie straci jej majątku, nie będzie jej grubijańsko traktował... a małżeńska niewierność nie jest występkiem, ze strony męża... Zły jest ustrój świata, ale on go ostatecznie przerobić nie może... Zresztą czas wszystko wygładzi... Ludzie prędko się oswajają z faktem dokonanym... Oswoją się więc z poniżeniem Ewy, z troską Tereni... Upokorzą jedną, wyśmieją drugą... Ogadają obie, a przyszłość wprawi w ramy powszedniości — grzechy powszednie!..

Pojechał wreszcie do Widzkich.

Wyglądał rzeczywiście na chorego. Widzka zostawiła narzeczonych samych, żeby się porozumieli.

Terenia zaproponowała spacer.

Wieczór był złoty, jesienny, bogaty w płomieniste odblaski. Drzewa pachniały jeszcze owocami.

Przechadzali się po wyżyrowanych ścieżkach, prowadząc banalną rozmowę.

Terenia nie wiedziała, co ma mówić. Myśli jej krążyły w mózgu bezładnie, nie mogąc wcielić się w słowa. Serce drżało ze wzruszenia.

Była pewną, że Czesław zacznie jej mówić o swojej miłości i wprost traciła przytomność.

Czesław widział jej zmieszanie, czuł, że musi coś mówić innego, niż te banalne frazesy. Jakieś dziedziczne okruchy rycerskości jego przodków szeptały mu, że przecie nie może dać poznać brutalnie dziewczynie, że jest mu zupełnie obojętną. Litość, resztki sumienia, siliły się na wydobycie z niego bodaj pozornej czułości.

— Panno Tereso... Przed paru dniami... byłem tak szczęśliwy, że otrzymałem przyrzeczenie pani... Chciałbym jednak wiedzieć, czy pani dobrze się zastanowiła nad... powziętem postanowieniem, — mówił sam nie zdając sobie sprawy z treści swoich słów — Byłoby mi bardzo przykro... gdybym wiedział... że pani żałuje...

— Ach, nie! — wyrwało się Tereni. — Ja nie żałuję... Ja jestem bardzo... zadowolona...

— Bo takie postanowienia prowadzą do kroków, które się cofnąć nie dają, — powiedział i zaczął prawić o potrzebie głębszej rozważliwej w chwilach decydujących o przyszłości, o tem, że często ludzie się mylą, szukając tam szczęścia gdzie go niema, że życie nie jest takim, jakim się wydaje.

Mówił dużo, gorączkowo, czując wciąż, że nie mówi tego, co powinien był mówić w danym wypadku, że wreszcie Terenia może z tej jego niepotrzebnej retoryki wyłowić zupełną dla siebie obojętność.

Ale Terenia była na wsi chowana i doświad-

czenia w miłosnych sprawach nie miała. Wymowa Czesława działała na nią imponująco. Zaledwie kilka słów z jego rozprawy zatrzymało się dłużej w jej pamięci, reszta rozlatywała się, rozproszona szumem w uszach, biciem serca, nawałnicą myśli różnych, nienależących do obecnego przedmiotu rozmowy.

Słyszała tylko, że dowodził o czemś długo, poważnie, z miną człowieka, który zapatruje się seryo na włożone na siebie obowiązki.

Ona czuła się przy nim taka niemądra, taka dziecinna ze swoim wzruszeniem i truchlała, żeby się nie chciał dowiedzieć o jej zdaniu co do przedmiotu, o którym tak długo rozprawiał.

Czesław umilkł nagle.

W końcu ogrodu, między drzewami, wśród których czaił się już zmierzch, błysnęło gdzieś daleko światelko, może w chatce ogrodnika. Błysnęło parę razy, jak spadająca gwiazda. Umilkł, opanowany zmęczeniem, zniechęceniem i straszliwą tęsknotą za Ewą. W tej chwili nie czuł się występny, tylko bardzo nieszczęśliwym.

Twarz mu pobladła nagle. Nie wyglądał już w tej chwili na eleganckiego młodego człowieka, pewnego siebie, o twarzy powleczonej interesującą bladością, imponującego pańskim ironiczno-chłodnym uśmiechem.

Siedział zgarbiony, postarzały, z twardą zmarzszką przez czoło.

Terenia patrzyła zdziwiona na Czesława, nie



rozumiejąc powodu tej nagłej w nim zmiany, zaniepokojona, z mgławem przecuciem jakiejś tragedji duszy ludzkiej, której rozwiązanie było tam... w głębi życia... po za zasłoną jej młodości!

Mimowoli podniosła się z ławki, na której przed chwilą usiedli i zaczęła iść ku domowi.

Czesław chciał ją pożegnać.

— Czy tak zawsze będzie? — rzekła, siląc się na żartobliwy uśmiech.

— Co zawsze tak będzie?.. — spytał zdziwiony.

Że pan zechce się prędko uwalniać od mego towarzystwa.

Patrzyła na niego zawstydzona, niemal pokorna, zarumieniona po szyję, po jasne brwi.

I znów sumienie nim zatargało.

Wszak to biedne dziecko miało prawo dopominać się chociaż o trochę szczęścia na ziemi!..

— Gdy już będziemy razem na zawsze, nie będę miał dokąd uciekać, — odpowiedział, uśmiechając się i całując jej rękę.

Chciał jechać do domu, ale w połowie drogi kazał furmanowi zawrócić do Zukówki.

Zurakowska i dzieci już spały, Ewa go spotkała w przedpokojn.

— Co się stało, że tak późno?... — Spytała zaniepokojona.

— Czy tak już późno?... Nic się nie stało... Przyjechałem dowiedzieć się co się tu dzieje... A może... zateęskniłem. — Siostra już spi?

— Wszyscy śpią.

— A więc posiedzę chwilę i zaraz pojedę.

Ewę zdziwiło jego zmieszanie, mizerny wygląd i gorączkowe czułości, w których jednak przebijała prawdziwa miłość. Pomyślała, że pewno Zurakowska wymogła na nim zwłokę i że on jej ulega chwilowo. Wszystko jej przychodziło do głowy, oprócz prawdy.

W niedzielę, to jest w dniu, w którym miał się odbyć *jour fixe* w Hornicy, Czesław widział się z Zurakowską w kościele i chciał ją prosić, żeby Ewę, zamierzającą wyjechać za parę dni do Lisi, zostawiła pod jakimbądź pozorem w domu, ale wstyd jakiś i bezwiedna niechęć do siostry odwiodły go od tego zamiaru.

Zurakowska zabrała z kościoła Terenię do siebie na śniadanie.

— Musisz się przyzwyczaić nazywać mnie po imieniu, — powiedziała do niej wobec Ewy.

Terenia uśmiechnęła się, zarumieniona.

Rozsądek znów silnie przemówił do Ewy, odepchnęła go rozpaczliwym wysiłkiem.

— Nie... to byłoby niemożliwe!... To byłoby bezmiernie podłe!... Pocóżby ją okłamywał?... przecie nic od niego nie wymagała!... Pocóżby mówił, że bez niej życie nie ma dla niego wartości?

Gdy przyjechali wieczorem do Hornicy, było tam już mnóstwo gości.

— Panno Ewo! — rzekła Zurakowska, gdy tylko

weszli do salonu. — Proszę się na seryo zająć dziećmi, żeby znów nie było jakiej awantury.

Ewa spojrzała na Zurakowską, która jej odpowiedziała zimnem spojrzeniem, następnie machinalnie przeniosła wzrok na stojącego obok siostry Czesława.

Ten zbladł, ale milczał i patrzył w inną stronę.

Poszła z dziećmi do biblioteki.

Siedziała znów, jak przed rokiem, trzymając w ręku tygodnik, w którym nie mogła rozróżnić liter.

Dokoła niej hałasowały dzieci, szczebiotały francuzki, od czasu do czasu ukazywało się uprzejme oblicze pani Michaliny.

Co chwila ktoś wchodził do biblioteki dla ochłodzenia się. W szeptach gości powtarzały się imiona Tereni i Czesława. Jedni mówili o młodej parze z ironią, inni z akcentem źle ukrywanej zazdrości.

Przez otwarte drzwi, Ewa widziała w salonie Czesława obok Tereni. Był jakiś zmieszany, czy smutny, ale ciągle byli razem. Radość i szczęście biło ze świecących oczu dziewczyny, wyzierało z jej nerwowego szczebiotu. Czesław też ożywiał się chwilami, chociaż przygnębienie malowało mu się na twarzy. Zurakowska była rozpromieniona, Widzki silił się na ukrycie niezadowolenia, Widzka na uprzejmość, a wszyscy goście mieli znaczący uśmiech na ustach.

Nagle Ewa drgnęła gwałtownie.



Jedna z pań mówiła półgłosem do stojącej nieopodal pani Michaliny.

— Pocóż ta tajemnica? Zurakowska mówiła, że się oświadczył Tereni przed tygodniem i został przyjęty. Pocóż się więc państwo Widzcy z tem ukrywają?

Ewa obróciła się i zawisła płonącem wzrokiem na ustach pani Michaliny.

— Oświadczył się rzeczywiście i... o ile wiem podoba się Tereni. — Zapewne wkrótce wszyscy się o tem dowiedzą, — odrzekła pani Michalina z dobrodusznym uśmiechem.

Ewie zdało się, że straszna, czarna przepaść rozwarła się u jej nóg... że leci w tę przepaść.

Krzyk pełen bólu i rozpaczony wydobywał się z jej piersi i uwiązał w gardle.

Zapanowała nad sobą.

Zasłoniła się tygodnikiem, a lewą rękę zacisnęła kurczowo na poręczu fotelu, na którym siedziała.

Małżeństwo Czesława z Terenią było więc już dawno postanowione... wszyscy wiedzieli o tem, oprócz niej!

Teraz zrozumiała, dlaczego wyraz ulgi zarysował się w oczach Czesława, gdy mu powiedziała, że odjedzie, dlaczego tak ją zapewniał, że się z nią rozstać na długo nie może...

Zadrzała w niej z szalonego bólu, smagana od dawna jej miłość własna, jej dusza człowiecza.

Czekała, aż dotąd, bezwstydnie czekała, aż on

dopełni obowiązku, aż rzuci jej wspaniałomyślnie jałmużnę!... — biczowały ją myśli, pełne zranionej miłości własnej. — Wiedziała jak się wił między poczuciem sprawiedliwości, namiętnością do niej, a chęcią uzyskania darmowego chleba na przyszłość... Widziała, jak marna jego natura skłaniała się ku temu ostatniemu i nie rzuciła mu pogardy w oczy i nie uciekła!... Czekala by z musu dopełnił tego, co dla niej było szczytem szczęścia!... Czekala młoda, pełna sił, jak topola, osypana pierwszym kwieciem, aby on, zużyty w atmosferze próżniactwa i rozpusty, jej młodością zechciał ożywić swój organizm sterany, żebraczy!...

To było jej jedyne prawo, prawo kobiety, czekać, by w nim przemówiło sumienie!...

Nie zrozmiała, że mu się uśmiechała świetniejsza przyszłość... że on wraz z wiosenną młodością mógł osiąść wygodny chleb darmowy...

Myśli jej rozlatywały się, jak stada kruków, co raz to unosząc jakiś strzep z oslepiających dotąd złudzeń.

Dusił ją gniew szalony. Przed oczyma miała płatki czerwone i wszystko widziała w krwawem świetle. Odpychała od siebie ogarniającą ją gwałtowną chęć zabicia jego i siebie. Usiłowała przypomnieć sobie gdzie widziała rewolwer w domu Widzkich...

W gabinecie Widzkiego!...

Powstała z fotelu i znów usiadła, opanowując silną wolą mącą się myśli.

Parę osób spojrzało na nią ze zdziwieniem, pani Michalina coś do niej przemówiła, ktoś ją prosił, żeby piła herbatę.

Nie rozumiała nic. Zalewało ją morze rozpaczy, gniewu. Nie słyszała, nie czuła nic, oprócz chaosu wstrząsających ją uczuć; oprócz zgiełku pytań i odpowiedzi swojej zdeptanej duszy.

Wyszła z biblioteki i stanęła w drzwiach salonu.

Wzrokiem szyderskim objęła całą tę targowicę, na której kupczono szczęściem ludzkim i bezmierna nienawiść wezbrała w jej piersi.

Stała tak u drzwi wyprostowana, z przepysz-nemi ramionami, które, jak biały marmur przeglądały z poza czarnego koronkowego stanika, cała jakby uniesiona w górę poczuciem wyższości swego ducha nad tłumem tych małych dusz, dla których miała pogardę istoty pokonanej brutalną przemocą.

— I ci sądzić mnie będą!... — szepnęła z gorzką ironią.

Jakiś gość, przechodząc przez salon, zapatrzył się na nią, olśniony wspaniałym wyrazem postaci, której dotąd nie widział wśród gości, ale spotkawszy jej chmurne spojrzenie, oddalił się.

Czesław, ujrawszy Ewę w drzwiach salonu, podszedł do niej po chwili wahania.

Zmieszał się spostrzegłszy jej bladość i niezwykłe podniecenie.

— Zdajesz się być czegoś zagniewaną, Ewo? — spytał na pół szeptem.



Rozśmiała się głośno, szyderczo.

— Boi się pan, żebym swoim wystąpieniem nie popsukała panu swatowstwa?!!

— Nie rozumiem?... Ewo! jutro ci wszystko opowiem... wytłómaczę... Nie mogę egzystować bez ciebie... Ty mnie kochasz... Postąpię, jak zechcesz, — szeptał Czesław, sam nie wiedząc co mówi, czując, że traci Ewę, czytając to w jej spojrzeniu, w powstrzymywanem drzeniu jej ust, na które cisnęły się słowa nienawiści.

— Nie fatyguj się pan napróżno!... Serce moje wypełniła taka pogarda dla pana i... pańskich współników, że w niem niema miejsca na inne uczucia.

— Ewo!... Przez litość!... Nie wiesz sama, co mówisz!... Jutro o wszystkim się dowiesz... Jestem bezsilny wobec konieczności!... Wszystko się da zmienić!... Wszystko się ułoży... Będziemy szczęśliwi!.. — mówił stłumionym głosem.

— Zapominasz pan, że nie wszyscy są do sprzedania i że nie każdy ma, jak pan... duszę służalczą!..

Odchodząc, odwróciła się do niego i jeszcze raz pałające jej oczy powtórzyły tę obelgę.

Czesław stał przez chwilę, skamieniały, błędnymi oczyma, śledząc postać Ewy, znikającej w głębi biblioteki.

— Co panu jest? — spytała Terenia, podbiegając do niego, — panu niedobrze?

Był bładny, jak płótno i ocierał pot z czoła.

— Tak... lekki zawrót głowy...

• — Chodźmy do bawialnego pokoju. Tu tak gorąco!

Przyniosła wody kolońskiej i nacierała nią skronie Czesława, zapytując troskliwie, czy mu już lepiej.

Zurakowska domysliła się, że coś się stało i w tej chwili wyprawiła do domu Ewę z dziećmi.

W przedpokoju spotkała Ewę panna Salomea, która dotąd nie spała. Zabrała zaraz dzieci.

— Idź, kochaneczko, do siebie, ja się dziećmi zajmę, — rzekła głosem pełnym współczucia, widząc bladłość Ewy.

Ewa weszła do swego pokoju, zrzuciła z siebie wieczorowy strój, włożyła szlafroczek i siadła u okna.

Patrzyła bezmyślnie w ciemność po za szybą. Na chwilę myśl jej stężała i przycichła pod ciężarem gnębiących wrażeń.

Pierwszym świadomym ruchem jej mózgu było przeświadczenie, że musi stąd uciekać jaknajprędzej. Była na łasce rozpróżnionczonyj gawiedzi, wydana w ręce oprawców przez człowieka, dla którego serce jej uderzyło pierwszą miłością. On miał teraz nad nią prawo sądu i kary. Współwinowajca stawał się sędzią. Gdy on zechce mówić, jutro miłość jej będzie przedmiotem sekcyi, szyderstwem skalają każdy jej pocałunek, napiętnują hańbą każdy przejaw jej młodej, kochającej natury.

Rosła w ukryciu, jak roślina zdrowa i silna. Meźniała, rozwijała się i gdy pewnego dnia doj-

rzała, zwróciła się ku słońcu miłości. Popełniła występki. Postąpiła wbrew kodeksowi społecznemu, który wyznaczył dla niej los rośliny, wegetującej w piwnicy. Nie wzięła patentu na prawo miłości... Musi zatem ponieść karę. Ją tylko dosięgnie kara!... On posiedzie szacunek, dobrobyt, życie bez trosk, a za nią pójdzie poniewierka, bieda, osamotnienie... anatema, co dosięgnie tych nawet, którzy wyciągną dla niej dłoń współczucia!

Zacisnęła oczy rękami i pozostawała bez ruchu, obozwładniona widmem przyszłości.

W ten wieczór, gdy szła do pawilonu, kąpiąc się w blaskach księżyca, dojrzała jej miłość, w dzisiejszą noc nieszczęsną dojrzał jej duch.

Odjęła ręce od oczu, wyprostowała swoją wspaniałą postać i wzrokiem dumnym, szyderskim, urągającym ludzkiemu urągowisku, wpatrzyła się w ciemność rozpostartą za szybę, jakby stamtąd dolały już do niej pierwsze pociski potępienia... jakby stamtąd szły na nią gradowe chmury sądu ludzkiego...

— Niech idą!... — szepnęła z płonącymi oczyma.



## ROZDZIAŁ XX.



a drugi dzień po wieczorze u Widzkich Zurakowska, która wróciła już około południa, spała prawie do wieczora. Panna Salomea miała jakąś pilną robotę, Ewa więc musiała spędzić cały dzień z dziećmi.

Była bardzo blada, na pozór spokojna, chociaż oczy jej paliły się posepnym ogniem wewnętrznym. Chwilami zaciskała drżące usta, jakby obawiała się, że wyrzucą z siebie potok gniewu tłumionego siłą woli.

W kieszeni miała list, który jej oddał dziś podczas przedobiedniowego spaceru, czyhający widocznie na jej ukazanie się chłopak.

List był od Czesława.

„Od wczoraj męczę się, jak potępieniec!... Zechciej widzieć się ze mną!... Pozwól niech ci opowiem, co mię skłoniło do czynu, który sam potępiam, a który jest jednak naszą deską zbawienia... Nie sądź mnie, nie wysłuchawszy!... Ciebie tylko

kocham bez granic... bez ciebie nie pojmuję życia!... Napisz mi przez posłańca, gdzie i kiedy będę mógł się z tobą widzieć...

Ewa po przeczytaniu listu, zwróciła się do chłopca.

— Chodź ze mną do dworu, napiszę odpowiedź.

— Mam tu ołówek, papier i kopertę, — rzekł chłopak.

Usta Ewy wykrzywiła pogarda.

Obawiał się, by się kto nie dowiedział, że do niej pisze...

Wzięła papier z ręki chłopaka i położywszy go sobie na lewej dłoni, nakreśliła szybko:

„Jeżeli pan jeszcze raz zechce mię napastować swoim listem, to odesłę go panu Widzkiemu, żeby raz przecie się dowiedział, jaki marny towar nabywa jego córka za wysoką cenę. Zna mię pan chyba dostatecznie na to, by uwierzyć, że groźbę moją wypełnię!“

Obecność dzieci, nieznośniejszych dziś, niż zwykle, doprowadzała rozdrażnienie Ewy do ostatnich granic. Udawała jednak spokój i robiła jakąś robotę, podczas gdy one z powodu złej pogody bawiły się hałaśliwie w salonie pod jej opieką.

Wicia wcale dziś robić lekcyi nie chciała. Miała minę ogromnie zadowoloną i, skacząc przez sznur wzdłuż pokoju, wyśpiewywała na nutę krakowiaka: „Wujaszek się żeni z panną Terenią, będziemy mieli huczne weselisko“. Od czasu do czasu spoglądała irocznie na nauczycielkę.

Chłopcy męczyli kota, którego rozzdzierające miauczenie przepełniało miarę cierpliwości Ewy.

— Ściśnij go za ogon, niech prosi! — mówił Fredzio.

— Dawaj go tu, będziemy go huścić...

— Nie chcę huścić! Zwiążmy mu łapy i zaświećmy w oczy kawałkiem zapalonego papieru, niech zmyka!

— Oddaj mi kota, chcę go pohuścić!...

— A zaraz!... Będziesz go widział!...

Przez sekundę słychać było szamotanie się, wreszcie dał się słyszeć bolesny jęk kota.

Ewa zerwała się.

— Puście go w tej chwili! — krzyknęła na chłopców, z których jeden trzymał nieszczęśliwe zwierzę za tylne łapy, drugi za przednie, ciągnąc je ku sobie wzajemnie.

— Słyszycie, co mówię!... Puście go w tej chwili! — powtórzyła z wzrastającym gniewem.

— Oho!... Zaraz! A pani co do tego? To nasz kot!... — odrzekł zuchwale Fredzio.

Ewa odepchnęła silnie chłopców, odebrała im kota i wyrzuciła go za drzwi.

Rozdrażnienie szarpiące jej nerwy, znalazło ujście w tem energicznem wystąpieniu.

Fredzio onieśmielony na chwilę jej gniewem, odzyskał wnet odwagę.

— To nic... będę go miał znów!... Dostanie lepiej jeszcze, bo go powieszę za nogi na drzewie, a przedtem zbiję go, że aż spuchnie, — mówił za-



perzony, ściskając swą ośmioletnią, dobrze rozrośniętą pięść, pokrytą rudymi piegami.

Ewa spozrzała na niego z odrazą.

Czuła zawsze instynktowny wstręt do tych małych samców, których muskularne, silne, krępe postacie zapowiadały wzrost brutalnej siły, miazdzącej na swej drodze i dla swoich egoistycznych celów, wszystko, co nie miało siły stawić jej oporu.

Instynktem jednostki pokrzywdzonej, bezsilnej wobec zbiorowej przemocy, uczuwała nienawiść do odradzających się zarodków tej siły, która wyżyła dla siebie z jej krzywdą wszystkie korzyści bytu.

Nienawiść ta ześrodkowała się w tej chwili w jej myślach i przeszła do oczu, patrzących na chłopaka:

Do miary jego mózgu i usposobienia dobiórą mu rodzaj pracy... Gdy podrośnie dla zaspokojenia jego samczych instynktów, rzucą mu pod nogi ofiary nędzy i ciemnoty, po których przejdzie, urągający, pewien swoich praw... Po wszystko sięgnie i wszystko weźmie od życia, ten pan stworzenia!... A gdy przesycony, zużyty, zapagnie spokoju, dobrobytu, wolno mu będzie posiąść wiosnę cudzego życia, młodą świeżością nowej ofiary odnowić swój zbutwiały organizm!... Z niczego się nie będzie legitymował... sądu się nie będzie obawiał, bo sam stanie się sędzią... Nie obarczy go żaden zarzut, bo ofiary nie wejdą w rachubę, jak się nie liczą zamordowane dla użytku strzelca ptaki w lesie!...

Fredzio patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Siła nienawiści paląca się w oczach patrzącej na niego Ewy przeszła do jego duchowej istoty i zgnębiła chwilowo jej nie wielką jeszcze odporność.

Nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje i spoglądał na Ewę, jak zwierzątko na objawy zjawisk niepojętych dla niego, a działających gnębiąco. Próbował śmiać się, a usta mu się kurczyły do płaczu, chciał uciec i pozostawał na miejscu, jak bryła materji, którą odbiegł jej duch, spłoszony mocniejszą, nieznaną siłą.

Ewa odwróciła wreszcie od niego oczy, a chłopak zerwał się i wymknął z pokoju, jak psiak wodą obłany.

— Mama panią prosi do siebie, — rzekła Wicia, wbiegając do pokoju.

Zurakowska wstała niedawno i była jeszcze w rannym szlafroku.

Ewa weszła.

— Pani zapewne chce mi powiedzieć, — zwróciła się do Zurakowskiej, — żebym opuściła jak najspieszniej dom pani, a ponieważ jest to zupełnie zgodne z mojem pragnieniem, prosiłabym panią o uwolnienie mię natychmiast z moich obowiązków.

Mówiła śmiało, w głosie jej brzmiała pogarda.

Zurakowska zmarszczyła się.

— Mam nadzieję, że pani nie będzie miała do mnie pretensyi o to, że, mając córkę, muszę czuwać nad jej moralnością. Pani nie nadaje się

do obowiązków nauczycielki, które wypełniać trzeba z całym zaparciem się siebie.

— Najłatwiej jest mówić o obowiązkach bliźniego. Sądzi więc pani, że obowiązki nauczycielki stoją wyżej od obowiązków człowieczeństwa, — odrzekła Ewa z ironią.

Oczy Zurakowskiej błysły gniewem.

— Obowiązkiem każdego człowieka jest karcić to, co na nagane zasługuje — odparła.

— Najpierw w sobie... o tem wiem!... Ale prawdopodobnie nie chodzi tu nam o palmę pierwszeństwa co do sprawiedliwości sądów. Zechce więc pani powiedzieć, kiedy będę mogła odjechać.

— Nie chciałabym skandalu, — rzekła zimno Zurakowska, zirytowana zachowaniem się Ewy. — Ale ponieważ pani chce jak najprędzej uwolnić się od obowiązków, to może pani odjechać we czwartek.

— Dobrze, — rzekła Ewa i wyszła.

Nazajutrz, gdy Zurakowska stała na ganku, oczekując na konie, które ją miały zawieźć do fabryki, zbliżyła się do niej panna Salomea, wracająca z wycieczki gospodarczej.

— Jedziesz już, moja Julciu, a chciałabym cię prosić, żebyś wzięła odemnie klucze i dała mi jaką taką furmankę, bo mam zamiar wrócić już do klasztoru.

Cóż to, kuzynko... nie chcesz być dłużej w Zulkówce?... Wiem, że masz dużo pracy, ale też wiem, że pracy się nie boisz. Myślałam, że mi pomożesz do odzyskania sił po takiej ciężkiej choro-



bie, — mówiła Zurakowska, przymilając się do starej panny.

— Pracy się nie boję, — odrzekła panna Salomea. Ale już wolę wrócić do klasztoru, przynajmniej tam człowiek nie obraża Boga różnemi pytaniami. U was tu w świecie dzieją się dziwne rzeczy, niezgodne z pojęciami chrześcijańskimi.

Panna Salomea spojrziała z wyrzutem w oczy Zurakowskiej.

— Jak chcesz, droga kuzynko, jak chcesz. Nie chciałabym nadużywać twojej dobroci, — podjęła prędko zmieszana Zurakowska. — W klasztorze jesteś pewno potrzebną; wreszcie, gdzie ty, kuzyneczko ze swą anielską dobrocią i swą gotowością do poświęceń nie byłabyś potrzebną? — mówiła ze słodkim uśmiechem. — Otrzymałam tylko co wiadomość, że Czesiek chory, jadę więc do niego. Jutro pogadamy o twoim odjeździe. Do widzenia! — rzuciła, siadając do powozu.

Panna Salomea, dręczona wyrzutami sumienia, robiła sobie gorzkie wymówki, że nie umiała przewidzieć złego.

— Zada mi też za to dobrą pokutę przełożona. Wypełniłabym ją dwa razy większą, gdyby Ewcia była szczęśliwa, — myślała, wzdychając.

— Przyjedź do klasztoru i zostań z nami jakiś czas, to się wnet uspokoisz i o wszystkim zapomnisz, kochaneczko, — szepnęła Ewie na odjeździe.

Z Czesławem nie pożegnała się wcale.

---

## ROZDZIAŁ XXI.



ani Michalina uczuwała od kilku dni nierówne bicie serca. Chwilami porywała ją jakaś duszność, chwilami skrotnie tętniły.

— Co mi się stało? — pytała ze zdziwieniem, — stan nerwowy bez powodu.

Zdawało jej się, że czyta w twarzach Widzkich zakłopotanie, że na nią patrzą z jakimś wyrazem żalu w oczach. Usiłowała wmówić w siebie, że mają osobiste kłopoty, ale przeczucie jej mówiło, że tu o nią idzie.

— Może stało się co z Władziem? — pomyślała z trwogą.

Chciała zapytać i znów ją coś wstrzymało.

Gdy dziś przyszła, jak zwykle, oddać dzieiū dobry leżącej w łóżku Widzkiej, ta ją zatrzymała na dłużej.

Chciałabym coś paniusi powiedzieć, coś, co mi straszliwą przykrość sprawia, — rzekła Widzka.

Pani Michalinie serce uderzyło, jak młotem. Widzkiej słowa nie przechodziły przez usta. Po chwili milczenia zaczęła mówić o tem, że musi oddać Nelcię do Jazłowca, że teraz wymagają tyle od kobiet... że ona nad tem ogromnie boleje, że oddawna nosiła się z tą myślą i nie mogła jej wypowiedzieć.

Jąkała się, przepraszała i rozplakała się serdecznie.

Na twarzy pani Michaliny pojawiły się wypieki.

— Moja paniusiu droga, jakie to dla mnie bolesne nie umiem tego wyrazić — mówiła Widzka. — Ale ja muszę zrobić ofiarę dla dziecka. Teraz tyle wymagają od kobiet. My jednak się nie rozstaniemy. Pani zostanie w Hornicy, jako moja przyjaciółka, towarzyszką, bo będę się czuła taka samotna po odjeździe Nelci. Tereni ślub niezadługo. Nieprawdaż, że pani zostanie u nas? — mówiła już, rozpromieniając się, szczęśliwa, że znalazła wyjście z przykrej sytuacji.

Pani Michalina wypowiedziała parę zdań bez związku i z jakąś nienaturalną gotowością zgodziła się ze zdaniem Widzkiej, że dla Nelci potrzebne jest większe wykształcenie, aniżeli to, które ona jej dać mogła.

Na propozycję Widzkiej, żeby została w Hornicy, nie dała stanowczej odpowiedzi.

— Pomyślę, droga pani, poradzę się z bratem — mówiła. — Wszystko to spadło tak nagle.



Dzień cały chodziła, jak nieprzytomna, nie mogąc objąć całej doniosłości nieszczęścia, które na nią spadło.

Bolesna wieść, uderzając na jej mózg, sprawiała w pierwszej chwili tylko wrażenie otrzymanego ciosu. Później dopiero, zalewając jej komórki myślowe, wypełniła je dotkliwym, świadomym bólem.

Rozstać się z Nelcią? Z Hornicą?.. Iść z tego jasnego, miłego domu na poniewierkę, tułaczkę?.. Za co?.. Alboż nie służyła wiernie?.. nie była dość przywiązana?..

Nie mogła zebrać rozpierzchłych myśli, w których odcinało się wyraźnie jedno tylko zdanie i wybiegało co chwila na usta cichym szeptem:

— Wszystko to uderzyło, jak piorun!..

Widzki spóźnił się dziś. Przyjechał, gdy już domowi kończyli obiad. Spojrzawszy na zmienioną twarz pani Michaliny i na zapłakane oczy Widzkiej, wymówił się od jedzenia i, wypiwszy z chmurą na czole czarną kawę, wyniósł się do swego gabinetu.

Wieczorem Nelcia wpadła do sypialnego pokoju z głośnym łkaniem.

Pani Michalina, która przyszła, żeby ją do snu ułożyć poskoczyła ku niej przerażona, nie wiedząc co się stało.

— Pani odjeżdża? Mnie mają oddać na pensję!.. Powiedziała mi to Frania... Ja nie chcę!.. Nie

pojadę!.. nie puszczę pani!.. Nie puszczę!.. — mówiła, opasując rączkami szyję nauczycielki.

— Nelciu! Uspokój się, jeżeli mię kochasz. Mam ci coś powiedzieć.

Otarła łzy płynące gwałtownie z oczu dziecka, i posadziła je sobie na kolana.

— Słuchaj, najdroższe moje dziecko... Musisz się przecie uczyć, a ja tam przyjadę na pensję do ciebie — mówiła, nie wiedząc, jak pocieszyć Nelcię.

— Ja nie chcę pensyi!.. Ja nie pojadę!.. — powtarzała dziewczynka, zalewając się łzami. — Ja nie mogę bez pani!..

— Myślisz, że dla mnie nie jest bolesnem rozstanie się z tobą, moja dziecinko? Ale to dla twego pożytku. Będiesz miała dużo koleżanek i bardzo dobre nauczycielki.

— Ja je wszystkie nienawidzę!..

— No, to mnie nie kochasz, bo kto umie nienawidzić, ten nie umie kochać.

Dziewczynka przycisnęła się do niej mocno. Pani Michalina długo tuliła i pocieszała dziecko.

— Latem — mówiła, kołysząc ją na kolanach — gdy zakwitną drzewa, a wiewiórki będą miały małe, przywiozą cię do domu i ja przyjadę do Hornicy na całe... całutkie lato... Będziemy razem dłu...u...gie lato. Bo, widzisz, najgłówniejsze lato, można wszędzie chodzić, kąpać się, zbierać grzyby, a w zimie mało rozrywek. A tam, na pensyi tyle koleżanek... Różne gry urządzają, nawet małe

komedyjki grają, tańce. Ani się spostrzeżesz, jak przejdzie zima, nastąpi lato i znów razem będziemy.

— Ja nie mogę bez pani!...

Gdy wreszcie zmęczona łzami Nelcia usnęła, pani Michalina rozebrała się sama i położyła do łóżka, ale spać nie mogła.

Na podwórzu pod oknem pies pozostawiony na zimnie i słońcu, czekał jakimś wyzywającym głosem, który w ostatniej nucie rozpływał mu się w żalonym skomleniu, skarżącym się na psią dołą.

Myślała o wszystkim, co się stało w ciągu dnia i teraz dopiero w umyśle jej jasno zarysowała się czekająca ją smutna przyszłość. W Hornicy nie mogła pozostać, bo nie miała tu co robić. Kobiecej gospodarki Widzcy nie prowadzili, a dla zarządu domem wystarczała lada gospodyni, najęta za kilka rubli miesięcznie. Korzystać zaś z łaskawego chleba, nie miała prawa, a przytem rodzina potrzebowała jej pomocy. Nie mogła przecie pozwolić bratu, żeby się zabił pracą i zagryzł z powodu długów, podczas, gdy ona będzie się rozkoszowała beczynną egzystencją. Musi poszukać nowej posady i to jaknajprędzej, żeby skrócić nieprzyjemną sytuację Widzkich. Nelci prędsze zostanie oszczędzi łez i smutku.

O sobie już nie myślała, miała uczucie skażenka. Gdy rozpacz zaczynała szarpać jej serce, strofowała sama siebie za brak odwagi i panowania nad sobą.



Nazajutrz napisała do bratowej, donosząc o tem, że Nelcię odwożą za granicę do naukowego zakładu, co jest koniecznem dla dobra dziecka i prosząc, by poszła do znajomego biura nauczycielek i dowiedziała się, czy niema dla niej jakiej posady.

Szumaska osłupiała, przeczytawszy ten list. Na myśl jej nawet nie przyszło, żeby pani Michalina miała kiedykolwiek opuścić Hornicę, do której była tak przywiązana.

Rozgoryczenie jej nie miało granic.

— Postarzała, stała się ociężalszą, więc precz z nią!... Swoje wysłużyła... Dotąd była nieodzownie potrzebna!... Teraz już widocznie zbyt dużą się stała... A nuż zachoruje?... trzeba doglądać, leczyć, a może i swoim kosztem pochować. Próźniaki!... Egoiści!... O sobie tylko myślą! Dobrze im, to co dla nich ludzkie nieszczęście?... Biedna Michasia!... A po co było przywiązywać się tak do obcych?!...

I zaraz praktyczny rozum zaczął jej wyrzucać, że wzięła sporą sumkę pieniędzy od siostry męża i wydała w Ciechocinku.

— Niewiele to Jadwini pomogło, a tymczasem zrobiłam uszczerbek biednej Michasi. Dobrze, że choć Władzio o tem nie wie.

Szumski nie mniej był zdziwiony i zmartwiony listem pani Michaliny, który mu żona przeczytała, gdy powrócił wieczorem do domu. On, pomiędzy wierszami o wesołym brzmieniu czytał ból ukryty.

— Michasi nie trudno będzie o posadę. Trzeba jej znaleźć cokolwiek w Warszawie. Niech ma choć rodzinę blisko siebie, ta chyba nie zawiedzie — mówiła Szumska, przyrządzając herbatę.

Wieczór przeszedł smutno.

Po kolacyi Janek, usiadłszy obok matki, zajętej reperowaniem ubrania, zabrał się do lekcji.

Szumski miał wypracowania uczniów do poprawiania, ale czuł się zmęczony i wyczerpany. Usiadł więc w kącie kanapy i wziął na kolana Kubusia, którego bawiła Jadwinia, to chowając się za plecy ojca, to wychylając się z szeroko otwartymi oczyma.

Chłopczyzna śmiał się głośno.

Szumski był zamyślony. Prześladowało go łagodne, słodkie oblicze pani Michaliny, pełne tajonej troski.

I znów musi się przystosowywać do innych ludzi i znów kochajacem sercem doszukiwać się w nich dobra i piękna, — myślał z goryczą.

Nawet idealne szkło, przez które na świat patrzył, mówiło mu, że ludzkość dzieli się na używających i wyzyskiwanych i że ten tylko, kto umie wywalczyć sobie powodzenie ze szkodą bliźniego, będzie należał do wybranych.

Walczyć!... Bronić się!...

Czyż zawsze trzeba tylko bronić się, lub zmuszać innych do obrony?!...

Na dworze było burzliwie i ciemno. Wiatr toczył się po dachu, wpadał na strych i przesu-

nąwszy się po kilku schodach w dół, szarpał drzwiami prowadzącymi do mieszkania Szumskich.

Krople deszczu łopotały po szybie, niby skrzydła ptaków nocnych. Gwizd wichru wciąż się zwiększał... Nad sufitem odbywały się gonitwy, harce, to znów cichło i słychać było niby śpiew pogrzebowy, albo łkanie stłumione.

Nagle błyskawica rozdarła zbitą ciemność i na chwilę ukazała przez nieosłonięte okna dachy domów, osrebrzone kroplami deszczu.

Jadwinia krzyknęła przerażona, a Kubusь rozśmiał się, zabawiony jej przestraszem.

Głos dziecka brzęczał srebrną nutą przez kilka sekund. Wicher znów zawył przeciąglej... żałośniej... Kubusь przestał się śmiać i, podniósłszy oczy w górę, spojrział ku drzwiom, które, uchylone cokolwiek, pozwalały dojrzeć w przedpokoju zupełną ciemność.

Ponsowe usteczka dziecka rozciągnęły się w rozkoszny uśmiech. Przechylił główkę na ramię i chwilę patrzył przed siebie, wreszcie głośnym chichotem przypadł do ramienia ojca i znów, zwróciwszy się ku drzwiom, patrzył i uśmiechał się figlarnie.

— Co tam widzisz, Kubusiu? — rzekła Jadwinia.

— O!... pan Lichłowski!...

— Gdzie pan Rychłowski? — spytał zdziwiony Szumski.

— Ot... tam... w sparke patsy... — odrzekł Kubusь.



Oczka jego, podniesione trochę w górę, zaczęły się opuszczać powoli, jakby śledziły za czemś, co znikało ku dołowi.

Po pokoju przepłyneło lodowate tchnienie, przygnębiające w swej tajemniczej grozie.

I znów błyskawica, stłumiwszy blask lampy, przeszła widmowo po ścianach, oświetlając pobladłe z nieokreślonego jakiegoś strachu, twarze rodziny Szumskich.

Kubuś przestał się śmiać, zrobił minkę poważną, i nagle, utknąwszy nosek w pierś ojca cicho, bojaźliwie zapłakał.

Szumski oddał go żonie.

Zbliżył się do drzwi przedpokoju, otworzył je na rozcież i chwilę tak stał, utkwivszy oczy w pół oświetloną teraz przestrzeń, jakby na tle tego bladego światła chciał dojrzeć pożądanego gościa.

— Kubuś jest senny, rzekł, zamykając drzwi do przedpokoju — trzeba go spać ułożyć.

Szumaska zaniósła do łóżeczka chłopczynę; był cichy i rozplakany.

Jadwinia, cała drżąc ze strachu, zawieszała pędem okno, nie mogąc opuścić zepsutej rolety.

— Czy nic nie wiesz o Rychłowskim? — spytała cicho Szumska męża.

— Nie. Otrzymałem od niego tylko jeden list zaraz po jego wyjeździe z Warszawy.

— Czy był chory?

— Pisał, że czuje się zupełnie dobrze.

— Którego dziś mamy?

— Dziesiątego Września.

Szumski spojrział na zegarek, było dziesięć minut po ósmej.

Pani Michalina otrzymała wkrótce pomyślną wiadomość od bratowej, która donosiła, że ma dla niej posadę. Niejacy państwo Karnicy pragną ją mieć u siebie.

Sama pani będzie zmuszona wskutek choroby wyjechać za granicę, chciałaby więc mieć kogoś w domu, ktoby ją mógł zastąpić.

„Przyjeżdżaj tylko natychmiast, gdyż nie mogą długo czekać na nauczycielkę. Warunki będziesz miała takie same, jak u Widzkich, może tylko tu potrafią cię lepiej ocenić i lepiej ci się odwdzięczyć, niż w Hornicy“ — dodała w liście zgryźliwie Szumska.

Pani Michalina zaczęła przygotowywać się gorączkowo do wyjazdu.

W całym tym spokojnym, wesołym domu zapanował teraz zamęt. Nelcia kaprysiła, nie chciała nić jeść, Widzka płakała.

Terenia też chodziła zasepiona, ale z powodu Czesława, który zachorował przed kilku dniami i nie wyjeżdżał wcale z fabryki.

Widzki był zmartwiony i zły. Żał mu było pani Michaliny i czuł jakiś ciężar na sercu, jakby komu krzywdę wyrządził; irytował go Czesław.

Ten chory wiecznie na nerwy, napół senny przyszył zięć, obudzał w nim wstręt.

Próbował otworzyć oczy Tereni, ale ta tak

się rozpazmowała, że zaniechał wszelkich usiłowań w celu zerwania tego małżeństwa i, unikając domowych, zamykał się ciągle w swoim pokoju.

Nelcię całował i tulił przy spotkaniu, ale dziewczynka usuwała się od jego pieszczot.

W wigilię wyjazdu pani Michaliny, Lisia, która już znów wróciła do siostry, przyjechała z ranną wizytą do Hornicy.

Zabawiła parę godzin. Gdy miała już odjeżdżać, poszła pożegnać się z panią Michaliną.

W pokoju panował niezwykle chaos.

Kufer stał na środku, rzeczy przygotowane do pakowania, leżały na kanapie, na łóżku, a pani Michalina, z mocnymi wypiekami na twarzy, układała drobiazgi w worku podróznym.

— Może pani co pomódz? — spytała Lisia.

— Dziękuję pani uprzejmie. Sama wszystko zrobię... mam jeszcze dość czasu. Niech pani usiądzie. Proszę, tu jest miejsce wolne.

Lisia patrzyła na nią ze współczuciem, widząc, jak usiłowała powstrzymać drżenie rąk i nadać spokój rysom, by nie wydały rozpaczliwego bólu, szarpiącego jej sercem.

— Nie miała pani listu od panny Ewy? — spytała Lisi.

— Nic, ani słówka. Nie miałam nawet czasu nacieszyć się nią po powrocie. Nie wiem, co się stało, że Ewa tak nagle opuściła Zukówkę. Gdym ją pytała o powód, powiedziała, że zaszło jakieś



nieporozumienie z Zurakowską. Nędznem jest życie nauczycielki. Nigdy nie mieć własnego kąta!

— Zwykła to kolej istot bezdomnych — uśmiechnęła się smutnie pani Michalina. — Jedyną nagrodą jest spokojne sumienie i przeświadczenie, że się dobrze wypełniło swój obowiązek.

— Dla mnie byłaby to zbyt mała nagroda za pracę i serce — odrzekła młoda dziewczyna.

— Serce, panno Lisiu, gdy funkcjonuje, to świeci tak cudownym blaskiem, że potrafi rozjaśnić najciemniejsze chwile w życiu. Cóż więc może dorównać tej nagrodzie? — odrzekła pani Michalina i umilkła, czując podstępujące łyzy do oczu.

Nadejście Tereni przerwało rozmowę.

Nazajutrz dzień zeszedł na pakowaniu reszty rzeczy, na krótkich, urywanych rozmowach. Widzka z miną strapioną przynosiła coraz to jakiś podarunek, to dla pani Michaliny, to dla jej rodziny.

Nelcia chowała się do biblioteki, gdzie spędziła większą część dnia, stojąc u okna i patrząc rozszerzoną źrenicą na drzewa, drżące pod naciskiem chłodnego wiatru.

Dziecko przeżywało pierwszy, bolesny moment życiowy.

Jej blada, zmieniona twarzyczka mówiła wyraźnie o krzywdzie, która się jej działa. W serduszku miała smutek. Ogarniał ją też niemały strach przed tą zniechęconą pensją, sprawczynią całego nieszczęścia.

Walczyła teraz z sobą, czy ma oddać uko-

chaną Iskierkę Jadwini, swej rywalce do serca pani Michaliny, czy nie.

Ogromnie jej żal było wiewiórki. Przyniesiła ją, gdy miała zaledwie dni kilka; sama ją wykarmiła. Zwierzątko było tak oswojone, że wychodziło i wracało samo. Zabrałaby z sobą swoją Iskierkę... tam... na tę wstrętą pensję... I znów pragnęła zrobić przyjemność pani Michalinie, dając to śliczne zwierzątko jej ukochanej Jadwini.

O siódmej wieczorem miała pani Michalina jechać na kolej. Gdy więc wszystko było już gotowe, zawołała Nelcię i zamknęła się z nią w swoim pokoju.

Mówiła z dzieckiem spokojnie, bez łez.

— Ja stamtąd ucieknę, nie wytrzymam... Będę im takie rzeczy wyrabiała, że sami zechcą się mnie pozbyć — mówiła Nelcia, ściskając z zawziętością piąstkę.

— Jeżeli mnie rzeczywiście kochasz, to będziesz grzeczna i będziesz się dobrze uczyła, żebym chociaż tę pociechę miała, skoro musimy się rozstać. A ja do ciebie przyjadę, bodaj na jeden dzień.

— Kiedy?

— Nie wiem, dziecino, kiedy. Będę usiłowała przyjechać jaknajprędzej.

— Proszę to wziąć, to tatuś dał mi dla pani, — mówiła Nelcia, wyjmując z kieszonki od fartuszka trzy papierki sturublowe, o których dopiero teraz sobie przypomniała i wciskając je

w rękę pani Michaliny. — To będzie na drogę, gdy pani będzie mogła do mnie przyjechać... A odemnie proszę wziąć Iskierkę dla Jadwini — niech się z nią bawi.

Pani Michalina podniosła twarz dziecka i spojrzała w śliczne oczka z uśmiechem szczęścia.

— Pani się cieszy, że Jadwinią będzie miała Iskierkę? — spytała Nelcia zazdrośnie.

— Nie. Szczęśliwa jestem, że umiesz kochać. Co zaś do Iskierki, to jej nie wezmę, bo zmarnowałaby się w mieście. No... a teraz bądź zdrowa... Muszę już jechać!

Nie mogła powstrzymać łez, tuląc szlochające dziecko. Otarła łzy z twarzyczki Nelci i schowała chustkę za stanik.

— Nie wychodź za mną, Neluniu! Dziś wieczór bardzo zimny i burzliwy... Zostań w pokoju, bo się zaziębisz... Zapanuj też nad sobą, bo rodzicom będzie bardzo przykro, że tak płaczesz!

Do pokoju weszła Terenia.

— Tak mi będzie tęskno za panią — mówiła, całując ręce pani Michaliny, która przyciskała do piersi jej głowę, skrapiając ją łzami. — Ale pani przecie mnie będzie często odwiedzała. Po ślubie pozostaniemy w tej okolicy. Czesław przystąpi prawdopodobnie do spółki z Plińskim. Będziemy mieszkali w tym domu, wie pani, co to należał dawniej do rodziców Plińskiego. Ogromnie zrujnowany, ale Czesław kazał go odrestaurować.

Żałosny wyraz, z którym przed chwilą przy-



sza do pani Michaliny, już znikł z jej twarzy, oczy błyszczały ożywieniem.

Pani Michalina otarła prędko łzy.

— Czy dzień waszego ślubu już postanowiony?

— Nic jeszcze pewnego... Zanim się zrobi wyprawa... zanim dom się ukończy... Ale... pani najdroższa... Czy pani nie mogłaby mi kupić w Warszawie materyi zielonej ze złotą iskrą, podobnej do tej, którą miała na sobie Wańdzia Stalińska, pamięta pani... na imieninach w Koralówce?... Tamta miała cień jaśniejszy, wolałabym mieć ciemniejszy... kolor morskiej trawy ze złotą iskrą... Moja paniusiu złota, żeby tylko kolor był ładny... Oto próbka i pieniądze... Proszę tylko próbkę dobrze schować, żeby, broń Boże, nie zginęła... A będzie pani pamiętała, żeby od próbki był ciemniejszy?...

— Będę. Próbka też nie zginie. Schowam dobrze. Ale chciałabym wiedzieć o dniu twego ślubu, moje dziecko, żeby w ten dzień gorąco pomodlić się o wasze szczęście, — mówiła pani Michalina, czując, że jej łzy znowu napływają do oczu.

— Ja do pani napiszę koniecznie i zawiadomię o tym dniu. Żebym nie zapomniała przypadkiem, zaraz sobie to zanotuję w notesiku, który mam od Czesława. Proszę patrzeć jaki śliczny!... Na wierzchu jego fotografia. Dając mi go, powiedział, że siebie najpierw zanotował. A może pani przyjedzie na mój ślub. Ubrałaby mię pani sama,

bo nikt nie potrafi uczesać mnie tak do twarzy, jak pani.

Pani Michalina przestała płakać.

Łzy jej od oczu przeniosły się do serca i zaczęła je zalewać kroplami gorzycy.

— Tylko dlatego chciałabyś, żebym przyjechała? — spytała ze smutnym uśmiechem.

— Ależ nie!... Wcale nie dlatego!... My tak wszyscy panią kochamy!... — broniła się zawstydzona Terenia.

W sąsiednim pokoju rozległo się tupotanie nóg i głośna rozmowa. Słudzy wynosili rzeczy i układali je w powozie.

Pani Michalina zabrała swoją torbę podróżną i jeszcze raz obejrzała okiem stęsknionem kąty, w których pozostała część jej duszy.

W jadalnym pokoju spotkał ją Widzki.

— Nie mam słów na podziękowanie pani za wszystko, co pani zrobiła dla mojego domu i mojej rodziny, — rzekł, całując jej rękę. — Jesteśmy i zostaniemy, niestety, jej niewypłacalnymi dłużnikami.

— Nie może być mowy o długu. Dom pański pozostanie do końca mego życia w liczbie moich jasnych i szczęśliwych wspomnień.

Widzki ręką machnął.

— Źle się układają ludzkie sprawy i człowiek, chociaż to czuje, bezsilny jest wobec otaczających go warunków.

Widzka z płaczem ścisnęła ją i całowała.

— Całe szczęście — mówiła — że paniusia moja ukochana, dostała przynajmniej odrazu dobrą posadę.

— Jak ona nie rozumie — pomyślała pani Michalina — tego, co się w mojem sercu dzieje.— Nie rozumie, że ja ten dom kocham tak samo jak ona... i że nic mi nie może nagrodzić jego straty... Gdyby ona odjeżdżała na wieki z tego domu, nie miałyby chyba większego bólu w sercu, niż ja...

Poszła, żeby się pożegnać ze sługami.

Rzeczy już były wyniesione i upakowane w powozie. Pani Michalina spieszyła, żeby się nie spóźnić na pociąg.

Wszyscy wyszli na ganek, gdzie stała też służba, wśród której kobiety płakały.

Pani Michalina usiadła do powozu i, ledwie panując nad łzami, zalewającymi jej oczy, uśmiechem żegnała Widzkich.

— Paniusiu droga!... Morska trawa ze złotą iskrą... — szepnęła jej Terenia, podchodząc jeszcze do powozu, i całując rękę nauczycielki.

W otwartym lufciku ukazała się ciemna główka dziewczynki.

— Pani!... Pani!... — wołała rozpaczliwie Nelia, wyciągając ręce.

Widzcy podążyli spiesznie do dziecka.

Konie ruszyły.

Pani Michalina obejrzała się raz jeszcze na ten biały ukochany dom, z którego wicher losu wygnał ją strudzoną na nowe grudy życiowe i pa-



trzyła długo, długo, aż dopóki ostatni malutki błysk światła nie roztopił się w ciemnościach burzliwego wieczoru, w którym noc zapomniała pozapalać gwiazdy.

Wicher hulał i niósł z pobliskiego boru wyście i jęk... Chwilami nalatywał ze świstem na podróżnych, to znów zabiegał koniom drogę, potrząsał przydrożnymi drzewami i ginał, pełzając po ziemi.

Pani Michalina okryła głowę i twarz ogromną chustką, żeby do uszu furmana nie doleciał jej płacz i płakała długo łkaniem rozpaczliwym, bezsilnym, zaciskając konwulsyjnie ręce, zamierając w jęku tłumionym.

Cała rozpacz istoty, której życie nie miał już nigdy rozświetlić żaden promyk szczęścia, cała nędba kobiety bezdomnej, znalazła wyraz w tem bolesnem łkaniu.

Powoli cichła wyczerpana, bezsilna. Odkryła wreszcie twarz, otarła ostatnie łzy i z jakimś apatycznym spokojem, patrzyła w głąb ciemnego pustkowiecia ścielącej się drogi, która ją wiodła do nowego etapu życia.

## ROZDZIAŁ XXII.



kilka dni po przyjeździe pani Michaliny do Warszawy, Szumski wrócił do domu blady i zmieszany.

— Może niezdrów jesteś? — spytała go z niepokojem żona.

— Rychłowski umarł — odrzekł głuchym głosem, usiłując opanować swoje wzruszenie.

Szumaska zdreptała.

— Kiedy?

— Dziesiątego Września. Oto list od jego córki.

Przebiegła oczyma list Daszyńskiej.

„Ukochany ojciec mój, Adam Rychłowski, umarł dnia dziesiątego Września, o godzinie ósmej wieczorem. Przytłoczona ogromem bóleści, nie miałam w pierwszej chwili dość sił, żeby donieść o mojem nieszczęściu szanownemu panu, a zarazem przesłać mu słowa gorącej przyjaźni, z jaką mój ojciec pozostawał dla pana do końca życia. Umarł

po krótkich cierpieniach. Z rozmowy, którą z nim miałam przed jego śmiercią, zrozumiałam, że pragnął, by szanowny pan był i nadal szafarzem tej niewielkiej sumki, którą przeznaczał dla biednych za życia, o co też zanoszę do pana usilną prośbę.

„Wiem, że obowiązek ten, przyjęty przez pana w celu wsparcia najuboższych, przynosi Mu wiele kłopotu, ale ufam, że właśnie ten wielki cel nie pozwoli panu odmówić mej prośbie.

„Co kwartał prześlę pewną sumę Szanownemu panu, którą zechcesz dowolnie rozporządzić.

„Ptaki i zwierzęta poleciłam staremu słudze mego drogiego ojca pilnować do mego przyjazdu, który ma wkrótce nastąpić.

\* \* \*

Godziny leciały. Północ już dawno zapadła w nieskończoność, ale Omkiewicz o tem nie myślał... Zapomniał o całym świecie. W głębi mózgu coś mu żłobiło nowe światy...

Do opowiadań swoich dodawał tu i ówdzie nowy szczegół, zabarwiał niewyraźne kontury, cieniem nadawał życie... Wyobraźnią wywlekał bohaterów z powieści swoich i śledził każdy rys ich twarzy, każde poruszenie ich duszy. Przymykał oczy, by ich postacie odtworzyć w pamięci... Pytał je... badał... a oczy mu łzami zachodziły, gdy słuchał o ich niedoli...

Godziny leciały i nie czuł znużenia, ani głodu.



Gdy wreszcie pióro wypadło mu z ręki omdlałej, powstał, wyprostował się, z twarzy mu uleciała troska o dzień jutrzejszy, przygnębienie, bojaźń sądu ludzkiego. W jasnych smugach przybywającego dnia zarysowała się jego postać wysoka, chuda, o zapadłej piersi i natchnionych oczach.

Na lekko zaciśniętych ustach leżała surowa zaduma twórcy.

Oczy jego przesunęły się po szpaltach pism, krytykujących żółciowo jego powieść i zeszyły z nich obojętnie.

— Sąd Pigmejów nad spadkobiercą Prometeidy — szepnął wzgardliwie.

Wyteżoną myślą raz jeszcze obiegł światy dusz przez siebie stworzonych i nagle całą jego istotą zatargał cień uczucia, jakiego musiał doznać Stwórca, gdy się przekonał, że świat powołany na jego rozkazy do życia, nie był ani szczęśliwym, ani doskonałym!...

Dusze Omkiewicza były małe, ludzkie — pełzały... Ich wielkość była ziemską... Ich altruizm krążył koło własnej osi... Ich błyskawiczne istnienie drgało między dwiema nicościami... Ich pochod podobny był, zarówno, jak i pochod innych dusz, do małego, jasnego pasemka atomów, przecinającego czarną otchłań wieczności...

Pochód! Dokąd?

Nie wiedział.

Nie umiał wytknąć mu kresu i pełzał wokół

ziemskiej osi, po utartej kolei, bez skrzydeł... bez lotu!...

Zatargał nim beznadziejny smutek.

Dusza przedwcześnie zgasłego mistyka weszła w niego. Objął po nim dziedzictwo: nieugaszone pragnienie rozwiązania zagadki bytu...

Gdyby mógł myślą przedrzeć tę otchłań i silną wolą uderzyć w ciemń tajemnicy!... Skąd idzie dusza i dokąd dąży?! Czy w biegu się doskonali... Czy ma swój absolut... Czy jest tylko jednym tchnieniem jednej wielkiej, nieznanej piersi?...

A przed nim wstawało wspaniałe słońce, dające istnienie liczbie nieobjętej mózgiem ludzkim... Roilo się życie, nieobjęte ludzką myślą... A za turlającymi się chmurami drogą wytkniętą szły światy niezbadane!...

Oczyrna, przepalonymi gorączką, obejmował rozścielającą się przed nim naturę tajemniczą, wielką w swej przerażającej trwałości i myślą chciał sięgnąć... aż po kres myśli...

Sięgał bezowocnie!...

Wszystko się uśmiechało, cierpiało, powstawało i zapadało w nicość... czy głęb wiecznego życia... przytłoczone pieczęcią, na której wyryto znak zapytania...

## ROZDZIAŁ XXIII.



ósmej wieczorem Ewa przyjechała do Warszawy i kazała się zawieźć do schronienia dla nauczycielek.

Po krótkich formalnościach, młoda służąca wprowadziła ją do dużego pokoju, w którym stały trzy łóżka.

— Pani tu będzie mieszkała razem z dwiema paniami. Zaraz przyniosę herbatę.

Ewa obejrzała się. Pokój był duży, ciepły, wszędzie było czysto i łóżko wyglądało porządnie.

Podano jej herbatę i przekąskę.

Po chwili weszła panna Z. zarządzająca schronieniem. Nizkiego wzrostu, brunetka, nie pierwszej młodości, ale przystojna i miła.

— Czy pani czego nie braknie? — spytała Ewy i spojrzała jej badawczo w oczy.

— Dziękuję, mam wszystko — odrzekła apatycznie Ewa.

Zarządzająca obejrzała pościel, dotknęła ręką



imbryka z herbatą i przekonawszy się, że gorący, wyszła, życząc Ewie uprzejmie dobrej nocy.

Ewa nie mogła jeść, chociaż od rana nic w ustach nie miała. Myślała tylko o spoczynku.

Gdy była już w łóżku, do pokoju weszły dwie panie.

Naciągnęła kołdrę do pół twarzy i z pod przymrózonych powiek patrzyła na swe współlokatorki.

Jedna z nich, francuzka, mała, szczupła, nerwowa, z garbatym noskiem, ubrana w jasną, jedwabną bluzkę, weszła żywo, postukując wysokimi obcasami.

Spojrzała przelotnie na Ewę, która udawała, że śpi i podeszła do swego łóżka.

Zdjęła z niego poduszki, kołdrę i odrzuciła je na kanapę. Następnie wyjęła z eleganckiego kufra swoją własną pościel, ozdobioną koronkami i zasłała nią łóżko.

Kręciła się jeszcze jakiś czas po pokoju, zawijała włosy w papiloty, przecierała ręce i twarz kremem, gryzła cukierki. Rozebrała się, suknię powiesiła, a resztę ubrania rzuciła na krzesło obok stojące.

Wszystko na niej było wytworne, drogie, oszyte kosztownymi koronkami.

Weszła do łóżka, owineła się jedwabną kołdrą, dobytej z szufladki od szafki, stojącej przy łóżku, flakon z pachnącą wodą, skropiła nią siebie, łóżko, pościel, wreszcie położyła się i zaczęła czytać.

Niepiękna jej, trochę zwiędła, chociaż oryginalna, twarzyczka, była ożywiona, pewna siebie. Śmiała się z treści książki, która nie musiała być bardzo budująca, bo czytająca niekiedy poruszała figlarnie głową, niby z nagana.

Ewa przeniosła wzrok na drugą nauczycielkę. Ładna, ale nazbyt mizerna, nosiła na twarzy wyraz jakiegoś cichego poddania się.

W jej rysach wypisana była historia dwudziesto-kilkoletniej dziewczyny, będącej już od wielu lat nauczycielką, poświęcającej się, obarczonej rodzeństwem. Zdawała się być cała spowita spokojem istoty bez woli i energii, która płynie, nie rozumując, tam, gdzie ją fala losu niesie.

Odmówiwszy z przejęciem się pacierze, zaczęła się rozbierać.

Każdą część ubrania oglądała starannie, przyszyła jakąś haftkę, oczyściła plamkę ze stearyny na rękawie. Bielizna jej była czysta, ale bez ozdób i z grubego materiału.

Ewa długo zasnąć nie mogła.

Nazajutrz panna K., przełożona schronienia, wezwała ją do siebie.

Gdy Ewa przyszła, przełożona wyciągnęła do niej rękę z uprzejmym uśmiechem.

Była średniego wzrostu, dystygowana. Na siwych włosach, starannie ułożonych, spoczywał koronkowy czepeczek.

Zadała Ewie kilka pytań, na które ta odpowiedziała zimno, apatycznie.

— Możeby pani chciała mieć osobny kącik, chociażby chwilowo, zanim zjedzie do Warszawy więcej nauczycielek? Mamy mały pokoik, który obecnie nie jest zajęty.

— Wszystko mi jedno — odrzekła Ewa, ale oczy jej rozjaśniły się na myśl o pożądaney samotności.

Przeniesiono natychmiast rzeczy Ewy do naroznego pokoiku na pierwszym piętrze, które całe było przeznaczone dla przełożonej i nauczycielek „młodych“, to jest przebywających chwilowo w schronieniu i płacących dziennie niewielką kwotę za mieszkanie i pożywienie.

Starsze, emerytki mieściły się o jedno piętro wyżej. „Młodych“, pomiędzy którymi niejedna liczyła pół wieku życia, było obecnie kilkanaście w schronieniu. Ewa widywała je przy wspólnym obiedzie i herbacie, wiedziała, że nieraz przesiadają w jadalnej sali, gdzie było pianino, ale unikała z nimi bliższej znajomości i ciągle zamykała się w swoim pokoiku.

Niekiedy przychodziła do niej przełożona i rozmawiała z nią przez chwil kilka. Widziała, że młodą dziewczyną wstrząsa jakaś bolesna walka i pomimo, że Ewa patrzyła zimno i mówiła skapo, usiłowała ją rozgrzać ciepłem uściśnieniem, dobrotliwym uśmiechem.

Ewa nie chciała współczucia, litości. Pragnęła tylko, żeby ją zostawiono samą. Otrząsnęła się już z pierwszych uczuć gniewu, pogardy, nienawiści



i duszę jej zaczęła toczyć ogromna tęsknota za Czesławem.

W miarę, jak rosła ta tęsknota, rozczarowanie i upokorzenie traciły na sile, a chwile z nim spędzone, wypływały jako najjaśniejsze wspomnienie z bezbarwnego jej życia.

Czasem zdawało się jej, że to tylko chwilowa rozłąka, że niepodobna, by się znów nie zobaczyli. We śnie majaczyła o tem spotkaniu. Budziła się i upojona wyobraźnią, czuła na swoich ustach jego usta... czuła zapach wody rezedowej, którą skrapiał włosy i wąsy, pomieszany z zapachem wytwornego tytoniu... Budziła się zaróżowiona pocałunkami, wstrząsana pragnieniem miłości...

Skoro jednak świadomość wracała, wracał wstyd i przygnębienie, przeplatane ogromną tęsknotą za człowiekiem, wyrzekającym się jej dobrowolnie.

Na całym wielkim obszarze ziemi nie miała żadnej istoty, któraby o niej myślała z przywiązaniem, żadnego kąta rodzinnego, dokąd by mogła pobiedz myślą. Ciemna przyszłość unosiła się nad nią, przepowiadając, jak ptak złej wróżby, nieszczęścia.

Chwilami porywał ją jakiś strach przed tą przyszłością, przed tem osamotnieniem. Chciała pisać do Czesława, żeby przyjechał, chciała go pojąć na zawsze, chociażby za cenę upokorzeń, chociażby to miało złamać jego życie.

Co ją obchodziła Terenia?... Co ją świat

obchodził?... Byle go widzieć znów... byle go znów mieć dla siebie!

Duma i poczucie doznanej ogromnej krzywdy ratowały ją od tego kroku.

Instynkt jej przytem mówił, że on pomimo całej swej miłości do niej, poświęci ją dla swej przyszłości, że w swym strasliwym egoizmie weźmie jej życie, jako upiększenie, jako uzupełnienie własnego szczęścia.

Dzień przechodził jako tako. Ewa odbywała przechadzki, czytywała, poznała się ze znaną rzeźbiarką, która ją obznajmiała z lepieniem. Dopiero wieczorem, kiedy wszędzie gasły światła i wszystko cichło w Schronieniu, Ewę zaczynała szarpać strasliwa rozpacz i tęsknota.

Zapalała lampkę przed obrazkiem i w jakiejś gorączkowej ekstazie, oblana łzami, na kolanach błagała o zmiłowanie. Z natarczywą ufnością dziecka prosiła, żeby matka Boska zmieniła charakter Czesława, żeby wlała w niego siłę woli. „Zmień go — powtarzała — bo Ty wszystko możesz“... Przywoływała wyobraźnią Czesława do stóp matki Bożej i mówiła do niego szeptem łagodnie, a nakazująco.

Wstawała z kolan po parogodzinnej ekstazie, blada, wyczerpana i padała na łóżko, zasypiając natychmiast, ażeby się zbudzić za godzinę z poczuciem strasliwego moralnego udręczenia i z nową prośbą w sercu ku wyższej Sile, żeby ją ratowała.

Ewa schudła, zmieniła się. Samotność zaczy-

nała ją nużyć i gdy raz zarządzająca, którą bardzo lubiła, zaczęła ją namawiać, by pozostała po kolacyi w jadalnym pokoju, zgodziła się na to.

Usiadła w kąciku przy oknie i zaczęła nieznacznie przypatrywać się nauczycielkom.

Przy dużym stole jedna z emerytek, wesoła i sympatyczna Litwinka, utykająca na nogę, kładła paniom kabałę i plotła, co jej na myśl przyszło, śmiejąc się sama i śmiesząc towarzyszki. Opowiadała też o Litwie i o tem, że tam na wiosnę pojedzie, a oczy jej przytem błyszczały szczęściem.

Obok emerytki siedziała jedna z „młodych“, osoba już starsza, wysokiego wzrostu, dobrej tuszy, biała, różowa, dystygowana w każdym calu, ubrana ciemno, starannie, wysznurowana, uczesana tak, że żaden włoszek nie pozwolił sobie na fantazyę. W rękę trzymała niepokalanej czystości robótkę, która tylko co wyszła z koszyczka, wyłożonego białą bibułką.

Wyprostowana, pochylała nad robótką tylko głowę, z twarzy jej nie schodził wyraz uprzejmej, dystygowanej powagi.

Oparta łokciami o stół śmiała się z kabały młodziutka nauczycielka, zwracając się do wszystkich z wesołą gawędą, zadowolona z siebie i z całego świata, nie widząca nic dalej po za tem, co leżało przed jej zadartym nośkiem.

Młoda, dwudziestokilkoletnia panna z rudemi włosami i rozumnym wyrazem twarzy, podobna do



angielskiej miss, grała na pianinie, stojącem w kącie pokoju.

Gra to była cicha, niby prześliczne nucenie czy rozmowa z sobą, zamkniętej w sobie duszy. Niekiedy ginęła w niewyraźnym pasażu, jakby chciała zmylić słuch obecnych, zapowiadając koniec gry i znów snuła melodyę cichą, gotową pierzchnąć w każdej chwili.

Ewa lubiąca namiętnie muzykę, spojrzała parę razy z zachwytem w stronę pianina, co spostrzegłszy grająca, wstała i nie grała już więcej.

Do pokoju weszła jeszcze jedna z „młodych“. Średniego wzrostu, chuda, ubrana czarno, na szyi miała koronkowy szalik, przykrywający połafaldowaną skórę.

Witając się z jedną ze starszych emerytek, dygała nisko, po panieńsku, przysiadła do ziemi, całując jej ramię.

Chuda jej, posiatkowana zmarszczkami twarz, nosiła wyraz ciągłej uprzejmości. Zapewne i spała z tym wyrazem.

Zaczęła mówić po francusku, później rozpoczętą rozmowę ciągnęła po polsku. Usiadła przy stole i sztywna, z szydełkiem w ręku mówiła bez końca o różnych drobiazgowych kwestyach.

Żadne jej zdanie nie zatrzymywało się w uszach słuchaczy i po chwili niecierpliwiło, jak głośnie cykanie zegara, zawieszzonego w małym pokoju.

Zdawała się być uosobieniem zależności. Niewola myśli i czynu zakuła całą jej istotę w cha-

rakterystyczną cechę zależnych kobiet — w bezmyślną drobiazgowość.

Młoda panna przerzucała książki w szafie, szukając tam czegoś niecierpliwie.

Miała oczy niewinnego dziecka, a usta kobiety. Biały pikowy kołnierz marynarski czynił ją podobną do małej dziewczynki.

— Czego pani szuka, panno Wando? — spytała ją wymowna właścicielka szydełka.

— Nie znalazłam tego, czegom szukała, — odrzekła zapytana i przysiadłszy na taburecie około pianina, zagrała coś hucznego, nerwowego.

Ewa mimowoli zmarszczyła brwi.

— Nie podoba się pani moja muzyka, — spytała Wanda, podchodząc do Ewy.

— Nie. W muzyce lubię melodyę, któraby przemawiała do duszy.

— Zależy wszystko od rodzaju duszy. Kwestya więc jest w tem, jakiego rodzaju muzykę lubi pani.

— Może źle określiłam moją myśl, a więc powiem, że lubię w muzyce... muzykę...

— To też niedokładne określenie... Zapewne chce pani powiedzieć, że każdy szuka w muzyce dźwięku, któryby odpowiadał jego nastrojowi? Wreszcie każdy spór można prowadzić do nieskończoności ze względu na nieskończoną różnicę w poglądach ludzkich. Jaka tu nędzna biblioteka! Nic niema oprócz kilku powieści.

— A czego pani szukała?

— Czegoś, cobym musiała zgłębiać. Mam manię połykania książek najmniej dostępnych i badania dusz ludzkich najmniej podatnych do wiwisekcyi.

Ewa spojrzała w niewinne oczy dziewczyny.

— Oczy moje mówią co innego, nieprawdaż? Gdy pani mnie pozna bliżej, przekona się pani, że kłamia.

Odeszła od Ewy i stanęła przy stole, przysłuchując się kabale. Uśmiechała się do Litwinki uśmiechem dobrego dziecka.

Przybyło jeszcze kilka nauczycielek, parę emerytek zeszło z drugiego piętra.

Niewielki pokój przepełniony był kobietami, z których każda czuła inaczej, żyła innem, wewnętrznem życiem. Wszystkie wiązała wspólność losu.

Była to plejada światów oderwanych, błędnych, z których jedne błyszczały światłem nadziei, drugie wstrząsane wulkanem myśli i nerwów, zbaczały z wytkniętej kolei, szukając nowych dróg; inne wyziębione, zastygłe, szły apatycznie, kierowane ręką ogólnego porządku.

Ewa zaczynała się uspakajać. Coś jej mówiło, że jej modlitwy muszą być wysłuchane, że jakiś cud się stanie, który wszystko złe zmieni.

Dotychczas religia była dla niej rzeczą obojętną. Mówiła pacierze rano i wieczór, tak, jak ją nauczyła babka, obrządki spełniała apatycznie, nie rozumowała i w ogóle kwestye teologiczne nie zaj-



mowały jej wcale. Wierzono, nauczono ją wierzyć, więc wierzyła.

Teraz cała jej namiętna, rozbudzona natura, wcieliła się w ekstazę religijną.

Dla niej modlitwa nie była już cczą formą, była to jej przyszłość... jej szczęście. Ona nie miała nikogo na świecie, ktoby ją bronił, a tam... w nieskończoności jest ktoś, kto słucha i chętnie spieszy z pomocą... Taka pociągająca postać miłosierdzia!... Piękna, pełna miłości i pobłażania matka!...

W religijnej ekstazie Ewy tkwiło szalone pragnienie powrotu niezapomnianych chwil. Powtarzała wciąż: „Matko, daj mi szczęście!“ i w tym krzyku cała jej siła żywotna broniła swych praw młodości. Tego krzyku nie mogła skierować do Czesława, powstrzymywana dumą, zwracała się więc z nim do kogoś, przed kim nie potrzebowała się wstydzić i kto mocen był przyjść jej z pomocą.

Pod wpływem tej wiary rozpacz jej przybierała spokojniejszą formę.

Często przesiadywała teraz z towarzyszkami, od czasu do czasu niektóre z nich przychodziły do jej pokoju.

Najwięcej sympatyi czuła do Wandy. Zmienne, a niezwykle jej usposobienie, stanowiło pewną rozrywkę dla Ewy.

Wanda czasem mówiła bez końca, trzpiotała się, zadając najdziwaczniejsze pytania Ewie, usiłując zajrzeć do jej duszy, z uporem, z nerwową

zawziętością, podchwytną jej słowa, spojrzenia, siląc się z niej wydobyć myśli podstępem, swawolą, to znów posepniała i patrzyła przed siebie postarzałym wzrokiem.

Czasem rozmawiała z nauczycielkami ze słodką, pieścizotliwą minką, a za chwilę spozierała na całe otoczenie, jakby na rzeszę Paryasów.

— Czy pani sądzi — mówiła raz do Ewy, wskazując oczyma na zebrane grono nauczycielek, — że one myślą, rozumują? To stado kur!... Lada patyk moralisty zapędzi je do kurnika życiowego. Ciekawy byłby moment psychiczny, gdyby ktoś rzucił im słów parę: „Bierzcie od życia, co możecie, bo życie się nie powtarza!... Nie pozwalajcie się okłamywać tym, którzy sami używają!...“ Wyobrażam sobie, jaki popłoch powstałby między tą owczą rzeszą! Skupiłyby się wszystkie głowami do środka!...

Rozśmiała się dziecinnie, a oczy jej błysnęły szyderstwem i gniewem.

Niekiedy przybierała wyniosłą, dumną postawę, rysy jej tężały, odpychała stalowem spojrzeniem, to znów siedziała po parę godzin smutna, zwiędła, w sobie rozplakana, jak istota nieszczęściem zgnieciona.

Zawsze była inna wyrazem twarzy, a nawet rysami i Ewa nigdy nie wiedziała, kiedy jest sobą.

— Czy pani mię lubi? — spytała ją raz Wanda.

— Lubiałabym bardzo, gdybym była w innym usposobieniu, — przyznała się Ewa.

— A więc to chwilowe usposobienie jest przyczyną, że pani odemnie stroni, wówczas, gdy ja wręcz przeciwnie, pragnę tylko towarzystwa pani.

— Dlaczego?

— Bo pani jest niezwykle zagadką.

— A więc dla dokonania moralnej wiwisekcy?

— No... tak!... Dar obserwacyjny nie jest miłą rzeczą. To mężczy... Niech tylko chwilę spędzę w towarzystwie osoby, która mnie interesuje, zaraz muszę zbadać jej istotę, a później... tyle mię ona obchodzi, co kamyk przy drodze, bo ja ją mam w sobie i skoro zechcę, odtworzę, gdybym była jej sobowtórem.

— Dlaczego pani dotychczas nie może mię zbadać?

— Dlatego... dlatego, że pani nie ma jeszcze określonej indywidualności. Pani jest jeszcze fermentem, — odrzekła Wanda, przenikając Ewę do głębi swojemi dużemi oczyma. W oczach tych zamykała się cała jej młodość, gdy się pogłębiały ważniejszą myślą, znikał z jej twarzy naiwny wyraz i rysy stawały się starsze i ostrzejsze.

— A pani sama... czemże jest?

— Niedokładną istotą. Przedwczesnym płodem, zrodzonym o całe stulecie zawcześnie. Mam ojca i brata. Ojciec mój pracuje na małej dzierżawie i w pocie czoła zarabia sobie na chleb. Kocha mnie bardzo, ale myśli czasem biedak, żem opętana od złego ducha.



Rozśmiała się dziecinnym śmiechem, który powrócił młodość jej rysom.

— Nauczycielstwo nie jest mojem powołaniem. Ciekawa jestem, do jakiego zawodu ja się nadaję? — rzekła Wanda. — No... niech pani powie!

Ewa spojrzała na nią.

Była wątła, wysmukła, rysy miała delikatne, nos cienki, rasowy, czoło wypukłe, w ruchach wieczna kobiecość, dziedzictwo wieków. Pieszczotliwa, chytra, przebiegła, w rozumnych oczach miała szyderstwo, protest nieubłagany przeciw więzom — krzyk wolnej duszy.

— Jestem jakimś przejściowym tworem — mówiła Wanda. — Coś pośredniego między terażniejszą kobietą, a kobietą przyszłości, niby małpa Darwina... A ponieważ społeczeństwo nie ma przygotowanych stanowisk dla tych nowych okazów, więc... ucieram noski aniołkom ziemskim.

— Czemu pani nie poszła drogą naukową?

— Albo mię kto pytał, do czego mam usposobienie? Albo mię kto badał, czy się nadaję do belferki? Pracować na siebie musiałam, a wolałam być nauczycielką, niż szwaczką, albo telefonistką. Rodzice moi byli nie bogaci, a brat mój za wiele kosztował. Siedział po parę lat w każdej klasie, bez korepetytora nie mógł się obejść dnia jednego. Ja zaś pędem przeleciałam gimnazyum, czując całą krzywdę, którą nam wyrządzają, każąc marnować siedm lat szczęśliwego dziecinnego wieku na pozór tylko nauki.

Rysy Wandy zaostrzyły się, spochmurniały. Siadła na kanapie z nogami i przytuliła się do Ewy pieszczotliwie.

— Opowiem pani, w jaki sposób zdobywałam naukę. Brat mój, jak już powiedziałam, był ogromnie leniwy i tylko miał ochotę do zabaw. Rodzice od najmłodszych jego lat łamali sobie nad tem głowę, jak go pokierować. Badali jego usposobienie... do czego ma pociąg i t. d. Otóż zauważywszy, że bardzo chętnie wsadza na szpilki chrabąszcze i motyle i że zbiera tego całe kolekcye, wywnioskowali, że będzie znakomitym przyrodnikiem. A że mojemu bratu było wszystko jedno, jaki obrać sobie zawód, więc wstąpił na przyrodę. Byłam z tego ogromnie zadowolona, gdyż lubiłam tę naukę. Otóż noce spędzałam, ślęcząc nad jego książkami. Gdy powracał znudzony z uniwersytetu, najrozmaitszymi sposobami starałam się go zmusić, żeby mi powtórzył całą lekcję. Rozpytywałam go o najmniejszy szczegół, zapisywałam wszystko, co mówił, męczyłam go tak, że mię nieraz grubiańsko traktował. Znalazłam wreszcie na niego sposób.

— Jakiż to?

— Widzi pani, on nie miał nigdy pieniędzy, których ciągle potrzebował, a zarabiać nie chciał. Ojciec nasz był wówczas na nędznej posiadzie, więc byłam najbogatsza, bo przygotowywałam dzieciaki do gimnazyum i sumiennie pracowałam. Połowę zarobionych pieniędzy zawsze odemnie wypraszał, umyśliłam więc mu płacić za lekcye i to dziennie...

Ile godzin, tyle dwuzłotówek, a naprzód nic, ani grosza!... Raz prosił mię o rubla, nie dałam, więc mię wybił.

Rozśmiała się szczerze, jak podłotek i przytuliła się do Ewy.

— Później brat mi mówił, że mnie zawdzięcza ukończenie uniwersytetu, bom go zmuszała do myślenia, do zatrzymywania w mózgu tego, co byłoby się ulotniło w drodze z uniwersytetu do domu. Teraz jest człowiekiem samodzielnym... ma zapewnioną przyszłość, a ja czekam w schronieniu na jaką nędzną posadę. Ale zapomniałam powiedzieć pani, że miałam nawet starającego się, starego rejenta. Wyśmiałam go. Gniewał się o to na mnie mój ojciec, a szczególniej brat.

Wykrzywiła pogardliwie usta.

— Brat żałował, że nie wyszła za rejenta, bo ten był bogaty. A pani czy... kochała kiedy? — spytała Ewy półgłosem.

Ewa drgnęła, zacięła usta i milczała.

Wanda już wiedziała to, o czem chciała się dowiedzieć.

— Kochała... rozstała się z kimś, kto ją opuścił — pomyślała.

Wychodząc od Ewy, Wanda, żeby się dostać do swego pokoju, musiała przejść przez pokój służącej, gdzie siedziała kobieta z paromiesięcznym dzieckiem na ręku.

Zatrzymała się przed nią.



Przez chwilę patrzyła surowo na dziecko. Wyraz wstrętu osiadł na jej rysach.

— Pani lubi dzieci? — spytała Ewy, zbliżając się do niej.

Nie lubię. Taki mały, czerwony potwór narzucony przez naturę kobiecie, jest przyczyną jej bezsilności, poniżenia, nieszczęść — odrzekła twardo. — Jak ono cuchnie! — skrzywiła się. — Patrz pani, z jaką rozkoszą ta młoda samiczka wciąga w siebie ten cuchnący odór, — dodała, wskazując z jakimś dzikim szyderstwem na młodziutką nauczycielkę, która z lubością wpatrywała się w dziecko, przymilając się do niego. — Ta się poddaje z niewolniczą skwapliwością instynktom rozrodczym, narzuconym przez naturę, nie czując swojej krzywdy, nie rozumując... A we mnie każdy przymus, każdy gwałt budzi szalony wstręt i gwałtowną chęć oporu... A dziecko... to straszny gwałt zadany przez naturę kobiecie!..

Wyprostowała się tak, że aż się zwięzła, oczy przysłoniła zagadkowym wyrazem, usta wykrzywiła wstrętem i uniósłszy suknie, wyszła z pokoju.

Jedno z biur nauczycielskich zawiadomiło Schronienie, że jest dobra posada. Ewa, mówiąca doskonale po francuzku, i panna Duval, owa paryżanka, z którą Ewa mieszkała po przybyciu do Warszawy, miały pierwszeństwo.

W biurze jakaś piękna, wystrojona dama rozmawiała z panną Duval, która, przebywszy na

nowym obowiązku parę tygodni, wróciła znów do Schronienia przed kilku dniami.

— Więc jakież są pani ostateczne warunki? — pytała wystrojona dama panny Duval.

— Sześćset rubli i dwa tygodnie wakacyi, od tych warunków nie odstąpię, — zaświegotała francuzka.

— Na pięćset jestem zdecydowana, ale sześćset to nazbyt wygórowana cena.

— Brałam sześćset piędziesiąt.

— Może się pani zechce porozumieć z panią — zwróciła uwagę wystrojonej damy właścicielka biura na przybyłą Ewę. — Pani właśnie włada doskonale językiem francuzkim.

Oczy damy błysnęły radością.

Mogła dostać nauczycielkę z dobrą francuzczyzną i za niższą cenę, bo przecie polka nie mogła wymagać tych samych warunków co cudzoziemka.

Zaczęła z Ewą rozmawiać po francuzku.

Przysłuchiwała się ze skupieniem jej akcentowi, ale widocznie akcent panny Duval, która siedziała z miną pewną siebie, wywarł na nią lepsze wrażenie, bo, pomyślawszy trochę, znów się zwróciła do francuzki.

— Jutro dam pani odpowiedź, — rzekła.

Ewa wróciła z niczem do Schronienia.

— To tak zawsze, — mówiła do niej, wyciekająca oddawna posady jedna z nauczycielek, osoba średnich lat, która przyszła do jej pokoju, żeby

się dowiedzieć o rezultacie wizyty w biurze. — Z cudzoziemkami my nie możemy rywalizować; one są zawsze zapotrzebowane, a my musimy to brać, czem one gardzą. Nasza ojczyzna jest dla nich matką, a dla nas macochą. Jestem z powołania nauczycielką... i z zapałem pracuję na tem polu, ale przyznam, że to zawód ciężki; z tego powodu, że trzeba całe życie wędrować z domu do domu. A kobieta tak się przywiązuje do domu, choćby nawet cudzego... Po dłuższym czasie zdaje się jej, że to jej własny kąt... I nigdy się nie wie, dokąd los prowadzi i jakie spotka warunki. W niektórych domach nauczycielki są uważane, jako przyjaciółki, gdzieindziej spychają je do roli służ... Czasem rok, dwa, śpi się w wygodnem łóżku, to znów na twardej kanapie. W bogatszych domach warunki życia są lepsze, pożywienie wykwintniejsze, po roku lub po dwóch trzeba się z tem rozstać i gdzieindziej jadać na tłuszczu... Ale najgorsze jest to rozstawanie się z ludźmi, do których się przywiązało, z uczniami i uczennicami, które się kocha... Bo ja kocham ogromnie te dzieci, z którymi ciągle przebywam!.. A to wieczne przenoszenie swego bagażu z miejsca na miejsce!.. Za młodu to się idzie z odwagą, z wiarą w przyszłość, z sercem zdolnem do poświęceń... Ale stopniowo wszystko zawiedzie, wszystko ominie, zostanie tylko obowiązek i to bardzo ciężki obowiązek!..

— Cudzoziemkom lepiej. Dla nich wszystko



jest obojętne, oprócz korzyści materialnych, a te wyzyskać umieją.

— O to prawda!.. Naprzykład ta panna Duval oceniła swój akcent paryski na pięćdziesiąt rubli miesięcznie. Niejeden urzędnik za ciężką pracę nie bierze tyle. Gdyby i więcej zacięła za swoją paplaninę, toby jej dali. Francuzki nie pytają, czy co umie. Niektóre z nich są tak ograniczone i takie pytania zadają z dziedziny wiedzy, że u nas uczennica drugiej klasy wstydziłaby się takiego nieuctwa. Ale naszych pań to nie zraża. Byle akcent był paryski!

— Francuzki w ogóle mało się uczą — rzekła Ewa. — Z ich uniwersytetu kobiecego przeważnie korzystają cudzoziemki. A ten proletaryat, który do nas przyjeżdża, to wprost analfabetyczny.

Rozmowę tę przerwało niezwykle zamieszanie w sali jadalnej, gdzie już podawano obiad.

Grono nauczycielek otoczyło jakąś niemłodą osobę, siedzącą przy stole. Jedna z nich podtrzymała jej głowę, inne usiłowały przywieść ją do przytomności.

— Kto to jest ta pani? — spytała Ewa jednej z emerytek.

— To nauczycielka. Niemłoda już, nie ma posady, nikt jej nie przyjmuje. Dwadzieścia kilka lat pracowała, a teraz nie ma gdzie się podziać, — mówiła rozżalona emerytka, nacierając omdlałej skronie zimną wodą. — Z Mokotowa chodzi tu na obiad... Przełożona darmo ją żywi... Ale czy to

w takim wieku można odbywać podobne kursa na czczo?! Przyszło to biedactwo i nie zdążyło przełknąć łyżki strawy!..

Ewa spojrzała na twarz zemdlonej.

Wyraz jakiejś słodkiej rezygnacji rozlany był na wydłużonych cierpieniem rysach. Usta miała trochę wykrzywione, jakby się wstrzymywała od płaczu.

— Zdaje mi się, że już przychodzi do siebie.

Ocknęła się z omdlenia i patrzyła dokoła łagodnym wzrokiem, usiłując powstrzymać nerwowe drżenie ciała.

— Czy pani już lepiej? — pytała emerytka, przysuwając jej talerz z rosółem.

— Lepiej... dziękuję... Jestem tylko bardzo zmęczona...

Nauczycielki zrobiły małą składkę dla niej na tramwaye.

Ewę zmęczyło życie w Schronieniu.

To mnóstwo cierpień utajonych pod maską spokoju, ta cała falanga kobiet, wczorajszych ba-widełek, mebli, aniołów, szatanów dzieci, wygnanych ekonomicznymi warunkami na bruk życiowy, gorączkowo wyczekujących zarobku na chleb, przrzucanych z kąta w kąt aby, gdy nadejdzie starość, mdleć z głodu i zmęczenia, działała gnębiąco na usposobienie Ewy.

Pragnęła uciekać stąd... Z tych okolic... Z kraju nawet... Byle dalej!..

Tymczasem Schronienie wypełniało się. Co-

dziennie ktoś przybywał, nawet w pokoiku Ewy postawiono kanapę, na której spała jakaś młoda panienka, wątła, kaszląca.

— Przykro mi, że muszę pani dać towarzyszkę — mówiła do niej przełożona. — Ale jestto chwila, w której dużo zjeżdża do nas nauczycielek. Wiem, że wolałabyś samotność, ale to może lepiej będzie, moje dziecko, gdy zechcesz więcej z innymi przebywać. Osobiste cierpienie błędnie w obec cierpień ogółu, — dodała, całując Ewę.

Rekomendacyjne biuro przysłało wreszcie Ewie adres jednej pani, poszukującej nauczycielki polki. Warunki były niezłe i chociaż miejsce było w głębokiej Rosyi, Ewa je przyjęła.

Wracając po zawarciu umowy, spotkała się z panią Michaliną tuż obok Schronienia.

Serce Ewy zabiło, jak młotem.

Z widokiem pani Michaliny wpłynęły w nią wspomnienia: ścieżka wiodąca do pawilonu... błysk lampy z po za zieloności, jak błysk spadającej gwiazdy... i noce, pełne czaru życia... Czuła ciepło tej nocy... zapach... Ożyło w niej wstrząsające ją wówczas uczucie...

— Pani jeszcze w Warszawie, panno Ewo? Myślałam że pani już ma posadę.

— Dziś właśnie otrzymałam i za parę dni wyjeżdżam. Jakże się pani powodzi?

— Miejsce mam... Zdaje mi się, że mi tam będzie... dobrze. Tęskno mi tylko do Hornicy. Obiecałam przyjechać na wesele Tereni, które ma się



odbyć przed adwentem jeszcze, ale chyba nie będą mogła. My nie mamy prawa, kierować się osobistym pragnieniem... Ale muszę już panią pożegnać, bo takie chmury nadciągają i deszcz zaczyna kropić.

Pani Michalina nie podejrzewała, że swem oznajmieniem o weselu Tereni podniosła straszną burzę w duszy Ewy. Po jej wyjeździe z Hornicy zaczęły dopiero krążyć różne historye o Ewie. Opowiadano o samotnem jej przesiadywaniu wieczorami z Czesławem, o nocnych jej wizytach w pawilonie, szydzono, utyskiwano na brak moralnych nauczycielek.

Nawet do Widzkiego doszły te gawędy.

— I ty go bierzesz po tem wszystkim? — spytał córki.

Terenia nic nie odpowiedziała, tylko spuściła głowę całą we łzach i rumieńcach.

— No... To chyba ja was, kobiet, nie rozumiem wcale!.. — odrzekł oburzony.

Odtąd traktował przyszłego zięcia zimno i z lekceważeniem, protestując całym swem zachowaniem przeciw małżeństwu córki.

Ale pani Michalina nic o tem nie wiedziała. W jej mniemaniu Czesław był jedynie rozmiłowany w Tereni, Widzcy sprzyjali przyszłemu zięciowi, a sąsiedztwo nie posiadało się z radości na widok szczęścia młodej pary.

Ewa, pożegnawszy panią Michalinę, weszła do schronienia. W jej pokoju nie było nikogo.

Stała u okna i patrzyła jak deszcz ulewny

smagał szyby. Burza unosiła po ulicy pył wodny i zdawało się, że chmury spływają na ziemię, niby zwoje ciemno srebrnej gazy, przepasywanej niekiedy złotą wstęgą — błyskawicą.

W miarę jak szalała nawałnica, szalała też dusza Ewy, jak gdyby nadmiar boleści znalazł ujście w gwałtownie wezbranym gniewie i nienawiści. Splotła się cała z szalejącą za oknem burzą, wstrząsana jednym, ogromnym pragnieniem, żeby cały ten świat, w którym ona zabłąkała się samotna, zapomniana, pochłonał wraz z nią niezmierny ocean fali.

— Pani się burzy nie boi?... Usłyszała tuż około ucha głos Wandy. — Tej burzy dla pani zamało, nieprawdaż?... Pani pragnęłaby, ja to czytam w oczach pani, żeby obszary wód występowały z brzegów i chwytaly się za bary z obłokami... żeby w ryku rozkiełzanych fal grała piekielna orkiestra walących się gmachów... przekleństw, jęków ciał walczących w konwulsjach zagłady... W szaleństwie chaosu utopić piekielny chaos własnej duszy... A potem spocząć w obezwładnieniu, podobnym do nirwany... I już nic... nic... tylko bezmiar toni wodnej... tylko bezkres łagodnych turkusowych niebios... i... ogrom ciszy, w której drgałoby nowe słowo tworzenia...

Głos jej przeszedł w szept niemal tragiczny. Później zmiażdżony, cichły i ostatnie słowa rozplynęły się w westchnieniu.

Głosem wymodulowała grozę zniszczenia i łagodny świt nowego życia.

W oczach miała histeryczną ekstazę; rysy steżały w zachwycie.

Ewa uczuła wstręt do tej młodej dziewczyny. Skryta jej i zamknięta w sobie natura zaprotestowała przeciw sekcyi swoich tajemnych pragnień.

— Jednego tylko pani nie zgadła... Śród tego chaosu zagłady nie pragnęłabym wcale słyszeć głosu ludzkiego, odrzekła szorstko.

Twarz Wandy przybrała zwykły wyraz.

— Pani się na mnie gniewa?... Ja wiem, że źle zrobiłam... Z oczu pochwycałam dziś istotę pani. Jaka tam była straszna burza!... Jaka żądza zniszczenia!... Ach, jakbym ja to umiała odtworzyć gestem... wyrazić słowami!... Ale pani już się na mnie nie gniewa? — dodała, mrużąc błagalnie swoje oczy niewinnego dziecka.

Ewa zaczęła przygotowywać się do odjazdu.

Porządkując swe drobiazgi, znalazła fotografię Lisi. Spojrzawszy na ożywioną twarzyczkę, patrzącą na nią szczeremi oczyma, przypomniała sobie ostatnie z nią pożegnanie.

Gdy miała już wsiadać do wagonu, Lisia ścisnęła jej rękę i zaczęła szeptać: „Pamiętaj, że we mnie i w panu Michale, za którego ręczę, masz przyjaciół do grobu... Nie zważaj na to, że mam wiecznie rozwichrzoną głowę i że jestem mała. Serce mam duże i co raz ukocham, to na zawsze!“

— Jedyna istota, która ma dla mnie przyjaciół.



Ale życie nas rozdzieli i kto wie, czy się kiedy spotkamy nawet, — pomyślała z goryczą Ewa.

Wanda przysłała jej pomagać pakować rzeczy, ale przełożywszy parę przedmiotów z miejsca na miejsce, usiadła na kanapie z podwiniętymi nogami.

Wyglądała mizernie i była smutna.

Rozmawiała z Ewą o jej podróży, o tem, czy na nowej posadzie będzie znośnie, później zamilkła i po chwili zaczęła z cicha deklamować: „Smutno mi, Boże!“

Ręce trzymała splecione na kolanach, a oczy, pełne spokojnego poddania się, utkwiała przed siebie.

Słowa dźwięczały w jej ustach, jak przepiękny akord beznadziejnego smutku i rezygnacji.

Ewie się zdało, że dźwięki te wpływają w nią cicho... echowo... Potężnieją, rozlewają się i naraz uczuła, że w duszy jej gra cała orkiestra smutku... że każdy nerw jej dźwięczy: „Smutno mi!“

Usiłowała zatrzymać łzy cisnące się jej gwałtownie do oczu. Za żadną cenę nie chciała wypowiedzieć swoich cierpień przed obcą.

Spojrzała na Wandę i spotkała się z jej badawczym wzrokiem.

— Panno Wando! Kiedy pani jest sobą? — uśmiechnęła się robionym uśmiechem.

— Ja zawsze jestem sobą — odrzekła Wanda — a zarazem „kimś“. Moje „ja“ jest zupełnie przeźroczyste, łatwo w nie wsiąkają wszelkie wrażenia.

— Z pani byłaby znakomita artystka dramatyczna.

— Może. Teraz jestem sobie takim... żywym fonografem — rzekła wesoło.

Serce Ewy zmiękło, gdy się zegnała z przełożoną. Przyłgnęła ustami do jej ręki, dziękując bez słów.

Z zarządzającą uściśniły się serdecznie.

— Pani zawsze była taka uprzejma dla mnie, pomimo tego, że mogłabym zrazić każdego swoją opryskliwością i brakiem humoru.

— Tym, co tu przyjeżdżają, życie daje się we znaki, bo Schronienie nie mieści wybrańców losu, muszą więc chociaż znaleźć tu przynajmniej współczucie i wyrozumiałość, — odrzekła zarządzająca.

Wanda odprowadziła Ewę na kolej.

— Ja też odjeżdżam za parę dni. Otrzymałam posadę. Będę sprawowała obowiązki czasem bony, czasem nauczycielki przy dwóch malcach.

— Pani, jako nauczycielka przy małych dzieciach, — zdziwiła się Ewa.

— Lepszej posady nie znajdę, bo źle znam języki.

— Ależ to niemożliwe! Pani zatraci samą siebie w tych warunkach. Pani miejsce jest na scenie. Pani podniesie sztukę...

— Zanimbym się tam dostała, umarłabym chyba z głodu. Wreszcie mam już dwadzieścia parę lat, a więc może zapóźno! No... trudno... nie otrzy-

małam na tej ziemi stosownej instalacji... a więc może na innym świecie ulokują mię lepiej.

— A jeżeli i na innym świecie dusza kobieca jest upudrowana i zakuta w gorset? — dodała, oświetlając nagle swe oczy dziecięcym uśmiechem.

— Do widzenia panno Ewo! Czy spotkamy się kiedy?!

Naprzeciw Ewy zaczął biedz las zbity w masę, aż czarny... Na chwilę rozwinął się przed oczyma, mieniając się złoto-zieloną farbą smukłych, garbanych, niebosiężnych i karłowatych drzew — i znikł. Dopędzało go pole szerokie, smutne z szczerniałem ścierniskiem... Na sekundę uderzyły krwawe promienie dogasającego słońca i uciekły, rozścielając na jedno mgnienie różaną jasność, którą ścigał już kurz przydrożny, zmieszany z dymem lokomotywy.

Tak mknie życie moje!... — pomyślała Ewa.— Po lepsze, czy po gorsze?...

— A co, jeżeli i na innych światach dusza kobieca upudrowana jest i zakuta w gorset, — zachichotało coś w zgrzycie kół maszynowych.



## ROZDZIAŁ XXIV.



zy pani dziś lepiej?

— Oj, nie! Czuję jakąś duszność w piersiach i osłabienie, że ruszyć się nie mogę i do snu mnie bez ustanku ciągnie.

Pani Michalina obejrzała się dokoła nędznego otoczenia.

— Przyniosłam pani trochę bulionu, ale dziś takie zimno, że mi wystygł w drodze. Nie wiem, gdzie jest maszynka... Już ją mam!...

Zapaliła maszynkę, postawiła na niej garnuszek z rosółem i zbliżyła się do łóżka, na którem leżała chora Ciechońska.

Stara pinczerka zwinięta u nóg chorej zawarzała i wyszczerzyła zęby.

— Cicho, Mietka!... Wiesz, że twej pani nic złego nie zrobię, — mówiła pani Michalina, gładząc pinczerkę. — Trzeba wstać na chwilę, muszę pościel zmienić, — zwróciła się do Ciechońskiej.

Pomogła chorej podnieść się z łóżka, okryła ją ciepłą chustką i posadziła przy stole.

— Zaraz podam bulion.

Ciechońska była przerażająco mizerna, szeroka jej, koścista, wychudzona postać zdawała się chrzęścić w zbyt luźnym ubraniu.

Na twarzy miała gorzki wyraz, walczący ze słodkim uśmiechem, wyłobionym latami zależności.

Spojrzała z niepokojem na leżącą na stole paczkę.

— Mam, mam mięso i kości dla Mietki, — rzekła pani Michalina, zrozumiawszy jej spojrzenie.

— Głodna... Od wczoraj nic nie jadła... Nie miałam co dać... A mnie jej więcej żal, niż siebie... Ośm lat już z nią się nie rozstaję. Zawsze lubiłam psy, ale jako nauczycielka nie mogłam ich trzymać. Z Mietką bawiły się dzieci Moszyńskiej, dla których była kupiona. W ciągu czterech lat, które spędziłam, jako nauczycielka w ich domu, psina przywiązała się do mnie... Później mi ją darowali, a Lembiczowa, u której byłam ostatni rok, pozwoliła mi ją trzymać przy sobie. Teraz od trzech lat wlecze biedę ze mną... w suterenie i głośno nieraz...

Wzięła pinczerkę na kolana, okryła ją chustką, objęła filiżankę z bulionem obiema rękami i grzała je, sine, zmartwiałe, pijąc od czasu do czasu chciwie gorący napój.

Głos jej brzmiał, jak rozbity garnek, oczy były zagasłe i patrzyły ponuro.

— Jakże pani na nowem miejscu? — Spytała pani Michaliny, porządkującej pościel. — Tęskno za wsią?

— Oj, co tęskno, to tęskno... Ale posadę mam niezłą.

— Wypędzili, gdy się im pani stała niepotrzebna, — podjęła znów z goryczą Ciechońska.

— Niepodobna, droga pani, żeby rodzice przyjmowali na siebie zobowiązanie nierozstawania się nigdy z nauczycielkami, wychowującemi ich dzieci. Teraz już się trochę oswoiłam, ale zaraz po przybyciu do Warszawy, myślałam, że umrę z tęsknoty.

— Warci oni tego! Co dla nich nauczycielka! kobiety, które siedzą spokojnie w swych gniazdach, nie pomyślą nawet o tem, co się w naszych duszach dzieje. Każdy ich ruch mówi: „Patrz!... Ja tu królowa, a ty mój podnózek, nie mający prawa podnieść słomki w moim domu bez mego pozwolenia!“ O ja to znam! Nałykałam się tego w ciągu życia!... I po tylu latach męczarni, ot taka wilgotna jama!

Powiodła okiem po poplamionych ścianach pokoju.

— Niema więc żadnej nadziei, żeby mnie przyjęli do Schronienia nauczycielek? — spytała znów.

— Niestety, żadnej! — odrzekła ze smutkiem pani Michalina. — Przełożona pokazywała mi mnóstwo listów od nieszczęśliwych nauczycielek, nie mogących pracować, które błagają o przytułek.



Miała łzy w oczach, gdy mówiła o tem. Schronienie posiada około czterdzieści emerytek, a i te żyją z ofiarności.

— Z ofiarności! — powtórzyła z gorzką ironią Ciechońska. — Ci, co najwięcej pracują, muszą na starość żyć z ofiarności i czuć się szczęśliwymi, gdy ich ta ofiarność nie ominie. Oddaj społeczeństwu każdą godzinę życia, swoją wolę, słowo, myśl nawet, stań się tułaczem, młodość spędź na żmudnej pracy, a ono ci nie da nawet na starość kąta, w którymby można było umrzeć spokojnie.

Łza zakręciła się w jej zagasłym oku i zaszklona się na chwilę blaskiem matowym.

Pani Michalina dołała bulionu do filiżanki.

— Trzydzieści kilka emerytek na kraj, gdzie są miliony ludności. A gdzież wypocznie po latach trudu reszta, licząca tysiące pracownic? Czy to powinno być jedno Schronienie? Gdyby rodzice ofiarowali od chwili urodzenia dziecka tylko parę kopiejek rocznie na przyszły kąt dla nauczycielek, nie byłoby tyle bezdomnych tułaczek. Ale czyż o tem myślą te matki, którym nauczycielki ujmują ciężaru z ramion, ucząc i doglądając ich dzieci. Co to je obchodzi, że wyręczycielki ich nie spoczna, aż do śmierci?...

Napiła się bulionu i znów mówiła, jakby gorczy, lejąca się z jej słów, przynosiła ulgę zbolętemu sercu.

— Powiadają, że nauczycielki powinny myśleć same o przyszłości i odkładać na czarną godzinę.

Nie wiem tylko, z czego? Otrzymują płacę przeważnie od 15 do 25 rubli miesięcznie. Trzeba się ubrać przyzwoicie, trzeba pomódz biednej rodzinie, bo panienki nie idą z bogatych domów na guwernerkę. A jeżeli się zaoszczędzi jaki grosz, to zawsze coś się z niego wyda na życie, zanim po stracie pierwszej posady otrzyma się drugą. Ja też uciulałam cokolwiek grosza, chociaż trochę pomagałam starej ciotce, która mię wychowała, ale od trzech lat już się tułam... bo starych nie chcą brać na nauczycielki... Suterena, choćby najwilgotniejsza, kosztuje. A pożywienie? Czy pani mówiła przełożonej o mojej nędzy?

— Mówiłam. Przełożona była bardzo wzruszona niedolą pani. Ale podobno dużo jest takich nieszczęśliwych. Przytem jest jedna jeszcze przeszkoda w przyjęciu pani do Schronienia. Pani nie ma sześćdziesięciu lat.

— Tak?... Tylko mam pięćdziesiąt dziewięć, — rozśmiała się głosem ochrypłym Ciechońska i czterdzieści lat byłam nauczycielką. Czy ci, którzy pisali tę mądrą ustawę, pomyśleli o tem, jak długo nauczycielka musi ciężko pracować, zanim dojdzie do lat sześćdziesięciu? Dziewczęta wcześniej zaczynają zawód nauczycielki, zaraz po skończeniu pensyi. Czterdzieści lat tułaczkii, niewoli, pracy i jeszcze się nie wysłużyłam społeczeństwu i jeszcze mi brak lat!...

Siedziała przez chwilę, trzęsąc nerwowo głową i wpatrując się w nikły płomyk lampy.

Słaby rumieniec wybiegł na jej policzki.

— Zmęczyłam się i tak mi się spać chce, — szepnęła i słodki, przymuszony uśmiech siłą przyzwyczajenia zarysował się na jej ustach i znikł zaraz, spędzony śmiertelnem znużeniem.

Pani Michalina podprowadziła ją do łóżka, rozebrała prawie zupełnie bezwładną, okryła kołdrą, położyła u jej nóg Mietkę, a następnie, gdy się uskarżała na zimno, otuliła jej nogi ubraniem, które z niej zdjęła.

— Przyniosę jutro coś cieplejszego, — rzekła.

Było już po szóstej wieczorem, musiała odejść i z troską myślała, że chora pozostanie sama bez opieki, bez usługi.

Wychodząc, przymknęła dobrze drzwi, nie myśląc o zamykaniu ich na klucz, gdyż nędza panująca w pokoju chorej, nie lękała się złodziei. Wsunęła czterdziestówkę w rękę stróżki, prosząc ją, żeby zajrzała do chorej, dołała nafty do lampy, gdy się ta wypali.

— Niema nikogo — biedaczka — dodała — a na utrzymanie usługi jej nie stać.

— Ja, proszę pani, ciągle do niej zaglądam w ciągu dnia, a gdy mój śpi i ja bramę otwieram, to i w nocy zajrzę. To przecie blisko i żal mi jej i grzechby było zostawić — odrzekła stróżka.

Nie minęło pół godziny, jak pani Michalina dzwoniła już u drzwi ładnego, parterowego mieszkania.

Otworzyła jej służąca.



— Kto tam? — spytał ostry głos z salonu.

— Nauczycielka, proszę pani — odrzekła służąca.

Pani Michalina weszła do swego pokoju.

Mały był, wązki i długi. W kątach widniała wilgoć. Około niewielkiego z twardym materacem łóżka stała szafa, dalej umywalka, kilka krzeseł i stół.

Komody nie było, zastępowały ją: kufer i waliza.

Pani Michalina zrzuciła wierzchnie ubranie i weszła do salonu.

Przy stole, na którym paliła się duża lampa, okryta wspانياłym abażurem, siedziała młoda jeszcze kobieta, szczupła, nieprzyjemna, z podwiązaną twarzą.

Salon był elegancko umeblowany.

— Przepraszam, żem się trochę spóźniła, — mówiła pani Michalina z nieśmiałym uśmiechem, ale byłam przy ciężko chorej znajomej i zabrało mi to trochę czasu.

— Ależ... Boże!... Pani jeszcze przyniesie zarazę do domu! — podniosła pani domu przestraszone oczy na nauczycielkę.

— Moja znajoma jest chora na wyczerpanie sił i pracowanie.

Gospodyni domu nic nie odpowiedziała i zaczęła dalej robić jakąś robótkę, którą w rękę trzymała.

Pani Michalina poszła do dzieciennego pokoju.

Tu było dwoje dzieci: chłopiec mizerny, o tępem wejrzeniu, i dziewczynka, anemiczna, napół senna.

Zaczęła z niemi odrabiać lekcye.

Chłopak lekcyi nie umiał, a gdy pani Michalina zrobiła mu za to łagodną wymówkę, zaczął płakać nerwowo, rozmazując łzy po chudej twarzy.

— Proszę im dać herbaty i niech idą spać, — ozwał się z salonu ostry głos pani domu. — Dość już tej nauki!

Pani Michalina zabrała dzieci i poszła do jadalnego pokoju, gdzie służąca nalewała herbatę.

Na stole stał koszyk z bułkami, maselniczka z dość podejrzanem masłem, na talerzu leżało kilka serdelków.

Z jadalnego pokoju długi, ciemny korytarz prowadził do dużego, oświetlonego sklepu, w którym stały trumny, jedna przy drugiej: jasne i czarne, duże, małe, eleganckie i mniej wytworne. Dwóch robotników przytwierdzało srebrne ozdoby do trumny, obstalowanej na jutro. Miarowe odgłosy uderzeń młotka napępniały całe mieszkanie.

Zjawił się wreszcie Karnicki, wysoki, chudy, z dużym nosem i bystrem spojrzeniem. Palce u rąk miał długie, niezmiernie ostre i zakończone twar데미, ostremi paznokciami. Czytając Kuryera stukał palcami po obrusie nerwowo, jakby wbijał gwoździe.

Wypił prędko herbatę i wyszedł, nie spojrzawszy na nikogo.

Dzieci po kolacyi pobiegły zaraz do sklepu, posiadały na trumnach, zarzucając robotników wesołemi pytaniami, wreszcie powkładały sobie na głowy metalowe wianki, przygotowane na mogiłę i biegały między trumnami, zawadzając o nie, potykając się.

Pani Michalinie ledwie udało się je uspokoić i namówić, żeby szły spać.

Prowadzić je musiała niemal omackiem, bo zwykle zaraz po kolacyi gaszono światło w jadalnym pokoju.

Państwo Karniccy mieli zakład pogrzebowy, na którym robili świetne interesa. W miarę, jak wzrastała fortuna, zwiększała się ich oszczędność. Wydatki domowe doprowadzali do minimum. W mieszkaniu światło zapalano jaknajpóźniej, a gaszono jaknajwcześniej, obiad mieli skromny i tak skąpy, że nawet kot nie pożywiłby się resztkami.

Sługi były dwie i te często się mieniały.

Karnicka chorowała ciągle, a nawet tę zimę zamierzała spędzić w cieplejszym kraju i dlatego zdecydowała się wziąć nauczycielkę, chociaż do tychczas miewała tylko bony.

Obliczywszy jednak wraz z mężem nierozłączne z wyjazdem wydatki, zaniechała podróży. Panią Michalinę zatrzymała jednak nadal u siebie, bo dzieci musiały wreszcie zacząć się uczyć, a wo-



łała mieć starszą nauczycielkę, niż młodszą, która ciągle wylatywała na zabawy.

W ciągu paru tygodni pani Michalina nie wychodziła wcale z domu, obawiając się niezadowolenia Karnickiej, prosiła tylko bratową, żeby miała staranie o Ciechońskiej.

Szumaska nie mogła zostawiać na długo domu, ale Jadwinia codziennie odwiedzała chorą, która zawsze z przyjemnością oczekiwała jej przyjścia i gdy tylko kto inny przybywał, nie kryła swego niezadowolenia z całą niedelikatnością osoby zgorzkniałej i dotkniętej niemocą.

Dziewczynka przynosiła dla niej bulion, dla Mietki mięso, kosteczki, czasem kupioną za własne dwa grosze, czekoladkę.

Wyładowywała to wszystko z koszyka z wesołą minką, przysuwała stolik do łóżka chorej i zaczynała przedewszystkiem karmić pinczerkę.

Ciechońska krajała mięso na drobniutkie kawałeczki i zachęcała psinę do jedzenia, potem dopiero zabierała się do swego obiadu.

Rozmawiały dużo. Nieraz Ciechońska śmiała się i była w lepszym humorze, szczególnie, gdy słońce świeciło i jasność wlewała się do pokoju. Mówiły też często o Mietce, o jej niezwykłym rozumie i ogromnem przywiązaniu do swej pani.

Chora brała pinczerkę na ręce, pieściła skomlącą z radości, przemawiała do niej czule, a rysy jej miękkie i na ustach rozlewała się słodycz.

Czasem zaczynała uskarżać się na swoje

ciężkie życie i dziewczynka dowiedziała się, że świat jest zły, niesprawiedliwy.

Opowiadania te robiły na niej wrażenie. Rozpytywała ciekawie o różne rodziny, wśród których Ciechońska spędziła życie, o uczniów i uczennice, które się jej dały we znaki, i w umyśle Jadwini zakiełkowało pierwsze pojęcie o ustroju świata. Uczuła wielką litość dla biednej chorej, pokrzywdzonej przez ludzi, którą tylko Mietka kochała.

Z przyjemnością przychodziła teraz do sutenen. Przywiązała się do Ciechońskiej i do Mietki. Obie zlewały się w jej myślach w całość. Ciechońska mówiła z taką miłością o pinczerce, a psina wpatrywała się z takim uwielbieniem w swą panią, że dziewczynka nie mogła sobie wyobrazić jednej bez drugiej.

Mietka w jej pojęciu urastała do miary stworzenia nie tylko dobrego, umiającego kochać, ale mądrego, jak człowiek.

— Ona wszystko rozumie co się do niej mówi — zapewniała Janka, opowiadając o Mietce.

Po pewnym czasie Szumska zaprotestowała przeciw temu ciągłemu przebywaniu Jadwini z Ciechońską, obawiając się niezdrowego powietrza dla wątłej dziewczynki i pomimo jej prośb zostawiła ją w domu i poszła raz sama z obiadem do chorej.

Ciechońska rozgniewała się okropnie, zobaczywszy, że niema Jadwini. Obiadu nie tknęła, a Szumską zarzuciła wymówkami.

— Tak... Najlepiej... Odmówić chorej ostatniej

przyjemności!.. Ucz pani, ucz córkę egoizmu!.. Niech tylko myśli o sobie!.. Co tam biedna nauczycielka, umierająca samotnie!.. Zasłużyła sobie na taką śmierć, mordując się czterdzieści lat z cudzemi dziećmi.

Szumska usiłowała uspokoić chora, ale ta nie dała się przeprosić, a Mietka wciąż szczyrzyła zęby, nie pozwalając zbliżyć się do łóżka.

Jadwinia nazajutrz ku wielkiemu swemu zadowoleniu zaniosiła sama obiad chorej.

Ciechońska zobaczywszy ją, rozplakała się z radości. Mietka skomlała i lizała ręce dziewczynki, która też była wzruszona i przez chwilę w suterenie, przy łóżku nieszczęśliwej nauczycielki, zapanowała radość.

Oprócz dobrego serca, Jadwinie ciągnęła też do Ciechońskiej ciekawość. Dotychczas wyobraźnia jej żyła tem, co widziała w domu, a widziała wszystko zdrobniale, po dziecinnemu; teraz odkrywał się przed nią rzeczywisty świat: świat wyzyskanych i wyzyskujących.

Siedząc na stołeczku z Mietką na kolanach, podparwszy dłonią mizerną twarzyczkę, słuchała codziennie gorzkich opowiadań chorej o jej życiu tułaczem, o tem, że pies tylko umiał być wdzięcznym, że każdy czyn ludzki jest wynikiem egoizmu.

Niekiedy chora przerywała opowiadanie i zaczynała majaczyć, czasem zachichotała młodzieńczo, zapaplała z przymileniem po francusku. Jadwinia



wówczas zrywała się z miejsca, opamiętywała chorą, dawała jej pić, rozcierała ręce i skronie kolońską wodą i uspakajała się wówczas dopiero, kiedy ujrzała posepny wyraz oczu Ciechońskiej, wracającej do świadomości.

— Weź przynajmniej trochę karbolowej wody na chusteczkę i podnoś ją często sobie do ust, — powiedziała raz Szumska Jadwini, gdy ta miała iść z obiadem.

— Co to za obrzydliwy zapach przyniosłaś z sobą? — spytała zgryźliwie Ciechońska dziewczynki, gdy tylko ta weszła.

— To... woda karbolowa.

— Na co?

— Mama mi zwilżyła nią chusteczkę bo... mam katar, — kłamała Jadwinia.

— Wyrzuć zaraz tę chusteczkę. Nie znoszę tego zapachu wstrętnego! Dość go będę miała w szpitalu, gdy dłużej pożyję.

Jadwinia wyniosła chusteczkę do sieni, następnie zagrzała wodę u stróżki i umywszy Ciechońską, zabrała się do kąpienia Mietki.

Po mojej śmierci weźmiesz Mietkę do siebie. Tylko mi przyrzecz zaraz, że to zrobisz... Nie mogłabym leżeć spokojnie w grobie, gdybym wiedziała, że się wałęsa o głódzie, albo, że ją oddadzą do czyszciciela. Weź ją i bądź dla niej dobra! Tylko ona jedna mię kocha i umierać dla tego nie chce, żeby jej nie zostawić na poniewierkę, — mówiła Ciechońska, chowając mokrą psinę pod kołdrę.

— Przyrzecz, że weźmiesz!

— O, jabym Mietkę i zaraz chętnie wzięła, gdyby tylko pani oddała, — mówiła Jadwinia, unikając wzmianki o śmierci, o której chora ciągle mówiła.

— Jeżeli zaraz nie przyrzekniesz, to nie umrę spokojnie, — prosiła Ciechońska.

— A więc... wezmę.

— Tylko okrywaj ją, bo wciąż marznie, szczególnie w nocy okrywaj. Teraz jej nie oddam, bo gdy ją mam przy sobie, to nie czuję się taka samotna. Ją jedną mam tylko na świecie. Wreszcie i ona zatęskniłaby się po mnie. Raz oddałam ją do jednych państwa, gdzie jej było dobrze, ciepło i mięsa miała podostatkiem, ale uciekła do mnie i tak piszczała z radości!.. Nikt, oprócz niej nie będzie żałował, gdy umrę!..

— Oh! Jabym żałowała! — wyrwało się Jadwini.

Szczerść brzmiała w jej głosie; oczy Ciechońskiej złągodniały i powłokły się łzą.

Możebyś żałowała... bo ty jesteś dobra, tak jak... twoi rodzice — szepnęła.

Szumska doniosła raz pani Michalinie, że Ciechońska ma się bardzo źle i że koniec jej blizki.

Pani Michalina nie mogła jednak zaraz odwiedzić chorej, bo Karnicka była wciąż cierpiącą, zdenerwowaną i wymagała, żeby nauczycielka była nieodstępnie przy dzieciach, poszła więc dopiero po upływie paru dni.

Gdy weszła na dziedziniec i zmierzała do suterenu, stróżka wybiegła ze swego mieszkania.

— Oj dobrze, że paniusia przysła, bo pani Ciechońska ma się źle. Pani Szumska psychodziła tu i mówiła, że chora ma się lepiej, tymczasem po jej odejściu cośś stało się z panią Ciechońską, ledwie dycha i scerniała, jak ziemia.

Pani Michalina weszła do pokoju i zbliżyła się do łóżka Ciechońskiej.

Słabe światelko palącej się lampki padało na straszliwie wyniszczone rysy chorej. Kosmyki siwych włosów zwieszały się na twarz i drżały od gorączkowego jej oddechu.

Oczy miała błyszczące, jak czarne paciorki.

Spostrzegłszy pochyloną nad sobą panią Michalinę, uśmiechnęła się robionym uśmiechem.

— *Madame, je ne suis pas vieille* — zaczęła prędko po francusku polskim akcentem. — *Je peux même courir avec les enfants.*

Słowa te wymówiła, przymilając się, strojąc twarz w żartobliwy uśmiech, który wykrzywił potworną maską jej wyniszczone rysy, walcząc z wyrazem gorczy, narzuconym latami wewnętrznej skargi.

Francuzczyzna, ta plaga polskich dzieci i nauczycielek, nie dawała jej umrzeć spokojnie.

Co chwila ściągała usta do uprzedzającego uśmiechu i szeptała francuskie wyrazy, siłąc się na dobry akcent.

Po chwili oczy jej oprzytomniały.



— Żle ze mną — szepnęła — poznając panią Michalinę. — Chciałabym księdza.

— Dobrze. Zaraz poszlę po doktora, a i ksiądz nie zawadzi. Trochę się wzmocni duch, to i ciała będzie lżej.

— Doktora nie trzeba... tylko księdza i to prędzej. Boję się, żebym nie umarła, jak poganka, bo i pojednania z Bogiem może mi los odmówić, — rzekła głosem chrapliwym i znów coś mówiła bez związku.

— Mietki mi żal — szepnęła, przytomniejąc — oddadzą... do hycła... ciągnąć na powrozie... Boże... jak mi żal!... Niech Jadwinia...

Twarz jej czerniała i jakoś się dziwnie wyciągała.

Pani Michalina posłała stróża po doktora, a sama poszła do Szumskich, żeby prosić brata o najrychlejsze sprowadzenie księdza.

— Niema jeszcze Władzia. Powróci niebawem i zaraz pojedzie po księdza — rzekła Szumska. — Ale cóż się to stało biedaczce? Gdym była zrana, wyglądała lepiej i mówiła przytomnie. Przed kilku dniami byłam u dwóch pań, należących do towarzystwa dobroczynności i jak mogłam najwymowniej, opowiadałam im o nędzy Ciechońskiej. Miały przyjść, sprawdzić i przenieść ją do szpitala, ale coś się ociągają, a choroba nie czeka.

Pani Michalina wróciła znów do Ciechońskiej.

Przebiegła prędko dziedziniec i weszła do suterenu.

Zdaleka zobaczyła, że drzwi od mieszkania chorej były uchylone. Zdziwiło ją to i strwożyło. Weszła do pokoju, w którym nikogo nie było i zbliżyła się spiesźnie do łóżka.

Ciechońska leżała sztywna, kredowa. Jedno oko było zupełnie otwarte i patrzyło z po za szklistej powłoki surowo, groźnie. W kątach ust czaił się uśmiech przymilenia, wywołany jakimś gorączkowym widzeniem. Na piersiach jej leżała pinczerka i głucho wyla starym, urywanym skowytym.

Pani Michalina skamieniała.

W tej chwili usłyszała kroki stróża, który prowadził doktora; za nimi szła wystraszona stróżka.

— Kiedy umarła? Kto był przy niej? — pytała pani Michalina.

— Ja byłam, ale jak zaceła się dusić i strasnie ocy wywracać, a sucka wyć i drapać po kołdrze, tom się pselekła i uciekła za bramę, bo mojego nie było, więcem się nawet w izbie bojała zostawać — usprawiedliwiała się przestraszona stróżka.

— Weźcie psa, bo on nie pozwala mi się zbliżyć do łóżka! — ozwał się szorstko doktor.

Pinczerka wciąż siedziała na piersi trupa i szczyrzyła swoje bezzębne szczęki, patrząc na zbliżających się oczyma nabiegłymi krwią i pokrytymi do połowy bielmem starości.

Pani Michalina powróciwszy do domu, blada i stroskana, ze łzami opowiadała Karnickiej o nę-

dzynym zgonie nieszczęśliwej nauczycielki, przepraszając, że tak długo pozostawała za domem.

Chciała też ją prosić, żeby się przyczyniła do składki, którą należało zrobić na pogrzeb Ciechońskiej, ale zaniechała tego zamiaru, gdy usłyszała przez cienką ścianę, dzielącą pokój dziecinny od pokoju sypialnego gospodarzy domu, jak Karnicka mówiła do męża.

— Dobrze, że się wszystko skończyło, przynajmniej nasza nie będzie miała powodu do ciągłego biegania.

Wchodząc do mieszkania, pani Michalina spostrzegła już jakieś niezwykle ożywienie na twarzach domowników, ale pod wrażeniem moralnego wstrząśnienia, wywołanego śmiercią Ciechońskiej, nie zwróciła na to uwagi. Dopiero przy kolacyi przyszło jej na myśl, że musiało się coś niezwykłego stać w domu.

Na suchotniczej twarzy Karnickiej były silniejsze wypieki, niż zwykle. Siedząc przy mężu, zamieniała z nim od czasu do czasu parę słów po cichu. Karnicki nie czytał Kuryera, tylko wpatrując się w wiszącą nad stołem lampę, coś kombinował; poprawiał co chwilę binokle, osadzone na jastrzębim nosie, czasem zsumowywał jakieś cyfry na mankiecie od koszuli, to znów bębnił nerwowo twarzymi, ostrymi palcami po stole, takim rytmem, jak gdyby młoteczkami przybijał ozdoby do trumny.

Dzieci były ożywione i nasłuchiwały, o czem rodzice mówią.



Dowiedziała się wreszcie. Umarła jedynaczka bardzo bogatego ziemianina, której ciało sprowadzano do Warszawy. W zakładzie Karnickiego obstalowano wspaniały pogrzeb, bez żadnych zastrzeżeń co do kosztów.

Kiedy pani Michalina zabierała się już do snu, weszła do jej pokoju Karnicka. Zapytała, z jakich funduszów ma być pochowana Ciechońska i, dowiedziawszy się, że ze składek, oznajmiła, że ofiarowują od siebie trumnę, najprostszą, białą, sosnową, ale darmo.

Siedziała z kwadrans, ciągle mówiąc o tym darze, słuchając podziękowań pani Michaliny, upajając się rolą ofiarodawczyni, podniecona zadowoleniem ze świetnego obstalunku.

— Tak... dajemy darmo... Trzeba coś dla innych zrobić... Będzie duża i mocna... — mówiła, odchodząc.

Pani Michalina była skruszona.

— Takem źle ich osądziła. Dali przecie sami od siebie, nieproszeni, białą, sosnową, najprostszą i bardzo słusznie... Co tej biedaczce po wspaniałym pogrzebie? Najważniejsza to, że serce w nich przemówiło!

Położywszy się, długo nie mogła zasnąć, przewracając się na swem krótkim, twardem łóżku. Z ścian wiało wilgotnym chłodem, który pomimo ciepłej kołdry, przenikał do jej ciała i wstrząsał je dreszczem. W oczach miała ciągle trupa Cie-

chońskiej, z sinemi ustami, wykrzywionemi grozą śmierci, do których przymarł uśmiech przymilenia.

Myślała o tem, że brat wyświadczyłby jej największą łaskę, gdyby zechciał wziąć sobie te parę tysięcy, które uzbierała. Spokojna o rodzinę, poszłaby służyć za kawałek chleba i szmat ubrania do jasnej, wesołej Hornicy. Lato spędzałaby ze swą najdroższą dzieciną, za którą straszliwie tęskniła, a zimą okupywałaby zdwojoną pracą bezczynne wakacje.

Myślą leciała do tego miłego kąta, gdzie o tej porze jeszcze jasno, wre życie... i tak ciepło.. Błądziła po wszystkich pokojach, witała życzliwe twarze, i krokiem przyzwyczajenia biegła po ciemnym dziedzińcu do oficyny, gdzie olbrzymi komin oświetlał rysy starych sług...

Uśmiech nie schodził z jej ust, a gorące łyzy biegły po pobladłych teraz policzkach.

Jadwini nie powiedzieli o śmierci Ciechońskiej i dopiero nazajutrz, po powrocie z gimnazjum, dowiedziała się o tem. Rozpłakała się tak, że Szumska nie mogła jej uspokoić.

— Mamo, a Mietka? Trzeba ją zaraz tu wziąć.

— Mietka u stróżki. Ona ją nakarmi. Jutro po pogrzebie weźmiemy biedną psinę do siebie.

Nazajutrz o godzinie dziesiątej Szumska z Jadwiną i panią Michaliną udały się do mieszkania Ciechońskiej, za chwilę miał przybyć karawan. Księdza jeszcze nie było.

— Gdzie Mietka? — pytała Jadwinia stróżki na wstępie.

— Uciekła do suterenu. Chciałam ją nakarmić, mięso dawałam, a ona me psia jucha ugryzła w renkę i poleciała do nieboski. Pewniuszko siedzi tam pod łóżkiem, bo dziadek, co przy niebosce siedzi, gadał, że całą nocą cości jęcało w pokoju.

Ciechońska leżała w trumnie pośrodku pokoju, w czarnej sukni, głowę miała okrytą czarnym koronkowym czepeczkiem, żółte ręce złożone na pierśsiach. Dwie woskowe świece paliły się u jej wężłowia na stoliku; w kącie stary dziad szeplenił z cicha modlitwy.

Jadwinia ze strachem patrzyła na tę olbrzymią postać z zczerniałą, ponurą twarzą i dużymi nogami w białych pończochach.

Obawiała się zbliżyć do trupa i tylko cicho płakała.

Szumska z panią Michaliną ukłękły i modliły się.

— Gdzie jest Mietka? — pomyślała Jadwinia i obrzuciła pokój oczyma. Pod łóżkiem dostrzegła rozciągniętą pinczerkę.

— Mietka, chodź tu do mnie! — wołała cichutko, zaglądnąjąc pod łóżko.

Mietka nie poruszyła się wcale.

Jadwinia dotknęła jej łapek. Były zimne. Wyciągnęła suczkę delikatnie z pod łóżka i dopiero spostrzegła, że nie żyje.

— Mamusiu! — szepnęła drżącym głosem do



Szumskiej, która powstała z klęczek i obcierała sobie łzy, — Mietka zdechła... Tak mi jej żal. Co z nią zrobić, mamusiu?

— Nic, moje dziecko, skoro zdechła to ją czyściciel zabierze, — odrzekła Szumska.

— Oddać czyścicielowi Mietkę! Boże! Pani Ciechońska tak ją kochała!... Nie chciała umierać dlatego, żeby się z nią nie rozłączać... oddać hyclowi Mietkę, tę szlachetną, rozumną Mietkę!... Niepodobna na to pozwolić!

Jadwini zamąciło się w myślach. W jej wyobraźni stanęła żywa twarz Ciechońskiej z posępnym wyrazem, rozjaśniająca się wówczas tylko, gdy mówiła o przywiązaniu do siebie pinczerki.

— Może ona teraz czuje i słyszy wszystko i nie może przemówić, nie może obronić swojej psiny.

Spojrzała zezem w półotwarte oczy umarłej i przeszedł po niej dreszcz zgrozy. Zdało się jej, że nieboszcza patrzy na nią i prosi ją oczyma, żeby jej dała Mietkę.

Odwróciła wzrok w inną stronę, nie chcąc się spotkać z martwym spojrzeniem trupa.

Co robić?... Co robić?... Gdyby pani Ciechońska mogła mówić, pewnieby nie pozwoliła oddać czyścicielowi Mietki... Możeby ją gdzie pochowała?... Może pani Ciechońska doprawdy wszystko słyszy i czuje, tylko nie może głosu z siebie wydobyć? Przecie pan Rychłowski przyszedł po śmierci do Kubusia... Leży bezsilna i pewnie cierpi

strasznie i nie może przemówić... A może płacze... Ach, jak kiedyś płakała!... Oczy miała szkliste, a usta sine, wykrzywione... Nie zapomni tego nigdy... płakała z nią razem... Co robić?... Wyraźnie prosiła oczyma, żeby jej Mietkę dała... Ona nie może przecież odmówić umarłej!...

Usiłowała nie patrzeć na trupa, ale coś ją ciągnęło, obracało w stronę wężłowia umarłej. Rzuciła wzrokiem z boku na Ciechońską; powoli zwróciła na nią całe spojrzenie — i patrzyła pytająco, rozgorączkowana, prawie nieprzytomna.

Znów najwyraźniej widziała w nieodmkniętych oczach umarłej prośbę, nakaz.

Chwilę stała niezdecydowana, nie mogąc odwrócić wzroku od półotwartych, zagasyłych źrenic trupa.

— Przecie to grzech... to świętokradstwo!... Za to kara Boża... Ciało będą kropić wodą święconą...

Widziała, jak twarz Ciechońskiej kurczy się od płaczu, usta się rozszerzają... zmarszczki biegną ku skroniom... oczy powleka szklista mgła...

Obejrzała się dokoła.

Szumska z panią Michaliną stały za progiem pokoju i rozmawiały o czymś ze stróżką. Dziadek kościelny utknawszy nosem w książkę, modlił się półsennie.

Nachyliła się prędko i podniosła martwą pin-czerkę z ziemi. Lewe oko Ciechońskiej śledziło jej ruchy.

Jadwinia zawahała się. Martwe oko nagliło gniewnie.

Położyła Mietkę do trumny u nóg Ciechońskiej i przykryła jej suknią. Dygocące ręce dziewczynki dotykały drewnianych nóg umarłej; czuła lodowaty chłód tych dużych stóp, obciągniętych białymi pończochami...

Włosy jej zjeżyły się na głowie.

Lewe oko trupa śmiało się teraz do niej porozumiewawczo.

Cofnęła się od trumny, bo na progu już słychać było kroki.

Wchodził ksiądz, a za nim szli ludzie z wiekiem od trumny.

Pokój napełnił się ciekawymi, ksiądz zaczął odmawiać modlitwy za umarłych.

Jadwinia stała, jak skamieniała; myśli jej biegały w kółko, krew uciekała do serca, które uderzało gwałtownie.

W chwili, kiedy ludzie zbliżyli się z wiekiem i ksiądz zaczął kropić ciało święconą wodą, zrobiła krok naprzód i krzyk wyrwał się już z jej ust, ale wnet uwiązł w krtani... Zdało się jej znów, że Ciechońska poruszyła głową przecząco.

— Mamusiu... mnie niedobrze!... — szepnęła do Szumskiej, blada jak papier.

Szumaska odwiozła ją do domu i tylko pani Michalina poszła za pogrzebem.

Jadwinia położyła się zaraz do łóżka i, naciągawszy chustkę na głowę, udawała, że śpi.



Było jej straszno. Popęlniła świętokradztwo... Kiedy ksiądz kropił ciało święconą wodą, miała uczucie, jakby ją kto dusił za gardło... Ale nie mogła inaczej... Pani Ciechońska nie miała nikogo na świecie, oprócz Mietki... Byłoby jej straszno samej... Teraz leżą obie spokojnie... Ona nie mogła inaczej... Nie żałuje swego postępku, chociaż wie, że za to czeka ją kara Boża...

I ten gniew Boży milczący, niewidzialny, przeczuwany tylko, przejmował ją straszliwą grozą.

Obawiała się spojrzeć w niebo, żeby nie dojrzeć oznak tego gniewu Bożego.

Ona już nie może być nigdy ani spokojną, ani szczęśliwą, bo ma śmiertelny grzech na duszy, ale nie żałuje tego, co zrobiła... Niech będzie lepiej sama nieszczęśliwą, niż gdyby biedna pani Ciechońska, której nikt nie kochał, miała leżeć sama!

I robiło się jej znów lekko i rozrzewnienie napływało do serca, gdy pomyślała, jak one leżą teraz obie, kontente, że są razem. Gotowa była ponieść za swój postępek karę, tylko drżała przed tym gniewem Boskim.

To nie był gniew mamusi, ani tatusia, to było coś strasznego, czego nie mogła myślał objąć, czego nie umiała przebłagać.

Cały dzień nic nie jadła i była ogromnie zmieniona. Szumska wyrzucała sobie, że pozwoliła dziecku przeżyć tyle denerwujących wrażeń.

Po kolacyi, gdy wszyscy poszli na spoczynek,

Jadwinia prosiła matki, żeby jej pozwoliła zająć się lekcjami dłużej, bo nie chce jeszcze spać.

Porozkładała kajety, przyniosła atrament, piórnik i siedziała nad książką, podparłszy rękami głowę, z oczyma utkwionemi w przestrzeni.

Przeżywała znów ranne wrażenia.

Znów widziała tę straszłą, olbrzymią postać, o dużych stopach, obciążniętych białymi pończochami, czuła lodowate zimno tych stóp, uprzytomniała sobie błaganie zagasłych oczu umarłej i ten przeczący ruch głowy.

Tajemnica między nią a nieboszczką i ten gniew Boży, zawisły nad nią, postarzały jej dziecięcą dotąd duszę.

Słyszała, że Bóg karze dzieci za grzechy rodziców, ale nie wiedziała, czy też karze ojca i matkę za występki dzieci.

A jeżeli sprowadziła nieszczęście na dom? Może rodzice będą chorowali?... Może w domu będzie pożar?... Albo Kubuś umrze?...

Zatrzęsła się ze strachu.

— Dlaczego nie idziesz jeszcze spać, Jadwiniu? — spytał Szumski, nie odwracając oczu od roboty.

— Zaraz, tatusiu.

Poukładała jakimś automatycznym ruchem książki, kajety, schowała obsadkę do piórnika i podeszła do ojca.

— Dobranoc, tatusiu!

Szumski spojrzął na nią.

— Dobranoc, dziecinko. Coś taka błada?

Nagle przytuliła główkę do jego ramienia i za-  
łkała boleśnie.

— Jadwiniu?!...

— Tatusiu... ja nie będę mogła zasnąć... Ja  
popęłniłam okropny występki... świętokradztwo...  
Ja... ja... ja pochowałam Mietkę razem z panią  
Ciechońską.

— Jakto? — zdziwił się Szumski.

— Pani Ciechońska tak ją kochała... Nie  
chciała umierać, żeby się z Mietką nie rozstawać...  
Nie miała nikogo na świecie... Ludzie ją, tatusiu,  
skrzywdzili, — mówiła głosem, przerywanym od  
płaczu. — Mietka zdechła po niej z żalu i ja... ja  
ją włożyłam do trumny i przykryłam suknią pani  
Ciechońskiej... Wiem, że to straszny grzech... Ja  
wiem, że mnie Bóg ukarze... Ale ja to gotowam  
znieść wszystko, byle tylko Bóg za to... byle Ku-  
busiowi co się nie stało! — dodała z rozpaczliwym  
łkaniem.

Szumski podniósł z łagodnym uśmiechem jej  
twarzyczkę, zmęczoną łzami, pobladłą.

— Tatusiu, ja wiem, że Bóg przebacza tym  
grzesznikom, którzy za winy swoje żałują... Ale  
ja... tatusiu... nie żałuję... Mnie się tak robi lekko  
na sercu, kiedy pomyślę, że biedna pani Ciechońska,  
która miała tylko Mietkę, ma ją teraz przy sobie...  
Mnie ona, tatusiu, prosiła o to oczyma. Ja to do-  
brze widziałam... a później, gdy ksiądz święconą  
wodą kropił i ja chciałam krzyknąć, że Mietka



jest w trumnie, ona zrobiła przeczący ruch głową... Tatusiu, niech Bóg ukarze mnie, jak chce, byle mnie tylko.

Przyciągnął ją do siebie i długo tulił jej główkę do swej piersi.

— Nic cię za to, dzieciно, nie spotka złego... Idź, połóż się obok mamusi i śpij spokojnie, bo to, co zrobiłaś... nie było grzechem! — rzekł do głębi wzruszony.

## ROZDZIAŁ XXV.



traszliwa wichura szalała na dworze. Ludzie chodzili oblepieni śniegiem, otwierając z trudnością zaprószone oczy. Przechodniów było jednak sporo na ulicach, gdyż dziś właśnie przypadała wigilia Bożego Narodzenia i każdy spieszył załatwić sprawunki, zanim zmierzech na-  
dejdzie.

Szumska od rana wraz z panią Michaliną przygotowywała wigilię, na którą miało przybyć parę znajomych osób.

Do uszu Szumskiego, dolatywały z kuchni głosy kobiece, obradujące nad kwestyami gospodarczemi i wesołe wykrzykniki dziatwy, strojącej choinkę w sypialnym pokoju.

Musiał jeszcze dziś wyjść na lekcję i z przykrością patrzył na rozwichrzoną śnieżycę. Czuł się straszliwie zmęczony i chętnie pozostałby w domu.

Włożył jednak palto i zdążył właśnie ku drzwiom wchodowym, gdy do jego uszu doleciał głos pani Michaliny, rozmawiającej z kimś w kuchni.

— Sumienia nie macie! Obdzieracie ludzi

żywcem. Od ilu lat płacą się wam lichwiarskie procenty? Przewyższyły one już dawno kapitał, a zawsze wam mało! — mówiła zirytowanym głosem.

— Najlepiej w takim razie zapłacić wszystko odrazu; będę bardzo kontent — odpowiedział męski głos o akcencie żydowskim — a państwo pozbędą się płacenia procentów.

— Zapewne, to byłyby dla was doskonały interes!.. Otrzymalibyście podwójnie kapitał. Gdyby choć was sumienie ruszyło!

— Proszę pani, a kogoby sumienie ruszyło, gdyby moje przepadło. Ja ryzykowałem, skupując weksle pana Szumskiego.

— Płaciliście za nie trzecią część wartości, kupując od tych, którzy już procentami dawno wszystko wybrali, wiedziliście przytem, że wam pieniądze nie przepadną.

— Nu..., a dla czego nie mogły przepaść?

— Ciekawam jakim sposobem?

— A gdyby tak pan Szumski... broń Boże... umarł... To cobym ja wziął?.. Chyba jego dzieci w spadku?

Szumski otworzył drzwi do kuchni.

Pani Michalina trzymała w ręku weksle jakieś i zmieszała się na widok brata. Zmieszał się i żydlichwiarz, który nie spodziewał się zastać Szumskiego w domu i miał nadzieję wyłudzić à conto długu, trochę grosza od pani Michaliny, którą podejrzewał o posiadanie pieniędzy.



— Mówiłem panu, panie Fuks, że sam przyniosę panu procent dwudziestego ósmego. Byłem zawsze akuratnym, nie rozumiem więc, dlaczego pan mię napastuje w moim własnym domu.

Fuks wybąknął coś na swe usprawiedliwienie i wyszedł, przepraszając. Wiedział już, po spojrzeniu, jakie mu pani Michalina rzuciła, że interes będzie załatwiony i, że wkrótce pieniądze wpłyną mu do kieszeni.

— Możebyś nie wychodził dziś, Władziu? Taka okropna pogoda — mówiła Szumska, odprowadzając męża do przedpokoju.

— Muszę pójść do Bartoszewickich. Syn ich ma egzamina po trzech Królach, a pozostaje mu jeszcze sporo do powtórzenia.

— Jeden dzień nic nie znaczy. Mógłbyś opuścić... Przecie płacą ci tam miesięcznie.

— Właśnie dlatego, że płacą miesięcznie, nie mogę opuścić lekcji — poprawił żonę Szumski.

Tylko nie siedź na lekcji, jak zwykle, zamiast godziny, półtora.

— Będę się starał wrócić wcześniej.

Szumska weszła do kuchni.

— Jakież to zmartwienie, że Władzio wszystko słyszał. Drzwi były zamknięte i byłam pewna, że już wyszedł.

— Może nie słyszał, co było mówione?

Słyszał. Ja gdy mu w oczy spojrzę, to choćby nie wiem jak chciał schować myśl swoją, ja ją odnajdę. Widziałam, że ma przykrość. Niby oczy

miał pogodne, a dno ich było zmacone. Nikt nie mógł tak zgłębić jego najpiękniejszej duszy, jak ja. Ty myślisz, Michasiu, że ja go nie rozumiem i dlatego jestem taka, jaka jestem. Ja nie mogę być inną... Ta cała bieda tak mnie przygniotła, że dziś nie jestem w stanie myśleć o czem innym, jak tylko o latach i o drożyźnie. Miałam inną naturę, ale siedmnaście lat troski ogłupiły ją.

Mówiła to z goryczą, siekając zawzięcie rybę, jakby na niej mściła się za wykolejoną swoją naturę.

— Przedewszystkiem trzeba wam się pozbyć długów. Mam trochę uzbieranego grosza...

— Daj pokój, Michasiu! Nic z tego nie będzie. Mówiłam już o tem z Władziem. Ani słuchać nie chce... Boi się, żebyś później nie miała takiej starości, jak Ciechońska. I ma rację. Od ciebie nie możemy przyjąć.

— Ależ procenty was zjedzą, bo chyba Władzio nigdy nie będzie wstanie tyle zarobić, żeby spłacić odrazu cały dług.

— Nie marzę już o tem. Władzio nie może więcej pracować, niż teraz, bo nawet często w nocy poprawia ćwiczenia uczniów. Skosztuj-no tego sosu, Michasiu, może jeszcze korzeni trochę dodać? Chciałabym go zrobić w większej ilości, bo ryb jest tyle, że chyba na parę dni wystarczy.

Wychodząc z domu, Szumski zobaczył na dziedzińcu Prosperka.

Stał nieporuszenie pod murem i, chociaż był

ciepło ubrany, drżał z zimna. Ręce mu opadły wzdłuż ciała; niekiedy podnosił oczy w górę i wodził nimi świadomie po oknach kamienicy, niekiedy tępo, idyotycznie patrzył przed siebie.

Ujrawszy Szumskiego, wykrzywił się radośnie.

— Co ty tu robisz, Prosperku? Nie można stać; trzeba biegać, chodzić. Patrz, jakieś posiniał — mówił Szumski, biorąc go za rękę i prowadząc do mieszkania matki.

— Pani Wilkowo! Dlaczego puszczacie samego chłopaka na taką wichurę. Wiecie, że on jeszcze nie umie sam się bawić. Złą jesteście matką. Gdybyście się nim zajęli, byłby zupełnie uleczoney.

— Śmierć go tylko uleczy — odpowiedziała Wilkowa półgłosem z widoczną irytacją.

Wnet się jednak pohamowała, wiedząc, że teraz tylko od Szumskiego, jako rozporzadziciela sumy, przeznaczonej przez Rychłowskiego dla biednych, zależy dziś, czy dostanie zapomogę, lub nie. Podeszła do chłopaka i zaczęła mu ręce rozcierać.

Ten jednak ręce wrywał i patrzył na Szumskiego.

Wyszła więc z pokoju, mrużąc coś gniewnie.

Prosperek dobył z szufladki od stolika duże tekturowe litery z czarnymi obwódkami i rozłożył na stole.

Wykonywał ruchy niepewnie. Niekiedy mu ręce opadały wzdłuż ciała i oczy stawały się idyotyczne, to znów budziła się w nich myśl powolna, ocieężała.



Spojrzał na Szumskiego i w złagodniałym jego wzroku pojawiła się pokorna gotowość do pracy.

— Nie będziemy się dziś uczyli. Muszę iść — mówił Szumski wyraźnie, wpatrując się w chłopaka. — Jutro przyjdę.

W oczach Prosperka błysnął strach i zaraz potem pojawił się wyraz chytrłości. Udawał, że nie rozumie, co Szumski mówi i rozkładał dalej litery.

— Bywaj zdrow, chłopczel, Muszę iść!

Prosperek popatrzył idyotycznie na Szumskiego, później skrzywił się do płaczu.

— Jutro przyniosę ci orzechów, pierników — uspakajał go Szumski.

Chłopak krzywił się wciąż, niepewną ręką zaczął wskazywać na litery.

— A... B... K... — wykrztusił.

Szumskiemu żal było biedaka, ale dziś nie mógł mu poświęcić ani godziny czasu.

— Jutro przyjdę... jutro — rzekł, wstając z krzesła.

Gdy naciskał klamkę od drzwi, do uszu jego doleciał jęk.

Obrócił się zdziwiony.

Prosperek stał obok niego i z piersi jego znów dobył się krzyk chrapliwy, pełen pierwotnej siły.

Brzmiał w nim strach, dziki protest, jęczało przecucie czegoś groźnego.

Przypadł do Szumskiego, objął go gwałtownie i z wykrzywionych konwulsyjnym płaczem ust

wyrzucał bezładne słowa, wyuczone w ciągu ostatnich paru miesięcy.

— Słonko... po... burzy... deszcz... biedny ptak... złamane skrzydło...

Widocznem było, że gwałtownie pragnął zatrzymać odchodzącego.

Szumski był wzruszony objawem świadomości w niedoleżnym umyśle chłopaka.

— Co? Biedaku mój! Chcesz uczyć się? Jutro... jutro z rana.. Teraz pozwól mi odejść... Czekaają na mnie — mówił łagodnie, gładząc szorstkie włosy Prosperka. — Jutro, mój biedny ptaku, będę ci prostował złamane skrzydła.

Usunął go miękko i wyszedł do sieni, zamykając za sobą drzwi.

Z sąsiedniego mieszkania doleciał go nieznanym mu głosem kobiecy.

— Powiedźcie mi, pani Wilkowa, czego on chce, ten nauczyciel, od waszego „głupiego“. Tyło się nad nim namorduje! Chyba zapłacony!

— A bo nie? Myślicie darmo? — rozległ się brutalny głos Wilkovej. — Pewniuszko dobrze mu za to posmarował kieszeń Ś. p. pan Rychłowski... A teraz to i sam sobie wyznaczy, ile będzie chciał...

Szumski skierował się w stronę ogrodu Krajsińskich.

Idąc, nie widział przed sobą kłębow śniegu, nie czuł smagania wichru, tak się głęboko i smutnie zamyslił.

Słowa lichwiarza ugrzęzły mu w duszy.

„A gdyby rzeczywiście teraz umarł!... Cóżby się stało z jego rodziną? Ileż nędzy i niedoli czekałoby jego biedne dzieci!

Dotąd myślał, że sam potrafi dla nich zapewnić przyszłość trwałą; teraz się przekonał, że to było niemożliwe.

Ośmnaście lat bez wytchnienia pracował na polu społecznem i gdyby teraz umarł, nie zostawiłby rodzinie nic, oprócz długów.

Mimowoli przyspieszył kroku, jakby chciał uciec od gniotących go myśli.

Gdy po upływie półtorej godziny wychodził od Bartoszewickich, na ulicy było już ciemno, a śnieg padał, wichrząc się w powietrzu i nie pozwalając odróżnić przedmiotów o kilka kroków. Płomyk światła, zawartego w latarni, stojącej obok domu Bartoszewickich, chwiało się za podmuchem śnieżycy, rzucając to w tę, to w ową stronę jasne przebłyski.

Podniósł wyżej kołnierz dość lekkiego paltota i zszedł z ganku.

Od muru oddzieliła się jakaś szczupła, ośnieżona postać i zrównała się z nim.

— Tatusiu...

— Co ty tu robisz, Janku? Stało się co w domu? — pytał zaniepokojony.

— Nic, nic, tatusiu, to ja tak sobie przyszedłem, żeby tatusiowi przyjemniej było wracać. W domu wszystko dobrze: smażą, gotują. Przejdźmy na drugą stronę, tatusiu, tam nie tak ślizko.



Szumski wziął syna pod rękę i dłonią swą okrytą rękawiczką, usiłował przykryć palce chłopaka, bielejące mu na rękawie paltota.

— Bez rękawiczek, Janku?

— Gdzieś się podziały, nie mogłem ich znaleźć, a spieszyłem, żeby mi się tatuś nie wymknął. Przed godziną byłem na stanowisku. Usunąłem się w cień, przytuliłem się do muru i czekałem. Ale tatuś dziś dłużej robił lekcye z tym leniuchem.

Szumski, rzeczywiście już od tygodnia przedłużał lekcye w prywatnych domach, chcąc powetować uczniom kilka dni świąt, podczas których nie miał przychodzić.

Dziś jednak pożałował tej nadetatowej pół godziny, bo jego biedny chłopak marzył, przytulony do muru.

— Zimno ci, Janku.

Nie. Wie tatuś, ciocia Michasia chciała koniecznie, żebym karpia oczyścił z łuski, alem się od tego wykreślił. Żeby tatuś wiedział, co ten karp wyrabiał, to aż przykro było patrzeć. Wszystkie wnętrzności mu wyjęli, a on jeszcze podskakiwał. Ciocia Michasia uciekła w końcu z kuchni, a Jadwinia to się rozplakała.

— Bo też, rzeczywiście, po barbarzyńsku postępują z temi biednymi rybami. Ale nie mów już nic, Janku, i nie otwieraj ust, bo coraz większy wiatr się zrywa.

Brnęli po kostki w śniegu, powieki im się zlepiały, wicher zrywał czapki z głowy, burza śnie-

żna srożyła się, szalała, ale w sercu Szumskiego było cicho i jasno.

Przytulił do siebie Janka i szli prędko, nie już nie mówiąc.

Drzwi im otworzyła Szumska.

— Boże! Wyglądacie, jak dwie góry śnieżne.

Pozdejmowała z nich co prędzej wierzchnie odzienie.

— Idźcie, ogrzejcie się prędko! Michasia da wam cokolwiek przekąsić.

Całe mieszkanie nosiło cechę świąteczną. Wszędzie było czysto i ciepło. Z kuchni dolatywał zapach ciasta, wonnych przypraw. Pozapalane lampy wesolo oświetlały długi stół, ustawiony pośrodku pierwszego pokoju, pokryty śnieżnym obrusem, lekko wzdymającym się na sianie i przyciśniętym ogromną rogatą struclą.

W kącie pokoju wysmukła zielona choina dźwigała jabłuszka, złote orzechy, inne łakocie, kilka zabawek, książki, śliczną srebrną obsadkę i białego jak śnieg baranka, okrytego bujnym runem.

— Władziu, połóż się na łóżku Janka i zaśnij trochę! Wigilia będzie dopiero o wpół do siódmej. Kubusiu, zakołysz tatusia! — zwróciła się do chłopczyny, który wybiegł z kuchni na spotkanie ojca.

Kubuś wrócił pędem do kuchni i po chwili wtoczył się znów do pokoju, przewalając się z nogi na nogę i dźwigając ogromnego kota, którego tylne nogi wlokły się po ziemi.

— Tubuś... tot i tatuś... Syscy... — zaszcebiotał.

— Wszyscy mamy spać? A czy; koniecznie ma być i kot.

— Tot — powtórzył stanowczo chłopczyzna.

— Niech i tak będzie — odrzekł Szumski i, wzięwszy kota pod pachę, ujął dziecko za rękę i poszedł do pokoju Janka.

Zdjął surdut i, położywszy się, okrył pledem siebie i Kubusia, leżącego pod ścianą z nieodstępny-  
nym kotem.

Szumski słuchał przez chwilę dziecinnego szczebiotu przeplatane-  
go wykrzykami: „duży!... duży!...“  
Wkrótce jednak ten szczebiot zlał się w jedną nutę z mru-  
czeniem kota, który zjawił się przed nim, kłaniając się nisko z kajetem pod pachę, następnie zmienił się w jakiegoś dużego wyrostka, z twarzą Kubusia, bladą i wynędzniałą. Wyrostek podawał mu kajet i mówił głosem cichym: „Tak mi trudno uczyć się, panie profesorze... Nie mam korepetytora, a z rosyjskim językiem nie mogę sobie dać rady, bo go źle znam!...“ I wszystko zlało się w jeden chaos... w niepamięć...

Spał z godzinę i obudził się, jak człowiek, którego nerwy przyzwyczyły się, do odmierzanego wypoczynku.

Z pokoju dochodziły go głosy gości i stłumiona wrzawa dzieci.

Zapalił świecę. Kubuś i kot spali smacznie. Poszedł do sypialnego pokoju, umył się i wy-



szedł do gości, rozweselony, uprzejmy, w odświeżonym ubraniu.

Byli już tu: profesor emeryt, stary kawaler chudy, pergaminowy, urzędnik kolejowy Horoszewicz ze śliczną dorosłą córką, Mysiński pedagog z żoną i dwojgiem dzieci, Bendkowski dziennikarz, Omkiewicz i paru kolegów Janka, nie mających rodziny.

Ciotka Masłowska, przytomniejsza dziś, niż zwykle, siedziała wyprostowana na kanapie.

Zaczęto podawać kolację. Szumska wyszła na chwilę i wróciła, niosąc na rękę Kubusia, zaróżowionego w białej, wełnianej sukience.

Goście obcałowywali chłopczyka.

— Tęgi facet! — wołał Mysiński, podrzucając na rękę Kubusia. — Pomimo, że fortuna ciągle do mnie zwrócona jest nieuprzejmie, zgodziłbym się, żeby do mojej dwójki bocian mi dorzucił ot takiego jeszcze rycerza.

— Moi drodzy państwo! — Zwróciła się do gości Szumska. — Ponieważ tworzymy dziś rodzinę, nie potrzebujemy więc krępować się etykietą. Proponuję, żeby każdy z nas dzielił się opłatkiem najprzód z tymi, którzy mu są najbliżsi. Daję przykład i zaczynam od mego Władzia.

Zbliżyła się do męża, objęła go za szyję i usta ich zlały się w serdecznym, mocnym pocałunku, w którym sobie wypowiedzieli całe łączące ich przywiązanie w ciągu tych lat siedmnastu ciężkiej pracy, nieustannych trosk goryczy i krótkich radości.

Oboje mieli łyzy w oczach i rozrzewnienie w sercach.

Szumski rękę żony do ust przycisnął, następnie zwrócił się do dzieci.

Kolacya trwała długo, ożywiona, wśród figlów dziatwy i młodzieży.

— Jakie ma pan zdanie o talencie Omkiewicza? — pytał półgłosem Szumski, siedzącego obok Bendkowskiego. — Jaką mu krytycy rokują przyszłość? Los jego bardzo mię obchodzi.

— Ma on niezaprzezony talent, ale uznania wielkiego nigdy nie zdobędzie — odrzekł Bendkowski. — Nie ma rozmachu, śmiałych pomysłów, nie umie odtwarzać orgii uczuć brutalnych, nie umie kłaść silnych, grubijańskich, że tak powiem barw, które teraz właśnie są na czasie. Maluje wszystko na niebiesko. Jest romantykiem. Może za lat sto wyprawiają mu jubileusz, może piękne panie będą nosiły jego podobiznę na guzikach od rękawiczek, ale za życia będzie zawsze należał do czeladzi literackiej, która kiepsko jada i sypia na strychu.

— Jednem słowem, skazany na zagładę za to, że nie jest kuglarzem — wtrącił Mysiński, przysłuchujący się rozmowie.

— A cóż jest życie, jeżeli nie kuglarstwem? — odparł Bendkowski z szyderczym uśmiechem.

Kolacya miała się ku końcowi, wszyscy byli podochoceni, Mysiński sypał dowcipami.<sup>18</sup>

— Słuchaj — no... ty... parobku literacki! —

wołał na Omkiewicza, któremu jeszcze dwójki stawał w szkole. — Podobno twoi bohaterowie u ciebie w pokoju dostają zawrotu głowy od swędu z piecyka żelaznego.

— Nic o tem nie wiem — odrzekł Omkiewicz. — Ja nigdy nie jestem w moim pokoju.

— A gdzież jesteś przez cały dzień? — zdziwił się Mysiński.

— W pałacach... lepiankach... cudnych ogrodach, szpitalach. Gdy ciało moje zziębnie, myśl powraca i każe mu przyłożyć węgla do piecyka, i na tem się kończy wizyta mego „ja“ w mojem mieszkaniu.

— No... no!... I jeszcze literaci mają sumienie skarżyć się na swój los. Bodajby tak nauczycielom! Bo cóż jest właściwie szczęście? wyobraźnia. Więc gdybym mógł sobie wyobrazić, że nie mam długów i jestem posiadaczem udzielnego państewka, albo chociażby lichego domku na Starem mieście, to coby mi brakło do szczęścia, — mówił, śmiejąc się Mysiński.

Pili zdrowie gości, gospodarzy. Szumski dziękował.

— Wszystkich nas tu zebranych łączą mniej więcej jednakie warunki życia, jednakie dążności, uprawiamy jedno pole — mówił. — Szmat życia niektórym z nas starł już puch młodości z twarzy... wydarł złotoskrzydłą złudę, oddając ją tym, którzy za nami idą... Troski, kłopoty, niepowodzenia rzuciły hojną dań na nasz wózek życiowy... Sprawie-



dliwość jednak wszechświatowego porządku, nam, pasierbom społecznym, dając pochodnię wiedzy, dała możność wczytywania się przy jej blasku w księgę ludzkości — w serce społeczeństwa.

Na dnie tego serca rozpanoszyła się nędza... Rozlał się ból szerokim korytem... Egoizm rozbił swój namiot... Ale, my, dzieci ducha, których nie mogły przygnieść do ziemi pociski życiowe, obojętni na przepowiednie ptaków złej wróżby, patrzymy z bijącym radośnie sercem w przyszłość tych, co za nami idą... bo nad pustkowiem ideałów widzimy odbrzask nowej... doskonalącej się duszy ludzkości, która wzrasta... potężnieje, i prostuje już swe skrzydła, żeby podążyć ku odrodzeniu... ku zmartwychwstaniu!...

Szumska objęła gorącym uściskiem męża, Janek i Jadwinia całowały jego ręce.

Po kolacyi dzieci przeszły do sypialnego pokoju, a Szumska zaczęła zapalać choinkę.

Gdy drzewko stanęło w blasku, ciemna główka Nelci zamajaczyła w wyobraźni pani! Michaliny i zalała jej serce morzem tęsknoty.

Dziesięć lat tak przystrajała drzewko dla swej ukochanej dziewczeczki.

Dzieci wpadły z hałasem i otoczyły różnobarwną choinkę.

O jedenastej goście się rozeszli.

Szumski usiadł przy biurku.

— Władziu! Będiesz dziś jeszcze pracował? —

zawołała Szumska z przestraczem, widząc, że mąż bierze pióro do ręki.

— Omkiewicz przyniósł mi rękopis swej powieści, chciałbym go przeczytać i na wstępie widzę błąd stylowy.

— Ależ, zlituj się!... Jesteś tak zmęczony!

— Przecie to żadna praca. Spałem dziś w dzień. Jutro mogę później wstać... Wreszcie nie będę długo czytał.

Szumska nie chciała już protestować. Pokręciła się jeszcze trochę po pokoju, porządkując pozostałe łakocie. Gdy miała odchodzić na spoczynek, spojrzenie jej padło na męża. Rysy jego były pogodne, opromienione jakimś wewnętrznym skupieniem.

Podeszła do niego, objęła jego głowę i przycisnęła do piersi.

— Jak dziś wszystko było dobrze. Nieprawdaż? Dzieciaki się ubawiły i nam było wesoło — rzekła, patrząc mu w oczy z miłością.

Zapagnęła przytulić się do męża i powiedzieć mu wszystko... wszystko... Jak go rozumie... jak bez granic kocha!... Wywołać z jego oczu promień zachwytu, jak kiedyś, i w gorącym uścisku zapomnieć o słocie życiowej.

I znów coś ją wstrzymało.

— Alboż dziś jej rozgderany głos mógł się nadać do miękkich dźwięków?... Alboż jej zaniedbana postać mogła mu przypomnieć uroczę chwile z bardzo dawnych, drogich dni?

— Mój najdroższy! Tylko nie siedź długo nad tem czytaniem!

Poszła do sypialnego pokoju, pochyliła się nad każdym dzieckiem, najdłużej pozostawała przy Kubusiu, który skrzyżowanemi rączkami, przyciskał białego baranka do piersi.

Ukłęka do pacierza i na chwilę dusza jej skołatana ciągłą troską o jutro, uspokoiła się w żarliwej modlitwie.

Modliła się w niej kobieta i matka gorąco i szczerze z lękliwem natręctwem, polecając Bogu swoich najdroższych.

Na dworze wciąż hula wicher, odrywając od brzegów dachu kawałki przymarzłego lodu, które sunąc wzdłuż muru, wydają chrzęst kruszących się kopij... W naturze wre bój śmiertelny... jakieś napastnicze hufce nalatują ze świstem... Pęka słaba pierś pod naciskiem przemocy... Coś wyje... płacze... chichocze zgrzytem szyderczym.

Szumska coraz gorliwiej się modli. Gorączkowe prośby zlatują z jej ust... Błaga o szczęście dla męża i dzieci. Chce już powstać z kolan i coś ją przykuwa do ziemi... Wciąż błaga pokornie, a zawsze tylko o szczęście męża i dzieci... Bije się w piersi, siebie gotowa oddać na ofiarę za nich... i patrzy całą duszą w obraz...

Powstała wreszcie z klęczek i otarła łzy.

— A nie długo, Władziu! — zawołała.

Położywszy się myślała o tem, że tyle ryb zostało, iż wystarczą chyba na parę dni świątecz-



nych... może tylko trzeba będzie dorobić ostrego sosu... O tem, czy służąca, której pozwoliła zaraz po wigilii pójść do rodziny, wróci jutro dość rano... Inne jeszcze kwestye gospodarskie oblegały przez chwilę jej mózg, wreszcie zasnęła.

Obudziła się po niejakiś czasie.

Przez półotwarte drzwi widziała jeszcze palące się światło.

Włożyła pantofle, narzuciła szlafrok i weszła do pierwszego pokoju.

Szumski siedział wciąż w fotelu przy biurku, głowę miał spuszczoną i czoło wsparte na splecionych rękach, spoczywających na rękopiśmie.

Nad nim pochylał się nawpół ubrany Janek.

— Zasnął?... — spytała Szumska przyciszonym głosem, stojąc na progu.

Janek podniósł na nią oczy pełne straszliwego przeczucia.

— Tatus... zimny... i... nie rusza się wcale... — wymówił z trudnością.

Szumska rzuciła się do męża.

Dotknęła jego chłodnego czoła, rąk.

— Władziu!... Władziu!... Zaczęła szeptać nieprzytomnie, wstrząsając nim rozpaczliwie.

Odrzuciła zastygłe ciało Szumskiego na poręcz fotelu i, drżąc, jak w febrze, przypadła mu do piersi, nasłuchując.

Wstrząsnęła znów kilka razy zeszywniałą postacią męża i zbielała cała.

Dziki krzyk wydarł się z jej piersi.

— Janku! Ojciec nie żyje!

Przez chwilę biła powietrze rękami, jak tonąca łódź żaglem, i osunęła się zemdlna na ziemię u nóg syna.

Janek stał bez ruchu. Rozszerzonymi, pociemniałymi oczyma patrzył na spokojne, marmurowe rysy ojca, to na matkę, leżącą bez zmysłów.

Bezgraniczna rozpacz, żal i jakiś strach potworny opasał mu duszę.

Nie wiedział gdzie szukać ratunku. Służącej nie było, a niedołączna ciotka Masłowska i śpiące dzieci nie mogły mu w niczem pomóc.

Objął za szyję trupa i przytulił się do jego piersi.

— Tatusiu!... Tatusiu mój!... — wołał ze spazmatycznym łkaniem.

Odpowiedział mu głos śnieżnej burzy, a w nim była zbiorowa skarga dzieci ziemi: bieda ludzka... nędza zwierząt... jęk roślinności, obdzieranej z życia.

Koniec.



5404/617

60.1



WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

121814

# Biblioteka Sa kształcenia

DZIEŁ  
NAUKOWYCH

Zadaniem naszym jest przez dostarczenie czytelnikom polskim materiału naukowego przyczynić się do rozszerzenia widnokręgów społecznych i naukowych, do rozbudzenia krytycyzmu i niezależności sądów, do wyrobienia sobie zdania o najważniejszych zagadnieniach cywilizacji współczesnej. W r. 1903 zamierzamy między innymi wydać:  
„Wskazówki do samokształcenia“ prof. Karejewa.  
„Rok 1848“, dramat dziejowy Schera.  
„Geografia Królestwa Polskiego“, Nałkowskiej.  
„O materyi“, prof. Brunera.  
„Historja antropologii“, czasy starożytne i nowożytne, prof. I. Radlińskiego.  
„Etyka“, prof. Höffdinga (dokończenie).  
„Rozwój umysłowy ludów Europejskich“, prof. Drtyny.  
„Zagadki Świata“, prof. Haeckla i t. d, i t. d.

W roku 1902 wydaliśmy następujące prace:

„Etyka“ przez prof. Höffdinga; „Zarys historii chłopów w dawnej Polsce“ p. J. K. Gorzyckiego; „Benedykt Spinoza“ p. J. Żuławskiego; „Historja nauki o człowieku“ p. I. Radlińskiego; „Logika“ p. S. Jevonsa; „Rozwój stosunków ekonomicznych w Zachodniej Europie“ p. Kowalewskiego; „Opowiadanie o gwiazdach“ p. Chambersa; „Człowiek pierwotny“ p. E. Clodda; „Teoria Darwina i Demokracja społeczna“ p. L. Woltmana; „Fizyczne podstawy malarstwa i fizjologiczne przyczyny harmonii muzycznej“ p. Helmholtza.

Cena rocznie 6— rs., półrocznie 3— rs.  
z przesyłką: rocznie 8 rs., półrocznie 4 rs.

Redakcja: Warszawa, Nowy-Świat 41.

